



**CZUŁY
PUNKT**

DOMINIKA VAN EIJKELENBORG

Dominika van Eijkelenborg

Czuły punkt

Prawdziwa miłość jest zawsze chaotyczna. Gubisz się, tracisz trzeźwy osąd. Nie umiesz się bronić. Im większa miłość, tym większy chaos.

Jonathan Carroll

Pewne wydarzenia naszego życia są jak kamienie, po których toczy się lawina.

William Wharton

I

Pamięta, że najpierw ocknęła się jedynie na chwilę. Przez kilka sekund zanim ogarnęła ją obezwładniająca panika i tępy ból głowy, trwała w stanie półświadomości – jakby wybudzała się z koszmaru i z trudem przedzierała przez gąszcz snu na jawę. Poczła wzbierającą falę mdłości, a wraz z nią ten nieprzyjemny ścisk w okolicach żołądka, który zwykle jest sygnałem, że to o czym się śniło, nie było snem. Próbowwała otworzyć oczy, ale poczuła dziwny opór i ból, jakby jedna z jej powiek była sklejona. Tępy ból głowy nie pozwalał jej się poruszać, ale czuła, że jej ciało jest dziwnie sztywne. Nawet oddech wydawał się przychodzić jej z trudem. Chciała zrozumieć, co się stało, przypomnieć sobie, ale uczucie mdłości i wciąż nieodpuszczający ból nie pozwalały jej skoncentrować się na niczym.

Nie wiedziała, jak długo to trwało, zanim znów zasnęła, a może po prostu straciła przytomność. Kiedy obudziła się po raz kolejny, nawet przez ułamek sekundy nie miała złudzeń. Ból był nadal bólem, żołądek nadal znajdował się w gardle, a jej ciało odmawiało współpracy. Wokół panowała cisza. Nie zmuszała się

do żadnego ruchu. Dała sobie czas, by powoli wróciła jej świadomość. I pamięć, a raczej jej część. Leżała kompletnie bez ruchu. Czowała, że nie jest naga, ale nie potrafiła stwierdzić, co ma na sobie. Powoli odzyskiwała poczucie własnego ciała – z każdą kolejną minutą więcej bólu, którego teraz była bardziej świadoma. Zrobiło jej się zimno i z wielkim wysiłkiem spróbowała podkulić nogi jeszcze bardziej pod siebie. Nie mogła opanować fal drgawek i mdłości dopadających ją na przemian. Zmuszała się do brania głębokich oddechów, żeby nie zwymiotować. Jak długo tak leżała? Kiedy uczucie mdłości odpuściło na chwilę, skoncentrowała myśli na tym, co się stało. W pierwszym odruchu wstrząsnął nią szloch i jedynie paniczny strach pozwolił jej opanować wzbierający w niej płacz. Nie próbowała nawet otworzyć oczu, jakby zamknięte powieki mogły ją ochronić od prawdy, która z każdą minutą cienkim strumieniem chaotycznych pourywanym wspomnień sączyła się do jej świadomości. Już wiedziała, że to nie był zły sen, najgorszy wyśniony koszmar, po którym można uciec na jawę. W głębokiej gęstej ciszy wokół niej wyczuwała zagrożenie, jak zwierzę, które wpadło w sidła i jeszcze nie widzi łowcy, ale już wyczuwa jego zbliżającą się obecność.

Siłą woli próbowała opanować wzbierające znów mdłości i drzenie mięśni. Ból był jak wciągające ją bagno – gęsty, zniewalający, ograniczał każdy jej ruch i myśl. Wdech. Ból. Wydech. Ból. Chłód. Strach. Zacisnęła ramiona jeszcze mocniej wokół własnych kolan, jakby były konarem drzewa, o który można się wesprzeć. Przeczekała kolejną falę mdłości i gdy mogła już wziąć głębszy oddech, skoncentrowała się na tym, co przyniosła jej powracająca powoli pamięć.

Ten wieczór pamiętała dokładnie. Był upalny koniec maja. Po tygodniach deszczy i burz, zniknęły wiszące nad miastem ciemne chmury. Błękit wypełniał niebo od wczesnych godzin rannych, słońce prażyło nieprzerwanie, stoliki okolicznych kafejek i restauracji wylały się na chodniki. Ludzie spragnieni ciepła i światła wystawiali twarze do słońca i do późnych godzin nocnych ulice wypełniał entuzjastyczny gwar. Weronika otworzyła okno

swojego niewielkiego pokoju studenckiego i usiadła na szerokim parapecie. Choć powoli zapadał zmierzch, ulica była jasna od świateł i wibrowała od głosów. Z miejsca, gdzie siedziała widziała kafejkę na rogu w budynku naprzeciw, pizzerię z której dochodził aromat włoskich dań i sklep nocny, którego drzwi były otwarte całą noc. Lubiła przyglądać się ludziom w dole, patrzeć na pary siedzące przy stolikach, wymieniające spojrzenia i delikatne muśnięcia rąk, na kelnerki zwinnie omijające ciasno ustawione stoliki, na młodych ludzi w kolorowych bluzach i kapturach, którzy bujając się na szeroko rozstawionych nogach, jakby chcieli tym gestem zająć więcej przestrzeni na planecie, licznie odwiedzali nocny sklep. W domu rodzinnym z okna jej pokoju widać było tylko rzadko uczęszczaną asfaltową ulicę i brzozy ciasno rosnące wzdłuż niej. Dom wydawał jej się wtedy tak daleki, jakby dzieliły ją od niego lata świetlne, ale ruch na ulicach wciągał ją, jak dobry film. Czasem odkładała książkę, opierała głowę o framugę okna i obserwowała przepływający ulicami tłum ludzi, ich sposób mówienia, chodzenia, mimikę, strój. Obserwowała bezkrytycznie, zahipnotyzowana różnorodnością.

W ten majowy ciepły wieczór ulice Utrechtu zdawały się nie zasypiać. Miasto promieniało wewnętrznym światłem, rozbrzmiewało wybuchami głośnego śmiechu, rozmowami, grało pobrzękiwaniem szklanek. Kusiło i przywoływało grą świateł i dźwięków, beztroską radością, którą pozostawił po sobie gorący majowy dzień. W tym kłębowisku ulic i doznań kryło się niebezpieczeństwo, o którym wtedy nie mogła wiedzieć.

Siedząc na parapecie z plecami wspartymi o framugę okna próbowała przejrzeć ostatni rozdział książki. Miała na sobie sukienkę z czerwonego szyfonu. Maarten i Amy nadjechali rowerami prawie w tym samym momencie i ich rozbawione głosy wkrótce wypełniły korytarz. Słyszała jak wspinają się po stromych schodach i rozmawiają w dziwnym angielsko-niderlandzkim dialekcie.

Weronika pamiętała to przyjemne napięcie, które się odczuwa, gdy czeka się na coś ekscytującego. Czas jej stażu na

uniwersytecie w Utrechcie dobiegał końca i pod koniec czerwca miała zdawać ostatnie egzaminy. Dni wydawały jej się intensywne i za krótkie. Dzieliła czas między naukę, zajęcia i wieczory z Maartenem i Amy. Żadne z nich nie wspominało o tym, co będzie potem, choć wszyscy wiedzieli, że coś ma się wkrótce zmienić i tym intensywniej przeżywali każdą wspólną chwilę. Weronika próbowała uzyskać zgodę na kolejny rok wymiany i zapracować na nią dobrymi wynikami. Wiedziała, że szanse są niewielkie, ale nagle powrót do domu wydawał jej się ostatnią możliwą opcją. Sypiała za krótko, ucząc się do późna, jadła niewiele, nie marnując czasu na zakupy i gotowanie.

Tamtego wieczoru umówili się na koncert. Szli ulicami Utrechtu wzdłuż wodnych kanałów, w dole nad samą wodą gwarne kafejki nadal pełne były klientów. Maarten trzymał jej rękę w swojej i pamiętała, że miał na sobie niebieski podkoszulek ze śmiesznym nadrukiem. Na swoim nadgarstku czuła szorstki dotyk jego skórzanej bransoletki, kiedy mocno ścisnął jej dłoń i prowadził po wąskich chodnikach, omijając grupki ludzi i zaparkowane wszędzie rowery. Nadal nie potrafiła z całą pewnością stwierdzić, czy jego wygląd był dokładnie przemyślanym i wypracowanym planem, czy jedynie skutkiem ubocznym tego, jaki Maarten sam był. Zdarzało jej się z niedowierzaniem spoglądać na jego profil, na kształtną mocną szczękę pokrytą wypielęgnowanym zarostem, na opalone sprężyste przedramiona, orzechowe oczy o migdałowym kształcie, nad którymi wyraźnie zarysowane ciemne brwi unosiły się lekko, gdy opowiadał jej coś podekscytowany i zastanawiała się, co dokładnie on może widzieć w niej. Ciepły wiatr unosił jej sukienkę i musiała przytrzymać ją ręką. Wszystko zdawało się współgrać ze sobą tworząc idealny wieczór. Gdyby wtedy wiedziała, jak miał się zakończyć, nigdy nie wypuściłaby dłoni Maartena ze swojej.

Długo leżała w bezruchu. Chciała zasnąć, ale ból i strach przejęły nad nią panowanie. Nasłuchiwała więc, próbowała zrozumieć ciszę, usłyszeć coś. Nic. Jakby świat przestał istnieć. Czas przestał istnieć. Mijały sekundy, minuty, może godziny –

wszystko zlewało się w jeden nieprzerwany strumień nicości. Jakby jedynym zmysłem, którym nadal odbierała rzeczywistość, było jej pogrążone w bólu ciało. Czuła je nadal – sztywne i zimne. Wreszcie postanowiła otworzyć oczy. Leżała na lewym boku, prawa powieka nadal stawiała bolesny opór, obróciła więc głowę, by otworzyć lewe oko. Ciemność. Nie widziała nic. Czekwała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Zastanawiała się, gdzie jest. W piwnicy? Bagażniku auta? Przesunęła ręką po powierzchni, na której leżała i wydawało jej się, że leży na materacu. Próbowwała sięgnąć dalej i za krawędzią materaca poczuła chłód podłogi pod dłonią. Jej oko powoli przywykło do ciemności i ze zdziwieniem zobaczyła w ciemności kontury łóżka po drugiej stronie pomieszczenia. Blisko miejsca, gdzie leżała znajdowały się drzwi, ale pokój wydawał się nie mieć okna.

Przesunęła dłonią wzdłuż swojego ciała, poczuła, że nie ma na sobie bielizny. Była ubrana w podkoszulek z krótkim rękawem sięgający jej za pośladki. Nie pamiętała skąd go wzięła. Pamiętała tylko, że tamtego wieczoru miała na sobie coś innego.

Na tę malinową sukienkę zwiewną jak letnie chwile beztroski, odkrywającą ramiona i plecy, namówiła ją Amy.

– Czy Ty wiesz, że w Twojej szafie znajdują się ubrania jedynie w czterech kolorach? – powiedziała pewnego kwietniowego dnia, stając obok Weroniki przed otwartymi drzwiami jej malutkiej jednodrzwiowej szafy. Zmarszczyła brwi i przejechała palcami po krawędziach złożonych w kostkę ubrań. – Szare, białe, beżowe, białe, beżowe, niebieskie, szare, szare, białe... Nie nudzi ci się? – spytała patrząc na Weronikę. Stała tam kolorowa jak jesienny liść w swoich czerwonych spodniach i żółtym sweterku w brązowo-czerwone kwiaty. We włosy miała jak zawsze wpięte spinki z kwiatami z filcu, a na szyi zielony szal.

Weronika wzruszyła ramionami i spojrzała na zawartość szafy. Nigdy w ten sposób nie patrzyła na kwestię odzieży – miało być wygodnie i prosto. Wygodnie, prosto i nudno. I Weronika nagle poczuła się sama prosta i nudna, szara jak jej szare oczy, w które patrzyła codziennie w lustrze. Może bała się, że tak

naprawdę nic jej od tej szarości nie uratuje, że w niczym nie będzie jej do twarzy. Zupełnie inaczej niż piękna Australijka Amy z gęstymi falami jasnych włosów, błękitnymi oczyma i szczerym pełnym uroku uśmiechem, której do twarzy było nawet w szarości. To Amy namówiła ją na szalony dzień w biegu po sklepach i przekonała do zakupu ubrań we wszystkich kolorach tęczy. Wisienką na torcie była malinowa sukienka z lekkiego szyfonu, na którą Weronika nie chciała się zgodzić, protestując, że nie ma jej gdzie założyć. Amy wyciągnęła z rękawa ostatni najmocniejszy argument i z szerokim uśmiechem machając jej sukienką przed oczyma powiedziała, że Maarten na pewno byłby zachwycony.

Weronika chciała, aby każda chwila spędzona z nim była specjalna i ważna, mając świadomość, że być może niewiele już ich zostało. Tamtego wieczoru zanim wyszła, widziała jak wyświetlacz jej telefonu migocze i wibruje i wiedziała, że dzwoni jej mama. Unikała rozmów z nią od tygodni, nie wiedząc, jak powiedzieć jej o tym, że złożyła podanie o kolejny rok stażu w Holandii. Ostatnią rzeczą, o jakiej chciała jej powiedzieć był powód, dla którego chciała zostać dłużej. Pamiętała ostrzeżenia mamy i długie rozmowy o tym, jak nie wpaść w sidła nieprzemyślanych decyzji, spontanicznych przygód, krótkich związków bez przyszłości, których konsekwencje mogą być długoterminowe. Wiedziała, że mama zawsze próbowała ją ochronić przed własnymi błędami i żyła w poczuciu wdzięczności i przekonaniu, że wszystko, co udało jej się osiągnąć jest zasługą mamy. Dopiero w Holandii, gdzie karmiła ją życiowymi mądrościami emocjonalna pępowina nie mogła jej dosięgnąć, Weronika zaczęła odczuwać coś więcej niż tylko chroniącą, opiekuńczą siłę relacji z matką – Weronika zaczęła czuć, że moc, która miała ją chronić, nie pozwala swobodnie oddychać. Z każdym tygodniem tęsknoty za domem, z każdym kolejnym samotnym dniem, rosła w niej potrzeba wzięcia głębokiego oddechu. Im częściej mama mówiła jej o swojej tęsknocie, smutku i oczekiwaniu na córkę, tym bardziej Weronika czuła, że do domu wracać nie chce. Była jak samotny wędrowiec, który wspiał się na

szczyt wysokiej góry, gdzie powietrze było tak czyste i rzadkie, że oddech sprawiał mu ból. Jeszcze nie potrafiła cieszyć się widokiem, nieprzyzwyczajona do oddychania wolnością, walcząc z bólem, ale już wiedziała, że nie chce wracać na dół, że widok ze szczytu góry wynagrodzi jej trudną wspinaczkę.

I właśnie wtedy, gdy zaczynała zdawać sobie sprawę z wolności, jaką dał jej wyjazd na wymianę studentów do Holandii, w jej życiu pojawił się Maarten.

Był ciepły jesienny wieczór. Zaczął się jej drugi miesiąc za granicą. Słownik niderlandzko-polski był jej najbliższym i nieodłącznym przyjacielem. Bywały chwile, że żałowała, iż skorzystała z tej wspaniałej szansy na świetlaną przyszłość. Doskwierały jej samotność, zmęczenie i obawa przed tym, jak sobie poradzi. Była jednak zdecydowana zacisnąć zęby i zostać. Wiezorami po zajęciach na uczelni i intensywnym kursie języka niderlandzkiego zajmowała miejsce na parapecie swego okna i głęboko oddychała. Patrzyła na ludzi siedzących za wielkimi oknami włoskiej knajpki, na smukłe kelnerki i kelnerów dźwigających z gracją wielkie talerze. Było już późno i w nocnym sklepie zaczął się zwykły ruch. Najpierw wcale nie zwróciła na niego uwagi, dopiero po chwili zauważyła, że oparty o sklepową szybę, patrzył z półuśmiechem prosto w jej okno. Uśmiechnęła się przelotnie i odwróciła wzrok w kierunku kafejki. Jej stoliki rozświetlone świeczkami w kolorowych szklanych miseczkach nadal zajmowały cały chodnik. Światło migotało w lampkach wina. Na jej kolana upadł zwinięty w kulkę papier. Wzięła go do ręki i podniosła wzrok. Chłopak w zielonej bluzie nadal stał oparty o sklepowe okno, patrzył na nią z uśmiechem, który trudno było rozszyfrować i gestem ręki dał jej znać, żeby rozprostowała papier. Rachunek sklepowy na kwotę jedenastu euro i pięćdziesięciu pięciu centów – za piwo i coś jeszcze, czego nie była w stanie zrozumieć. Na drugiej stronie drukowane litery napisane czarnym długopisem pytały “*JE ZIET ER VERDRIETIG UIT. ZIN IN BIERTJE?*”. Poza ostatnim słowem nie rozumiała nic i miała ochotę zamknąć okno. Wyrwała jednak kartkę z zeszytu leżącego

na biurku i odpisała zgodnie z prawdą *“Sorry, I don't speak Dutch”*, sądząc, że językowa przeszkoda w komunikacji ułatwi pozbycie się nieproszonego towarzysza, po czym złożyła kartkę w misterny samolocik, który lekko przefrunął przez ulicę, po czym porwany podmuchem wiatru spadł na jeden ze stolików kafejki, wprost do lampki wina. Młody elegancki mężczyzna rozejrzał się zdumiony, po czym wyjął kartkę z kieliszka. Weronika poczuła się zażenowana i miała ochotę schować się pod parapetem, a najchętniej pod ziemię, ale wtedy jej wzrok napotkał spojrzenie chłopaka w zielonej bluzie – śmiał się prawie na głos, mrugnął do niej, po czym podszedł do mężczyzny przy stoliku, który zdążył już przeczytać liścik. Weronika obserwowała go, gdy zupełnie nieskrępowany sytuacją tłumaczył coś mężczyźnie, trzymając swoją dłoń na jego ramieniu i ruchem głowy wskazując budynek za nimi, w którego oknie Weronika przyglądała się całej sytuacji. Mężczyzna poklepał chłopaka przyjaźnie po plecach, oddał mu liścik i uśmiechając się szeroko pokiwał głową.

Chłopak przeczytał kartkę i podniósł wzrok, Weronika wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce w przeproszającym bezradnym geście, po czym zsunęła się z parapetu i zamknęła okno. Kiedy pięć minut później usłyszała dzwonek, była pewna, że to jakaś pomyłka i zignorowała go. Dopiero, gdy zadzwonił po raz trzeci, zbiegła schodami na dół. Jej pokój znajdował się na drugim piętrze i prowadziły do niego strome wąskie schody, na których z trudem mijały się dwie osoby. Otworzyła drzwi i zobaczyła znajomy szeroki uśmiech. Chłopak podał jej wielką tabliczkę czekolady i kolejny rachunek ze sklepu opiewający na kwotę dwóch euro i czterdziestu centów, na którego odwrocie czarny długopis pytał *“ENGLISH? :-)”*.

Weronika nigdy nie nawiązywała znajomości łatwo, nie miała też zwyczaju wdawać się w dyskusje z przypadkowymi przechodniami. Może był to po prostu efekt poczucia osamotnienia i tęsknoty za domem, a może uroczy uśmiech i tabliczka czekolady, ale kolejną godzinę spędzili siedząc na progu budynku, jedząc ciemną czekoladę i rozmawiając.

Przedstawił się jako Maarten i Weronice spodobało się brzmienie tego imienia. Studiował Nauki o Ziemi na Uniwersytecie w Utrechcie.

– Więc jeśli chcesz cokolwiek wiedzieć o wybuchach wulkanów, służę pomocną dłońią – albo czekoladą – dodał podając jej kolejny kawałek czekolady.

Weronika uważnie przyjrzała się chłopakowi. Wyglądał jak bardzo przyjemne dla oka połączenie aktywisty organizacji antyglobalistycznej i modela reklamy ekskluzywnej bielizny męskiej. Starannie zebrane z tyłu głowy dredy odsłaniały jego mocno zarysowaną szczękę. Od czasu do czasu przyglądał je dłońią i kiedy podnosił rękę, rękaw zielonej bluzy odsłaniał nadgarstek ze skórzaną plecioną bransoletką. Miał idealny profil z prostym kształtnym nosem, pod którym wypiełgnowany zarost tworzył wzór wokół lekko wypukłych ust – i kiedy się uśmiechał cała jego twarz rozjaśniała się, a kąciki migdałowych ciemnych oczu unosiły się lekko do góry. Weronika patrzyła na niego z zaciekawieniem jak na fascynujące zwierzę, które widzi się pierwszy raz. Po krótkiej wymianie uprzejmości zapytała go wreszcie, co napisał na pierwszym rachunku, bo chciała odpowiedzieć na jego pytanie. Uśmiechnął się lekko i odwrócił twarz w jej stronę, aż ich spojrzenia spotkały się wprost. Wymienili uśmiechy. Pochylił głowę, ułamał kawałek czekolady i podając jej powiedział:

– Wyglądałaś bardzo samotnie w tym oknie. Chciałem zaprosić cię na piwo, ale czekolada wydała mi się lepszą opcją.

Pokiwała głową i przez parę minut siedzieli obok siebie na schodku przed drzwiami w milczeniu obserwując ruch na ulicy. Maarten dwukrotnie podniósł dłoń w geście przywitania w stronę grupki młodych mężczyzn zmierzających w stronę nocnego sklepu. Pozdrawiali ich pokrzykując, pohukując i wyrzucając ramiona w górę.

Wkrótce pożegnali się przyjaźnie, wymieniając uścisk dłoni. I kiedy następnego dnia Weronika znalazła tabliczkę czekolady w swojej skrzynce na listy, wiedziała, że ten rok nie będzie jednak

tak samotny, jak przypuszczała.

Zima tego roku w Holandii była wietrzna i mokra – czas porzucanych porywami wiatru rowerów, gorącej herbaty i połamanych parasolek tańczących na ulicach jak pokraczne istoty ze złego snu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zauważyła, że między nimi dzieje się coś więcej. Rozmowy stały się bardziej intymne, dotyk jego ramienia, gdy siedzieli obok siebie, nie sprawiał, że czuła się niezręcznie. Widziała go czasem z wysokości drugiego piętra, gdy stał w grupie młodych kolorowo ubranych mężczyzn pod nocnym sklepem. Zwykle wbiegał na górę przeskakując po dwa stopnie, zrzucił w progu swoją zieloną kurtkę zimową i siadał na parapecie, żeby wypić piwo albo ciepłą herbatę, ale czasem widziała, jak zerka w okno, macha jej i odchodzi. Zdarzało się, że przychodził na haju, wnosząc ze sobą słodki mdławy zapach, wkładał jej słuchawkę do ucha, gdy siedziała nad książką przy biurku i razem słuchali trzech piosenek pod rząd. Czasem zostawał o jedno piwo za długo i choć cisza nie była niezręczna i męcząca, coś między nimi sprawiało, że Weronika czuła dziwny lęk pod skórą. Nie chciała sobie komplikować życia. Wymiana studencka i jej stypendium trwały rok i żadna relacja nie wchodziła w grę. Czuła w środku, że jej serce nagle przeobraziło się w dwa kontynenty, których zderzenia wywoływały krótkotrwałe, lecz intensywne trzęsienia ziemi. Z jednej strony nie chciała się w nic angażować, nic co potem mogłoby boleć lub spowodować niepotrzebne komplikacje, z drugiej strony wyłapywała te szybko umykające chwile, gdy ich oczy się spotykały i wiedziała, że patrzył na nią inaczej – w jakiś trudny do określenia sposób, z niemalże nieuchwytną iskrą w migdałowych oczach i zastanawiała się, dlaczego Maarten nie wykona żadnego gestu w jej stronę.

To był ten moment, gdy najmniej się czegoś spodziewasz, gdy za późno zauważasz, że próbujesz zejść ze zbyt stromej góry – stopy ześlizgują się po pochyłej powierzchni – prędkość jeszcze nie jest oszałamiająca, ale już wiesz, że nie dasz rady się zatrzymać. A potem nagle wszystko przybiera na sile i nim się

spostrzeżesz, pędzisz w dół bezradnie.

Maarten odprowadził ją do domu. Kulila się od zimnego wiatru i próbowała ciaśniej otulić kurtką. Palce zeszywniały jej z zimna i otwarcie drzwi małym kluczem było kłopotliwe. Chciała już znaleźć się w ciepłym holu, z którego schody prowadziły do jej pokoju. Była sobota i dom stał prawie pusty – większość studentów zaopatrzona w wielkie plecaki wyjechała do domu. W holu było ciemno, Weronika z ulgą zamknęła za nimi drzwi i po mroźnym wietrze pozostał jedynie szum w uszach. Obróciła się w jego stronę, żeby przekląć cholerny wiatr, ale nagle w ciemności otoczyło ją jego ramię i chłodne usta dotknęły jej własnych. Spadała bezradnie ze zbyt stromej góry, odurzona nagłym zastrzykiem adrenaliny. Przyparta do ściany w ciemnym holu czuła jego zimną dłoń na swoim policzku. Za późno, by się zatrzymać. Ich ciepłe oddechy zrównały się w jeden rytm. Stali milcząc w ciemności, splekli swoje zimne dłonie i ruszyli w stronę schodów. Gdzieś między parterem a drugim piętrzem powzięli niewypowiedzianą na głos decyzję.

I gdy zamknął za nimi drzwi pokoju i nie zapalając światła powoli zaczął zdejmować z jej zziębniętego ciała warstwy ciepłych ubrań całując ją zimnymi wargami, Weronika nie była w stanie i nie chciała się opierać. Rozpięła delikatnie zamek jego zielonej dobrze znanej kurtki i poczuła nagle dziwnie blisko znajomy zapach. Położyła dłonie na jego klatce piersiowej, czuła jak unosi się i opada, czuła napięte mięśnie. Przesunęła dłonie do ramion i pomogła mu zrzucić kurtkę na ziemię. Najpierw powolne, niemal ospałe i subtelne ruchy Maartena zaczęły przybierać na sile, prędkości i intensywności. Weronika czuła twardą wypukłość jego dzinsów, drżący i nagle gorący oddech. Między zalewającymi ją falami pożądania, rozważała chaotycznie czy i jak powiedzieć mu, że to będzie jej pierwszy raz. W plątaninie dłoni, oddechów i pocałunków, gdy unosząc ją lekko w ramionach posadził na łóżku, Weronika zdradziła mu ten mały niewinny sekret, który rozszerzył mu źrenice i wywołał nieśmiały uśmiech.

– Nie musimy tego robić – powiedział uspokajająco,

głaszcząc ją po policzku i Weronika nagle niczego innego nie była tak pewna, jak tego, że muszą. Ona musi. Chce. Pragnie. I gdy wyznała mu to, szepcząc do ucha zawstydzona, poczuła jak jego mięśnie napinają się przyjemnie, a oddech robi się znów nierówny i gorący.

– Będę delikatny. – Obiecał całując jej ucho i szyję i same te słowa sprawiły, że Weronika odkryła w sobie zmysłowe odczucia i pragnienia, których się po sobie nie spodziewała.

Maarten był dobrym kochankiem – delikatnym lecz stanowczym, dał jej poczucie bezpieczeństwa jednocześnie z poczuciem bycia chcianą. Gdy kochał się z nią pierwszy raz, zaskoczyła ją jego subtelność, wyczulenie na sygnały z jej ciała, troska i uwaga, z jaką obserwował jej twarz, gdy traciła z nim dziewictwo. Pozwoliła mu więc na wszystko i z ulgą zauważyła, że zapomniała o lęku, a w jego miejsce pojawiło się uczucie spokoju, jakby to, co działo się w ciemnościach jej małego pokoju na drugim piętrze było naturalną konsekwencją toku wydarzeń.

Zawsze wydawało jej się, że tak właśnie powstają dobre związki, że nie zaczynają się od wielkich namiętności prowadzących ludzi nad niebezpieczną krawędź, lecz są wynikiem powolnego rozkwitu uczucia między ludźmi, którzy na początku czuli do siebie jedynie sympatię.

Tamtej nocy długo leżeli w ciemnościach – pokój oświetlały mdłe światła ulicznych lamp wpadające przez rozsunięte zasłony. Jej głowa spoczywała w zagłębieniu między jego obojczykiem a ramieniem, jak gdyby to miejsce zostało specjalnie po to wyrzeźbione w jego sprężystym szczupłym ciele. Przesunęła palcem wzdłuż błękitnej wypukłej żyły biegnącej po wewnętrznej stronie jego przedramienia. Tuż ponad wytatuowane dwa słowa wydawały się być specjalnie przez nią podkreślone. *So what?* Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Przypomnienie – powiedział cicho. I pokazał jej drugie przedramię, na którym w identyczny sposób znajdował się kolejny tatuaż. *What if?*

– O czym? – zapytała, patrząc na jego profil oświetlony

częściowo światłem wpadającym przez okno.

Zapadła cisza. Jego oczy utkwione w jakiś niewidoczny punkt przez chwilę wydawały się nieobecne i Weronika żałowała, że zadała to pytanie w takiej chwili. Wtedy Maarten odezwał się spokojnym cichym głosem, dochodzącym z jakiejś odległej części jego duszy.

– Miałem kłopoty w szkole średniej, a może raczej szkoła miała kłopoty ze mną. Nie pasowałem do układanki i nie wszystkim się to podobało. Na początku nie było tak źle, nie rzucałem się w oczy. Przetrwiałem dwa lata bez ubytku na zdrowiu. Potem nie było kolorowo.

Przełknął głośno. Wzrok miał wciąż utkwiony w ciemność, jak gdyby widział tam coś, co było widoczne tylko dla niego. Weronika nie mówiła nic, położyła dłoń na jego klatce piersiowej i czekała. Patrzyła na jego migdałowe oczy, w których odbijało się światło, na prosty nos, mocną szczękę. Wszystko w nim było kształtne, proporcjonalne, perfekcyjnie skrojone ciało, bez śladu blizny. Te kryły się głębiej, niewidoczne, ale zawsze obecne.

– W czwartej klasie wszystko nabrało na sile. Pewnego dnia połamali mi rękę. Lewą, całe szczęście, i tylko w jednym miejscu. Rodzice wpadli w panikę, chcieli zmienić szkołę albo złożyć doniesienie. Miałem dwa wyjścia, uciekać albo walczyć.

Zamilkł znowu. Widziała jak jego usta zbiegły się w prostą zaciętą linię.

– I co wybrałeś? – zapytała cicho.

– Zdecydowałem, że mnie to nie obchodzi. – Podniósł ramię i przesunął palcami po tatuażu. Błękitna żyła pulsowała rytmicznie. – Zdecydowałem, że mam inne, ważniejsze sprawy na głowie. Plus całej sytuacji był taki, że skończyłem szkołę bez mrugnięcia okiem, większość nauczycieli chcąc mi zrekompensować szkody, dużo mi ułatwiała.

Weronika spojrzała pytająco na tatuaż na lewym przedramieniu i Maarten uśmiechnął się ciepło.

– Co by było, gdyby nasze życie zależało od nas? – powiedział cicho i jego oczy znów nabrały blasku. – Co by było,

gdybyśmy byli silniejsi, niż nam się wydaje? Co by było, gdybyśmy zaakceptowali siebie takimi, jakimi jesteśmy? Co by było, gdyby ta piękna dziewczyna w oknie była twoja?

Kiedy tego majowego wieczoru parę miesięcy później wyświetlacz telefonu przypomniał jej o mamie, wyłączyła go z poczuciem winy i ulgi jednocześnie. Zdawała sobie sprawę, że nie może wiecznie uciekać przed powiedzeniem mamie prawdy, ale świadomie odsuwała od siebie tę chwilę. Znała mamę na tyle dobrze, by wiedzieć, że Maarten nie zrobi na niej pozytywnego wrażenia, że ona zamiast migdałowych oczu, serdecznego uśmiechu, życzliwego i beztroskiego sposobu bycia, zobaczy dredy, tatuaże, brak odpowiedzialności. Obawiała się więc rozmowy na temat kolejnego roku stażu, na temat Maartena i obawiała się usłyszeć więcej bólu, tęsknoty i strachu w głosie mamy, niż była w stanie znieść. Może gdyby wtedy zdecydowała się jednak odebrać telefon, może w odruchu ucieczki przed duszącą pępowiną, zostałyby z Maartenem tej nocy i nadal miała na sobie sukienkę z czerwonego szyfonu.

Powoli podniosła głowę. Prawe oko nadal boleśnie zamknięte odmawiało współpracy. Chciała unieść się na łokciach i poczuła, że jej mięśnie są wiotkie i drżące, jakby były nieużywane przez długi czas. Każdy ruch sprawiał jej ból, którego nie potrafiła jeszcze umiejscowić. Fala gorąca na przemian z przejmującym zimnem oblewała ją, gdy próbowała przywrócić ciało do pionu. Podkuliła drżące nogi pod siebie i klęcząc rozejrzała się wokół. Oparła plecy o zimną ścianę, przy której leżał materac i poczuła wzbierającą znów falę mdłości i oblewający ją pot. Czowała się brudna i chora. Jej lewe oko próbowało oswoić ciemność i przestrzeń. Wydawało jej się, że to musiał być pokój w piwnicy – jedyne wytłumaczenie braku okna, które wtedy przychodziło jej do głowy. Spojrzała na drzwi i nawet przez chwilę nie wahała się, czy spróbować je otworzyć – strach przed tym, co mogło być za nimi był silniejszy. I nawet, gdyby udało jej się wstać i być może podjąć próbę ucieczki, na jak długo starczyłoby jej sił? Parę kroków, może parę metrów. Przytuliła rozpalone czoło do zimnej ściany, a potem

przyłożyła do niej ucho, ale słyszała jedynie przerażającą ciszę, w której kryła się groźba i brak nadziei.

W kościele Janskerk panowała cisza. Muzycy z orkiestry unosząc smyczki zastygli w bezruchu jak posągi. Weronika pamiętała, że niemalże wstrzymała oddech i poczuła nagle napięte mięśnie Maartena, który siedział tak blisko, że ich ciała stykały się na całej linii. Wśród muzyków siedziała jego siostra – Isabel – jak długowłosa nimfa-skrzypaczka o tych samych migdałowych oczach, lekko wypukłych wargach i nieskazitelnie równych brwiach. Weronika nie mogła oderwać od niej oczu, gdy zaczęła grać. Tak podobna i tak inna niż jej brat, Isabel zdawała się zamykać całą siebie w ekstatycznych ruchach smyczka, wyprostowana i skupiona na grze, w oczach Weroniki królowała w tłumie innych muzyków swą ponadprzeciętną urodą i bijącą od niej dumą. Jak gdyby to nie Isabel grała na skrzypcach; jak gdyby Isabel była skrzypcami, które grają całą orkiestrą.

Dopiero po jakimś czasie zauważyła wpatrzona w nią oczy Maartena. Wydawał się zaskoczony jej reakcją na muzykę, choć nie zdawał sobie sprawy, że to jego siostra wywołała ogień w jej oczach i rumieniec na twarzy.

Gdy wychodzili z kościoła było już ciemno. Powietrze nadal było ciepłe, a ulice pełne przechodniów. Byli spragnieni i żadne z nich nie chciało się jeszcze rozstawać.

Pub, do którego weszli nazywał się “De Zwarte Kat”. Wewnątrz nie było tłoczno, większość klientów siedziała na zewnątrz przy kwadratowych stolikach wystawionych wzdłuż okien. Zdecydowali się usiąść w środku i Maarten zamówił piwa. Weronika obserwowała go, gdy pochylony w stronę barmana przekrzykując muzykę i gwar klientów wymieniał z nim uwagi. Zdawało jej się, że się znali, ale mogła się mylić. Maarten traktował serdecznie nawet przypadkowego przechodnia i bezdomnego kota, miał w sobie tę spontaniczną życzliwość i łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi. Podziwiała go za to, że nie pozwolił bolesnym doświadczeniom przeszłości odebrać sobie zaufania do ludzi. Zupełnie inaczej niż Isabel, której uprzejmość

zdawała się być nieufna i chłodna. Weronika obserwowała kątem oka usilne próby Amy, która zagadywała Isabel na różne tematy i wciąż otrzymywała krótkie uprzejme zdawkowe odpowiedzi. Kiedy piwo stało już na stoliku, Isabel odwróciła się do Weroniki.

– Więc jesteś Polką? – zapytała nagle, jakby ostatnie pół godziny, gdy szli przez ulice miasta nie miały miejsca i wrócili do chwili przed kościołem, gdy Maarten przedstawiał je sobie po koncercie.

Weronika skinęła głową zaskoczona.

– Wracasz do Polski po zakończeniu semestru czy będziesz teraz tutaj studiować? – Weronika nie wiedziała dlaczego, ale zdawało jej się, iż Isabel celowo rozmawia z nią po niderlandzku, choć Maarten przedstawił je sobie po angielsku, dając w ten sposób siostrze subtelny znak, którego nie chciała najwidoczniej odczytać.

– To nie zależy ode mnie – odpowiedziała i w ułamek sekundy po wypowiedzeniu zdania z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że pomyliła kolejność słów w niderlandzkim zdaniu.

Isabel skinęła głową i sięgnęła po swoją szklanę.

– A gdyby zależało od ciebie?

Weronika mimowolnie spojrzała na lewe przedramię Maartena, które zadawało jej to samo pytanie. Co by było gdyby?

– Chciałabym zostać – odpowiedziała, nie patrząc na Isabel z całą świadomością, że bezczelnie dała jej odpowiedź w języku angielskim.

Weronika poczuła ulgę, gdy Isabel zdecydowała się wracać do domu. Obserwowała ją, gdy przeciskała się między grupkami ludźmi zmierzając do wyjścia. Pamięta, że nagle straciła ochotę na ten wieczór i chciała wracać do swojego pokoju. Isabel była jej przypomnieniem, że choć słoneczny upalny maj kuszący zielenią, poczuciem swobody i bez troski nadal trwał, nad nimi wisiały decyzje do podjęcia, jak czarne chmury, z których złowrogo pobłyskiwały ostrza błyskawicy.

Kiedy opuścili bar na lekkim przyjemnym rauszu, Maarten zdawał się nie zauważać zmiany jej nastroju. Nie pamiętała, kto

wpadł na ten pomysł.

Klub Havana znajdował się w centrum, dziesięć minut wolnym spacerem od kościoła Janskerk. Pod klubem panował piątkowy ruch i gwar. Maarten trzymał jej dłoń, kiedy czekali przy wejściu. Głośno dyskutował z Amy i w Weronice narastał dziwny niepokój.

– Wracam do domu – powiedziała w końcu, przerywając im bez ostrzeżenia, a kiedy spojrzeli na nią zdziwieni, dodała wymijająco. – Nie czuję się najlepiej i nie mam ochoty na ten hałas.

Amy przytuliła ją lekko na pożegnanie i weszła do środka, ale dłoń Maartena nadal trzymała ją mocno.

– Pójdę z tobą – powiedział, a gdy zaczęła kręcić głową, zapytał miękko. – Czy to z powodu Isabel? Nie znasz jej, ale ona po prostu taka jest. Nie ma się czym przejmować.

Szli razem wzdłuż ulicy, zostawiając za sobą hałaśliwy tłum przed wejściem do Havany. Nie chciała go urazić, ale potrzebowała być sama. Nagle miała poczucie, że zostało jej niewiele czasu i zbyt wiele do zrobienia. Czowała skurcz niepokoju w żołądku. Ścisnęła jego dłoń uspokajającym gestem, uniosła się na palcach, by sięgnąć jego twarzy i złożyła na jego ustach delikatny pocałunek. Była dużo niższa od niego, szczególnie w całkiem pozbawionych obcasów czarnych balerinach. Gdy tak stali naprzeciw siebie w ciemnej ulicy nadal trzymając swoje dłonie, Weronika wiedziała, że musi iść teraz po to, by móc zostać potem.

– Muszę iść, naprawdę muszę. – Cofnęła się o krok, czując jak jego dłoń wciąż zaciśnięta na jej ciągnęła ją ku niemu.

– Zostań – Pociągnął ją delikatnie ku sobie, nie spuszczając z niej oczu. – Albo pozwól mi iść z tobą.

Cofnęła się o kolejny krok nadal czując delikatne przyciąganie jego dłoni. Światła przejeżdżającego ulicą auta oślepiły ją na chwilę. Uśmiechnęła się i poczuła przyjemne ciepło wypełniające jej ciało. Wyswobodziła dłoń z jego dłoni, przesłała mu zdmuchnięty z koniuszków jej palców pocałunek i obiecując zadzwonić jutro obróciła się i odeszła. Nadal czuła ciepły, mocny

uścisk jego dłoni na swoich palcach.

Nie pamiętała, o czym dokładnie myślała idąc tą ulicą. Szła niesiona dziwną potrzebą walki o swoje szczęście, zatopiona w uczuciach. Nie pamiętała też, czy widziała samochód stojący w mroku ulicy. Musiała go minąć nie zwróciwszy nań uwagi.

Pamięta jedynie, że ułamek sekundy zanim wszystko zmieniło się w koszmar, usłyszała wyraźnie tuż za sobą odgłos otwieranych drzwi samochodowych. Odruchowo odwróciła głowę, ale zanim zdążyła zobaczyć cokolwiek, poczuła że coś ją chwytła mocno za ramiona i ciągnie do tyłu. To było jak upadek w przepaść. Krew odpłynęła jej z twarzy, ciemność zaatakowała oczy, jak gdyby nagle straciła wzrok, a paniczny ścisk w dole brzucha był jak cios znienacka. Nie wie, czy krzyknęła z przerażenia zanim poczuła wielką słoną dłoń na swoich ustach. Widziała zatraskujące się za nią drzwi auta i po pierwszym osłupieniu wywołanym paniką, poczuła jak wszystkie jej życiowe siły kumulują się w walce o przeżycie. Jej ręce uderzały na oślep. Nogi kopały w przestrzeń szukając oparcia. Strach był jak motor napędzający jej ciało. Twarda duża dłoń wciskała ją w siedzenie auta i utrudniała oddychanie. Weronika czuła, jakby ciężar nie do zniesienia miał zmiażdżyć jej głowę na papkę. Poczuła krew w ustach rozciętych przez jej własne zęby pod naporem siły napastnika. Próbowwała ugryźć, szarpiąc się na wszystkie strony, ale to tylko rozwścieczyło mężczyznę i na jej twarz spadły ciosy drugiej wielkiej dłoni. Ogłuszona przerażeniem i bólem nagle zdała sobie sprawę, że cokolwiek robi, pogarsza to jedynie jej sytuację, że jest przegrana, była przegrana zanim jeszcze zaczęła walczyć. Słyszała chrapliwy sapiący głos, ale znaczenie słów nie dotarło do niej poza faktem, że mężczyzna mówił po niderlandzku. Czuła jego dłonie na swoim ciele, próbowała go odepchnąć, lub uwolnić choćby usta, by móc wziąć oddech i krzyczeć, lecz cień drugiej postaci ponad jej głową przytrzymał jej ręce i przypieczętował tym gestem jej los. Została zgwałcona.

Czas nabiera innego znaczenia, gdy nie ma się poczucia jego mijania, gdy noc i dzień zlewają się w jedno, gdy sekundy, minuty

i godziny wydają się zmieniać swą długość w zależności od natężenia bólu. Weronika czekała, choć nie wiedziała ani na co, ani jak długo. Jej ciało wsparte o chłodną ścianę powoli przywykło do pionowej pozycji i Weronika najciszej jak mogła na czworakach zwlokła się z materaca w kącie. Przesuwając się wzdłuż ściany próbowała zbadać otoczenie. Przycisnęła ucho do miejsca, gdzie drzwi stykały się z framugą, ale nic poza ciszą nie usłyszała. Podłoga była czysta i na łóżku, do którego podczołgała się powoli leżała pościel pachnąca proszkiem do prania i świeżością. To wtedy coś usłyszała. Wszystkie jej zmysły skupiły się na tym dźwięku. Zgrzyt. Jej mięśnie znów zaczęły drżeć i z porażającą ostrością uderzyło ją wspomnienie twarzy mężczyzny, który ją napadł. Nagła fala gorąca zalała jej ciało, a wzrok padł na materac. Najszybciej jak potrafiła przemieściła się w jego kierunku. Słyszała kroki – nieśpieszne i ciche, ale wyraźnie zmierzające w jej stronę.

W panice skuliła się w kącie na brzegu materaca, czując łomot serca w każdej komórce swego ciała, jak gdyby miała miliony małych serc bijących jednym oszalałym rytmem, których echo odbijało się w jej uszach. Zamek w drzwiach zgrzytnął i do pomieszczenia wpadło ostre oślepiające światło.

II

Luke Stanford zawrócił auto klnąc głośno. Był poirytowany i zmęczony Jego czarny ford SUV zakręcił w niedozwolonym miejscu z piskiem opon. Nienawidził niespodzianek i nagłych zmian planu równie mocno jak brudu, dziwek i ćpunów. Najbardziej jednak nienawidził sprzątać bałaganu po spieprzonej przez innych robocie. Zaparkował auto na parkingu przed supermarketem. Był późny wieczór, a mimo to parking nadal pełen był aut i klientów. Luke wszedł do środka nadal klnąc w myślach. Za każdym razem, gdy miał do czynienia z tymi neandertalczykami Gera, kończyło się to jakimś cholernym bagnem. Chwytał plastikowy koszyk, ruszył między sklepowe półki i bez dłuższego zastanowienia wrzucił do niego potrzebne mu produkty.

Pracował dla Gera już osiem lat, załatwiał jego sprawy tu i w Londynie. Ger wiedział, że Luke pracował sam i nie przepadał za współpracą z jego świtą. Położył przedmioty na taśmie przy kasie i wyłapał kątem oka lekki uśmiech i zainteresowane spojrzenie młodej kasjerki.

– Żona trafiła do szpitala i potrzebuje kilku podstawowych rzeczy do higieny osobistej – wyjaśnił nie patrząc na nią, zapłacił gotówką, wrzucił rzeczy do foliowej torby i wyszedł pośpiesznie.

Ci debile nie mieli za grosz samokontroli, za dużo ćpali, za dużo pili i robili za dużo bałaganu i hałasu. Bałagan i hałas to było to, czego Luke nie znosił – w tej robocie liczy się opanowanie, czyste ręce i umiejętność trzymania języka za zębami. Ger wiedział, że nikt inny nie był w tym tak dobry i Luke dostawał niezły odsetek tego, co dla niego załatwiał. Ktoś musiał mu deptać po piętach, skoro powziął takie, a nie inne środki bezpieczeństwa. Oczywiście, że nie zlecił tego żadnemu z tych głąbów. Tego jeszcze brakowało, żeby zrobili z tego niepotrzebnie gorsze bagno i gliny zaczęłyby im siedzieć na ogonie.

Luke zatrzymał się przy aucie, wrzucił torbę na siedzenie

pasażera i zapalił papierosa stojąc przy aucie. Nigdy nie palił w swoim fordzie. Oparł się o samochód i patrzył w ciemne niebo. Było ciepło, za ciepło jak na tak późną godzinę. Powietrze po upalnym dniu nadal było ciężkie i wilgotne. Luke podwinął rękawy koszuli i zastanawiał się, jak zorganizować sobie nocleg na dzisiejszą noc. W poniedziałek powinien być w Londynie, ale musiał odwołać lot. Ger nie przyjmuje odmowy jako odpowiedzi, więc Luke nie miał innego wyboru jak tylko zostać i dopilnować, by sprawy przebiegły zgodnie z planem. Wyjął telefon z kieszeni spodni i zaczął przeglądać listę imion. Mógłby oczywiście przenocować u pięknej jasnowłosej Karen, która nigdy mu nie odmówiła, ale ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było dawanie jej sygnału, że będzie z tego coś więcej. Wiedział, jak to wygląda – wystarczy, że raz zostaniesz do śniadania i przy porannej kawie dowiadujesz się, że jesteś w stałym związku. Wrzucił niedopalonego papierosa do kratki ściekowej, schował telefon do kieszeni i wszedł do auta. Pieprzona świta Gera, ich nieujarzmione temperamenty i neandertalskie zapędy – myślał wściekły, postanawiając wrócić do apartamentu.

Apartament w De Coopvaert wynajął trzy lata temu. Budynek znajdował się w samym centrum Rotterdamu przy ulicy Blaak. Miał z dobre trzydzieści pięter, własny strzeżony parking, a widok, który rozpościerał się z okien i balkonu jego apartamentu na dwudziestym szóstym piętrze zapierał dech w piersiach. Spędzał w Rotterdamie coraz więcej czasu i lubił mieć własne miejsce i niezależność, które ono dawało. W Londynie mieszkał w domu, który zostawiła mu matka, gdzie wszystko nadal mu o niej przypominało i gdzie nie śmiał nic zmienić – mieszkanie w nowoczesnym, nieskażonym wspomnieniami apartamencie na dwudziestym szóstym piętrze było miłą odmianą.

Zaparkował na strzeżonym parkingu i z ciężkim westchnieniem wysiadł z auta. Luke Stanford nie lubił brudzić sobie rąk i robił to tylko w ostateczności. A teraz miał pobrudzić sobie nie tylko ręce, ale także jedyne miejsce na świecie, gdzie czuł się naprawdę dobrze. Miał tylko nadzieję, że Ger rozliczy się

z neandertalczykami, rozwiąże problemy i jak najszybciej zorganizuje kolejny transport, żeby pozbyć się kłopotów. Inaczej Luke będzie zmuszony tkwić w Rotterdamie.

Wszedł do budynku przez oszklone drzwi, skinął głową w stronę portiera i nacisnął przycisk wzywający windę.

Otworzył drzwi i zapalił światło. Skierował się od razu do drzwi sypialni, po drodze wciskając przycisk w automacie do kawy.

Weronika skuliła się w sobie i przesłoniła dłonią oczy. Światło, które nagle wpadło do pokoju oślepiło ją. Zbyt długo była pogrążona w ciemności. Poczula ukłucie panicznego strachu i skurcz w żołądku, jakby połknęła olbrzymi kawał ołowiu. Próbowwała patrzeć poprzez ostry strumień światła i palce własnej dłoni, ale czuła, jakby patrzyła prosto w słońce. Ostry twardy głos zapytał, czy mówi po angielsku, więc skinęła głową powoli. Nie rozpoznała głosu mężczyzny i poczuła z tego powodu cień ulgi.

Wyteżyła wzrok mrużąc oczy. Światło nadal ją raziło sprawiając, że rozróżniła jedynie kontury mężczyzny, wszystkie detale nikły w oślepiającym blasku. Podskoczyła ze strachu, gdy rzucił coś na materac. Zaszleściła foliowa torba.

– Łazienka jest w holu. Masz kwadrans. Umyj się i nie próbuj żadnych głupstw – ten sam twardy głos poinformował ją beznamietnie. Rozpoznała w jego sposobie mówienia delikatny brytyjski akcent.

Mężczyzna odwrócił się, zostawiając za sobą otwarte drzwi, przez które nadal wpadał strumień światła.

Weronika poczuła, że się trzęsie i wspierając się na ścianie podniosła się. Podniosła z materaca foliową torbę. Jej nogi zdawały się całkiem odmawiać posłuszeństwa, wiotkie słabe mięśnie drgały przy każdej próbie ruchu. Zagryzła zęby i przytrzymując się ściany powoli ruszyła w stronę drzwi. Cały jej wzrok i energia skupiły się na dotarciu do nich, ale widziała że pomieszczenie, w którym się do tej pory znajdowała przypominało zwykły pokój, pusty i anonimowy, jak pokój hotelowy. Wychodząc z pokoju przytrzymała się framugi drzwi i zmierzyła wzrokiem

odległość do holu. Przed nią był kolejny pokój z błyszczącą podłogą w grafitowym kolorze i trzema oknami, które rozciągały się od sufitu do ziemi i przez całą szerokość ściany. Była noc i za oknami rozpościerała się ciemność pełna kolorowych świateł miasta. Pokój był przestronny i również pusty. Na środku stała skórzana ciemna sofa z małym szklanym stolikiem, a na przeciwległej ścianie wisiał olbrzymi ekran. Nic więcej. Weronikę uderzył aromat świeżo mielonej kawy i poczuła ponownie skurcz w żołądku zastanawiając się, kiedy ostatnio jadła i ile czasu spędziła w swojej ciemni.

Krok po kroku przemierzała pokój wzdłuż ściany. Kiedy dotarła do obszernego holu, w którym rozciągała się ta sama połyskująca podłoga, zobaczyła półotwarte drzwi łazienki po prawej stronie, a po lewej dużą kuchnię, w której obrócony do niej tyłem mężczyzna stał przy oknie. Najszybciej jak potrafiła skierowała się do drzwi łazienki, rzucając jedynie okiem w stronę drzwi, które jak przypuszczała prowadziły na zewnątrz. Nawet gdyby chciała uciec, jej własne nogi nie zaniósłoby jej daleko.

Krew zaczęła ponownie szybciej krążyć w jej ciele po wysiłku, jaki włożyła w przejście tych kilku metrów. Zamknęła za sobą drzwi łazienki. Rozejrzała się po pachnącym, sterylnie czystym, wyłożonym grafitowymi płytkami wnętrzu. Za wielką oszkloną kabiną znajdował się prysznic. Weronika stała przez chwilę na środku pomieszczenia, zdezorientowana tą paradoksalną sytuacją, nie rozumiejąc, co się dzieje i dokąd to wszystko zmierza. I właśnie w tym momencie, gdy przez ułamek sekundy uwierzyła, że to wszystko może się jeszcze dobrze skończyć, skoro stoi jak gdyby nigdy nic w przestronnej bogato urządzonej łazience, jej spojrzenie przykuło sporych rozmiarów lustro zawieszone nad śnieżnobiałą i lśniącą czystością umywalką. W lustrze zobaczyła własne odbicie, choć przez chwilę wydawało się niemożliwe, że należało do niej. Podeszła bliżej i zacisnęła obie dłonie na zimnym brzegu umywalki.

Jej twarz była szara, wokół oczu wielkie sine kręgi wyglądały jakby czaszka zapadła się tych miejscach. Prawa

powieka była nadal przymknięta i Weronika dopiero teraz zobaczyła, że miała rozcięty łuk brwiowy, a oko było spuchnięte i zlepione brudną zaschłą krwią, wokół zewnętrznego kącika, aż do skroni rysował się wielki siniec we wszystkich kolorach tęczy. Dziurki od nosa wyglądały jak obrysowane czerwonym flamastrem, zakrzepła krew zdobiła również to miejsce. Miała pęknięte w dwóch miejscach wargi, a górna nadal była spuchnięta. Weronika przesunęła dłonią po brudnych, splątanych i zlepionych włosach i kiedy podniosła ramię, zobaczyła swoją skórę usianą sińcami, o których istnieniu nie miała pojęcia. Ulotny płomyk nadziei zgasł zwiany potężnym podmuchem zimnego wiatru i rzeczywistość uderzyła ją ze zdwojoną siłą. To było jej odbicie. Nigdy już nie wróci do domu. To się nie skończy dobrze. Zaczęła szlochać przytrzymując się umywalki. Chciała tak stać i płakać, krzyczeć, wyć, ale coś silniejszego od porażającej świadomości jej sytuacji, jakaś prymitywna siła w niej samej kazała jej wziąć głęboki oddech. Miała kwadrans, a właściwie już nie i musiała go wykorzystać, choćby dlatego, że nie wiadomo kiedy znów będzie mogła skorzystać z łazienki.

Napiła się wody z kranu i usiadła na ubikacji, myśląc logicznie, że te podstawowe potrzeby mają priorytet. Ból, który ją przeszył, gdy tylko zaczęła oddawać mocz, sprawił, że skuliła się i zaskomlała jak skopany pies. Zacisnęła palce na brzegu T-shirta, który miała na sobie i poczuła ciepłe łzy na policzkach. Może z bólu, a może ze zbyt długo wstrzymywanych mdłości, opadła na kolana, obróciła się i zaczęła wymiotować mieszaniną śluzu i tych paru łyków wody, które wzięła chwilę wcześniej. Torsje i szloch opanowały jej całe ciało. Nie mogła i nie chciała już powstrzymywać łez. Spuściła wodę i osłabiona torsjami na czworakach powlokła się pod prysznic. W torbie znalazła mydło, pastę do zębów, szczoteczkę i parę czarnych majtek jeszcze z metką. Gorąca woda zdemaskowała wszystkie rany na jej ciele przynosząc fale bólu i kolejne ataki niepohamowanego szlochu.

Luke stał patrząc na cichnące miasto z wysokości swojego okna w kuchni. W ręku trzymał kubek świeżo zmielonej

aromatycznej kawy, której smakiem nie potrafił się dziś delectować. Była prawie jedenasta w nocy i wolałby wypić coś mocniejszego przed snem, ale musiał zachować ostrość myślenia. Poczul wzbierającą w nim złość na widok jej żalosnego wyglądu. Czuł obrzydzenie na myśl, że ma korzystać z jego łazienki i znów dopadła go natrętna myśl, komu zawdzięcza cały ten burdel we własnym mieszkaniu. Nie należał do ludzi, których poruszał widok krwi, bólu czy łez. Irytowała go słabość i uległość. Słyszał jak wymiotowała i płakała, zerknął na zegarek zaciskając usta w ciasną linię. Po chwili z łazienki dobiegł go szum wody pod prysznicem i przypomniał sobie, że nie kupił żadnego ręcznika i będzie musiała użyć jednego z jego własnych. Odstawił kubek z kawą i mrużąc pod nosem przekleństwa o pieprzonych niańkach, wszedł do łazienki. Z szafki pod umywalką wyjął szary ręcznik i rzucił go na podłogę przy drzwiach kabiny prysznicowej, nie patrząc nawet na wciąż szlochającą w strugach wody dziewczynę.

Weronika delikatnie umyła mydłem obolałe ciało i włosy. Wytarła się leżącym na ziemi ręcznikiem, po czym, nie wiedząc co ma z nim zrobić, powiesiła go na zimnym grzejniku. Założyła majtki i T-shirt, wyszorowała zęby i po cichu otworzyła drzwi. Bała się, że wszystko zajęło jej dłużej niż kwadrans. Dzięki gorącej wodzie doszła do siebie i choć jej prawe oko nadal sprawiało ból, mogła je swobodniej otworzyć, więc gdy wyszła do przestronnego holu, rozejrzała się dokładniej wokół. Mężczyzna stał w kuchni, oparty o błyszczący czarny blat, z głową zwróconą w stronę okna. Włosy miał zgolone tak krótko, że Weronika mogła dojrzeć wszelkie nierówności na jego czaszce. Podwinięte rękawy jasnoniebieskiej koszuli odsłaniały mocne umięśnione przedramiona. Miał szerokie barki i szyję, która wydawała się niewiele węższa niż czaszka. Uszy zdawały się lekko odstawać od głowy, choć mógł być to efekt wizualny spowodowany brakiem włosów. Gdy wreszcie ją zauważył i odwrócił się w jej stronę, wszystko w nim wydawało się nasycone groźbą – szeroka kwadratowa szczęka, mocny nos, który musiał być kiedyś złamany, umieszczone nisko nad oczyma gęste brwi z długą jasną

blizną po prawej stronie, między którymi tkwiła złowroga zmarszczka, wąskie zmrużone oczy, wyglądające jak dwie kreski na jego spiętej twarzy. Mógł mieć dwadzieścia pięć lat – ale równie dobrze trzydzieści pięć. Nie patrząc na nią, twardym głosem kazał jej wrócić na swoje miejsce, więc na drżących z osłabienia i wysiłku nogach ruszyła w stronę materaca, na którym znalazła plastikową butelkę wody i dwie kupne kanapki w folii. Była głodna. Nawet nie podejrzewała, jak głodna i przepęliło ją nagle niezrozumiałe uczucie wdzięczności. Tak wdzięczna jak w tamtej chwili, Weronika nie była jeszcze nigdy. Ten drobny gest przywołał znów do życia wąty płomyk nadziei i wywołał wodospad myśli. Czy jest jakaś szansa, że jeszcze wszystko dobrze się skończy? Może po prostu pozwolą jej wrócić do domu? Może uda jej się uciec? Może to jakaś pomyłka? Pomyślała o swojej torebce, paszporcie, portfelu, które zaginęły tamtego wieczoru razem z sukienką z czerwonego szyfonu. I o tym, że mężczyzna, który ją przetrzymywał, nawet nie próbował zasłaniać twarzy. Jakby wiedział, że nie musi, że Weronika już nigdy nie wyjdzie stąd o własnych siłach.

Skuliła się na materacu i najciszej jak potrafiła rozwinęła kanapki. Jadła powoli w strumieniu światła wpadającym przez półotwarte drzwi, bojąc się kolejnej fali mdłości. Pokój, w którego kącie leżał jej materac, był po prostu sypialnią i choć najpierw myślała, że pozbawiony był okien, teraz widziała dokładnie, że na przeciwległej ścianie znajdowały się dwa duże okna szczelnie zamknięte przez ciemne rolety. Wiedziała już, że nie był to pokój hotelowy – nigdy jeszcze nie widziała hotelu, w którym apartamenty miałyby kuchnię. Bezgłośnie otworzyła butelkę wody i wypila parę łyków. Kiedy po kilku minutach usłyszała kroki i zobaczyła cień mężczyzny zbliżający się do otwartych drzwi, jej żołądek nieprzyjemnie skurczył się ze strachu, spodziewając się najgorszego. Nie wchodząc do środka, mężczyzna zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Weronikę ogarnęła znów ciemność i poczucie chwilowej ulgi.

Luke otworzył szeroko wielkie okna prowadzące na taras.

Ciepłe, wilgotne powietrze wpadło do pokoju niesione podmuchem wiatru. Wszedł na taras i usiadł na sporych rozmiarów drewnianym fotelu. To było jego ulubione miejsce – szczyt świata na dwudziestym szóstym piętrze. Rozważał chwilę, co zrobić z czasem, który miał spędzić w Rotterdamie. Rozejrzał się wokół. Ze swojego tarasu widział miasto jak na dłoni, rozświetlone centrum Rotterdamu z rzędami dziwacznych kubistycznych budynków zaprojektowanych przez holenderskiego architekta Pieta Bloma, biblioteką główną z groteskowymi żółtymi rurami biegnącymi wzdłuż jej ścian, nowoczesnymi wieżowcami i zabytkowymi budynkami, pod których oknami dumnie pięły się w górę maszty statków. W oddali widział most Willemsbrug łączący dwa brzegi rzeki Nieuwe Maas. Różnorodność stanowiła piękno tego jednego z największych miast portowych na świecie i Luke lubił myśleć o jego potędze, żywotności, o tym, jak odbudowane ze zniszczeń powojennych, dziś pokazywało światu kolorowy środkowy palec wygięty jak most Erazma- dumne, silniejsze niż kiedykolwiek, żywe i nigdy niezapadające w sen. Wdychał ciepłe wilgotne powietrze i nasłuchiwał odgłosów miasta. Naszła go nagle myśl o matce, która nigdy nie zaaklimatyzowała się w tym miejscu i w holenderskiej rzeczywistości. Pochodziła z biednej dzielnicy Londynu, tam spędziła większość życia, tam wróciła po rozwodzie ze swoim jedynym mężem i tam umarła prawie dziesięć lat temu, zostawiając syna samego w starym domu, z nieskończonymi studiami ekonomicznymi i rachunkami za pogrzeb. Luke poczuł ciężar w klatce piersiowej – nie chciał myśleć o matce, jej chorobie nowotworowej i wszystkim, co zdarzyło się potem. Spędzał w Holandii u ojca każde letnie wakacje. To tu uwolniony od troskliwej matki, pod opieką pozwalającego na zbyt wiele i zbyt zajętego sobą ojca, Luke zaliczył wszystkie swoje życiowe pierwsze razy, począwszy od pierwszego litra piwa, przez pierwszy kac, pierwszy haj i pierwszy seks. Rotterdam był i na zawsze pozostał dla niego bramą wyzwolenia.

Po śmierci matki nie potrafił jednak ogarnąć rzeczywistości.

Pieniądze od ojca wpływały regularnie jeszcze parę miesięcy po tym, jak Luke porzucił studia jedynie rok przed ich ukończeniem. Mógł więc opłacić rachunki i jedzenie. Wkrótce jednak ojciec dowiedział się, że Luke nie studiuje i kiedy mimo jego namowy, syn nie podjął nauki, odciął mu środki finansowe. Luke został sam. Bez planu i bez pieniędzy. I właśnie wtedy życiowy traf rzucił go na kolana prosto przed oblicze Gera. Dosłownie. W londyńskim klubie, po tym jak niechcący wylał drinka na jego szykowną marynarkę i zgiął się w pół pod ciosem jego goryla, Luke dostał swoją życiową szansę. W jakimś dziwnym przeblysku inteligencji i łaskawości, na którą sobie nieczęsto pozwalał, Ger zamiast rozkazać swojej świcie wybić chłopakowi parę zębów, zadał mu proste pytanie, na które odpowiedź na tyle go zadowoliła, że położył rękę na ramieniu Luke'a i zaoferował mu pracę. Uratował go jego płynny niderlandzki i umiejętność obliczania odsetek w głowie. To było osiem lat temu i od tamtej pory Luke zawsze miał plan. I pieniądze.

Postanowił rano zadzwonić do Gera i wypytać o kolejny transport.

Obudził się na swojej sofie i od razu poczuł dokuczliwy ból szyi i ramienia. To była jego druga noc w tej pozycji. Przeklął parę razy i próbował rozmasować bolące miejsca. Sprawdził szybko telefon i wyszukał numer do Gera, po czym po kilku sygnałach odłożył go na stolik obok sofy. Wiedział, że coś jest nie tak i nie miał ochoty dowiedzieć się jako ostatni. Spojrzał poirytowany na drzwi sypialni.

Weronika zasnęła zaskakująco szybko i spała głębokim snem bez koszmarów. Z powodu ciasno zasuniętych rolet w pokoju panowała ciemność i Weronika nie była w stanie określić, czy obudziła się rano czy w środku nocy. Nasłuchiwała chwilę z uchem przy ścianie. Cisza. Upiła parę łyków wody, nie za wiele – nie była pewna, kiedy znów dostanie coś do picia i chciała, żeby ta butelka wody starczyła jej na dłużej.

Czuła dziwny chłód, choć w pokoju nie było zimno. Zwinęła się na materacu, podkurczając pod siebie nogi. Sen nie przychodził

i myśli zaczęły bezwiednie krążyć po jej głowie, zataczając koła jak natrętne muchy. Jak długo tu była? Jak się tu znalazła? Czy ktoś jej szukał? Czy ktoś zawiadomił mamę? Myśl o ostatnim nieodebranych telefonie od niej kuła Weronikę jak niewidzialna igła. Sama sobie odebrała szansę na pożegnalną rozmowę z mamą. Wiedziała, że jej zniknięcie Maarten i Amy mogli zauważyć dopiero rano, a może nawet później, odsypiając za długi wieczór. Nie była też pewna, jak długo leżała tu nieprzytomna.

Miała nadzieję, że Maarten nie będzie się obwiniał. I chciała wierzyć, że jakimś cudem ją tu odnajdzie, choć wiedziała, że to tylko złudna nadzieja. Gdyby się wtedy odwrócił, gdyby zapomniał jej czegoś powiedzieć, a może gdyby uparł się pójść z nią. Weronika zacisnęła mocno powieki myśląc o tatuażu na przedramieniu Maartena – co by było, gdyby to wszystko się nie stało. Zanim pochłonęło ją piekło, jej największym problemem było kilka głupich egzaminów i przedłużenie stażu, myślała gorzko, a teraz nie wiedziała nawet jak długo będzie jej dane żyć, a jeśli będzie, na jakie jeszcze okropieństwa zostanie skazana. Przypomniała sobie, jakby w świetle błyskawicy, której uderzenie przeszywa na wskroś, twarde słone dłonie, charczący głos napastnika, ból, szok i uczucie tonięcia. Nie pamiętała dokładnie, kiedy straciła przytomność, tylko ten moment, gdy mężczyźni próbowali wymienić się miejscami w ciasnym aucie ponad jej ciałem i Weronika podjęła nieudolną próbę wyczołgania się w stronę drzwi. Dwa trafne i oszałamiające ciosy zabrały ją w otchłań ciemności i kiedy się znów obudziła ciemność trwała nadal. Przez chwilę zastanawiała się, czy mężczyzna, który ją tu przetrzymywał był drugim napastnikiem, którego twarzy nie mogła odnaleźć w mrokach pamięci. Zapamiętała dokładnie jedynie twarz mężczyzny, który zaatakował ją pierwszy – jego czarne włosy, brwi, które łączyły się ponad ciemnymi oczyma, pełnymi żądy. Chciała zapomnieć tę twarz, wymazać ją, wykasować.

Z ciemnych myśli wyrwały Weronikę odgłosy dochodzące z pokoju za drzwiami. Poczowała jak cała spina się w oczekiwaniu i zdała sobie sprawę, że jedną z najgorszych rzeczy jest przerażająca

niewiedza, co ma się z nią dalej stać, ten stan oczekiwania i drżenia na każdy odgłos, ten skurcz w żołądku, który zamienia się w ciężący kamień, wstrzymany oddech, nagły nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej.

Drzwi otworzył mężczyzna i nie patrząc na nią, głosem nieznoszącym sprzeciwu kazał jej iść do łazienki. Weronika przemierzyła znów kilka metrów w stronę holu starając się nie rozglądać zbyt długo, żeby nie ściągnąć na siebie gniewu mężczyzny. Kątem oka dostrzegła wielkie okna, przez które wpadało światło słoneczne i zobaczywszy w oddali linię horyzontu miasta zdała sobie sprawę, że mieszkanie znajduje się wysoko.

Wyszorowała zęby, umyła twarz i delikatnie wysuszyła ranę nad prawym oknem. Myśl o tym, że musi się wysikać przerażała ją i z ulgą zauważyła, że ból choć nadal jej doskwierał, nie był już tak przeszywający. Nie wiedziała jak wiele ma czasu, więc starała się robić wszystko jak najszybciej i jak najmniej patrzeć w lustro.

Wcisnął przycisk ekspresu do kawy, nasłuchując odgłosów dochodzących z łazienki. Dziewczyna wyglądała na porządnie przestraszoną i miał nadzieję, że oszczędzi mu większych kłopotów. Dla pewności pochował w łazience maszynki do golenia i wykręcił zamek, żeby nie mogła zamknąć się od środka. Wystukał po raz kolejny numer do Gera i poczuł wzbierający gniew, gdy i tym razem sygnał pozostał bez odpowiedzi. Przeklął bezgłośnie. Kolejna noc na sofie nie wchodziła w grę. Niech ją trzyma w jednym ze swoich miejsc do czasu transportu. Luke wiedział, że Ger musiał mieć poważny powód, żeby nie zatrzymywać dziewczyny w jednym z burdeli. Podejrzał, że policja siedzi mu na ogonie i woli nie ryzykować, że niechcący znajdą porwaną dziewczynę w należącym do niego miejscu. Luke postanowił szczerze podziękować kolegom po fachu za bagno, którym teraz on musi się zająć. Jakby było im za mało dziwek w burdelach, musieli zgarnąć sobie dziewczynę z ulicy. Bezmyślne głąby.

Luke nigdy nie zapłacił za seks ani nie zmusił kobiety groźbą czy pięścią. Nie dlatego, że był tak dobroduszny, po prostu dlatego,

że lubił gdy dawały mu to, czego pragnął, bo same tego chciały. Nigdy nie spotkał się z odmową i gardził neandertalczykami Gera, którzy chlubili się swoim życiem płciowym uprawianym w brudnych burdelach z brudnymi dziewczynkami, które trzeba było zmuszać, żeby się wypięły. Luke lubił myśleć, że nie musiał nikogo zmuszać ani nikomu płacić. W ramach rozdzielania życia zawodowego od prywatnego omijał burdele Gera z daleka – i te legalne w Holandii z przyzwoitymi pokojami, i te nielegalne, duszne, brudne i dobrze zarabiające. W szczególności omijał dziewczyny do transportów, które były przetrzymywane, faszerowane jakimś chemicznym gównem, a potem hurtowo sprzedawane. Nie brudził sobie tym rąk. Załatwiał dla Gera papierkowe sprawy tu i w Londynie i regularnie zbierał marże od właścicieli klubów i pubów, którymi opiekował się boss i jego świta. Praca była łatwa i przyjemna i zwykle nie wymagała brudzenia sobie rąk. Luke nie lubił używać przemocy tam, gdzie można było wykorzystać informacje, jako sposób na negocjacje. Czasem wystarczyło jedno rzucone mimochodem zdanie na temat ciężarnej żony, syna w przedszkolu czy chorej matki i Luke wychodził z umówioną kwotą bez hałasu.

Drzwi łazienki otworzyły się i dziewczyna po cichu wróciła na swoje miejsce, gdzie Luke zostawił dla niej dwie kanapki z supermarketu.

Przekręcił klucz w zamku drzwi do sypialni i postanowił sam wziąć prysznic i skorzystać z pięknego dnia, a przede wszystkim zlokalizować Gera.

Znów zapadła ciemność. Weronika pomyślała o słońcu, którego ciepłe promienie poczuła na swoich ramionach przechodząc przez apartament. Słyszała dźwięki dochodzące zza ściany. Po jakimś czasie zapadła głęboka cisza i Weronika zdała sobie sprawę, że mężczyzna wyszedł. Rozpakowała kanapki, które jej zostawił, wyjęła jedną i jadła powoli. Kiedy skończyła, po cichu wstała z materaca i w ciemnościach, do których jej oczy przywykły powoli, krok po kroku szła wzdłuż ścian sypialni. Bała się dotykać czegokolwiek, ale chciała oswoić przestrzeń. Przez

myśl przeszła jej ucieczka oknem, ale kiedy rano ujrzała przez obszerne okna szczyty budynków w oddali, wiedziała, że mieszkanie znajduje się zbyt wysoko. Rolety okienne nie były wykonane z tkaniny, szczelnie zamykały okna, całkowicie odcinając dopływ światła i Weronika nie potrafiła ich otworzyć. W sypialni nie stało nic poza łóżkiem zaścielonym miękką czystą pościelą. Jedna ze ścian okazała się wbudowaną szafą, Weronika wyczuła pod dłonią wnęki w drzwiach i poczuła jak pod naporem jej siły rozsuwane drzwi ustępują. Szafa zajmowała całą przestrzeń wzdłuż jednej ze ścian, ale jej półki były prawie puste. Weronika delikatnie przesuwiała po nich dłońmi bojąc się coś zrzucić. Zamknęła szafę i wróciła na materac, zwinęła się w kłębek i próbowała zasnąć, ale zamiast snu zalał ją strumień niepokojących myśli. Co z nią zrobią? Słyszała kiedyś o dziewczętach i kobietach przetrzymywanych latami w piwnicach jako seksualne niewolnice. Czy to ją czekało? Ten mężczyzna nawet na nią nie spojrzał, traktował ją jak natrętną muchę, której z jakichś powodów jeszcze nie zabił. Z jakich powodów? Nie mogli jej porwać dla okupu, jej matka nie miała nawet odłożonych oszczędności. Może trzyma ją tu, by wkrótce komuś sprzedać? Po skórze przebiegł jej zimny dreszcz. Przecież nie była tu bezpieczna, ale nagle myśl, że miałyby zostać stąd zabrana, wydał się jej nedorzecznie przerażający, jak gdyby ten skrawek materaca był jej tratwą ratunkową. Weronika zamknęła oczy, próbując myśleć jasno. Może trzymają ją tutaj dla organów? Jest młoda, zdrowa. Może właśnie o to chodzi? Może dlatego dają jej pić i jeść, żeby trzymać ją przy życiu, aż uda im się wynegocjować dobrą cenę za jej nerki, serce, siatkówki oka, wątrobę. Weronika poczuła uderzenie gorąca. A gdyby mogła wybierać? Czy wolałaby żyć maltretowana, bita, gwałcona czy umrzeć ograbiona z własnych organów? Najbardziej bała się bólu i miała nadzieję, że jeśli przyjdzie jej umrzeć w taki sposób, stanie się to pod narkozą. Nie wyobrażała sobie, żeby można było wyciąć komuś nerkę na żywca. Organ do przeszczepu musiał być czysty, sterylny, zabieg musiał być przeprowadzony w higienicznych warunkach. Mimowolnie zaczęła płakać rozważając

własną śmierć i szansę na przetrwanie. Rozmyślała nad paradoksem wszystkiego, nad faktem, że wokół niej w tych budynkach za oknami żyli ludzie, jak gdyby nigdy nic, życie toczyło się dalej, świat nie przestał istnieć, nie skurczył się do rozmiaru ciemnego pokoju. Dla nich nie. Dla Weroniki tak. Świat, życie, czas, ona sama skurczyły się do nieruchomej wegetującej cząsteczki zawieszanej w ciemnościach.

Obudził ją zgrzyt zamka. Musiała więc zasnąć zmęczona płaczem, a potem usłyszała twardy głos zza ściany mówiący płynnym niderlandzkim. Nie rozumiała słów i początkowo nie rozpoznała głosu mężczyzny, który zawsze wydawał jej polecenia w języku angielskim. Przez chwilę poczuła ścisk w żołądku i ucisk w klatce piersiowej przekonana, że wreszcie po nią przyszli, dopiero potem zorientowała się, że mężczyzna rozmawia przez telefon. Próbowwała nasłuchiwać, zrozumieć cokolwiek z rozmowy, ale jedyne co było dla niej jasne to to, że mężczyzna nie był zadowolony. Mówił podniesionym głosem, jakby prowadził ostrą dyskusję ze swoim rozmówcą. Weronice przeszło przez myśl, że to musi mieć związek z nią i załapała ją ponowna fala strachu. W pokoju za ścianą zapanowała cisza.

Luke wyłączył telefon i rzucił go na sofę. Przejechał dłonią po krótko zgolonych włosach i wyszedł na rozległy taras. Zapalił papierosa i przewracając w palcach dłoni zapalniczkę patrzył przed siebie, siedząc na jednym z dużych drewnianych foteli. Kurwa! Coś mu od początku podpowiadało, że to się tak skończy. Ger ewakuował się z Holandii na krótkie wakacje w południowej Francji. Gliny deptały mu po piętach i urządziły najazd na nielegalny burdel, gdzie poza nielegalnymi dziwkami przelewały się kilogramy narkotyków. Kolejny transport miał się odbyć za trzy dni, ale w tej sytuacji wszystko zostało wstrzymane. Według Gera, który zabezpieczył własny tyłek, to były tylko środki ostrożności, ale Luke wiedział, że bez poważnego powodu Ger nie odmawiał sobie wpływu gotówki. Sam powinien siedzieć bezpiecznie w Londynie i niczym się nie przejmować. Problem był tylko jeden i znajdował się w jego mieszkaniu. Kolejny transport mógł ruszyć

najwcześniej za dwa tygodnie, może trzy i na pytanie co ma zrobić z dziewczyną, usłyszał, że musi czekać na następną datę albo pozbyć się problemu bez robienia bagna. I pierwszy raz od ośmiu lat Luke znów został sam bez planu.

III

Ten sen wracał do niej regularnie. Czarna otchłań, z której jak z ciemnej wody wynurzają się dwa ramiona. Gęsto owłosione ciemne przedramiona, ręce o masywnych palcach, które chwytają ją i ciągną mimo, iż próbuje się opierać. Aż traci równowagę i upada do tyłu, przerażona spada w ciemność.

Obudziła się spocona i drżąca, z ustami otwartymi i gotowymi do krzyku, którego nigdy nie zdołały wydać. Jej oczy szeroko otwarte, próbujące przebić się przez ciemność. Oddychała szybko i płytko, jakby dopiero co biegła, i czuła swoje serce bijące w każdym zakamarku jej ciała. Mijało zwykle kilkanaście minut zanim sen, którego już nie śniła, odchodził na dobre, zostawiając ją otumanioną lękiem. Obudzona z jednego koszmaru, wpadała bezpośrednio w drugi, ten realny i namacalny jak materac, na którym sypiała bez koca czy poduszki, jak ciemność, przełamywana krótkim wyjściem do ubikacji, jak kanapki rzucone na materac, jak strach, który dławiącą w gardle kulą nie pozwalał jej wziąć głębszego oddechu. Była jak ćma, uwięziona w podwójnej szybie – między ciemnością a płomieniem ognia. Nie mogła uciec w jedno, ani spalić się w drugim.

Weronika liczyła dni odmierzając je porannymi i wieczornymi wyjściami do łazienki, które odbywały się jak niemy rytuał, zawsze w ten sam sposób, zawsze o tej samej porze. W dziwny sposób, którego sama przed sobą nie była w stanie wytłumaczyć, ta regularność i rytm dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Czwartego dnia wieczorem zdała sobie sprawę, że odgłos zamka w drzwiach nie wywołał u niej ataku paniki, lecz stan wyczekiwania na ten krótki moment, gdy przez otwarte drzwi do pokoju wpadało światło i oślepiąca mogła odbyć swoją rytualną podróż przez jasny pokój w kierunku łazienki, gdzie przez kilkanaście minut świat wydawał się paradoksalnie normalny, gdzie cieszyła się światłem i aromatem kawy. Ze wstydem i poczuciem winy wyczekiwała też na widok mężczyzny, jakby był

ostatnią ludzką istotą na jej małym globie złożonym z ciemnego pokoju. Nie odzywał się do niej widząc, że automatycznie i bez szemrania wykonuje niewypowiedziane polecenia. Weronika zastanawiała się, czy jest z niej zadowolony, lecz gdy przyłapała siebie samą na tej myśli, zdusiła ją jak najszybciej. On wydawał się nigdy na nią nie patrzeć.

Tęskniła za światłem, ciepłym kocem, ciepłym posiłkiem i herbatą, za kawą i odgłosami życia. Uwięziona w swojej ciemni i w toku swych chaotycznych myśli, czuła atakujące ją zewsząd sprzeczne pragnienia. Bywało, że myślała o śmierci. Zastanawiała się, czy to jedyna opcja ucieczki stąd i czy warto czekać na nią dłużej, skoro jej życie już teraz wyglądało, jak gdyby była zamknięta w trumnie. Pytała samą siebie, czy ktoś jej szuka, czy kogoś jeszcze obchodzi, czy kiedyś ktoś po nią przyjdzie.

Wstawiała i szła przez pokój – parę kroków w jedną stronę, wokół łóżka, na którym ze strachu nigdy się nie położyła, a o którego miękkiej narzucie marzyła nocami, kilka kroków wzdłuż ściany z szafą i znów wracała na materac. Czuła, że jej mięśnie są słabe i zmuszała się do tych spacerów. Bywało, że zastanawiała się, czy potrafiłaby zabić. Gdyby ktoś dał jej nóż, czy potrafiłaby wbić go w ciało mężczyzny, by stąd wyjść. W swojej głowie urządzała ze sobą zakłady i prowadziła szalone socjologiczne eksperymenty, w których była doświadczalnym królikiem. Wyobrażała sobie, że zostawia go w kałuży krwi i ubrana jedynie w szary T-shirt wychodzi z budynku. A potem dławiący strach przypominał jej, że równie dobrze drzwi mogą być zamknięte szyfrem i widziała oczyma wyobraźni jak umiera z głodu zamknięta ze zwłokami w jednym mieszkaniu. W jej głowie dojrzewiała dziwna myśl, że on – ten mężczyzna – był gwarancją jej przetrwania, czymś w rodzaju jej osobistego boga, od którego zależał jej los.

Najczęściej jednak oddawała się wspomnieniom. Gdy nocą dokuczał jej chłód i strach myślała o mamie, której nadopiekuńcza zamartwiająca się, dusząca miłość długo była jedyną miłością, jaką Weronika знаła. Matka zaszła w ciążę w trakcie studiów, których nigdy potem nie skończyła. Ojciec Weroniki nie zabawił długo w

ich życiu, po rozwodzie nie poczuwał się do swoich obowiązków poza płaceniem niewielkich alimentów i rzadkimi wizytami, a jej matka była zbyt dumna, by żądać więcej. Ich życie we dwie było jednak spokojne i pełne miłości. Weronika zachowała wiele ciepłych wspomnień z czasów, gdy była małą dziewczynką. Wracały do niej w tym ciemnym pokoju, tak żywe, trójwymiarowe, soczyste i pachnące, jakby widziała je na wielkim ekranie, a nie we własnej wyczerpanej głowie. Pamiętała ciepłą dłoń mamy, gdy szły przez park, jej mocny uścisk, który nieraz uratował ją przed upadkiem, gdy potknęła się o krawężnik. Wracał do niej zapach domu, świeżo zerwanego jaśminu, który mama wstawiała do słoika, aromat zupy ogórkowej i chleba. Jej ulubione letnie poranki, gdy budziła się w oblany słońcem pokoju i czuła na twarzy wiatr wpadający przez otwarte okno. Zimowe wieczory, gdy czytały oparte o siebie a na stoliku przyjemnie pachniało kakao. Dorastała w poczuciu głębokiej więzi z matką, w przekonaniu, że ich dom to jedyne odpowiednie dla niej miejsce, dobrowolnie dawała zamykać się matce za szkłem, oddzielona od świata pełnego przygód i niebezpieczeństw. Co dziś powiedziałyby matce? Weronika nie wiedziała i nie chciała o tym myśleć. Do snu kołysały ją wspomnienia z dzieciństwa i w ciemnościach pokoju jej szeroko otwarte nic niewidzące oczy, patrzyły przez okno wspomnień jej domu tak jak wtedy, gdy jako mała dziewczynka spędzała czas zawieszona na poręczy fotela, obserwując ptaki unoszące się ponad drzewami, gałęzie poruszane wiatrem, mgłę wypełzającą ponad powierzchnię ziemi tuż przed zmrokiem. Okna ich domu wychodziły na rzadko uczęszczaną asfaltową drogę, którą mur z drzew oddzielał od łąki. Mieszkały przy cichej ulicy pod miastem, skąd Weronika codziennie wcześniej rano musiała odbywać długą drogę autobusem, by na czas dostać się do szkoły w centrum. Poza mroźnymi zimowymi dniami lubiła swoje codzienne podróże. Rzadko czytała, najczęściej obserwowała zmieniający się za szybą krajobraz.

Weronika nie pamiętała dokładnie, dlaczego w ostatniej chwili zdecydowała się jednak złożyć podanie o przyjęcie do

programu wymiany studentów. Miała dwadzieścia trzy lata i sprecyzowane plany na przyszłość związane z jej studiami. Weterynarię wybrała świadomie i gdy przyjęto ją na Wydział Medycyny Weterynaryjnej na uniwersytecie w Olsztynie, czuła się dumna i zmotywowana. Widziała twarz matki pełną ulgi, ponieważ w ten sposób Weronika została w domu studiując w mieście, gdzie się urodziła. Studia okazały się wszystkim, czego Weronika się spodziewała. Była przygotowana na ciężką pracę, której efekty szybko mogła podziwiać. Kiedy więc dowiedziała się, że została wytypowana przez dziekana do programu wymiany studentów z uniwersytetem w Holandii, dopadły ją sprzeczne emocje. Pragnęła chwycić tę szansę i jednocześnie chciała uwolnić się od niej, nie musieć podejmować wyzwania. W szczególności jednak obawiała się reakcji mamy, która – jak podejrzewała – próbowała ukryć swój smutek i strach i zachęcać córkę do wyjazdu. Weronika spędziła kilka długich wieczorów, wpatrując się w puste podanie. Kiedy zbliżała się ostateczna data złożenia dokumentów, jej własne nadal leżały na biurku. Wypełniła je w ostatnim dniu składania podań – zrobiła to w uniwersyteckiej kafejce, z dala od domu, z dala od mamy. Powtarzała sobie, że złożenie dokumentów, wcale nie znaczy, że ją przyjmą. Biała duża koperta czekała na nią w domu na kuchennym stole i przypieczętowała decyzję, która w Weronice zapadła już dawno.

Czasem dokuczał jej głód, choć była wdzięczna za poranne i wieczorne kanapki z supermarketu, pakowane sterylnie w plastik i prawie bez smaku. Zwykle przynosił jej bułki z serem i szynką i Weronika marzyła o chrupiącej papryce, aromatycznych pomidorach, świeżym ogórku, szczypiorku. Nie jadła mięsa od czterech lat i nie przypuszczała, że szynka mogła jej jeszcze tak smakować. Gdy myślała o jedzeniu, tylko jedna osoba przychodziła jej do głowy. Amy. Kolorowa, zmysłowa, niezależna, entuzjastyczna Amy kochająca życie i jedzenie.

Weronika nigdy nie rozumiała, co tak niezwykła dziewczyna jak Amy mogła w niej widzieć. Nigdy nie miała bardzo bliskiej przyjaciółki i nawiązywanie nowych kontaktów nie należało do jej

mocnych stron, dlatego zaskoczyła ją łatwość, z jaką zaprzyjaźniła się z Australijką. Amy pochodziła jakby z innej planety – kolorowej, fascynującej i świeżej.

Poznały się w przytulnej małej kafejce, gdzie Weronika zwykła siadać na chyboczącym się krześle pod oknem, by po długim męczącym dniu napić się w samotności dobrej kawy. Siedziała pochylona nad książką przy maleńkim stoliku sącząc gorący ciemny płyn, gdy dzwonek nad sklepowymi drzwiami oznajmił radośnie nowego klienta. Weronika mimowolnie podniosła głowę i wtedy po raz pierwszy zobaczyła Amy. Dziewczyna stanowiła najbardziej barwny widok, jaki widziała od wielu dni. Od ponad tygodnia padał deszcz i wiał wiatr. Niebo było ciemno-szare od chmur i wisiało tak nisko, że Weronice wydawało się, iż zaczepia o nie czubkiem parasola. Amy była jak piękny egzotyczny kwiat, który zakwitł nagle w tym depresyjnym szale przyrody. W długie jasne fale włosów wpięty miała szydełkowy kwiat w kolorze fuksji, na ramionach zarzuconą wełnianą fioletową chustę, spod której widać było różową sukienkę ze wzorem w zielone liście. Zamówiła szklankę herbaty ze świeżych liści mięty i gdy podano jej kubek, znad którego unosiła się para, rozejrzała się zrezygnowana po sali. Wszystkie stoliki były zajęte. Jej oczy padły na stolik Weroniki – stało przy nim co prawda tylko jedno już zajęte krzesło, ale okno, przy którym się znajdował, miało szeroki niski typowo holenderski parapet. Weronika uśmiechnęła się nieśmiało i zsunęła z parapetu na ziemię swoją kurtkę robiąc miejsce dziewczynie, która bez wahania przyjęła nieme zaproszenie.

– Wow! Dzięki! – rzuciła z dziwnym niderlandzkim akcentem, siadając na parapecie. – Mój niderlandzki jest nadal kiepski, przepraszam! Jonathan Carroll! – zawołała stawiając swoją herbatę na stoliku i wskazując ruchem głowy na książkę, którą Weronika odłożyła obok filiżanki kawy.

Skinęła głową i przyjrzała się dziewczynie, której szeroki szczery uśmiech zdawał się nagle wypełniać całą kafejkę i rozjaśniać jej przestrzeń.

– Ten facet ma w głowie zbudowany alternatywny świat! Porywający! – powiedziała Amy obejmując dłońmi kubek gorącej herbaty i przechodząc lekko na angielski z akcentem, którego Weronika nie potrafiła rozpoznać.

Rozmawiały o wszystkim tego popołudnia i na każdym kolejnym spotkaniu, których w przeciągu roku było niezliczenie wiele. Amy nazywała Weronikę “Wera” i uparcie pisała jej imię przez dekoracyjnie zakręcone, cieszące oko V. Gotowała wyśmienicie i w weekend, a w miarę możliwości również w tygodniu, jadały razem. Amy potrafiła z trzech produktów wyczarować danie i Weronika z zaciekawieniem pomagała jej w kuchni i przyglądała się kulinarnej magii.

Amy lubiła gotować słuchając muzyki. Kołysząc biodrami w jej rytm stawała w maleńkiej studenckiej kuchni na piętrze domu, gdzie mieszkała Weronika i ze słoika zielonego pesto, paru suszonych w słońcu pomidorów, cebuli i paczki makaronu tworzyła aromatyczny posiłek, który zwoływał do kuchni innych mieszkańców domu.

Studiowała wiolonczelę w konserwatorium w Utrechcie. Była najbardziej otwartą, wszechstronną, fascynującą osobą, jaką Weronika spotkała w swoim życiu. W przeciwieństwie do Weroniki, Amy dużo podróżowała. Rodzinę w Australii odwiedzała raz w roku na 6 tygodni, a pozostałą część czasu spędzała w Holandii, ale wykorzystywała każdą szansę, by zwiedzać Europę.

Być może to podobało się Weronice w Amy najbardziej – że była tak inna, nie tylko od niej samej, ale również od wszystkiego, co znała. Amy była jak egzotyczny kwiat, jak powiew świeżości. I Weronika powoli poddawała się jej urokowi i pozwalała, by Amy uczyła ją poznawać siebie samą na nowo. I odkrywać, że próbowanie i eksperymentowanie jest częścią życia. Przypomniła sobie ich wyjścia do lodziarni na rogu ulicy, przy której mieszkała dziewczyna. Dla Amy nawet wyjście na lody był odkrywczą przygodą. Zwykła stawać przed szkłem, za którym w metalowych koszach mieniły się dziesiątki smaków i kolorów, przesuwając

palcem po dolnej wardze z oczyma pełnymi dziecięcej radości, spędzała parę minut zastanawiając się, który smak wybierze. Weronika kupowała zawsze dwie gałki lodów waniliowych i kiedy zrobiła to po raz kolejny, Amy zapytała ją, dlaczego nie spróbuje czegoś nowego.

– Nie wiem. Chyba boję się, że mi nie będzie smakowało – odpowiedziała Weronika. – A waniliowe lubię na pewno.

– Nie dowiesz się, dopóki nie spróbujesz. – Uśmiechnęła się i zamówiła jej dwie gałki lodów, malinową i jogurtową.

Wkrótce wyjścia do lodziarni stały się ich rytuałem podobnie jak wypróbowywanie kolejno wszystkich smaków.

Weronika pamiętała ten wieczór tuż przed zimowymi feriami, gdy pakowała się, by spędzić ten tydzień z mamą i rozważała, czy powinna jej powiedzieć o Maartenie, czy sama coś zauważy, czy lepiej zachować wszystko dla siebie. Amy odwiedziła ją z tajemniczym uśmiechem i chińszczyzną.

– Nie mam ciasteczek z przepowiedniami, ale mam coś lepszego – powiedziała, gdy siedziały na parapecie w pokoju Weroniki, zajadając ryż łyżkami z papierowych pudełek. Z torby leżącej u jej stóp wyjęła kopertę i podała ją przyjaciółce. Weronika pamiętała dokładnie to uczucie ulgi, gdy zobaczyła dwa bilety autobusowe do Paryża. Konfrontacja z mamą została odroczone i Weronika z poczuciem winy zadzwoniła do niej, by powiedzieć, że wybiera się zwiedzać stolicę Francji.

Zapamiętała dokładnie słodki smak *crêpes*, które jadły codziennie idąc ulicami Paryża szczelnie owinięte w ciepłe szale. Słodki smak beztroskich chwil z jedyną w jej życiu przyjaciółką, litry czerwonego wina wypite w małym hotelowym pokoju, gdzie spały między rozrzuconymi ubraniami i kosmetykami. Weronika zrozumiała, jak wiele straciła nie mając nigdy wcześniej tak ciepłego związku z inną rówieśniczką. Jej przyjaźń z mamą daleka była od wolności słowa, swobody, histerycznych ataków śmiechu. Wieczory spędzały pijąc, jedząc ser z bagietką i rozmawiając godzinami o życiu, książkach, studiach i przyszłości. Weronika odkryła, że lubi mówić i pierwszy raz odbyła z kimś swobodną

rozmowę o seksie. Amy zdawała się nie być ani zażenowana ani nawet onieśmielona i mówiła o osiągnięciu orgazmu takim samym entuzjastycznym tonem, jakim prowadziła dyskusję o problemach ekologicznych. Poznała Maartena wcześniej i gdy siedziały w hotelowym pokoju popijając wino, bez najmniejszych oznak wahania zapytała Weronikę, jaki jest w łóżku.

Myśl o nim, o jego ciepłych ramionach i szorstkim od zarostu policzku wracała do Weroniki, gdy próbowała zasnąć skulona na zimnym materacu. Lubiła zapadać w sen wtulona w jego oddychające ciało. Nagle przez głowę przemknęła jej niepokojąca myśl, której najpierw nie mogła uchwycić. Myśl, która jak plama atramentu rozlała się w głowie i wszystko przesiąkło jej czarnym kolorem. Maarten i Amy. Oczywiście. Myśli zaczęły pędzić przez jej głowę jak rozpędzone stado galopujących koni, podniosły kurz, zza którego nic nie widziała poza ogłuszającym łomotem własnych chorych wizji. Amy i Maarten. Oczywiście. Wydawało się jej, że to logiczne, że ma sens, że to jedyne rozwiązanie. Dlaczego inaczej ktoś trzymałby ją tutaj bezcelowo? Dlaczego Maarten nie nalegał, by pójść z nią? Dlaczego Amy nie pożegnała się wylewnie i szybko zniknęła za drzwiami Havany? Dlaczego nikt jej nie szuka, nie próbuje odnaleźć? Weronika poczuła, że wzbiera w niej fala mdłości i obrzydzenia. Jak to możliwe, że ludzie, z którymi była tak blisko, skazali ją na te męki, ból, strach, na powolną śmierć w trumnie wielkości pokoju? Czy nie mogli po prostu jej powiedzieć, że chcą być razem? Jak to się stało, że nic nie zauważyła? Nie, to nie możliwe. Weronika oddychała szybko. Podniosła się z materaca i zaczęła przemierzać pokój po omacku. Była skazana na tego mężczyznę, na jego łaskę i niełaskę, na kanapki z szynką i możliwość wysikania się dwa razy na dobę. Ale on przynajmniej nie udawał, że coś dla niego znaczy, żeby potem popchnąć ją w ręce gwałcicieli wynurzające się z ciemności.

Weronika wróciła na materac. Musiała przestać. To nie mogła być prawda. To szaleństwo. Umrze tu i nigdy się nie dowie dlaczego.

Luke starał się spędzać całe dnie w mieście. Był ciepły maj i

trudno było się tu nudzić. Gdyby nie fakt, że co noc łamał sobie szyję na niewygodnej sofie, całe to bagno z dziewczyną i czekaniem na transport nie byłoby takie złe. Najważniejsze, że nie sprawiała żadnych kłopotów. Minęło sześć dni i nie musiał jej nawet mówić, co ma robić. Starał się nie zwracać na nią uwagi, ale kiedy zeszła opuchlizna z pobitych miejsc i ogasty rany, coś w jej bladej twarzy przypominało mu matkę. Może był to sposób w jaki osłaniała dłonią i mrużyła oczy, gdy otwierał drzwi i wpuszczał strumień światła do pokoju. Jego matka robiła to samo w ostatnich dniach życia, gdy pragnęła światła, nie mogąc go jednocześnie znieść. Zauważył też, że nie kulila się i nie utykała już, gdy przechodziła przez pokój, a potem przez hol. Miała długie złocistobrązowe włosy i zauważył, że myła je mydłem i splatała w warkocz, który spadał jej na plecy. Była bardzo szczupła i miała drobną bladą twarz, o dużych oczach, pod którymi Luke widział ciemne kręgi, jak u kogoś, kto cierpi na chroniczną bezsenność. Uległość dziewczyny, która wcześniej go irytowała, teraz była mu na rękę. Zorganizował sobie czas w Rotterdamie i wydawało mu się, że dotrwa do daty transportu bez problemów.

Był czwartek i Ger telefonicznie zlecił mu odbiór gotówki z nowego miejsca w centrum miasta. Bar nazywał się "Jet Lag" i mieścił się w jednym z nowych wieżowców, miał minimalistyczny nowoczesny wystrój i był otwarty dopiero od godziny trzynastej. Luke celowo umówił się z właścicielem na dwunastą – w porze lunchu, gdy większość ludzi udaje się do okolicznych restauracji lub do domu. Miał przecucie, że nie będzie łatwo i nawet rozważał towarzystwo paru goryli Gera, żeby przekonać gościa do zapłaty za opiekę nad jego wypicowanym barem dla wyżej stojących na drabinie społecznej, ale sama myśl, że mogliby znów wpakować go w jakieś niepotrzebne bagno, przywróciła mu rozsądek. Poszedł więc sam, ubrany jak przystało na spotkanie w sprawach interesów, w ciemne spodnie i marynarkę. Na zewnątrz było ciepło, ale bar był klimatyzowany, co Luke przyjął z ulgą.

Przywitał się uprzejmie, uścisnęli sobie dłonie i właściciel obrzucając go nieufnym spojrzeniem zapytał, czy może mu

zapropionować coś do picia. Luke poprosił o wodę z kostkami lodu. Obaj milczeli, gdy właściciel, którego pracownicy wyszli na lunch, sam obsługiwał go przy barze.

– Bardzo nowoczesnie urządzone miejsce. Na pewno będzie pan miał wielu klientów, szczególnie w tej okolicy. – Luke nie spuszczał z faceta wzroku zastanawiając się, czy wie, po co przyszedł. – Ludzie lubią takie stylowe miejsca. Szkoda by było, gdyby... jakby to ująć... nikt nie zatroszczył się, żeby nic się nie zniszczyło.

Wymienili uważne spojrzenia. Luke widział pogłębiające się bruzdy wokół ust mężczyzny i jego napięte mięśnie. Facet podał mu szklankę wody, w której przyjemnie pobrzękiwały kostki lodu.

– Wiem, po co pan przyszedł, pana szef już mi złożył wizytę i jemu również powiedziałem, że nie jestem zainteresowany – odwrócił się do niego tyłem i zaczął ustawiać szklanki na podświetlanych małymi punktowymi lampkami półkach.

Luke popijał swoją wodę i nie ruszał się z miejsca. To była jego zwykła taktyka. Opanowanie, kultura, spokój i upór, żeby w odpowiednim momencie delikatnie, lecz stanowczo wcisnąć palec w najczulsze miejsce. Szklanki postukiwały o siebie, kiedy właściciel baru drżącymi rękoma stawiał je w rzędach. Gdy trzasnęły drzwi, obaj odwrócili się w ich kierunku. Młoda dziewczyna z wysoko upiętymi ciemnymi włosami i kolorową torbą przewieszoną przez ramię odziana w białą lnianą tunikę, weszła do środka i uśmiechając się, skinęła głową w stronę właściciela, który odpowiedział jej tym samym skinieniem.

– Rodzinny interes? – zapytał Luke, rozpoznając niektóre z rysów twarzy mężczyzny w dziewczynie.

– Nie – padła szorstka zbyt szybka odpowiedź. – To tylko dziewczyna do sprzątania.

Luke kiwnął głową próbując ukryć uśmiech, który uniósł kącik jego ust. Odstawił szklankę i pochylił głowę lekko do przodu ponad blat baru, gotowy zastosować swoje standardowe metody, ale właśnie wtedy przemknęła mu przez głowę kująca jak ostrze myśl. “Dziewczyna do sprzątania”. Czwartek. Kurwa! Luke wstał

z barowego stołka tak nagle, że szklanka z wodą przewróciła się na blat i kostki lodu jak pchnięte magiczną siłą zaczęły sunąć wzdłuż blatu, by spaść z brzękiem na jego końcu. Luke już tego jednak nie widział. Drzwi baru zatrzasnęły się za nim, a jego właściciel stał zaskoczony patrząc na nie jeszcze długą chwilę, po tym, jak Luke opuścił pomieszczenie, zostawiając po sobie mokrą plamę.

Siedziała skulona na materacu. Naciągnęła za duży T-shirt na podkulone nogi i oparła brodę na kolanach. Bujała się delikatnie na boki w swoim prowizorycznym kokonie. Od rana bolał ją brzuch i wiedziała, co to oznacza. Przemyciła z łazienki trochę papieru toaletowego, gdyby okres miał się zacząć niedługo. Jak gdyby było mało nieszczęść, jeszcze to musiało się zdarzyć. W ataku panicznego lęku pomyślała nawet, że może na to czeka mężczyzna o groźnej twarzy, może lubi widok i zapach krwi. Myśli kołatały w jej głowie. Wzięła parę łyków z butelki, którą napełniała świeżą wodą co rano. Nawet jeśli uda się jej przemycić więcej papieru, to i tak będzie za mało na całą noc lub cały dzień. I wtedy usłyszała zgrzyt zamka i dźwięk otwieranych drzwi. Nie wiedziała, czy był już wieczór, ale jej wewnętrzny zegar podpowiadał jej, że było za wcześnie. Nasłuchiwała w bezruchu z ramionami splecionymi wokół kolan. Jej serce zaczęło nagle szybciej bić. Przyłożyła ucho do ściany niepewna czy dobrze usłyszała. Dochodził zza niej melodyjny kobiecy głos nucący piosenkę. Weronika przywarła do ściany oszołomiona. Czy on tam był? Czy ta kobieta była sama? Usłyszała kroki, opadła na kolana uwalniając nogi z podkoszulka, ale zanim zdążyła podnieść się z materaca, ponownie zgrzytnął zamek i drzwi do pomieszczenia wpuściły do środka oślepiające słoneczne światło. Weronika odruchowo uniosła dłoń, by osłonić oczy. Spod przymkniętych powiek zobaczyła kobietę w średnim wieku, która jak rażona piorunem stała naprzeciw niej nadal trzymając klamkę w dłoni i patrząc na dziewczynę szeroko otwartymi oczyma. Weronika zdała sobie sprawę, że kobieta nie spodziewała się jej tutaj. Nie wiedziała, jak długo mierzyły się wzrokiem, kiedy zauważyła, że kobieta delikatnie kręci głową i bezgłośnie ruchami warg wypowiada słowa *“Przepraszam. Nie*

możę”. Ilekroć Weronika myślała później o tej sytuacji i rozważała swoje opcje, których powodzenia nie mogła być pewna, czuła, że zaprzepaściła swoją jedyną szansę na ucieczkę. Jedyne czym próbowała się pocieszać to fakt, że być może uratowała życie tej kobiety. Nie wiedziała, dlaczego po prostu tkwiła tam, jakby jej nogi wrosły w materac. Oczy kobiety pełne były współczucia i gdy już miała zamknąć drzwi i odciąć Weronikę nie tylko od dopływu słonecznego światła, ale też nadziei, odwróciła się i zapytała cicho płynnym niderlandzkim, czy czegoś potrzebuje. Weronika otworzyła usta, chciała znaleźć w swojej głowie odpowiedź, ale czuła dławiące ją łzy. Kobieta wskazała ruchem głowy na materac tuż za plecami Weroniki, gdzie niewielka ciemna plama krwi przypomniała o jeszcze jednym problemie w jej życiu. Weronika skinęła głową i drzwi zamknęły się powoli.

Luke ruszył z piskiem opon z parkingu pod barem. Zaklął parokrotnie po czym skupił się na jeździe przez zatłoczone ulice centrum. Nie rozumiał jak to się stało, że zapomniał o czwartku. W każdy czwartek, czy był w Rotterdamie, czy w Londynie, do mieszkania przychodziła Rosalie, żeby sprzątać. Jeśli akurat był w mieście, robiła również listę niezbędnych zakupów, takich jak środki czystości i jeśli Luke ją poprosił również spożywczych. Rosalie była zaufaną pracownicą Gera już od 5 lat i sprzątała u Luke'a odkąd wynajął mieszkanie w De Coopvaert. Zatrąbił parę razy na ociągających się pieszych na przejściu. Wiedział już, że był za późno i Rosalie jest już na miejscu. Nigdy dotąd się nie spóźniła. Pracowała zresztą nie tylko dla pieniędzy. Jej syn przegrał w kasynie Gera takie kwoty, których zwrot przekraczał jego możliwości. Kiedykolwiek. Ger kochał gotówkę, mógł nawet wybaczyć jej brak, ale nigdy nie wybaczał oszustwa i ucieczek. To matka uratowała smarkaczowi tyłek, odpracowując nie tyle niebotyczne sumy, ile jego własne życie. Luke miał więc nadzieję, że nie zawiedzie jego zaufania. Przez krótką chwilę, zamknięty w aucie szamocząc się z własnymi niepokojami i irytacją, zastanawiał się, co zrobiłaby jego własna matka? Czy ryzykowałaby życie swojego syna, a może i własne, by ratować

nieznajomą dziewczynę? Potrząsnął głową wściekły na siebie samego za te myśli. Rosalie była godna zaufania, pracowała cicho, szybko, dokładnie i Luke zauważył, że polubił czwartki w Rotterdamie. Wydawała się kompletnie niezainteresowana niczym, poza szmatą i odkurzaczem. Zwykle nawet nie patrzyła mu w oczy, podawała kartkę z listą zakupów, pytała czy potrzebuje czegoś więcej, a potem wychodziła i wracała z torbą i rachunkiem. Nigdy niczego nie przesunęła, nie zmieniła, zostawiała po sobie świeżość i perfekcyjny porządek. Ale nigdy również w mieszkaniu Luke'a nie natrafiła na nic, co mogłaby chcieć przesunąć lub zmienić. Luke zaparkował auto i wbiegł do budynku, mijając portiera bez zwyczajowego skinienia, pobiegł wprost do windy i starając się zachować pozory spokoju parokrotnie wcisnął przycisk. Już w windzie zdjął marynarkę i patrzył w napięciu na wyświetlacz z numerami pięter. Kiedy pojawił się upragniony numer 26, Luke wziął głęboki oddech, wypadł z windy i paroma długimi krokami przemierzył odległość do swojego mieszkania. Czuł pulsowanie krwi w skroniach. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi.

Rosalie składała odkurzacza, gdy wszedł do środka. Przywitała się krótko bez patrzenia mu w oczy, jak robiła to zwykle i powiedziała, że prawie skończyła, po czym zapytała go, czy mógłby spojrzeć na listę zakupów i dopisać, czy potrzebuje czegoś więcej. Luke czuł suchość w ustach i strużkę potu, która spłynęła po jego skroni. Skinął głową i skierował się w stronę kuchni, zerkając z niepokojem na zamknięte drzwi sypialni.

Przy ekspresie do kawy leżała kartka zapisana starannym pismem Rosalie. Starł z czoła kropelki potu i podniósł kartkę z listą zakupów. Przebiegł oczyma po wymienionych produktach, nie poświęcając im większej uwagi, aż jego wzrok padł na ostatnie wypisane produkty. Podpaski, bielizna osobista, skarpety, koc, spodnie, bluza, podkoszulek, szampon, grzebień. Przez chwilę patrzył oniemiały, ściskając w dłoni kawałek papieru. Usłyszał za sobą kroki i Rosalie weszła do kuchni.

– Wszystko się zgadza? – spytała i Luke był pod wrażeniem. Nie usłyszał w jej głosie nawet najmniejszej oznaki

zdenerwowania czy napięcia. Odwrócił się i skinął podając jej kartkę. Przez jedną sekundę, gdy brała skrawek papieru z jego dłoni podniosła twarz i spojrzała mu prosto w oczy, odważnie i bez lęku. Patrzyła na niego, jak gdyby była nim rozczarowana, choć może się mylił, może po prostu nim gardziła. Nie wiedział dlaczego, ale to spojrzenie nie opuszczało go długo po tym, jak trzasnęły za nią drzwi. I Luke po raz drugi tego dnia pomyślał o swojej zmarłej matce, nie mogąc opędzić się od myśli, że gdyby nadal żyła, właśnie tak by na niego dziś patrzyła.

Szybkimi krokami ruszył w stronę sypialni. Przekręcił klucz w zamku i uchylił drzwi tylko na tyle, by sprawdzić, czy dziewczyna nadal tam była i by nie wpuścić naraz zbyt dużo światła do ciemnego pokoju. Podniosła głowę i spojrzała na niego wielkimi ze strachu oczami, jej ręka gotowa osłonić twarz przed rażącym światłem zawisała w powietrzu, jakby za późno zorientowała się, że nie będzie potrzebna.

Nie wiedział dlaczego, ale wrócił do kuchni zostawiając jej drzwi otwarte.

Wyjął z zamrażalnika kostki lodu i wrzucił kilka do szklanki, po czym napełnił ją wodą. Próbował zapomnieć spojrzenie Rosalie, odgonić myśli i zatrzymać napływ emocji, ale to było jak walka z tamą, w której przez maleńkie pęknięcia sączą się krople. Ciśnienie wzrasta i pęknięcia stają się coraz większe, przepuszczając coraz więcej wody.

Luke zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie ruszyła się ze swojego materaca mimo otwartych drzwi.

Kiedy pół godziny później Rosalie postawiła torby z zakupami, zapłacił jej więcej niż zwykle, ale odłożyła nadwyżkę na blat kuchni i pożegnała się uprzejmie.

Luke został sam, z jednej strony ciesząc się, że Rosalie zajęła się załatwieniem rzeczy dla dziewczyny i oszczędziła mu gorszego bałaganu, z drugiej nie rozumiejąc dlaczego nagle czuł się tak podle.

Weronika nie śmiała ruszyć się z miejsca. Siedziała wsparta o ścianę z nogami podkulonymi pod siebie, wpatrując się w lekko

otwarte drzwi i zastanawiając, co ma teraz zrobić. Mężczyzna spojrzał na nią pierwszy raz, ale nie powiedział nic. Weronikę pochłonęła fala panicznego lęku, niosąc jej myśli wartkim nurtem w stronę najgorszych możliwych scenariuszy. Półotwarte drzwi zamiast dawać jej nadzieję i sprawić, by poczuła się lepiej, napełniły ją niepokojem. Sześć dni żyła według tego samego rytmu wyznaczanego przez poranne i wieczorne wizyty w łazience, pomiędzy którymi panowała ciemność i cisza. Obserwowała smugę światła wpadającą przez otwarte drzwi, czekając na cień mężczyzny. Nerwowo gryzła paznokiec kciuka i czuła bolesne skurcze podbrzusza i nieprzyjemny zapach własnego potu. Po jakimś czasie usłyszała drzwi wejściowe i krótką wymianę zdań między kobietą a mężczyzną. Drzwi trzasnęły raz jeszcze i zapanowała cisza. W napięciu wpatrywała się w klamkę i już wkrótce usłyszała miarowe powolne kroki zmierzające w jej stronę. Weronika poczuła jak wszystkie mięśnie zaciskają się w jeden nerwowy zwój drżący z wysiłku i braku oddechu. Zobaczyła jego cień zanim usłyszała beznamiętny głos. Położył foliową torbę przy drzwiach i powiedział, że może iść do łazienki. Wstała przytrzymując się ściany, podniosła torbę i powoli przemierzyła znajomą ścieżkę.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, z których został wyjęty zamek i zajrzała do foliowej torby, poczuła ulgę i wiedziała, że zawdzięcza to kobiecie. Gdzieś w głębi duszy rozumiała, że kobieta nie mogła pomóc jej w inny sposób, ale sam widok ciepłego koca i czystej bielizny, ubrań oraz przyborów higienicznych sprawił, że Weronikę zalała fala wdzięczności i nadziei – nie mogła czekać ją rychła śmierć, skoro dostała to wszystko. Ale jeśli nie śmierci – to czego innego mogła się spodziewać?

Luke obrócił drewniany fotel na tarasie tak, by widzieć salon przez otwarte drzwi balkonowe. Nie chciał już więcej kłopotów. Z ulgą zapalił papierosa i czuł jak jego mięśnie powoli się rozluźniają. Rotterdam skąpany w słońcu wyglądał pięknie – światło odbijało się i skrzyło w wodach rzeki Nieuwe Maas. Wziął

głęboki wdech i zerknął nerwowo w stronę holu widocznego z tarasu. Myśl o Rosalie wracała do niego nadal i wspomnienie sposobu, w jaki na niego spojrzała nie dawało mu spokoju. Nigdy nie udawał przed nikim, że jest kimś innym niż jest i nie próbował sprawiać wrażenia lepszego niż trzeba i zdawał sobie sprawę, że Rosalie wiedziała, dla kogo pracuje. Nie mógł więc zrozumieć, skąd ten niesmak, który pozostawiła ta sytuacja. Nie on zdecydował o losie dziewczyny i to nie on tego wszystkiego chciał. W tej chwili nie miał wielkiego wyboru i gdy usłyszał otwierane drzwi łazienki i zobaczył ją przechodzącą przez hol, przez głowę przemknęła mu myśl, że tak naprawdę oboje są tu uwięzieni.

IV

Zauważył, że miała długie złoto-kasztanowe włosy, które skręciła tym razem lekko z tyłu tuż nad karkiem i przełożyła przez prawe ramię. Spadały delikatnie na jej twarz tak, że w ogóle jej nie widział. Teraz gdy zostały umyte szamponem i wyszczotkowane, lśniły w słońcu. W czarnych spodniach od dresu, których nogawki, były sporo za długie i czarnym podkoszulku z krótkim rękawem wyglądała jak zwykła dziewczyna, jakich wiele na ulicach tego miasta. Luke poczuł się dziwnie patrząc jak przechodzi przez hol jego apartamentu i szybko odwrócił głowę. Musiał się stąd wydostać i pozbyć tego napięcia z mięśni. Szybko wypalił papierosa, zamknął na klucz drzwi sypialni i z szafy w holu chwycił torbę sportową.

Siłownia znajdowała się parę minut piechotą od budynku De Coopvaert i należała do starego przyjaciela, dzięki czemu Luke miał vipowską kartę i wstęp kiedy tylko chciał. Wszedł do środka i uściśnął dłoń czarnoskóremu mężczyźnie z tysią polyskującą czaszką, białym jak śnieg uśmiechem i ciałem zbudowanym z widocznych pod błyszczącą skórą mięśni. Saula znał jeszcze z dzieciństwa – z wakacji, w czasie których przebywał u ojca. Mieszkał w tym samym budynku, co on i każde lato spędzali praktycznie razem. Nikt nigdy nie skopał mu dupy tyle razy ile Saul, ale nie poszło to na marne. To właśnie Saul nauczył go, jak się bić, jak nie bać się bólu i jak go zadawać. Kiedy podrośli urządzali regularne walki między chłopakami z sąsiedztwa i choć Luke nieraz porządnie obrywał, Saul pozostawał niepokonany. Dziś jako właściciel trzech siłowni, był ich najlepszą reklamą i nadal trenował Luke'a, ilekroć ten przebywał w Holandii.

Dwie godziny później kiedy Luke popijał wodę z kostkami lodu, siedząc na wysokim stołku w należącym do siłowni minibarze, jego myśli krążyły wokół holenderskich wakacji i zataczały koło niebezpiecznie blisko wspomnień związanych z matką. Ile o nim wiedziała, zanim odeszła? Znała londyńską

wersję Luke'a, która nigdy nie wpadała w kłopoty, nie spóźniała się do domu, nie wdawała w bójki, nie upijała i nigdy jej nie zawiodła. To, czego nie dał mu Londyn, Rotterdam dawał podwójnie pod pełnym poczucia winy okiem ojca, który pozwalał na więcej niż chciał przyznać. Luke wziął spory łyk i poczuł jak zimna woda spływa mu do żołądka. Trening i chłodny prysznic dobrze mu zrobiły. Jego ciało było rozgrzane i pełne energii, ale niepokój pozostał i zdawało się, że umysł wymyka mu się spod kontroli i zapuszcza się w dawno nieuczęszczane ścieżki. Wyjął telefon z kieszeni spodni i obrócił go parokrotnie w palcach. Potrzebował rozrywki, żeby odwrócić własną uwagę. Zerknął na zegarek, którego wskazówki pokazywały godzinę 16.10, wyszukał numer telefonu do Karen i wystukał krótki sms. *“Masz plany na wieczór? L.”* Zanim zdążył dopić wodę na ekranie wyświetliła się odpowiedź. *“Nadal w Rotterdamie? K.”*. *“Tak. Więc jeśli nie masz planów... L.”*

Czekał na odpowiedź parę minut i domyślał się, że Karen odwołuje plany. Nigdy mu nie odmówiła, a zdarzało się, że jego wizyty w mieście były dość nagłe.

Spojrzał na telefon. *“Już nie mam. Prachtig? 17.30? K.”*

Luke zawahał się chwilę zanim odpowiedział. Karen chciała oczywiście najpierw zjeść po pracy i wypić drinka, podczas gdy akurat dziś on wolał przejść od razu do rzeczy. Grand Cafe Prachtig to było ich stałe miejsce w centrum miasta, gdzie umawiali się, żeby coś wypić lub zjeść zanim zabrali się za to, co było celem ich spotkań. Patrzył chwilę w wyświetlacz telefonu, po czym wysłał krótką twierdzącą odpowiedź, skinął facetowi za barem i chwyciwszy swoją sportową torbę wyszedł na zewnątrz.

Poznał Karen w jednym z pubów Gera, gdy odbierał marżę. Obserwowała go z drugiego końca baru i Luke szybko zauważył, że trudno było oderwać od niej oczy. Miała jasne ciasno upięte włosy, delikatnie owalną twarz, której punktem centralnym były błękitne oczy w ciemnej oprawie rzęs i wypukłe, mocno czerwone usta. Zawsze miała na sobie perfekcyjnie skrojoną świetną gatunkowo garsonkę w ciepłym kolorze i kontrastujące z nią

kolorem czółenka na wysokim obcasie. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i pewnej swego kobiety. Pracowała w dużym biurze reklamowym na stanowisku kierowniczym i mogła być od Luke trochę starsza, ale nigdy nie zapytał jej o wiek, nie wiedział nawet, po co miałby pytać. Kiedy usiadła obok niego tego wieczoru, gdy spotkali się pierwszy raz, Luke zastanawiał się przez chwilę czy nie jest gliną – musiała widzieć jego dość ostrą wymianę zdań z barmanem, a mimo to usiadła niebezpiecznie blisko, niemalże dotykając go swoim biodrem. Czego Luke nie wiedział wtedy, a co stało się potem bardzo oczywiste, był fakt, że Karen miała jedną słabość i ta słabość okazała się Luke'owi bardzo na rękę. Karen lubiła niegrzecznych chłopców. Jej poprzedni chłopak regularnie upijał się i bił ją do tej pory, aż pewnego dnia nie była w stanie iść do pracy z podbitym okiem. Luke nie myślał o sobie w tych kategoriach i nigdy nie doszło między nimi do żadnej wymiany zdań, która mogłaby zweryfikować przypuszczenia Karen, ale wydawało się, iż samo domyślanie się działa na nią ekscytująco, Luke więc nie rozwiewał ani nie potwierdzał jej wątpliwości. Potrafił za to, nauczony już w dzieciństwie, dopasować swój image do potrzeby chwili i Karen wydawała się usatysfakcjonowana. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Rotterdamu, pytała go, czy w jest tu “w interesach” i Luke wyczuwał w tonie jej głosu, że nie tyle próbowała dowiedzieć się, co to za interesy, ile otrzymać potwierdzenie, że to coś nielegalnego, ryzykownego, niebezpiecznego i... niegrzecznego. Luke potrafił odczytywać pewne sygnały i szybko stało się jasne, że pani dyrektor lubi, gdy w sypialni dyrektorem jest mężczyzna, co wykorzystywał ilekroć miał okazję i potrzebę. Zachowywał przy tym swoje stałe zasady, które zdawały się nie przeszkadzać Karen, a wręcz potwierdzać jej domysły i rozpalać ekscytację. Nigdy nie zostawał na noc, nie przynosił kwiatów, win, czekoladek, nie pytał o życie osobiste i nie mówił zbyt wiele o sobie. Sprowadzało się to więc do prostej zasady pieprzenia bez zbędnych dodatków. Od czasu do czasu szli razem na drinka lub kolację, tylko po to, żeby Luke mógł ją przelecieć szybko i bez konwenansów w toalecie Grand Cafe

Prachtig. I choć zdawało się, że Karen właśnie na to miała dziś ochotę, on chciał jedynie zamknąć za nimi drzwi jej mieszkania, pchnąć ją stanowczo na kolana i dać upust wszystkim frustracjom i niepokojom, a przy okazji przypomnieć jej jaki potrafi być niebezpiecznie niegrzeczny.

Wcisnął przycisk ekspresu do kawy i wkrótce kuchnię wypełnił aromat kafeiny, przyjemnie podrażniając jego zmysły. Przez chwilę patrzył jak jego kubek wypełnia się syczącą strużką spienionej kawy, po czym wystukał kolejny sms do Karen.

“Coś mnie zatrzymało. Będę u ciebie o 19. L.”

Zwinnym ruchem ściągnął przez głowę podkoszulek i z telefonem oraz kubkiem kawy udał się na pełen słońca taras. Musiał zadzwonić w kilka miejsc zanim pochłonie go coś innego. Rozparł się wygodnie w fotelu i wyszukał numer do Dany. Wiedziała, że jego sprawy w Rotterdamie przedłużyły się i tymczasowo przejęła jego obowiązki, ale chciał mieć pełen nadzór nad swoim małym dwuosobowym biurem w Londynie. Założył je za pieniądze odłożone po pierwszym roku pracy dla Gera. Nigdy nie skończył studiów, ale nadal był niezły w swoim fachu, a dzięki temu, że biegle znał niderlandzki mógł udzielać porad finansowych i robić rozliczenia klientom, którzy robili interesy w obu krajach. Firma, choć mała, radziła sobie bardzo dobrze, a przede wszystkim stanowiła dla Luke'a źródło czystych dochodów i podkładkę do rozliczeń podatkowych. Szło mu tak dobrze, że dwa lata temu zatrudnił wtedy jeszcze studentkę ekonomii jako swoją asystentkę. Dana początkowo nieśmiała i niewiele mówiąca, choć rzetelnie przygotowana do wypełniania obowiązków w pracy, wkrótce zbyt chętnie zostawała po godzinach. Luke nie miał sprecyzowanych preferencji w kwestii charakteru swoich partnerek seksualnych i jeśli miał być szczery charakter nie interesował go w ogóle, chyba że chodziło o charakter relacji. Cicha i skryta Dana nieśmiejąca spojrzeć mu prosto w oczy, budziła w nim jednak zadziwiająco perwersyjne skłonności, o które sam siebie nie podejrzewał. Pewnego wieczoru, gdy znów oboje pracowali po godzinach, usiadł na jej biurku i zadał jej kilka prostych pytań, na

które dziewczyna niemalże bez tchu dawała jednowyrazowe odpowiedzi. Luke przyglądał jej się przez chwilę rozważając możliwości, po czym nieoczekiwanie dla siebie samego patrząc jej prosto w oczy, powiedział, że ma ochotę na nieco relaksu po długim dniu i nim zdążył się zorientować, robił z nią, na co tylko miał ochotę.

Układ londyńsko-rotterdamski był mu bardzo na rękę w związku z częstymi podróżami, co nie oznaczało, że jego pole działań ograniczało się tylko do Karen i Dany. Luke korzystał z każdej ładnej okazji, która się nadarzała. Rozmyślając nad tym przez ułamek sekundy pomyślał o dziewczynie za drzwiami sypialni i jej błyszczących długich włosach. Kiedy nagle w telefonie odezwał się słodki głos Dany i natrętna nieproszona myśl zniknęła niczym wypalona iskra, Luke poczuł się przyłapany na czymś wstydlwym i przez chwilę trzymał Danę w pełnej konsternacji ciszy.

– Luke? – Pytający głos Dany odezwał się po raz kolejny. – Luke? Halo?

Luke przywołał pamięcią lśniąca jak tafla czarnej wody włosy Dany, wziął głęboki oddech i bez tracenia czasu na powitania przeszedł do rzeczy.

– Dana, jak się mają sprawy? Wysłałem Ci mejlem zaległe rozliczenia. Przekazałaś je klientom?

Przed jego oczami zalany słońcem Rotterdam rozciągał się aż po horyzont. Głos Dany w telefonie składał mu szczegółowy raport i Luke miał wrażenie, jak gdyby siedział na szczycie świata, jednak zamiast przyjemności odczuwał niepokojący wewnętrzny nacisk i wiedział, że jest on powiązany z problemem zamkniętym za drzwiami sypialni. Potakując do telefonu przez który sączył się głos jego asystentki, Luke złapał się na nieprzyjemnej myśli, że nie powinien był pozwolić sytuacji zajść tak daleko. W gruncie rzeczy Ger sam dał mu wybór, co ma zrobić z dziewczyną.

Weronika traciła poczucie czasu. Wytracona z rytmu swojego wewnętrznego zegara przez wizytę kobiety i wycieczkę do łazienki w środku dnia, nie potrafiła odnaleźć się w czasie. Słyszała, że

mężczyzna wrócił do mieszkania i słyszała jak ponownie je opuścił. Zaczynała być głodna i dokuczał jej ból brzucha. Pierwszy raz odkąd tu trafiła nie było jej zimno. Przewróciła materac na drugą stronę, żeby pozbyć się widoku brzydkiej plamy krwi i otuliła się miękkim kocem. Próbowwała zasnąć, żeby zapomnieć o bólu i głodzie, ale emocje ostatnich wydarzeń nadal trzymały ją w napięciu. W swojej głowie po raz kolejny próbowała odtworzyć sytuację z kobietą i odegrać alternatywne scenariusze. Może powinna była ją pchnąć i biec w stronę drzwi zamiast tkwić jak skamieniała na materacu? Może powinna biec w stronę kuchni, złapać jakiś nóż i zagrozić nim kobiecie, żeby ją wypuściła? Może powinna teraz przygotować się na jej kolejną wizytę? Domyślała się, że kobieta przyszła tu sprzątać i rozumiała już dlaczego w mieszkaniu panowała nienaganna czystość. Jeśli przychodzi sprzątać to na pewno jeszcze tu wróci. Weronika nie była jednak pewna, czy ona sama nadal tu wtedy będzie. I nie wiedziała, co przeraża ją bardziej: myśl, że mogłoby jej tu już nie być, czy myśl, że nadal będzie tu tkwiła. Z jakichś powodów nadal jednak żyła nietknięta na swoim materacu pograżonym w ciemności, jak na bezludnej wyspie otoczonej oceanem czerni i z każdym kolejnym dniem rósł w niej strach przed opuszczeniem swojego azylu. Zgrzyt klucza w zamku, gdy mężczyzna zamykał za nią drzwi, przynosił poczucie chwilowego spokoju i ulgi i oznaczał, że spędzi kolejne godziny bezpiecznie zamknięta w swojej znienawidzonej ciemni, która dziś była wszystkim, co znane i pewne.

Luke schylił się i zgarnął z podłogi przy łóżku Karen swoją marynarkę, żeby wyjąć z jej kieszeni paczkę papierosów. Nigdy nie palił w swoim aucie, czy mieszkaniu, ale tutaj w ramach utrzymywania wizerunku nie pytał Karen o pozwolenie. Leżała obok niego z przymkniętymi powiekami, nadal oddychając szybko i nierówno. Zza zasłoniętych okien dochodził gwar ulicy, rozmowy przechodniów, dźwięki aut, odgłos kroków. Mieszkanie Karen znajdowało się na pierwszym piętrze budynku przy niewielkiej ulicy w centrum miasta. Było nowoczesne, urządzone w jasnych zimnych kolorach. Karen kupiła je i z pomocą ekipy remontującej

sama zaplanowała i odnowiła. Luke lubił świeżość i czystość panującą w niewielkich pokojach. Pościel zawsze pachniała jej perfumami, a w lodówce czekało dobrze schłodzone piwo. Kiedy zapalił papierosa, Karen uniosła powieki i popatrzyła na niego dużymi błękitnymi oczyma. Jej usta były nadal nabrzmiałe i mocno czerwone, tusz lekko rozmazany, a jasne włosy, zwykle ciasno upięte, teraz leżały rozrzucone na poduszce. Luke zaciągnął się papierosem i uśmiechnął do niej przelotnie. Za oknem zapadał już zmrok i czuł przyjemne znużenie ogarniające go po fizycznym wysiłku. Jej widok znów obudził do życia jego siły i gdy podniosła się, żeby wstać, objął ją w talii ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Chciałam ci przynieść piwo, ale widzę, że masz ochotę na coś innego – zamruczała i wypięła się w jego stronę jędrnymi krągłościami, jak kotka która domaga się pieszczot.

Luke odłożył papierosa do popielniczki i klepnął ją mocno po pośladku, aż podskoczyła i jęknęła, ale nie przestała wbijać się w niego swoim ciepłym ciałem. Cała Karen.

– Najpierw piwo – powiedział twardo, popychając ją lekko do przodu.

Uśmiechnęła się kącikiem ust i całkiem naga zeszła z łóżka i przeszła przez pokój w stronę holu, z którego widać było część nowoczesnej śnieżnobiałej kuchni z marmurowym blatem. Okna w kuchni były otwarte a rolety uniesione do góry i Luke z podziwem patrzył jak Karen nieskrępowana przechadza się po pomieszczeniu. Wiedział już, że to lubiła – gdy na nią patrzono, gdy ją słyszano. Kiedy przyszedł tu pierwszy raz, okna były otwarte tak jak dziś, a zasłony tylko lekko zaciągnięte. Pamiętał, że Karen wyszeptała wtedy przygryzając jego ucho “*spraw, żebym krzyczała*” i Luke z przyjemnością spełnił jej żądanie.

Sprawdził wyświetlacz telefonu. Była prawie dziesiąta. Nagle wróciła do niego myśl o dziewczynie i poczuł irytację. Przypomniawszy sobie, że ostatni raz wypuścił ją do łazienki po wyjściu Rosalie i że nie dał jej nic do jedzenia, gdy wychodził do Karen. Naciągnął na siebie bokserki i dzinsy, nadal obserwując Karen krzątającą się w kuchni. Poczuł narastającą złość. Zgasił

papierosa i przemierzył hol. Kiedy wszedł do kuchni, Karen stała z butelką zimnego piwa zroszoną kropelkami i szklanką z drinkiem. Wziął od niej piwo upił łyk, po czym odstawił butelkę na blat, wyjął jej szklankę z dłoni i postawił obok. Zgasił światło, ale zostawił rolety uniesione. Obrócił Karen tyłem do siebie i pchnął tak, że musiała chwycić się rękoma krawędzi marmurowego blatu. Zaciskał dłonie mocno na jej biodrach, może za mocno i w kilku mocnych pchnięciach zadbał o kolejną falę odprężenia. Czuł, że Karen zapiera się ciałem próbując utrzymać równowagę i wydawało mu się, że słyszy jej cichy jęk, ale nie zaprzętał sobie głowy tym, czy sprawił jej ból, czy przyjemność. Wziął to, po co tu przyszedł i fakt, że niewiele to pomogło napełniała go podwójną złością. Upił parę łyków zimnego piwa i odczekał, aż jego oddech wróci do normalnego rytmu. Karen stała nadal oparta o blat.

– Możesz zostać na noc, skoro nie lecisz jeszcze do Londynu – powiedziała wreszcie tak cicho, że zaczął się zastanawiać, czy dobrze usłyszał.

– Muszę wyprowadzić na spacer psa sąsiada- powiedział szorstko, nie starając się nawet, by brzmiało to przekonująco.

Wiedziała jaki mają układ i w tej kwestii nie było nic więcej do powiedzenia.

Luke wyszedł do sypialni zapinając spodnie i naciągnął podkoszulek na spocone ciało. Zwykle brał najpierw prysznic, ale dziś jedyne czego chciał, to wreszcie stąd wyjść. Był jak dzikie zwierzę miotające się w klatce, której ściany dogoniły go aż tutaj. Jak dzikie zwierzę, któremu rzucono pod nogi ochłap surowego mięsa z kością dając prowizoryczne poczucie, że samo coś upolowało, złudzenie wolności zamknięte w krwistym kawałku mięsa. I choć zwierzę zaspokoilo fizyczny głód, potrzeba leżąca dużo głębiej nadal pozostała niezaspokojona. Luke nie rozumiał, dlaczego nagle czuł się wściekły. Był zmęczony i znużony fizycznie, ale wewnątrz nadal tlił się niezrozumiały niepokój, który sprawiał, że miał ochotę pchnąć Karen po raz kolejny na kolana i sprawić by krzyczała – tym razem nie z przyjemności.

Do De Coopvaert wracał piechotą wdychając świeże

wieczorne powietrze. Na ulicach nadal panował ruch. Luke przeszedł placem obok Biblioteki Centralnej, kubistycznych żółtych domków i skierował się w stronę budynku, gdzie mieścił się jego apartament. Zamiast jednak wejść głównym wejściem, obszedł budynek i wszedł do baru, który znajdował się na parterze. Usiadł przy barze i zamówił butelkę Struisa, po wypiciu którego pozostał mu w ustach słodki posmak. Miał już wyjść, ale kiedy barman zapytał go, czy podać coś jeszcze Luke, choć wiedział, że nie powinien, zamówił wódkę z tonikiem, a potem kolejną i jeszcze jedną.

Musiła zasnąć wreszcie, bo obudził ją nagły hałas. Wyrwana z niespokojnego snu, wyprostowała się i skurczyła pod naporem przerażenia. Co to było? Czuła oszałamiający łomot własnego serca i falę gorąca zalewającą jej ciało. Wsłuchiwała się w ciszę z szeroko otwartymi oczami, nieprzydatnymi w panującej wokół ciemności. Dotarł do niej odgłos rzucanych na podłogę lub blat kluczy i głos męczyzny przeklinający głośno na przemian po niderlandzku i angielsku. Jego głos brzmiał chrapliwiej niż zwykle, ale nadal twardo i szorstko. Weronika skuliła się w kącie przy ścianie, gdy usłyszała kroki zmierzające w kierunku drzwi. Klucz w zamku zgrzytnął, mężczyzna pchnął drzwi i Weronika odruchowo podniosła rękę, by osłonić oczy, spodziewając się ostrego strumienia oślepiającego światła. Za drzwiami panował jednak mrok. Przez otwarte drzwi wpadała jedynie szarość dochodząca z za wielkich okien, przez które widziała błyszczące kropeczki oświetlające miasto i przypominające kolorowe gwiazdy. Bała się podnieść głowę i przez trwającą wieczność chwilę siedziała skulona w kącie obserwując buty mężczyzny, który stał nieruchomo wsparty o framugę drzwi. Weronika słyszała jego oddech w wiszącym między nimi mroku i czuła wyraźny zapach alkoholu. Każde uderzenie serca odbijało się ciężkim echem w jej uszach, a bolesny ścisk w żołądku nie pozwalał zaczerpnąć powietrza. Nie śmiała poruszyć się nawet o milimetr. Jedną myśl jak żelazna opaska zacisnęła się wokół jej głowy: teraz coś jej zrobi. Wszystkie najgorsze oczekiwania, które gromadziła

przez ostatnie dni, skumulowały się w tej długiej chwili. Dziеляcy ich od siebie metr wypełniło odczuwalne napięcie. Żadne z nich nie poruszało się i Weronika nagle pchana dziwną siłą podniosła na niego wzrok, nie mogąc dłużej znieść czekania naelektryzowanego bolesnym wręcz strachem. Niech się stanie, co ma się stać – pomyślała podnosząc głowę, by pierwszy raz spojrzeć mu prosto w twarz.

Patrzył wprost na nią. Pod gęstymi brwiami oczy miał zmrużone w wąskie kreski, a między nimi głęboką zmarszczkę. Patrzył na nią, jak gdyby widział ją po raz pierwszy i zastanawiał się, skąd się tu wzięła. Coś w jego spojrzeniu graniczyło z nieukrywaną irytacją bardziej niż złością. Nawet po tym, jak podniosła na niego oczy, jego twarz nie zmieniła wyrazu, jakby nie zauważył, że na niego patrzyła lub wcale go to nie obeszło. Stał oparty o framugę drzwi z rękoma w kieszeniach. Weronika czuła, że krew odpływa jej z twarzy, że jej ciało jest sztywne z napięcia, głowa ogłuszona strachem. Gdy mężczyzna wreszcie się poruszył, podskoczyła ze strachu i zaskoczenia, jakby przez jej ciało przeszedł elektryczny wstrząs.

– Chcesz iść do łazienki? – zapytał po angielsku twardym chłodnym głosem i Weronika skinęła głową. – To idź.

Wstała powoli i niepewnie, zeszła z materaca i zauważyła, że mężczyzna nadal stoi w drzwiach, obserwując ją. Musiała go minąć i przez chwilę była pewna, że kiedy to zrobi, stanie się coś złego, że on czeka, by podeszła bliżej. Ale nic się nie wydarzyło. Stał nieruchomo jak posąg wpatrzony teraz w ciemność i Weronika bezpiecznie minęła go i wkrótce odetchnęła z ulgą, zamykając za sobą drzwi łazienki.

Nie rozumiała, co się dzieje, ale wyczuwała, że nastąpiła jakaś zmiana. Wysikała się, umyła szybko, wyszorowała zęby, napełniła butelkę świeżą wodą i chwilę stała przed zamkniętymi drzwiami, próbując wyobrazić sobie i przygotować się na to, co ją czeka. Wzięła kilka głębokich oddechów i dodając sobie otuchy myślą, że nadal żyje, wyszła do przestronnego pogrążonego w mroku holu i poczuła oszałamiający powiew świeżego powietrza.

Spojrzała w stronę wciąż otwartych drzwi sypialni, ale mężczyzny już tam nie było. Powoli ruszyła w tamtą stronę, mijając wejście do ciemnej kuchni, a potem przemierzając duży salon. Mijała go zwykle szybko, nie rozglądając się zbytnio, ale tym razem poczuła powiew wiatru na swojej skórze i przystanęła. Wahała się chwilę, a potem zamiast pójść wprost do sypialni odwróciła się i weszła do salonu z tą samą lśniącą ciemną podłogą i olbrzymimi oknami wzdłuż całej ściany, na której lewym krańcu były otwarte, prowadząc na przestronny taras. Weronika nie mogła się poruszyć – świeże powietrze zdawało się działać na nią hipnotyzująco i obojętniająco. Poczowała nagle, że jej płuca wypełnia głęboki oddech, czuła zapachy docierające z zewnątrz, słyszała odgłosy miasta w oddali. Ściskając w ręku butelkę wody przymknęła na chwilę powieki. Sześć, może siedem dni dzieliło ją od ostatniego razu, gdy jej płuca wypełniało świeże powietrze, a policzki owiewał wiatr, parę dni, które wydawały się wiecznością. Z bolesnym ukłuciem w sercu uświadomiła sobie, że czas to bardzo relatywna kwestia. Otworzyła oczy i mimo przejmującego ją lęku nadal stała na progu pokoju, zaciskając obie ręce na plastikowej butelce, jakby chwytając się konaru drzewa w czasie wielkiej wichury. W mroku tarasu dojrzała niewyraźną sylwetkę mężczyzny. Stał wsparty łokciami o balustradę patrząc w kierunku miasta, które nawet z miejsca, gdzie stała Weronika wyglądało jak ocean kolorowych świateł. Przez jej głowę myśli płynęły wartkim prądem. Czy zostawił otwarte drzwi wejściowe? Czy zdążyłaby wrócić do holu i sprawdzić to bez wzbudzania podejrzeń? Czy mogłaby podejść na tyle blisko i na tyle cicho, bo zaskoczyć go i pchnąć przez balustradę? I co wtedy? Czy wydostanie się stąd bezpiecznie? Czy przyjdą inni nim uda się jej wezwać pomoc lub otworzyć drzwi? Wszystko, co przyszło jej do głowy, wydawało się zbyt ryzykowne lub zbyt nierealistyczne. Ale jedna myśl przerażała ją najbardziej. Że z jakiegoś powodu ona sama sabotuje wszystkie swoje opcje. I czy nie było tak zawsze, że bała się ryzyka, że pozwalała życiu lub mamie decydować za siebie? I ten jeden jedyny raz, gdy sama podjęła decyzję i zdawało się jej, że

została nagrodzona za swoją odwagę, los dał jej w twarz i zamknął w ciemni na zawsze. Weronika poczuła łzy spływające jej po policzkach i nie starała się ich zatrzymać. Nieruchoma jak posąg, stała wpatrzona w sylwetkę mężczyzny i nie wiedziała, czy to hipnotyzująca moc wiatru, czy sposób, w jaki mężczyzna stał na tle rozświetlonego u jego stóp miasta, a może fakt, że w mroku i z tej odległości nie widziała jego twarzy i groźnie zmrużonych oczu, ale Weronika poczuła nagle jakąś cienką nić smutku, która ich łączyła. W ciemności zobaczyła nie mężczyznę, który być może na zawsze odebrał jej życie, ale kogoś, od kogo teraz zależała jej egzystencja, po raz kolejny oddając decyzje w nieswoje ręce, tym razem jednak czując, że nie ma większego wyboru.

Luke Stanford nigdy nikogo nie zabił. Swego czasu często upuszczał ludziom krew w walkach na pięści za obopólną zgodą, albo dlatego, że na to zasłużyli. Zdarzało mu się nadal, choć niechętnie, używać siły w interesach, wobec tych, którzy wyraźnie potrzebowali bodźca, by podjąć odpowiednią decyzję. Nie bał się krwi ani bólu i nie czuł litości wobec słabszych – raczej irytację zmieszaną ze współczuciem. Uległość i słabość traktował jak wadę charakteru i w głębi duszy miał poczucie, że ludzie słabi i ulegli sami byli winni swoim problemom. Nie miał skrupułów w pracy i nie wahał się, gdy trzeba było kogoś przycisnąć do muru i użyć pięści jako dominującego argumentu. Osiem lat pracy u Gera nauczyło go jednak, że większość ludzi ma dużo czulsze miejsce niż własne ciało, w które nie trzeba nawet uderzać, by zabolalo. Wystarczy o nim wspomnieć. Większość miała kogoś, kto czekał na nich w domu lub na kogo czekali oni sami, kogoś, kto był ważniejszy niż tysiąc euro miesięcznie, czyje bezpieczeństwo było ważniejsze niż własne, niż własny sklep, restauracja, ciężko zarobione pieniądze. Wystarczyło delikatnie przycisnąć to czułe miejsce w umyśle człowieka, czasem dodając realistyczną wizję i wcześniej czy później ludzie łamali się jak kij pęknięty w najcieńszej części. Niektórzy opierali się dłużej, protestując głośno i rzucając się gniewnie jak zranione zwierzęta. Ci, wbrew pozorom, byli najslabsi, najbardziej przerażeni, w chaosie i panice

próbowali odsunąć od siebie rzeczywistość. Luke przypomniał sobie mężczyznę, do którego Ger wysłał go po kasę. Facet wygrał miliony na loterii, wybudował piękny dom i otworzył nowoczesną drogą restaurację w centrum. Myślał, że będzie żył jak gdyby nigdy nic, jakby pieniądze nic nie zmieniały. Luke pamiętał jego oniemiałą twarz i ciało zastygłe w szoku, gdy dotarło do niego, jakiego rodzaju komplikacje stanęły mu na drodze. “Małe pieniądze – małe problemy, duże pieniądze – duże problemy” powiedział mu Luke wyjmując niemałą kwotę z jego drżącej dłoni i przekazując pozdrowienia dla żony i dwóch synów. Facet sprzedał wszystko, dom, restaurację, sklep, który w międzyczasie otworzył, stracił na tym dużo pozbywając się inwestycji w pośpiechu i próbował wyprowadzić się na drugi koniec kraju. Ger kręcił głową z politowaniem powtarzając w kółko, że nie rozumie, dlaczego chcąc sprzedać tak tanio, nie sprzedał jemu. Luke usłyszał tylko, że Ger wysłał mu kwiaty z pozdrowieniami do szpitala, gdzie facet leżał ze złamanym kręgosłupem sparaliżowany od pasa w dół. Z dużą kasą trzeba umieć sobie radzić.

Z uczuciem ulgi wdychał chłodniejsze wreszcie powietrze. Wiatr wiał dość mocno i Luke delektował się uczuciem świeżości. Wiedział, że wypił za dużo i próbował, biorąc głębokie oddechy, opanować uczucie dziwnego rauszu w głowie. Przed nim w ciemnościach nocy rozlewał się ocean światła Rotterdamu, szum wiatru i aut mieszały się ze sobą.

Luke przypomniał sobie, że nadal musi wrócić do gościa z Jet Lag i odebrać żonę Gera. I kiedy tylko będzie miał kasę w kieszeni, zadzwoni do niego pod pretekstem potwierdzenia odbioru i może dowie się, jakie są szanse na transport w najbliższym czasie. O ile są szanse. I Luke przez chwilę poczuł ucisk w żołądku na myśl, że na kolejny transport może poczekać jeszcze tydzień lub dłużej. Zacisnął zęby i rozważał swoje opcje, ignorując przyjemny szum w głowie. Wiedział, że teoretycznie wyjścia miał dwa, jedno wymagało czasu, drugie nie. Ale Luke Standford nigdy dotąd nie zabił. Nigdy nie podniósł ręki na kobietę i choć nie

wynikało to z jego dobrego serca i wielkoduszności, nie mógł sobie wyobrazić, że miałby własnymi rękami zabić dziewczynę. Wiedział, że życie, które ją czeka po tym, jak wyląduje w transporcie będzie gorsze od śmierci, ale ponieważ nie miało z nim nic wspólnego, zdawało się w ogóle go nie interesować. Bił ludzi, którzy chcieli się bić i tych, którzy go obrazili, bił ludzi, którzy mieli kasę, której on potrzebował. Ale ta dziewczyna była po prostu w złym miejscu o złej godzinie i Luke po raz kolejny poczuł wzbierającą złość, że cały ten burdel spadł na niego. Sięgnął dłonią do kieszeni spodni, żeby wyjąć paczkę papierosów i wtedy kątem oka w mroku pokoju, do którego wchodziło się przez oszklone drzwi wprost z tarasu, zauważył jej postać. Przez krótką chwilę myślał, że mu się wydaje, wyteżył wzrok i był już pewien, że to ona stała tam patrząc na niego. Z tej odległości i w ciemnościach nocy nie mógł widzieć jej twarzy, ale było w jej sylwetce coś statecznego, coś obezwładniającego, coś igrającego z jego dylematami, coś co przez moment nie pozwalało mu się poruszyć i kazało wpatrywać się w mrok, by uchwycić tę bezimienną myśl. Nim zdążyło dotrzeć do niego, że stoi nadal z ręką w tylnej kieszeni spodni, dziewczyna obróciła się i wyszła z pokoju. Luke znów został sam ze swoimi myślami i swoim szczytem świata, u którego stóp miasto kwitło nocnym świetlistym życiem. Zapalił papierosa, próbując otrząsnąć się z niepokojących odczuć mamrocząc pod nosem sam do siebie o przeklętych złych miejscach o pieprzonej złej godzinie. I choć bardzo się starał, Luke miał nieodparte wrażenie, że próbuje ocalić dziewczynę od siebie samego.

V

Weronika nie wiedziała, która mogła być godzina w nocy. Była jednak bardzo głodna i gdy weszła do pokoju z ulgą stwierdziła, że mężczyzna nie zapomniał o kanapkach i poczuła falę wdzięczności i spokój. Przykryła się kocem i rozpakowała posiłek. Jadła powoli, rozkoszując się smakiem i ogarniającym ją uczuciem sytości. Nie była śpiąca, choć ciepły koc i długo wyczekiwane jedzenie wprowadziły ją w stan błogości. Przez lekko otwarte drzwi nadal czuła zapach świeżego powietrza i choć nie chciała, jej myśli same biegły do ostatniego razu, gdy była na zewnątrz. Ilekroć wracała pamięcią do wieczora sprzed niemal tygodnia mimowolnie rozważała, co by było, gdyby podjęła inne decyzje, co powinna była zrobić inaczej. I choć coś w niej samej protestowało głośno, uparcie próbowała odzyskać zagubione wspomnienie twarzy drugiego napastnika. Jakaś nieznana siła pchała ją w oko cyklonu wspomnień, rzucała w wielkie ręce, które bezlitośnie wciągały ją do ciasnego auta. Ale twarz, której poszukiwała we wspomnieniach okryta była mgłą i Weronika choć usilnie próbowała, nie potrafiła sięgnąć po ten ostatni kawałek układanki. Chciała wierzyć, że twarz za mgłą nie należała do mężczyzny, który ją tu trzymał, karmił i pozwalał korzystać ze swojej pięknej, czystej łazienki. Czuła przed sobą niewytłumaczalny wstyd i nie rozumiała, dlaczego tak desperacko i na przekór faktom pragnie usprawiedliwić mężczyznę, nadać mu ludzkie cechy. Wiara w jego dobrą wolę dawała jej nadzieję i Weronika chwytiała się tej myśli w chwilach, gdy otaczająca ją ciemność zaczynała sączyć się do jej wnętrza jak podstępna choroba. Przekonywała siebie, że choć mężczyzna nie wypuścił jej na wolność, nadal żyła – nie zabił jej, nie pobił, nie głodził. Jakaś część jej zranionej, przerażonej duszy próbowała uwierzyć, że mężczyzna ją chronił i choć wiedziała, że to chora iluzja, pozwalała sobie samej mieć się nią i grzać się w jej sztucznym cieple.

Weronika usłyszała dźwięk kroków. Przez półotwarte drzwi w mroku holu, widziała sylwetkę mężczyzny i obserwowała go chwilę. Słyszała jego kroki w kuchni i otwierane drzwi łazienki. Zaskoczył ją szum wody i zdała sobie sprawę, że jej drzwi są nadal otwarte, podczas gdy on bierze prysznic.

Przez kilka chwil rozważała, czy powinna wykorzystać tę okazję i zrobić rekonesans – zastanawiała się, czy uda jej się podejść do drzwi wyjściowych i sprawdzić, czy są zamknięte. Po raz drugi w ciągu pół godziny Weronika ważyła w swojej głowie swoje szanse, możliwości i co chyba najważniejsze – swoje pragnienia. Coś nadal trzymało ją przykutą do powierzchni materaca i ze zdziwieniem stwierdziła, że nie był to strach, lecz jakaś przerażająco paradoksalna potrzeba zadowolenia mężczyzny, pokazania mu, że jest posłuszna i zasługuje na swoje wyjścia do łazienki i kanapki z marketu. Przed oczyma miała nadal jego sylwetkę pogrążoną w mroku wiszącą nad rozświetlonym miastem i to dziwne wrażenie, że otacza go aura smutku jak mgła, prawie niewidoczna. Weronika poczuła wtedy, że ciągnie ją do niego cieniutka ledwo wyczuwalna nić i zastanawiała się, czy to świadomość, że jej istnienie leży w jego rękach, czy fakt, że był jedyną żywą istotą obecną na jej odludziu, odpowiadały za ten niewytłumaczalny magnetyzm.

Pozostała więc na swoim miejscu, niespokojna i wsłuchana w odgłosy dochodzące zza półotwartych drzwi.

Luke uświadomił sobie, że zapomniał o drzwiach sypialni, kiedy pierwsze strumienie gorącej wody zaczęły spływać po jego ciele. Przez ułamek sekundy zastygł w przerażeniu, zdecydowany biec naprawić swój błąd, po czym zmienił zdanie i klnąc pod nosem sięgnął po szampon. Nie da rady uciec, to wiedział na pewno. Nagle przestało go obchodzić, co się stanie. Ciepła woda spłukiwała z niego napięcie i alkoholowy rausz. Luke zamknął oczy i poddał się jej działaniu.

Kiedy wyszedł z łazienki ubrany jedynie w swoje szare sportowe spodnie, w apartamencie panowała cisza, a drzwi od sypialni stały nadal półotwarte tak, jak je zostawił. Podeszedł do

nich i zobaczył ją, siedzącą wciąż na swoim miejscu, otuloną kocem. Była prawie druga w nocy i Luke, mimo że jeszcze nie spał, czuł się dziwnie pobudzony. Wyjął z zamrażalni kostki lodu, wrzucił je do szklanki i wypełnił ją wodą z kranu. Włączył telewizor i postanowił usiąść i czekać, aż ogarnie go senność. Na myśl o spaniu na twardej, zimnej skórzanej sofie, zaczął żałować, że nie przyjął oferty Karen. Zmieniał kanały automatycznie bez poświęcania większej uwagi temu, co widzi na ekranie. W głowie rozważał, czy powinien zamknąć ją w łazience na noc, żeby wreszcie móc przespać się jak człowiek we własnym łóżku. Nagle poczuł się znużony, jego cały dzień spięte ciało rozluźniało się powoli i Luke wyłączył telewizor i podniósł się, podejmując szybką decyzję.

Podszedł zdecydowanie do drzwi sypialni i pchnął je na oścież. Zobaczył ją w świetle wpadającym do pokoju z holu. Podniosła głowę i patrzyła na niego dużymi oczyma pełnymi strachu i determinacji, miała blade policzki i lekko uchylone wargi. Luke otworzył usta, żeby wydać jej polecenie, ale coś w dziewczynie, w tym jak na niego spojrzała powstrzymało go i zamiast tego przykucnął w drzwiach jak się pochyla, żeby pogłaskać przerażonego psa. Zauważył, że jego niespodziewany ruch sprawił, iż odchyliła się odruchowo do tyłu.

– Żadnych głupot – powiedział powoli patrząc jej uważnie w oczy, próbując wyczytać w nich, czy rozumie jego angielski i czy będzie posłuszna. Skinęła głową, choć widział, że nie wie, co ma na myśli i jej oczy są pełne niemego przerażenia.

Luke wstał, zgasił światło w holu i skierował się w stronę łóżka. Wyciągnął się, podłożył dłonie pod głowę. Nie czuł się wygodnie, choć bez porównania lepiej niż na zimnej skórzanej sofie. Był świadomy obecności dziewczyny i zastanawiał się, ile lat minęło odkąd mieszkał z kimś ostatni raz. Prawie dziewięć lat temu umarła matka i od tamtej pory Luke nigdy więcej z nikim nie dzielił mieszkania, domu, pokoju. Przez kilka minut wpatrywał się w ciemność, wsłuchując się w oddech dziewczyny. Było w jego rytmie coś wyciszającego, jakieś hipnotyzujące tętno, które powoli

zaczęło wdzierać się do jego głowy i ciała i sprawiało, że mimowolnie dopasował rytm swojego oddechu do jej i poddał się jego uspokajającej sile. Nie pamiętał kiedy zasnął.

Kiedy mężczyzna przykucnął w drzwiach, Weronika poczuła falę panicznego lęku i wewnętrzne przekonanie, że pochylił się nad nią jak nad skopanym psem tylko po to, by samemu dołożyć parę kopniaków. Kiedy ostrzegł, ją żeby nie robiła niczego głupiego – dokładnie tymi samymi słowami, jakimi ją tu przywitał tydzień temu – była pewna, że nadszedł czas na to, czego oczekiwała już od paru dni i co zdawało się być nieuchronne. Jeszcze parę minut po tym, jak zasnął Weronika drżała i próbowała otrząsnąć się z konsternacji i szoku. Obserwowała go, gdy kładł się na łóżku i słyszała jego spokojny oddech, którego rytm wyrównał się z czasem i zdała sobie sprawę, że zasnął. Siedziała nadal skulona pod swoim kocem, próbując zrozumieć, co się właśnie stało i dopuścić do siebie myśl, że ten mężczyzna nie zamierza jej skrzywdzić. Czego więc od niej chce? Dlaczego ją tu trzyma? Weronika poczuła gorące łzy strachu i niepewności. Niepokojące myśli zaczęły kołować ponad jej głową jak grupy wrzeszczących czarnych wron. Zaczęła szukać ukojenia i ucieczki we wspomnieniach. Próbowała nie myśleć o mamie, nie mogła sobie nawet wyobrazić, co może teraz przeżywać i w kim znajduje oparcie. Rodzice mamy nie żyli od paru lat – były tylko we dwie – one przeciw całemu światu. Weronika nie pamiętała ojca zbyt dobrze. Odszedł tak wcześnie, że w jej myślach pozostał po nim mglisty obraz postaci i parę wspomnień z jego wizyt, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Więcej wiedziała z opowiadań mamy. Zastanawiała się, czy brak ojca wpłynął na jej stosunek do mężczyzn i relacji, czy dlatego tak długo unikała bliższych kontaktów z chłopakami. Nie wiedziała, czy powodem był brak ojca, czy to, jak zareagowała na to jej mama. Weronice zdawało się, że nigdy nie pozbierała się do końca po ich rozstaniu, zawsze powtarzała, że choć rozwód cywilny został sfinalizowany, ślub kościelny nie był unieważniony i w oczach kościoła nadal byli małżeństwem. Czy to było powodem, że nigdy nie próbowała

znaleźć kogoś innego, czy to, że bała się kolejnego rozczarowania? I czy Weronika nie odziedziczyła tego lęku i nawet nie próbowała żadnych relacji po to, by nikt nigdy nie rozczarował jej w ten sposób? Ale kiedy wreszcie się zakochała, jakie znaczenie miał ten lęk? Jej myśli płynęły ulicami Utrechtu.

Było marcowe popołudnie – jeden z tych przedwiosennych dni, gdy wiatr nadal ma w sobie zimowy chłód, ale w promieniach słońca czuć już wiosenne ciepło. Maarten zaprosił ją do siebie po raz pierwszy. Zdała sobie sprawę dokąd zmierzają, dopiero gdy weszli spacerem w cichą ulicę, przy której rzędy dużych domów jednorodzinnych z czerwonej cegły stały prawie nad samą wodą. Wzdłuż ulicy rosły nagie jeszcze brzozy, których białe pnie kontrastowały z błękitem wody i zachwyciły oko.

– Mieszkasz tutaj? – zapytała zaskoczona i zdruzgotana faktem, że kompletnie nie przygotowała się na spotkanie z jego rodzicami. Weronika w duchu żałowała, że nie założyła czegoś ładniejszego niż jej ulubiony szary sweter, którego boki nie były już jednakowej długości, a rękawy nosiły znaki czasu.

– Tak. Zapraszam. – Stanęli przed jednym z domów i Maarten otworzył przed nią furtkę.

Powitało ich szczekanie psa dochodzące zza zamkniętych drzwi domu, do których wchodziło się po szerokich kamiennych schodach.

Weszli do środka i od progu wpadli na wirujące i szalejące czarne psie szczęście, które sapiąc i bijąc ogonem na oślep próbowało obezwładnić Maartena, po czym z takim samym entuzjazmem rzuciło się na Weronikę, liżąc jej ręce i twarz.

– No, to poznałaś już Storma – roześmiał się przeganiając wielkiego czarnego labradora.

W przestronnym holu pomógł jej zdjąć kurtkę. Z wnętrza domu dochodziły dźwięki muzyki i głosy rozmów i wkrótce usłyszeli kroki.

– Jesteście już! – Jego mama weszła do holu, miała szeroki szczery uśmiech do złudzenia przypominający uśmiech Maartena, te same migdałowe oczy i krótkie modnie ścięte brązowe włosy. W

różowym kaszmirowym golfie wyglądała na dużo młodszą niż zdradzały zmarszczki wokół jej oczu.

Serdecznie przywitała się z Weroniką i bez problemu przeszła na angielski w trakcie rozmowy. Mówiła dużo i często się uśmiechała. Miała w sobie tę samą spontaniczną radosną energię, która wypełniała całe pomieszczenie. Pociągnęła ich za sobą do kuchni, której duże okno wychodziło na taras i dalej na ogród. Kuchnia była otwarta i łączyła się jedną przestrzenią z pięknym salonem, który zajmował prawie całą powierzchnię parteru. Isabel, siostra Maartena, przywitała się miło i chłodno i Weronika kątem oka widziała, jak spojrzawszy na brata przewróciła migdałowymi oczyma i wydeła wargi, na co on pociągnął ją za długie lśniące włosy, których sam widok odebrał Weronice mowę z zachwyty.

Ojciec Maartena wszedł do kuchni zaraz za nimi. Był tylko odrobinę niższy niż syn i miał ten sam kształtny profil oraz proporcjonalne i pięknie zarysowane rysy twarzy. Gdy stali obok siebie, żaden test DNA nie był konieczny. Łączyła ich również ciepła zażyłość, którą wyczuwało się już po paru minutach wspólnie z nimi spędzonych. Stali tam rozmawiając od chwili, gdy się zobaczyli, ojciec poklepał syna przyjaźnie po ramieniu, wymieniali zdania, uśmiechy i Weronika nagle zrozumiała, skąd pochodzi ta niezwykła aura, która otacza Maartena, skąd pochodzi jego asertywność, siła w pokonywaniu przeszkód, w opieraniu się przeciwnościom losu, znoszeniu przykrości, jego umiejętność dążenia do celu i odnajdywania radości w życiu. Nie mogła ukrywać jak zauroczona była jego rodziną i domem. Pamiętała, że stojąc między nimi i grzejąc się w ich ciepłe, Weronika zastanawiała się, czy obecność ojca w jej życiu, dodałaby jej pewności siebie i asertywności.

Maarten zabrał ją schodami na dół, gdzie w suterenie znajdował się przestronny pokój z oknami pod sufitem, z których widoczna była powierzchnia ulicy i pnie drzew. Wbrew pozorom pokój był jasny.

– Isabel ma dla siebie cały strych, musi codziennie ćwiczyć grę na skrzypcach. – Uśmiechnął się. – Więc ja przejąłem piwnicę.

Weronika rozejrzała się wokół po kolorowej przestrzeni. Na ścianach wisiały wielkie plakaty, niektóre ze zdjęciem kuli ziemskiej, widokiem pasma gór i jedno z wielkim zielonym liściem marihuany. Maarten nie ukrywał, że palił od czasu do czasu i Weronika nie ukrywała, że tego nie pochwałała. W kącie pokoju stały afrykańskie bębny i gitara. Cała jedna ściana zastawiona była wysokimi pod sufit szafami na książki. Pod oknem obok dużego łóżka mieściło się biurko, na którym stał jego laptop zarzucony czasopismami i książkami.

Maarten objął ją mocno i jego usta znalazły drogę do jej szyi, a potem ust. Wypłatała się jednak z jego objęć.

– Zwariowałaś? Twoi rodzice są na górze. – Zaśmiała się, ale mówiła poważnie.

Maarten uśmiechnął się rozbawiony jej przerażeniem.

– Nie ma się co martwić. Oni nigdy nie przychodzą na dół, chyba że wyraźnie ich o to poproszę – powiedział uspokajającym tonem i z szerokim uśmiechem odgarnął jej włosy z czoła.

Czuła, że odpuścił miłosne igraszki i musiała przyznać, że jej ulżyło. Chciała rozejrzeć się po tym skrawku jego świata. Przyjrzeć się zdjęciom, które stały na półkach podwieszonych pod wysokim parapetem, dotknąć jego gitary, otworzyć szafę z ubraniami. Ciekawiło ją wszystko, co go dotyczy.

– O boże! To ty? – zapytała zdumiona podnosząc jedno ze zdjęć stojących na półce. Przedstawiało dwóch młodych chłopaków z czarnym labradorem, w tle widniało pasmo gór.

– Tak, z moim przyjacielem, Storma pewnie poznajesz.

Weronika przyjrzała się zdjęciu. Te same migdałowe oczy i szeroki serdeczny uśmiech w zupełnie innej młodszej twarzy, pozbawionej wypielęgnowanego zarostu i dredów.

Leżąc w ciemnym pokoju na swoim materacu Weronika wspominała tę wizytę i wracały do niej wszystkie ciepłe dobre uczucia tych chwil, gdy leżeli przytuleni na wielkim łóżku oglądając zdjęcia z jego dzieciństwa i wczesnej młodości, rozmawiając o jego pierwszych miłościach, podróżach, przyjaźniach, fascynacjach i zainteresowaniach. Był szczery, gdy

pytała go o jej poprzedniczki, ale unikał szczegółów i odpowiadał zdaniami złożonymi z dwóch, trzech słów.

Weronika poczuła chłodny cień niepokoju i podejrzeń przysłaniający nagle jej wspomnienia. Ze zdwojoną siłą wróciło do niej przekonanie, że podczas gdy jej życie wydaje się być na zawsze spisane na straty, Maarten i Amy wreszcie mogą być razem. Nigdy zresztą nie rozumiała, co on widzi w niej – szarej dziewczynie z polskiej prowincji, znikąd, która nigdy nie przeżyła nic interesującego, nie podróżowała, nie widziała świata. W jej oczach oni pasowali do siebie jak dwie części układanki – oboje tak barwni jak rajskie ptaki, fascynujący, niemal egzotyczni, silni, pewni siebie. Ona stała między nimi. Tak musiało być. I po raz kolejny tej nocy Weronika musiała powstrzymać łzy. Chciała wierzyć, że to nie była prawda. Pomyślała o pięknej chłodnej Isabel, której uprzejmość była tak wymuszona. Czy mogła tak bardzo nie chcieć jej dla brata, by w taki sposób pozbyć się jej z jego życia? Weronika rozważała chwilę tę opcję przyznając przed sobą, że jeśli to była prawda, to przynajmniej Maarten kochał ją naprawdę. Jej życie stało na krawędzi i on był jego jedyną fascynującą przygodą. Poczula wzbierający w niej gniew na mamę, której chorobliwa potrzeba chronienia córki przed światem, sprawiła, że Weronika nigdy niczego nie spróbowała w życiu, nie przeżyła żadnej przygody, nie zwiedziła ciekawych miejsc i prawdopodobnie przyjdzie jej umrzeć nigdy już tych miejsc nie widząc. Umrze w ciemnościach – tak jak żyła w ciemnościach. Łzy złości, protestu i bezbrzeżnego żalu wstrzymywane długo popłynęły wreszcie gorzkim strumieniem. Zasnęła płacząc i wtulając twarz w materac, by stłumić własny szloch.

Obudził go cichy szloch i chwilę trwało zanim zrozumiał, co słyszy. Nie ruszał się i z szeroko otwartymi oczyma wsłuchiwał się w jej cichy płacz w środku nocy. Poczul pustkę, jakby całe jego ciało zrobione było z cienkiego szkła, wypełnionego jedynie powietrzem. W ciemności pokoju Luke miał wrażenie, że jej szloch pochodzi nie z ludzkiego ciała zwiniętego na materacu, lecz z głębi ziemi, odbija się echem w jego pustym ciele i pustej duszy.

Doznał nagle porażającego uczucia bezsensu, którego źródła nie potrafił odnaleźć. Czekał, aż dziewczyna przestanie płakać i zaśnie i dopiero wtedy sam odpłynął w niespokojny sen, w którym po raz pierwszy od lat zobaczył mamę taką, jaką pamiętał z lat dzieciństwa.

Gdy się obudził, przez otwarte drzwi sypialni wpadało już słoneczne światło. Kiedy zorientował się, gdzie jest, podniósł się szybko i jego wzrok padł natychmiast na posłanie w kącie sypialni. Dziewczyna spała – jej drobne ciało zwinięte jak embrion pod cienkim materiałem polarowego koca, jakie sprzedaje prawie każdy większy supermarket za parę euro. Oddychała równo, kosmyki kasztanowych włosów spadały na jej twarz i Luke przyglądał się jej chwilę bezkarnie. Miała drobną twarz z wyraźnymi kształtnymi kośćmi policzkowymi. Rana na jej łuku brwiowym była prawie zagojona, a po sińcach pozostały niemalże niewidoczne żółte plamy. Luke ze wstydem zdał sobie sprawę, że ma ochotę ją dotknąć i wyobraził sobie jej przerażone oczy, gdyby spróbował to zrobić. Po raz pierwszy uderzył go fakt, że wyglądała jak dziecko – kompletnie bezbronna. Jak przerażona musiała być, skoro mimo otwartych drzwi sypialni i tego, że spał, nie ruszyła się z miejsca.

Obudziło ją światło słoneczne i przez kilka sekund nim otworzyła oczy, wydawało się jej, że śniła długi koszmary sen o ciemnym pokoju i mężczyźnie z ciemną duszą. Ciepłe promienie muskały jej twarz, a sen powoli odpływał i zamieniał się w rzeczywistość. Rozejrzała się wokół. Mężczyzny nie było już w pokoju. Rolety okna były podniesione do połowy ich wysokości, a drzwi sypialni stały otwarte. W mieszkaniu wydawała się panować idealna cisza. Jej ciemnia pod wpływem słońca zmieniła się w minimalistycznie urządzonej sypialnię z dużym łóżkiem na środku pokoju, błyszczącą podłogą i wbudowaną szafą. Weronika powoli podniosła się z materaca. Słońce stało wysoko na niebie. Bolała ją głowa po przeplakanej krótkiej nocy i czuła się zmieszana okolicznościami. Stojąc przed dużym oknem i podziwiając miasto leżące u jej stóp, skąpane w słonecznych promieniach zastanawiała

się, co to wszystko znaczy. Czy nagła ofiarowana jej namiastka wolności w postaci odsłoniętych rolet i otwartych drzwi pokoju były nagrodą za jej wczorajsze posłuszeństwo? Czy zdała egzamin na zakładniczkę? Czy mężczyzna po prostu zrezygnował ze środków bezpieczeństwa nie widząc ich sensu? Weronika rozpoznała most na rzece i rzędy dziwacznych budynków. Dwa miesiące temu była tu z Maartenem, jako wolna osoba, spacerowała ulicami, które teraz widziała zza okien swojego więzienia. Uderzyła ją nagle ta myśl, jak inaczej żyłaby swoje życie, gdyby je odzyskała albo go nigdy nie straciła, wiedząc jednak, jak to jest je stracić. Od wolności odcinało ją jedynie cienkie szkło szyby i Weronika położyła na nim dłoń. Zapatrzyła się na tętniące życiem miasto, zastanawiając się, czy może wyjść do łazienki. To, że reguły gry się zmieniły było oczywiste, nie wiedziała jednak, jak się zmieniły. Czy otwarte drzwi sypialni są kolejnym sprawdzianem posłuszeństwa, czy zaproszeniem, by radziła sobie sama. Weronika zamknęła zmęczone oczy i poczuła bolesne pulsowanie w skroniach. Zamek w drzwiach zgrzytnął i zrozumiała, że mężczyzna wrócił. W odruchu paniki obróciła się, by wrócić na materac. Została jednak przy oknie, wsparta plecami o zimną ścianę, zastanawiając się, jak zareaguje mężczyzna. Oczekiwała jego kroków, jednak nie przyszedł natychmiast. Po paru minutach usłyszała je wreszcie i poczuła jak całe jej ciało sztywnieje w napięciu. Jego wzrok padł najpierw na materac, dopiero potem odwrócił się w stronę okna i przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Weronika zauważyła po raz pierwszy, że mężczyzna ma zielone oczy. Patrzył na nią spokojnie i zdała sobie sprawę, że z jego spojrzenia coś zniknęło, ta gniewna irytacja, jakby nie mógł znieść jej widoku. Przez chwilę zadrżała na myśl, że patrzy na nią inaczej, ponieważ wie, że już niedługo jej tu nie będzie. Może dlatego spał dziś na swoim łóżku, odsłonił rolety i otworzył drzwi. Poczuła ścisk w żołądku i kołatanie serca. Nagle to miejsce wydało się jej najbezpieczniejszym azylem.

– Byłaś już w łazience? – zapytał ciszej niż zwykle i Weronika pokręciła głową. – Możesz iść, jeśli chcesz.

Kiwnęła głową i czekała aż wyjdzie, by nie musieć mijać go w drzwiach. Stał jednak wciąż w przejściu patrząc na nią, jak gdyby nadal nie udzieliła mu odpowiedzi i Weronika znów poczuła, że między nimi w powietrzu wibruje jakaś delikatna łącząca ich nić, niewidoczna, lecz obecna i wyczuwalna.

Kiedy parę minut potem stała pod prysznicem, pozwalając ciepłym strumieniom wody zmyć z siebie resztki kiepskiej nocy, powtarzała sobie, że czuje to tylko dlatego, że tego chce. Chce wierzyć, musi wierzyć, że ten mężczyzna jej nie skrzywdzi. Miał na to ponad tydzień, a jednak ona nadal żyła. Chciała wierzyć w jego ludzkie uczucia, by móc mieć nadzieję na to, że uda jej się to wszystko przetrwać i być może wyjść z tego cało. Siniaki i rany na jej ciele zagoiły się prawie, a te wyryte w sercu miały pozostać tam na zawsze.

Luke stał przy ekspresie do kawy patrząc na niego bezcelowo. Obok leżała plastikowa torba ze świeżym pieczywem, które kupił rano. Musiał wydostać się z mieszkania, odetchnąć świeżym powietrzem i spróbować dodzwonić się do Gera, który nie odbierał. Rozpakował pieczywo i wcisnął przycisk w ekspresie. Zza drzwi łazienki dochodził szum wody. Luke próbował nie myśleć o ostatniej nocy, ale ani świeże powietrze ani zapach kawy nie pomogły mu otrząsnąć się z tego dziwnego uczucia pustki. Próbował zrzucić winę na nadmiar wypitego alkoholu i ignorować złe samopoczucie. Dopiero szum wody pod prysznicem i nagłe wyobrażenie nagiego ciała dziewczyny w strumieniach wody, jej mokrych długich włosów i bladej twarzy odwróciły jego uwagę od nieproszonej emocji. Nappełnił kubek świeżą kawą i stał patrząc w niego, jakby w ciemnym płynie wypisane były wskazówki. Potem marszcząc brwi i klnąc pod nosem wyjął z szafki drugi kubek i ponownie nacisnął przycisk ekspresu.

Zapach świeżej kawy uderzył ją, gdy otworzyła drzwi łazienki. Mężczyzny nie było już w kuchni, więc powoli skierowała kroki w stronę drzwi sypialni. Obok materaca leżały dwie kanapki, jabłko i stał kubek kawy, znad którego nadal unosiła się para. Weronika prawie uśmiechnęła się do siebie i czym prędzej

usiadła na brzegu materaca biorąc w dłonie kubek z gorącym płynem. Minał ponad tydzień, choć wydawało się jej, że było to nie siedem dni, lecz siedem lat, odkąd zjadła ciepły posiłek i wypła coś gorącego. Rolety nadal były uniesione i Weronika cieszyła oczy widokiem nieba, słońca i ciepłem wpadającym przez szyby. Miała ochotę zabrać kubek i usiąść na podłodze obok okna, by patrzeć na miasto w dole, ale obawiała się, że to byłoby za wiele szczęścia na jeden dzień. Jednak tak szczęśliwa jak tamtego przedpołudnia sącząc gorącą kawę i zjadając swoje kanapki, Weronika nie czuła się nigdy. Może to był ostatni posiłek skazanej na śmierć, a może iskra, która rozpała nadzieję na ułaskawienie, jednak Weronika postanowiła cieszyć się nim i słońcem. Oczywiście, że nadal się bała. Strach nie opuszczał jej nawet na chwilę, był tłem dla wszystkiego, co czuła i myślała, tłem, które przestajesz zauważać, ale którego jesteś nieustannie świadomy.

Kiedy stanął w drzwiach sypialni z kubkiem kawy i lekkim zarostem Weronika nie poczuła fali strachu – w dziennym świetle i w aromacie świeżo parzonej kawy wszystko zdawało się odrobinę mniej porażające. Podniosła głowę i przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

Miała szare oczy. Duże, szare oczy otoczone długimi ciemnymi rzęsami. Jej spojrzenie było przenikliwe, jak gdyby wiedziała o nim coś, czego on sam nie był świadomy. Tym razem patrzyła na niego bez strachu i Luke ze zdziwieniem poczuł, że sprawia mu to przyjemność. Włosy miała jeszcze mokre, zebrane na karku i przełożone przez jedno ramię.

– Muszę zamknąć drzwi – powiedział nie odrywając od niej wzroku. Skinęła delikatnie głową.

Luke wiedział, że była po prostu wdzięczna za podniesione rolety i ciepłą kawę. Widział to w jej spojrzeniu.

Po szybkim prysznicu wyszedł z mieszkania i zjechał windą na parking, jeszcze zanim wsiadł do swojego auta spróbował zadzwonić się do Gera, po raz kolejny bez powodzenia. Zacisnął zęby i przez chwilę rozważał, czy powrót do “Jet Lag” miał jakiś sens, ale Luke nie lubił zostawiać niedokończonych spraw. Wsiadł

więc do auta i postanowił załatwić to jeszcze przed lunchem.

Drzwi były zamknięte, przez witrynę rozpoznał jednak dziewczynę, dzięki której przypomniał sobie o Rosalie. Podniósł rękę w geście przywitania i dziewczyna podeszła do oszklonych drzwi i otworzyła je, ale stanęła w przejściu dając mu do zrozumienia, że nie może wejść.

– Jesteśmy otwarci od pierwszej – powiedziała uprzejmie.

– Wiem. Nie jestem klientem. Mam sprawę do pani ojca. – Luke nie spuszczał z niej oczu.

– Nie ma go teraz. Proszę wrócić po pierwszej. –

Dziewczyna zdawała się nie mieć pojęcia, o jaką sprawę mu chodziło, więc Luke uśmiechnął się i zapytał, czy nie może poczekać w środku.

– Przyjechałem z daleka. Pani ojciec na pewno chce się ze mną rozmówić najszybciej jak się da.

Widział, że wahała się chwilę, po czym wpuściła go do środka. Usiadł na wysokim barowym stołku. Zapytała go, czy chce się czegoś napić i Luke poprosił o wodę z kostkami lodu. Nadal czuł nieprzyjemne pulsowanie w głowie – pozostałość po alkoholowym rauszu i przykrótkiej nocy. Postawiła przed nim szklankę i wróciła do porządkowania stolików. Luke obserwował ją przez chwilę w ciszy.

– Pracuje pani dla ojca? – zapytał wreszcie.

Dziewczyna pokręciła głową, potrząsając długim upiętym wysoko kucykiem jak końskim ogonem.

– Nie, pomagam mu tylko do czasu, aż interes się rozkręci i inwestycja zwróci się częściowo, żeby mógł zatrudnić więcej personelu. Mam teraz więcej czasu między zajęciami na studiach.

– Co pani studiuje?

– Zarządzanie na Uniwersytecie Erazma.

Luke pokiwał głową.

– Kiedyś będzie pani zarządzała rodzinnym interesem – powiedział z uśmiechem i dziewczyna podniosła na niego spojrzenie.

– Być może – odpowiedziała i wróciła do pracy.

Dziesięć minut później właściciel baru przekroczył jego próg i gdy zauważył Luke'a jego oczy zwęziły się, a brwi zbiegły się tworząc fale zmarszczek na jego czole. Zaciśnął usta tak mocno, aż zbladły i skinął głową w jego kierunku, po czym machnął ręką na dziewczynę, dając jej do zrozumienia, żeby poszła z nim na zaplecze.

Luke odprowadził ich wzrokiem, gdy zniknęli za drzwiami i wkrótce usłyszał podniesione głosy i trzaśnięcie drzwi. Domyślił się, że facet odesłał dziewczynę bocznymi drzwiami i już wiedział, że sprawy nie pójdą gładko. Potarł wierzchem dłoni nieogoloną brodę i dopił wodę. Właściciel podszedł do baru i oparł na nim dłoń.

– Powiedziałem ci wyraźnie, że nie masz tu po co przychodzić. – odezwał się przez zęby cichym surowym głosem prawie przypominającym syk. Luke zauważył, że po uprzejmym “pan” nie pozostał ślad.

– Zaczęliśmy naszą znajomość od kłamstwa, a to niedobrze. – Luke poruszał kostkami lodu w szklance i podniósł wzrok na mężczyznę, który wydawał się nie rozumieć. – Ma pan piękną i zdolną córkę.

Właściciel baru zagryzł zęby i wbił wzrok w Luke'a, który ciągnął dalej.

– Studia na uniwerku to spory wydatek, szczególnie dla kogoś, kto zainwestował taką sumę w luksusowy bar w niezłym punkcie miasta. – Luke przerwał i obserwował reakcję faceta. – Więc proponuję panu mały interes...

– Wynoś się – wysyczał przez zęby i zjeżył się, jak pies gotowy do ataku.

– Pan chyba nie rozumie do końca, jak to działa. Dziś jestem tu sam i proponuję pokojowy układ: żadnych zniszczeń, żadnych ofiar, wszyscy zadowoleni. Trochę inaczej ten układ będzie wyglądał, gdy wyjdę stąd bez tego, po co przyszedłem. Z czego opłaci pan studia córce, jeśli interes się posypie i trzeba będzie inwestować od nowa? I nie jestem w stanie zagwarantować panu, że moi koledzy nie zechcą poznać córki.

To stało się zbyt szybko, by Luke mógł zareagować. Facet chwycił stojącą na blacie szklanę i trzasnął go w głowę. Posypało się szkło i pozostałe kostki lodu. Luke próbował zrobić unik, ale zdążył jedynie ochronić oko i szkło wbiło mu się w lewy łuk brwiowy przy skroni. Poczował ciepłą stróżkę krwi. I lekki szum w głowie. Ból przyszedł dopiero potem. Otrzepał koszulę z resztek szkła i wstał powoli.

– Nasza znajomość nie tylko zaczęła się źle, ale najwyraźniej źle się też skończy – mówił cicho i krok po kroku okrążał bar.

– Dzwonię po policję – wysyczał właściciel baru, w którego głosie Luke rozpoznał znajome drżenie strachu. Facet ścisnął telefon w dłoni, jakby chciał się nim bronić lub atakować.

– Jesteś pewien, że ci się to opłaca? – Luke stał teraz po tej samej stronie baru między jego blatem a oszklonymi półkami pełnymi butelek z alkoholem, błyszczących szklanek i kieliszków różnych kształtów i wielkości. Podniósł dłoń i chwycił butelkę, po czym rzucił ją na środek baru – szkło roztrzaskało się o kant stolika i alkohol utworzył wielką aromatyczną kałużę na samym środku. – Oczywiście, że możesz zadzwonić. – Kolejna butelka pofrunęła przez bar i roztrzaskała się na ścianie. Luke chwycił następną i przytrzymał ją w ręku. – Może się też okazać, że do jutra interes spłonie. Wypadki się zdarzają, a alkohol – Luke rzucił butelkę przez bar – jest naprawdę łatwopalny. Myślisz, że gliny się przejmą, że dadzą ci ochronę dwadzieścia cztery na dobę? Tobie i całej twojej rodzinie? A może ochroniarza, który będzie odprowadzał córeczkę na uniwersytet? – Luke czuł przyływ adrenaliny. Ból pulsujący w skroni był jak ostroga, którą kłuje się konia, by ruszył do galopu. Ból go stymulował, popychał, przyspieszał jego oddech i tętno, wyostrzał zmysły. Luke czuł przyjemny dreszcz adrenalinowego haju na karku, który pamiętał dokładnie z czasów regularnych walk na pięści. Uderzył kolejną butelką o kant blatu i szkło posypało się wokół jego stóp, a alkohol stróżkami spływał po jego ścianie. W dłoni została mu szyjka butelki z poszarpaną krawędzią. – To moja ostatnia oferta – powiedział cicho i wymierzył w męczyzną resztki butelki.

Dzieliło ich teraz może pół metra i Luke widział w oczach przeciwnika paralizujący strach. Odłożył telefon i podniósł dłonie do góry z oczami wbitymi w szklaną broń, której krawędzie prawie dotykały jego gardła. I wtedy Luke wymierzył cios prawą pięścią. Facet zatoczył się i przytrzymał blatu. – To za uszczerbek na zdrowiu – wycedził przez zęby, patrząc na faceta święcącymi oczyma i powtarzając sobie w myślach, że raz wystarczył.

Dziesięć minut później Luke siedział w swoim aucie, przeliczając kasę. Wytarł rękawem koszuli krew i poczuł piekący ból i ukłucie. Przeklął parę razy. Powinien był przewidzieć, że tak to się skończy. Gość był nowy w branży i nieźle zdenerwowany, widać było jak na dłoni, że będzie robił kłopoty. Przeklął siebie samego za załatwianie interesów na kacu. Co mu, kurwa, przyszło do głowy? Czuł nadal to znajome mrowienie na karku i przez chwilę rozważał, czy nie zajrzeć do Saula i nie rozładować energii jakimś porządnym treningiem. Zanim jednak podjął decyzję, ruszył autem w zupełnie innym kierunku.

Karen otworzyła mu ubrana w skąpy czarny podkoszulek i krótką przylegającą do ciała białą spódnicę. Powitała go przez domofon mruknięciem śpiącej kotki.

– Chyba było ci wczoraj mało.

Gdy otworzyła mu drzwi apartamentu jej twarz przybrała wyraz grozy i zaskoczenia.

– Luke! Co ci się st... – zaczęła unosząc brwi do góry.

Ale nim zdążyła dokończyć zdanie, objął ją w pasie lewym ramieniem, drugą ręką pchnął za sobą drzwi, które zamknęły się z trzaskiem i przycisnął ją do przeciwległej ściany holu. Jego silne ramiona uniosły ją do góry, a zwinne ręce podsunęły do góry i tak przykrótką spódniczkę. W jego pocałunkach była jakaś dziwna dzikość i desperacja i Karen poddała się jego mocnym zdecydowanym pchnięciom, których siła graniczyła z przemocą i niosła ją na krawędź między krzykiem przyjemności i bólu.

Luke zanurzył twarz w zagłębieniu między jej szyją a obojczykiem i wdychał zapach jej perfum. Czuł jej nogi oplatające go w pasie i jej niemą zgodę, która go irytowała. Chciał nagle, by

go odepchnęła, by z nim walczyła, by przestała posłusznie poddawać się jego gwałtownym pchnięciom. Czuł jej suchość, wiedział, że nie była gotowa i każdy jego ruch musiał sprawiać jej ból, a mimo to nie opierała się i dopasowała ruch bioder do jego. Raz po raz nacierał na nią i czuł zbliżającą się granicę spełnienia, które wciąż wymykało mu się i jego irytacja rosła, a z nią gwałtowność i desperacja. Coś w jego niespokojnych myślach nie doznawało spełnienia ani ukojenia, coś nienazwanego i nieuchwytnego. Luke zaczął zadawać sobie pytanie, czego jeszcze chce. Czuł, że mięśnie Karen odmawiają jej posłuszeństwa i postawił ją na podłodze, po czym obrócił gwałtownie i chwycił mocno twarde krawędzie jej bioder, pchnął jej plecy w dół, by wbić się w nią ponownie. Oparł się jedną dłonią o śnieżnobiałą ścianę zostawiając na niej namazany krwią ślad swoich palców. To było jak jasne oślepiające ostrze błyskawicy. Gdy przymknął powieki, zobaczył nagle w błysku niespokojnej myśli jej twarz i duże szare oczy i poczuł wzbierającą wreszcie falę rozkoszy. Jej długie kasztanowe włosy spływające strumieniem przez ramię, aż do jej piersi. Jego oddech przyśpieszył prowadząc go równym rytmem do celu. Jej drobne ciało, zamknięte powieki z rzędem ciemnych rzęs, półotwarte blade wargi. Luke poczuł zbliżającą się eksplozję i przywołał przed oczy wyobrażenie jej nagiego ciała w strugach gorącej wody. Pragnął ją dotknąć, poczuć zapach jej włosów, smak jej skóry, usłyszeć jej głos. Oddychać jej oddechem. Z jego ust wyrwał się chrapliwy jęk i fala rozkoszy porwała go swoim rwącym niepowstrzymanym nurtem.

VI

Luke obudził się w pełnej słońca sypialni Karen. Z łazienki dochodził go szum wody pod prysznicem. Nie wiedział, jak długo spał, ale czuł się głodny i spragniony. Bezwiednie pomyślał o zamkniętej w jego mieszkaniu dziewczynie zastanawiając się, czy też jest głodna, jedząc jedynie swoje poranne i wieczorne kanapki. Rozciągnął się na łóżku próbując przegonić natrętne myśli. Sypialnia była nagrzana słońcem. Sięgnął do leżących na ziemi spodni i wyjął z nich paczkę papierosów i zapalniczkę. Białą satynową poduszkę zdobiły plamy krwi i Luke przypomniał sobie o rozbitym łuku brwiowym. Dotknął go i poczuł ukłucie i piekący ból. Zapalił papierosa i zaciągnął się powoli. Na wspomnienie własnych myśli, gdy dobrał się w holu do Karen, odczuwał sam przed sobą dziwny wstyd. Mógł się oszukiwać, ale prawda była taka, że to nie jej pragnął. Na niej tylko odreagował stres, frustracje i niezaspokojone potrzeby. Rozwiązanie problemu było proste. To czego pragnął było na wyciągnięcie ręki, zamknięte bezpiecznie w jego własnej sypialni. Więc co go powstrzymywało przed zaspokojeniem swojego pożądanego? Dlaczego zamiast zerznąć dziewczynę, fantazjował o niej jak nastolatek? I Luke pozwolił przez chwilę popłynąć swoim myślom swobodnie, wyobrażając sobie jak ją rozbiera patrząc w jej przerażone oczy i czując jej ręce, które próbują go odepchnąć. Wiedział jednak, że nie tego chciał, nie tak. Luke nigdy nie wziął kobiety siłą, nie musiał. I nie chciał. Strach podniecał go tylko, gdy widział go w oczach przeciwnika, któremu miał złoć skórę. Znowu czuł wzbierającą irytację na samego siebie i na swoje niedorzeczne myśli. O co mu chodziło? Czy chciał jej tylko dlatego, że była niedostępna? A może dlatego, że ona go nie chciała? Jego myśli krążyły wokół niej częściej niż tego pragnął. W jej obecności czuł się zdezorientowany. Coś w jej oczach przemawiało do głębszej części jego świadomości, patrzyło na wskroś w miejsce ukryte głęboko w nim i podrażniało je, uwalniało niechciane wibracje,

które delikatnym drzeniem wprawiły w ruch jakichś mechanizm, którego Luke jeszcze nie rozumiał. Przez nią był niespokojny i rozdrażniony. A mimo to pragnął jej – pożył inaczej niż Karen. Inaczej niż kiedykolwiek. Zaciął zęby i poczuł pulsujący ból w okolicach łuku brwiowego. Nie chciał jej po prostu zerznąć, chciał ją dotykać, patrzeć na nią, odkrywać. Poczuł przyjemny prąd płynący przez jego ciało, aż do miejsca, gdzie budziła się powoli kolejna erekcja. Podniósł się zażenowany z łóżka, zgasił papierosa i chwycił leżące na podłodze spodnie. Powinien ją zerznąć i dać sobie spokój z sentymentami. Za parę dni dziewczyna wyląduje w transporcie i będzie po kłopotach, a póki co może się zabawić w ramach rekompensaty za niańczenie. Wyszedł zanim Karen wróciła z łazienki.

Po drodze do auta, które zaparkował w pobliżu apartamentu Karen, kupił sobie ulubione panini z tuńczykiem i butelkę wody. Nadal odczuwał suchość w ustach i przeklinał siebie samego i wódkę z tonikiem. Wsiadł do auta, skończył kanapkę i wyciągnął telefon. Wyszukał numer do Gera i dwukrotnie czekał, aż włączy się automatyczna sekretarka. Najpierw chciał zostawić wiadomość, ale rzucił telefon na siedzenie pasażera i przekręcił kluczyk w stacyjce. Była czwarta popołudniu i Luke nie chciał wracać do mieszkania. Wyjechał z miasta jeszcze przed popołudniowymi korkami i ruszył autostradą A13, mocno wciskając pedał gazu. Kiedy zaparkował auto w Scheveningen, poczuł mocny wiatr od morza i przyjemny bliski jego sercu zapach. Znał to miejsce jak własną kieszeń. Jego ojciec pochodził z Hagi, choć studiował i mieszkał w Rotterdamie, i tam też zamieszkał po ślubie wspólnie z matką Luke'a. Haga była miejscem ich weekendowych wypadów, nawet w zimowe niedzielne popołudnia przyjeżdżali tutaj i spacerowali po plaży kuląc się od zimnego wiatru i przekrzykując huk fal i siebie nawzajem. Luke dobrze pamiętał czasy, gdy jego rodzice byli razem. Kiedy po ich rozwodzie i wyjeździe z matką do Londynu wracał na wakacje do Holandii, ojciec zawsze zabierał go tutaj, do Hagi, na plażę w Scheveningen. Luke zeskoczył z kamiennego murku oddzielającego plażę od asfaltowej drogi i

chodnika i ruszył ku morzu. Ciepłe majowe słońce ściągnęło na plażę mnóstwo ludzi, jedni opalali się skąpo odziani, inni czytali siedząc na składanych krzeselkach ubrani w bluzy, dzieci bawiły się piachem i błotem, grupa młodych ludzi grała w piłkę, ale Luke najbardziej lubił obserwować osoby z psami, które rozpryskując wokół siebie zimną wodę i błoto, entuzjastycznie biegały próbując schwytać fale lub rzuconą w nie piłkę. Szedł wzdłuż linii morza, gdzie piach był mokry i ubity. Nie myślał o niczym konkretnym pozwalając, by obrazy swobodnie przepływały przez jego umysł. Jakaś jego część w tym miejscu świata nadal była młodym chłopcem i Luke pozwalał się jej wieść, pozwalał jej ważyć argumenty, przechylać szalę decyzji. Szedł bez celu, od czasu do czasu pochylając się nad witającym go radośnie czworonogiem i zastanawiając się, dlaczego nigdy nie kupił sobie psa. Między ludźmi wszystko się zawsze komplikuje, nieważne jak prosto chcesz sprawy trzymać, zawsze się komplikuje. Jednak nawet pies wymaga opieki. Luke opiekował się kimś innym tylko raz w życiu, bóg jeden wie, jak bardzo się starał, i ten ktoś mimo to umarł. Spokojna twarz matki, taka, jaką widział ją po raz ostatni, stanęła mu przed oczyma i Luke skulił się pod presją wspomnienia.

Wiatr wiał mocno i słońce było już nisko nad linią horyzontu, gdy ruszył w drogę powrotną, zmęczony, smagany podmuchami i ogłuszony hukami fal – wreszcie spokojny i ukojony – nie słysząc niczego innego poza szumem wiatru i morza, jakby jego umysł był jedną wielką plażą, na którą wpuszczane są jedynie psy.

Zatrzymał auto przed przyczepą z ciepłymi kanapkami i zamówił dwa razy panini na wynos. Facet w przyczepie podśpiewywał pod nosem i Luke zastanawiał się, jak można być tak szczęśliwemu, robiąc kanapki cały dzień. Po paru minutach facet z szerokim uśmiechem podał mu zamówienie zapakowane w srebrną folię aluminiową i plastikową torbę. Luke zostawił mu dwadzieścia euro i ruszył w stronę auta. Kiedy gość zawołał za nim, że zapomniał reszty, Luke machnął ręką nie odwracając głowy i wszedł do auta. Zapadał zmrok. Ulice pełne były ludzi i entuzjastycznego zamieszania związanego z początkiem

weekendu. Grupy młodych pieszo lub na rowerach zmierzały do knajp lub na sporych rozmiarów sztuczną plażę, utworzoną na brzegu rzeki Maas z widokiem na most Erazma, na którą wchodziło się przez duży drewniany budynek z olbrzymim napisem STRAND. Luke bywał tam również wieczorami, wpatrując się w światła miasta odbite w ciemnych wodach rzeki i gigantyczny rozświetlony most górujący nad plażą. W letnie wieczory urządzano tam imprezy, ludzie leżeli na piasku lub leżakach, pili i tańczyli, przyciągała ich ta namiastka prawdziwego morza ukryta wśród wysokich drapaczy chmur w środku miasta, gdzie panowała atmosfera niekończących się wakacji. Matka mówiła mu zawsze, że nie może znieść tego zgiełku, ścian, murów, tysięcy okien, tłoku, że to miasto ją przytłacza swoją wielkością i chaosem. Luke nigdy jej nie rozumiał. Tutaj czuł się dobrze, zakamuflowany anonimowością dużego miasta, jego różnorodnością barw, dźwięków, języków, życia.

Przedostał się przez zatłoczone centrum i wjechał na strzeżony parking pod budynkiem De Coopvaert. Nie miał planu, ale dał sobie spokój z planowaniem i złudnym poczuciem kontroli. Wszystko się pieprzyło. Począwszy od braku odzewu ze strony Gera, przez cholernego gościa z Jet Lag, pulsujący bólem łuk brwiowy, dziewczynę zamkniętą w jego sypialni, aż po jego własne rozdrażnienie i chaotyczne wymykające się spod kontroli myśli, których Luke nie potrafił ogarnąć i które raz po raz porzywały go swoim nurtem. Pod ich wpływem tracił grunt pod nogami i porwany ich wodospadem spadał w odmęt spienionych emocji. Pamiętał kiedy ostatni raz tak się czuł i nie chciał czuć się tak znowu. Prawda była jednak taka, że ani alkohol, ani ból, ani wycisk na siłowni, ani seks nie przynosiły rozładowania i zdawało mu się, że pękła w nim na dobre jakaś tama i woda rwała teraz niepowstrzymana. Pragnął odreagować, strząsnąć z siebie to napięcie, ale miał wrażenie, że stąpał po śliskich kamieniach zanurzonych w rwącej rzece i każdy jego nierozważny ruch powodował poślizg i upadek, cokolwiek robił prowadziło to nieuchronnie do kolejnego wodospadu. I Luke czuł, że tonie.

Weronika siedziała przy jednym z dwóch dużych okien sypialni, które sięgały od podłogi do sufitu. Plecy miała wsparte o chłodną ścianę i nogi wyciągnięte na podłodze. Pokój był nagrany od słońca, które świeciło cały dzień przez szyby i było jej wreszcie ciepło. Obserwowała jak nad miastem zapada zmierzch i kolorowe światełka rozświetlają świat rozciągnięty w dole. Chciało jej się sikać i wiedziała, że wypła za dużo, najpierw poranna kawa, potem woda, jabłko, woda. Myślała o tym, jak upokarzająca jest niemożność decydowania o zaspokojeniu swoich podstawowych fizjologicznych potrzeb. Czekwała cierpliwie na zgrzyt zamka w drzwiach, odwracając swoją uwagę wszystkim, co widziała za oknem. Odruchowo wspominała swoją wizytę w Rotterdamie z Maartenem.

Zabrał ją tutaj na początku kwietnia, kiedy było już w miarę ciepło i wokół robiło się zielono. Pojechali w sobotę rano, pociągiem z Utrechtu, popijając kawę na wynos i tuląc się na siedzeniu przy oknie. Weronika pamiętała jego szept i ciepły oddech na szyi, zapach gorącej kawy, podekscytowanie. Maarten chciał jej pokazać świat, którego nie miała okazji zobaczyć. Co sobotę zabierał ją na małą wycieczkę, nie mówiąc dokąd jadą. Czasem jechali rowerami do lasu, innym razem do muzeum, a gdy pogoda dopisywała wsiadali w pociąg i jechali gdzieś dalej. Najpierw pokazał jej Utrecht i okolice, potem wybywali coraz dalej i tak pewnego dnia przyszła kolej na Rotterdam. Weronika zapamiętała długi spacer przez barwne centrum, wysokie nowoczesne budynki, kubistyczne domki, wielki plac pełen straganów z wszystkim, co możliwe, olbrzymie łodzie, imponujące mosty. Rotterdam zapisał się w jej pamięci jako miasto pełne kolorowych kontrastów, gdzie obok tego, co stare, wystrzeliwało w górę to, co nowe, gdzie starodawne sąsiadowało z nowoczesnym, przepych kwitł obok prostoty, gdzie łodzie pruły wody rzeki biegnącej wzdłuż ulic pełnych ludzi o najrozmaitszych kolorach, kulturach, językach. Rotterdam oczarowywał, kusił i przyciągał. Weronice najbardziej podobał się jednak wielki park w centrum, do którego wybrali się po tym, jak z wysokości wieży Euromast

podziwiali widok na całe miasto. Park był olbrzymi i przepiękny, pełen przestrzeni, rozkwitającej zieleni i spacerujących ludzi z dziećmi i psami. Siedzieli pod drzewem na swoich kurtkach wiatrówkach przytuleni do siebie, jedząc zakupione w barze sałatki z bagietką i popijając wodą. To wtedy zauważyli parę nowożeńców z fotografem – ona w pięknej śnieżnobiałej sukni z odkrytymi ramionami i welonem spływającym po jej plecach jak strumień koronki, on w ciemnym garniturze wpatrzony w nią. Promienieli blaskiem spełnionej miłości i Weronika nie mogła oderwać oczu od ich splecionych dłoni, gdy powoli szli przez zieloną trawę nie zwracając uwagi na ciekawskie i podekscytowane spojrzenia przechodniów.

– Chciałabyś kiedyś założyć taką sukienkę? – zapytał Maarten z rozbawieniem obserwując jej zachwyty.

– Przy tej temperaturze wołałabym taki garnitur – powiedziała mrugając okiem i poprawiając szal na szyi. Słońce grzało przyjemnie, ale wiatr nadal bywał bezlitośnie zimny.

Maarten roześmiał się serdecznie, objął ją ramieniem i pocałował w skroń. Jego zapach działał na nią jak afrodyzjak, a jego śmiech był najlepszym środkiem relaksującym.

– Nie, pytam poważnie. – Popatrzył na nią uważnie migdałowymi oczyma. – Chciałabyś kiedyś wyjść za mąż?

Weronika wzruszyła ramionami zastanawiając się, co powiedzieć. A może bardziej zastanawiając się, co Maarten chce usłyszeć. I w końcu zdecydowała się powiedzieć prawdę.

– Mój ojciec odszedł od nas, gdy byłam małą dziewczynką. Nie pamiętam zbyt wiele z czasu, gdy moja rodzina była pełna i nie pamiętam dobrze samego rozvodu, ale dorastałam wiedząc i widząc, jaki ślad pozostawił na życiu mojej mamy. Jak blizna, która nigdy się nie zagoiła. Żyłam w przekonaniu, że mężczyźni, że relacje niosą ze sobą klęskę i spustoszenie i lepiej ich unikać. – Weronika mówiła nie spuszczać wzroku ze stojącej teraz dalej pary nowożeńców, ale czuła na sobie poważne spojrzenie Maaartena. – Chciałabym kiedyś nie tyle założyć taką sukienkę, ile uwierzyć, że jej założenie zapewni związkowi szczęście i miłość,

która będzie trwała.

Maarten patrzył na nią milczący i nagle smutny. Weronika wiedziała już z jakiej pochodził rodziny i zastanawiała się, jakie on ma podejście do związków, ale nim zdążyła go zapytać, odezwał się pierwszy.

– Gdybym wiedział, że pytanie o ślub sprawi, że wreszcie powiesz mi coś o sobie, zapytałbym cię o plany małżeńskie dużo wcześniej, ale nie chciałem wyjść na idiotę. – Jego uśmiech był czuły, a głos łagodny i Weronika poczuła ścisk w żołądku, gdy pochylił się ku niej i wyszeptał. – Obiecuję, że w dniu w którym założysz dla mnie białą suknię, nie będziesz miała nawet cienia wątpliwości, co do naszej miłości.

Nawet dziś na wspomnienie jego słów odczuwała przyjemne łaskotanie w dole brzucha. I posmak goryczy wkraść się do jej wspomnień, gdy zdała sobie sprawę, że jego obietnica na zawsze pozostanie niespełniona, a ona nigdy się nie przekona, jak to jest założyć białą sukienkę i uwierzyć w jej moc.

Usłyszała zgrzyt zamka, odgłos zamykanych drzwi i kroki zmierzające w kierunku jej pokoju.

Kiedy wszedł do mieszkania od razu skierował się do drzwi sypialni po drodze zapalając światło w holu i salonie. Nie wiedział ani co zrobi, ani co powie, nie słyszał własnych myśli, jak gdyby nadal zagłuszał je huk fal i szum wiatru. Otworzył drzwi i do sypialni wpadło światło z holu. Siedziała na podłodze przy oknie i gdy wszedł, podniosła się i stanęła naprzeciw niego. Dzielili ich może cztery metry, jej twarz nadal ukryta była w cieniu.

– Przyniosłem jedzenie – powiedział ciszej niż chciał i żeby zatuszować zażenowanie dodał głośniejszym i surowiej – możesz iść do łazienki.

Wszedł, nadal trzymając w dłoni torbę z ciepłymi kanapkami, których zapach wypełnił przestrzeń i usłyszał za sobą ciche kroki jej bosych stóp, kiedy szła do łazienki. Było w tym dźwięku coś intymnego i Luke poczuł nagle przyjemne mrowienie na karku wzmocnione wyobrażeniem jej drobnych bosych stóp, które zupełnie nieproszone pojawiło się w jego głowie. Wyjął

talerze i ustawił je obok siebie na blacie kuchni, po czym położył na każdym ciepłą jeszcze kanapkę owiniętą aluminiową folią. Wyjął z lodówki butelkę piwa i wyszedł na taras zabierając ze sobą wszystko, co przygotował. Przyłożył zimną butelkę do nadal pulsującego bólem łuku brwiowego i przymknął oczy. Nie miał za cholerę pojęcia, do czego to wszystko zmierza, ani co z tym zrobić. Czuł się wyczerpany walką między sprzecznymi emocjami, która rozgrywała się w jego wnętrzu, walką, nad którą stracił kontrolę. Kiedy usłyszał drzwi łazienki, odwrócił się i stanął w drzwiach tarasu. Zatrzymała się, gdy go zobaczyła, jakby wiedziała, że na nią czeka. W ręku trzymała plastikową butelkę napełnioną wodą z kranu. Nadal miała na sobie czarne za długie spodnie i czarny podkoszulek, który przylegając do jej skóry ujawniał zgrabne krągłości jej drobnego ciała. Luke próbował znaleźć słowa, w którymkolwiek ze swoich dwóch ojczystych języków, ale sytuacja wydawała mu się tak nedorzeczna, że cokolwiek przychodziło mu do głowy, nie chciało wyjść przez usta. Dopiero gdy wykonała powolny ruch, by odejść w kierunku sypialni, głosem surowszym niż miał zamiar kazać jej podejść, co uczyniła niezwłocznie.

– Żadnych głupstw – powiedział ciszej i łagodniej, gdy stanęła przed nim, nie patrząc mu w twarz – i możesz posiedzieć na balkonie. Na ziemi i po cichu.

Wskazał jej miejsce pod ścianą obok dużych drewnianych krzeseł i gdy usiadła posłusznie, podał jej talerz z ciepłą kanapką. W zamian obdarzyła go spojrzeniem pełnym wdzięczności. Zauważył, że spojrzała na jego łuk brwiowy i zdał sobie sprawę, że rana znów zaczyna krwawić i piec. Wytarł ją delikatnie rękawem i wziął spory łyk zimnego piwa.

Jedli w milczeniu, obserwując miasto przez przezroczystą balustradę wzmocnioną grubą metalową poręczą.

Gdy skończyli, siedzieli w ciszy patrząc przed siebie. Musiało być już dość późno i zastanawiał się, czy wybiła północ. Luke nie wiedział, czy to zasługa butelki piwa, ciepłego posiłku, czy świeżego powietrza, ale napięcie powoli ustępowało miejsca rozluźnieniu. Pochylił się w fotelu i oparł łokcie na kolanach,

pozwolił ciężkiej od myśli głowie opaść lekko i wtedy zobaczył na ziemi kroplę krwi z rany na skroni, która nie chciała się zamknąć. Chciał wstać i iść do łazienki, ale nie mógł jej tu zostawić samej i jeszcze nie potrafił zrezygnować z tej chwili. Wtedy po raz pierwszy odezwała się do niego i Luke usłyszał brzmienie jej głosu i nieznany mu akcent, gdy mówiła po angielsku.

– Ta rana nie wygląda dobrze – powiedziała dość cicho, próbując na niego nie patrzeć. – Trzeba to oczyścić, zdezynfekować i pewnie założyć szwy.

Luke oberwał już parę razy w życiu i wiedział, co się robi z ranami, złamanymi nosami, pękniętą wargą, ale przez chwilę patrzył na nią w ciszy, wsłuchując się w echo jej głosu we własnej głowie.

– Jesteś lekarzem czy coś w tym stylu? – zapytał patrząc na nią i przecierając pulsującą bólem ranę.

– Studentką weterynarii – odpowiedziała cicho i Luke uśmiechnął się lekko.

Kierując się niczym więcej, jak jedynie nagłym impulsem podniósł się z fotela i kazał jej pójść ze sobą. Z kuchni zgarnął czarny, obity skórą wysoki stół, jeden z trzech stojących rzędem wzdłuż wąskiego podwieszanego pod oknem blatu i zaniósł go do łazienki, gdzie zapalił wszystkie światła. Z najwyższej szafki wyjął białe metalowe pudełko i siadając na stołku podał je dziewczynie. Patrzyła na niego przez sekundę tymi dużymi szarymi oczyma, w których zobaczył mieszankę zdziwienia i lęku, po czym odstawiła pudełko na brzeg umywalki, umyła ręce i otworzyła skrzynkę. Podeszła do niego bliżej, aż poczuł zapach jej mydła i dopiero teraz zdał sobie sprawę, jaka jest filigranowa. Przyjrzała się ranie i delikatnie oczyściła ją mokrym brzegiem ręcznika.

– Muszę wyjąć kawałki szkła – powiedziała powoli i w jej głosie usłyszał wyraźny strach. – Będzie bolało.

Luke skinął głową, żeby wiedziała, że nie musi się bać i przeklął w myślach pieprzoną szklanę i chwilę nieuwagi na porannym kacu.

Wyjęła z metalowej skrzynki pincetę i przetarła ją wacikiem

zmoczonym płynem dezynfekującym. Widział, że dokładnie wie, co robi i zaimponowało mu to. Delikatnie położyła palce jednej dłoni na jego czole i pincetą zaczęła wyjmować drobne kawałki szkła. Luke musiał napiąć wszystkie mięśnie, by ukryć swój nagle niespokojny oddech. Nie czuł bólu – nie czuł nic poza dotykiem opuszków jej palców na swojej skórze. Miała delikatne chłodne dłonie, precyzyjne i zwinne. Luke patrzył na sufit i skupiał się na tym, by siedzieć nieruchomo. Kątem oka widział jej skoncentrowaną twarz i gdy wyrzuciwszy do umywalki kolejny odłamek szklanki, ponownie pochyliła się nad nim, spojrzał na nią i jej oczy odwróciły się od rany i utkwili w jego. Luke poczuł elektryzujący dreszcz przechodzący przez jego ciało i szybko odwrócił wzrok.

Po tym jak zobaczyła zawartość metalowego pudełka z przyborami medycznymi, wiedziała, że to nie pierwsza taka sytuacja i nie pierwsze szycie na dziko. Wzdłuż prawej brwi biegł długi jasny ślad – blizna po ranie, być może nigdy nie zszyciej lub zszyciej nieodpowiednio. Całą swoją energię koncentrowała na opanowaniu drżenia rąk. Próbowwała nie analizować sytuacji, nie myśleć i nie pytać siebie, co się dzieje. Pomagał jej fakt, że rana pełna była drobnych odłamków cienkiego szkła, musiała mocno się skoncentrować, by oczyścić ją dokładnie tak, żeby po zszyciu nie wdała się infekcja. Nie wiedziała, jak mężczyzna zareaguje, jeśli sprawi mu ból, ale powoli ogarniała ją pewność, że był wytrzymały. Widziała kątem oka jego wznoszącą się i opadającą klatkę piersiową, napięte mięśnie szczęki, stała tak blisko, że niemal czuła na sobie jego oddech. Starła się pracować tak, by ich ciała nie dotykały się. Przez moment ich oczy spotkały się i Weronika zamarła, jak gdyby wszystkie jej życiowe funkcje zatrzymały się w tamtej chwili. Trwało to jedynie sekundę, ale jego badawcze spojrzenie naznaczyło ją, zostawiło rysę w jej wnętrzu, cieniutkie pęknięcie, przez które myśli zaczęły sączyć się kropla po kropli. W metalowym pudełku znalazła małą buteleczkę znieczulającego sprayu i zestaw do szycia, bardzo podstawowy, ale wystarczający. Czego chciał od niej ten mężczyzna? Dlaczego ją tu

trzymał? Dlaczego nadal nic jej nie zrobił? Dlaczego miała wrażenie, że się nią opiekował? Znieczuliła ranę i przygotowała igłę i nić.

– Szyłaś kiedyś człowieka? – zapytał przerywając panujące między nimi milczenie.

Skinęła głową, nawlekając nić na igłę.

– Mogę założyć te plastry, działają jak klamerki. – Pokazała mu papierowe opakowanie zawierające plastry. – Ale efekt kosmetyczny będzie gorszy, zostanie bardziej widoczna blizna

Patrzył na nią zielonymi oczyma.

– Szyj – powiedział spokojnie nie spuszczając z niej wzroku.

Jej ręce już nie drżały i wszystkie myśli zbiegły się w miejscu jego rany, gdzie pęknięta skóra z poszarpanymi brzegami była jej wyzwaniem. Szyła powoli, starając się kłaść ścieg gęsto, lecz nie zaciskając zbyt mocno, by uniknąć krwiaka pod skórą. Czowała zadziwiający spokój. Wszystko było lepsze od ciemni pokoju, izolacji, samotności, demonów strachu i niepewności. Jej palce zwinnie naprawiały szkody. Czowała pod nimi jego skórę, której ciepło nagle wywołało w niej dziwną czułość i sympatię. Domyślała się, że przemawia przez nią wdzięczność za ciepły posiłek, za możliwość pobycia na świeżym powietrzu, za podniesione rolety w oknach jej ciemni. W jej chaotycznych myślach postać mężczyzny, która wydawała się jej najpierw potworem czyhającym w cieniu, zaczęła przybierać ludzką formę. Weronika z przerażeniem przyłapała się na myśleniu o jego zielonych oczach. Starannie zakończyła ścieg i z żalem stwierdziła, że jej praca jest skończona i wkrótce znów wyląduje w zamkniętym pokoju.

– Gotowe – powiedziała odkładając igłę.

Zapakowała metalowe pudełko i wyrzuciła zużyte rzeczy do śmietnika. Stanęła przy umywalce, by umyć ręce. On podszedł za nią, przyglądając się w lustrze zszytej ranie. Zauważyła, że był od niej duży wyższy.

– Dobra robota – powiedział i Weronika skinęła głową, myjąc dłonie.

Nadal stał za nią i nagle poczuła się niezręcznie. Podniosła głowę i ich oczy spotkały się w lustrzanym odbiciu. Zastanawiała się, czy mogła minąć tego mężczyznę, spacerując ulicami tłoczego centrum Rotterdamu. Może przeszli obok siebie nieświadomi, że los wkrótce splecie ich życia w ten dziwny surrealistyczny sposób? Czy zwróciła na niego uwagę? Przez chwilę Weronice wydawało się, że w jego spojrzeniu zauważyła coś niebezpiecznego, coś co ją osaczało. Miała wrażenie, że mężczyzna zaraz ją dotknie i gorączkowo pragnęła odwrócić się i odejść. Czowała własne mięśnie napięte do bólu i uderzającą falę gorąca. Zacisnęła dłonie na brzegu umywalki, aż jej palce zrobiły się niemal białe i obiecała sobie, że jeśli to ma się stać, postara się być posłuszna i nie walczyć, by oszczędzić sobie kolejnych siniaków i niepotrzebnego bólu.

Kiedy odwrócił się i wyszedł z łazienki, zabierając ze sobą kuchenny stołek, Weronika wypuściła powietrze z płuc w długim pełnym ulgi westchnieniu. Była zmieszana sprzecznymi sygnałami z jego strony i doszła do wniosku, że być może strach uniemożliwia jej poprawne odczytanie jego zamiarów.

Kiedy tej nocy zasnęła na swoim materacu znów wrócił do niej koszmar, w którym dwie ręce wyłaniające się z ciemności chwyciły ją i mocnym szarpnięciem ciągnęły do tyłu tak, że traciła równowagę i spadała w czeluść nocy. Tym razem jednak z ciemności wyłoniła się też znajoma twarz i w mroku dwoje zielonych oczu przenikało ją do głębi lodowatym spojrzeniem, aż dławiła się walcząc o oddech.

Luke leżał na plecach i szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w przestrzeń pogrążoną w szarości nocy. Było mu za ciepło, mimo iż miał na sobie jedynie cienkie spodnie od piżamy i czuł bolesne pulsowanie w miejscu zszytej rany. Odchodziło znieczulenie i ból zaczynał mu dokuczać naprawdę. Wsłuchiwał się w spokojny oddech dziewczyny zastanawiając się, czy już zasnęła. Myśl o niej odwracała jego uwagę od bólu. Jej spojrzenie działało na niego jak elektryczny wstrząs i Luke przez chwilę zastanawiał się, co takiego stało się między nimi w jego

łazience i czy tylko on to zauważył. Miał nadzieję, że nie dał po sobie niczego poznać. Widział nadal przed oczyma ich wspólne lustrzane odbicie i jej przerażone oczy. Co on sobie, kurwa, wyobrażał, żeby dać się tak ponieść? Na swoim czole wciąż jeszcze czuł dotyk opuszków jej palców, jak gdyby odcisnęły się w tym miejscu niczym tatuaż. Był niespokojny i wyczerpany, utrzymywanie kontroli nad tym, co myślał i czuł kosztowało go zbyt wiele energii. Pozwolił więc swoim myślom i fantazjom płynąć swobodnie, podążając za nimi, gdziekolwiek go zabierały. Zasypiał wyobrażając sobie jej czułe dłonie i odgrywając w głowie wciąż od nowa brzmienie jej głosu.

To jej głos wyrwał go z niespokojnego snu, w którym jego obsesje rodziły się do życia i stawały ciałem. Na dźwięk jej krzyku podniósł się i siedząc na łóżku próbował zrozumieć, czy słyszał to tylko we śnie. W mroku napotkał jednak jej oczy rozszerzone strachem i rozchylone wargi, w których zamarł jej krzyk. Patrzyła na niego w bezruchu i nawet z odległości, która ich dzieliła widział, że oddychała ciężko, jak człowiek, który właśnie doznał ataku paniki. Luke z goryczą pomyślał, że podczas gdy on śnił obsesyjny sen o jej nagim ciele, w którym mógł je dotykać, ona śniła koszmar dokładnie o tym samym. I na tę myśl mocno zacisnął mięśnie szczęki i wziął głęboki oddech. Dziewczyna powoli dochodziła do siebie. W ciemnościach poszukała swojej butelki z wodą. W mroku nocy wszystko wydawało się nierzeczywiste, prawie na granicy sennej wizji, z której można się otrząsnąć po przebudzeniu. Luke zszedł z łóżka i nie zapalając światła przeszedł przez hol do kuchni. Wyjął z szafki butelkę whisky i dwie szklanki, do których wrzucił parę kostek lodu. Nappełnił szklanki alkoholem i do jednej z nich dolał wody do połowy wysokości. Robił to wszystko w mroku, w poczuciu, że światło rozbudzi go ze snu, który wciąż jak mgła wisiał wokół niego i uwalniał od przymusu kontroli.

Kiedy wszedł do sypialni dziewczyna siedziała wciśnięta w kąt i owinięta swoim kocem, mimo iż w pomieszczeniu było ciepło. Luke podał jej szklankę; zabrzączały kostki lodu. Podeszedł

do okna i otworzył je. Poczł jak do pokoju wpada powiew wiatru.

Wrócił do niej i zobaczył jak unosi szklanę do ust, po czym odsuwa ją pod wpływem ostrego zapachu alkoholu. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i jakieś nieznane mu bliżej uczucie ciepła zalało jego wnętrze.

– Whisky – powiedział cicho siadając na brzegu jej materaca.
– Wypij. Pomoże ci zasnąć.

Patrzył jak zagłąda do szklanki, próbuje płynu i przełyka go krzywiąc się lekko. Luke podniósł swoją szklanę do ust i poczuł przyjemne gorące palenie w gardle i chłód napoju w ustach. Oparł nagie plecy o zimną ścianę i pod przykrywką mroku patrzył na nią, gdy upijała kolejny łyk alkoholu. Nie wiedział, która była godzina, ani jak długo siedzieli w ciemności, sącząc powoli whisky i wdychając lekki powiew chłodnego wiatru wpadającego przez otwarte okno.

– Jeszcze? – zapytał cicho, gdy jej szklanka była pusta, mając nadzieję, że przedłuży ten dziwny stan półsnu, w którym trwał nadal.

– Dziękuję. – Pokręciła głową.

– Dasz radę zasnąć? – Brzmiące prawie troskliwie pytanie zaskoczyło jego samego i padło, zanim zdał sobie sprawę, że je zadaje.

Dziewczyna pokiwała głową i Luke wziął od niej szklanę i podniósł się z materaca.

Odstawił puste szklanki przy ścianie i położył się na łóżku. Nasłuchiwał jej oddechu, który wkrótce wyrównał się i Luke domyślał się, że zasnęła. Odczekał parę minut i kiedy był pewien, że śpi mocnym snem, zszedł z łóżka i podszedł do materaca, na którym spała zwinięta pod cienkim kocem. Przykucnął obok i wpatrywał się w nią, w łagodne rysy jej twarzy, zarys ust, zamknięte powieki. Delikatnie i bardzo powoli odgarnął kosmyk włosów opadający na jej twarz. Kiedy chwilę później wrócił do łóżka, nadal czując pod palcami jej miękkie gładkie włosy, w jego sercu rosła niepokojąca myśl, że nie wie już, które z nich jest bardziej przerażone.

VII

Dni mijały według tego samego rytmu, który ustalał mężczyzna. Weronika liczyła je nadal – bez przekonania i nie widząc sensu, odmierzała długość swojego nowego życia. Minęły prawie dwa tygodnie od chwili, gdy obudziła się w ciemni, a wydawało się jej, że minęły dwa lata. Rosło w niej wewnętrzne przekonanie, że właśnie tak będzie wyglądała reszta jej życia i powoli zaczęła akceptować fakt, że wybór losu padł na nią. Myśl, że w jej sytuacji miałoby się coś zmienić przerażała ją dużo bardziej niż obecna rzeczywistość. Więcej nawet, w lepsze dni przekonywała samą siebie, że w gruncie rzeczy ma szczęście. Mężczyzna, który ją przetrzymywał nie był potworem. Kiedy przebywał w mieszkaniu, drzwi jej pokoju były otwarte i mogła wyjść do łazienki w dowolnej chwili. Kiedy wracał, od razu otwierał jej drzwi. Nigdy nie zapomniał przynieść jej jedzenia, a ostatnimi wieczorami dostawała ciepłą kanapkę. Codziennie po zmierzchu pozwalał jej posiedzieć na balkonie i Weronika uwielbiała te chwile. Im dłużej zostawiał ją samą zamkniętą w pokoju, tym bardziej cieszyła się, gdy wracał. Nie rozmawiali, ale czasem zadawał jej jakieś zdawkowe pytanie i badawczo mierzył zielonymi oczyma. Czasem odczuwała paniczny strach, gdy wydawał się jej dziwny i nieprzewidywalny, jak wtedy gdy w środku nocy podał jej szklankę whisky i usiadł obok niej, niemalże opiekuńczo pytając, czy da radę zasnąć. Przestała analizować, co czuje i dlaczego, skupiła się tylko na tym, że żyje i jej życie nie jest koszmarem. Wydawało się, że jak długo będzie posłuszna i nie będzie “robiła głupstw” ma szansę na przeżycie i być może kiedyś się stąd wydostanie. Ktoś przecież musiał jej szukać. Zdarzało się jej, gdy spędzała samotne godziny zamknięta w pokoju, wyobrażać sobie, że do mieszkania wchodzi policjanci, że jest uratowana i może wrócić bezpiecznie do domu. To było jak film, który kręciła we własnej głowie, odgrywała w kółko tę samą scenę własnego ocalenia i moment aresztowania mężczyzny. Ale nawet w jej

wyobraźni patrzył na nią uważnie i doznawała dziwnego ścisku w żołądku, zdając sobie sprawę, że do tej pory nie wyrzucił jej żadnej krzywdy, poza tą, że nie wypuścił jej na wolność. Na dnie jej serca powoli kwitło trudne do określenia uczucie do mężczyzny, na którego była skazana, uczucie wdzięczności i lęku, niepewności i zależności. Weronika pozwalała mu rosnąć, jak gdyby ono było jej drogą do przetrwania.

Wieczorami, gdy w ciemnościach siadali na balkonie, by wdychać chłodne nocne powietrze i słuchać odgłosów żyjącego w dole miasta, Weronika próbowała obserwować mężczyznę, zgadywać jego uczucia, jego imię, jego przeszłość. Istniała między nimi niema nic porozumienia, jakby każde z nich posłusznie odgrywało przydzieloną mu rolę. Panująca między nimi cisza, do złudzenia przypominała Weronice rodzaj intymności, w której dwoje ludzi przebywa obok siebie i komunikuje się bez potrzeby używania słów.

Pewnego dnia wychodziła rano z łazienki, gdy zadzwonił jego telefon. Nie widział jej, gdy przechodziła przez hol i odebrał telefon szorstkim głosem.

– Luke. – Zapanowała chwila ciszy. – Tak, pamiętam.

Nie słyszała dalszej części rozmowy, ale przez resztę dnia powtarzała w myślach jego imię, aż zaczęło brzmieć znajomo. Mężczyzna miał więc nie tylko twarz, ludzkie odruchy, ale też imię.

Luke wrócił do mieszkania późnym popołudniem. Była środa, początek czerwca, odwiedził parę miejsc, gdzie regularnie odbierał kasę dla Gera. Cały dzień powietrze było duszne i ciężkie od wilgoci i dopiero teraz zaczął zrywać się silny wiatr zwiastujący pierwszą prawdziwą letnią burzę. Mokry od potu materiał koszuli lepił się do jego wilgotnej skóry i Luke od progu ściągnął ją przez głowę bez rozpinania guzików. Zdjął buty i skarpetki i na bosy przeszedł przez apartament, otwierając wszystkie okna. Spojrzał na drzwi sypialni i po chwili wahania otworzył je. Wypuścił dziewczynę do łazienki, cierpliwie czekając na swoją kolej, żeby wejść pod prysznic. Kiedy wreszcie kwadrans później stał w

strugach letniej wody zmywając z siebie pot i zmęczenie, bezwiednie i odruchowo myślał o niej. To był jego rytuał ostatnich dni. W jej obecności starał się trzymać chłodny dystans, nie patrzeć w jej kierunku, nie myśleć o niej, nie doprowadzać siebie do szaleństwa. Co wieczór po zmroku pozwalał jej posiedzieć z sobą na tarasie. Przyjmowała tę ofertę z widoczną wdzięcznością i nic nie mówiąc, siadywała w kącie na ziemi, w miejscu, które wskazał jej za pierwszym razem. Próbował nie zwracać na nią uwagi, zwykle sączył swoją wodę z kostkami lodu lub wypalał papierosa, w ciszy obserwując miasto. Jednak czasem kątem oka widział, że unosiła twarz i przymykała oczy, wiatr rozwiewał kosmyki jej włosów, a jej piersi unosiły się w głębokim oddechu. Unikał patrzenia na nią, bo zwykle nie mógł oderwać wzroku, jakby było w niej coś hipnotyzującego, jakby działała na jego spojrzenie jak magnes. Ale w ciszy nocy, gdy spała zwinęta pod kocem, Luke często podchodził do materaca i przyglądał się jej, rejestrując w pamięci wszystkie najdrobniejsze szczegóły jej twarzy, ledwo widoczne w ciemności. Czasem obserwował ją z daleka, kładł się na boku na brzegu łóżka skąd widział miejsce, gdzie leżał jej materac i zasypiał wpatrzony w nią. Tylko w ten sposób mógł powstrzymać się od przyglądania jej, gdy byli razem. Samotne chwile pod prysznicem spędzał odgrywając w głowie wszystko, co zarejestrował, każdy zapamiętany detal jej twarzy, sposób w jaki podnosiła na niego oczy, brzmienie jej głosu. W strugach wody, z czołem wspartym o chłodną glazurę, schowany przed światem dawał upust swoim pragnieniom, do których nie przyznawał się do końca nawet przed sobą. Wolał jednak to niż wizyty u Karen, gdzie jego frustracje jedynie rosły. Wiedział, że to chora obsesja, której kres musi nadejść wcześniej lub później. Tego popołudnia był wyczerpany. Pozwolił wodzie zmyć trud dnia i myślał o nadchodzącej burzy, która oznaczała, że ich wieczorny rytuał nie dojdzie do skutku. Zakręcił wodę i wytarł się szorstkim ręcznikiem. Nie przyniósł nic ciepłego do jedzenia, więc oboje musieli dziś zadowolić się kanapkami. Miał za to dla niej małą niespodziankę.

Założył lekkie szare lniane spodnie i białą cienką koszulę, której nie zaplął i wyszedł z łazienki. Zatrzymał się zaskoczony, gdy zauważył ją w holu opartą o ścianę, jakby na niego czekała. Zawsze wracała na swoje miejsce i nigdy nie opuszczała go bez pozwolenia. Spojrzał na nią pytająco.

– Szwy. Trzeba je wyjąć na czas, inaczej wrosną, będzie je trudniej usunąć i zostanie blizna – powiedziała i miał wrażenie, że się rumieni.

Zupełnie o tym zapomniał i skinął głową, otwierając przed nią drzwi łazienki. Z kuchni chwycił stołek i surowo nakazał sobie spokój. Z górnej szafki podał jej ponownie metalowe pudełko i ukradkiem patrzył jak myje ręce nad umywalką. Miała zaokrąglone biodra i pośladki podkreślające wąską talię i szczupłe ramiona. W jej drobnej sylwetce było coś kruchego i silnego jednocześnie, jakby ta właśnie kruchość była jej siłą. Spuścił szybko wzrok zanim zdążyła podnieść głowę i przyłapać go na przyglądaniu się jej w tak oczywisty sposób. Otworzyła pudełko i wyjęła potrzebne jej przedmioty. Luke ponownie powtórzył sobie, że będzie spokojny i wbił uparcie wzrok w sufit podnosząc głowę lekko do góry, by ułatwić jej pracę. Była tak niska, że gdy siedział na stołku ich twarze znajdowały się niemal na tym samym poziomie i Luke musiał mocno zagryzać zęby, by nie dać po sobie poznać, jakie to robiło na nim wrażenie. Jej palce delikatnie przesuwały się po jego skórze i choć wiedział, że nie była to celowa pieszczota, zasychało mu w ustach i przyjemne mrowienie na karku przesuwało się w dół wzdłuż jego kręgosłupa, jedynie siłą woli powstrzymywał drżenie. Kiedy skończyła, oddała mu metalową apteczkę i wytłumaczyła, że wąskie plastry, które nakleiła mają zapobiec rozejściu się rany i powstaniu blizny. Skinął głową zerkając w lustro.

– Głodna? – zapytał nie chcąc, by wracała na materac.

Pokiwała głową i posłusznie poszła za nim w kierunku kuchni. Wyjął z lodówki dwie porcje kupnych kanapek i podał jej jedną z nich.

Gruba warstwa ciężkich chmur wisiała na niebie i co jakiś

czas słyszeli złowrogi pomruk zbliżającej się burzy. Luke gorączkowo myślał, czym zrekompensować sobie brak ich wieczornego rytuału, lecz zanim zdążył wymyślić coś sensownego, podziękowała mu i wyszła z kuchni.

Zjadł swoje kanapki popijając wodą z kostkami lodu i wpatrując się w ogarniającą miasto ciemność. Czy zauważyła jak na niego działa? Gdyby tak było, już dawno spróbowałaby to wykorzystać, by wydostać się na wolność. Kiedy skończył, wyrzucił pozostałe po kanapkach opakowanie i wyjął z szafki dużą czekoladę. Żeby dodać sobie odwagi wyciągnął butelkę whisky i napełnił szklankę, by po chwili postawić obok drugą, do której nalał alkohol i dopełnił wodą. Za oknem huknął grzmot i o szybę uderzyły pierwsze krople deszczu.

Ze swojego miejsca na materacu Weronika obserwowała ciemne chmury za oknem i zjadała kanapki, które dostała od mężczyzny. W jego obecności czuła się, jak gdyby stąpała po cienkim lodzie, czasem wydawał się szorstki i chłodny, innym razem zaskakiwał ją łaskawością i życzliwym gestem. Nigdy nie wiedziała, czego się spodziewać. Próbowwała zgadywać jego nastrój, szukać zależności między jego zachowaniem a czymś, co zrobiła bądź czego nie zrobiła, ale poddała się. Przyjmowała każdy przejaw ludzkich uczuć z wdzięcznością i choć jego chłód budził w niej zawsze obecny, lecz uspiiony lęk, przyjmowała go jako naturalną część ich układu.

Kiedy więc tego wieczoru, gdy pierwsze krople deszczu zaczęły bębnić o szyby i światło błyskawicy przeszło niebo, stanął w drzwiach ze szklankami w dłoni, Weronika podniosła na niego oczy i przesunęła się na materacu, by zrobić mu miejsce. W pokoju panował półmrok. Mężczyzna podał jej szklankę i rozpoznała zapach alkoholu. Usiadł obok niej, opierając się plecami o ścianę i Weronika po raz kolejny tego dnia ze wstydem przyłapała się na tym, że jej wzrok bezwiednie padł na jego umięśnioną klatkę i brzuch widoczne spod rozpiętej białej koszuli, zarzuconej jakby od niechcienia. Upiła łyk ze swojej szklanki i pozwoliła, by płyn powoli spływał do jej gardła przyjemnie grzejąc

i piekąc. Wiedziała, że potem będzie się jej kręcić w głowie i łatwiej zaśnie niesiona na fali alkoholowego rauszu. Oblizwała wargi i zauważyła jego oczy wpatrujące się w nią spod pochylonej głowy. Weronika wyczuwała to niepokojące napięcie między nimi i ilekroć ich oczy spotkały się, walczyła z dziwnym magnetycznym przyciąganiem, które nie pozwalało jej spuścić z niego wzroku. Za każdym razem dławiący strach ścisnął ją za gardło i obezwładniała pewnością, że długo oczekiwana chwila ma nastąpić właśnie w tym momencie – coś osaczającego w jego oczach pchało ją ku niemu. Weronika przeżyła gwałt, i wiedziała, że jest tu nie bez przyczyny. Żaden z życzliwych gestów mężczyzny nie odwrócił jej uwagi od faktu, że jest niewolnicą i choć nie rozumiała jego zachowania, była pewna, że wcześniej czy później zażąda zapłaty za swoją łaskawość. I tym razem Weronika chciała być gotowa. Nie chciała, by ją zaskoczył, by wziął ją znienacka, by tracąc równowagę znów doznała szoku spadania w otchłań. Jakaś część jej umysłu pogodziła się z rzeczywistością i pragnęła jedynie przeżyć i zminimalizować straty. Bywało, że to czekanie doprowadzało ją do szaleństwa i spychało na granicę desperacji. I gdy tak siedzieli sącząc powoli whisky i nasłuchując huku grzmotów, porywów wiatru i deszczu stukającego o szyby, Weronika chciała mu powiedzieć, by zakończył wreszcie tę niemożliwie wyczerpującą grę. I wtedy on podał jej czekoladę. Przyglądała się podarunkowi mrugając oczyma i nabierając głośno powietrza w płuca. Czekolada zamiast wolności. Czekolada zamiast gwałtu. Jak ma zrozumieć reguły w tej zupełnie dla niej nowej rzeczywistości? Podziękowała posłusznie i połamała czekoladę na kawałki, by go poczęstować, ale pokręcił głową.

– To dla ciebie – powiedział i przyglądał się jej, gdy włożyła kawałek czekolady od ust.

Burza rozszalała się na dobre i gdy kładli się spać wiatr huczał za oknem, deszcz walił o szyby i co jakiś czas błyskawica rozjaśniała ciemność. Weronika czuła przyjemny szum w głowie i senność opanowała ją szybko. Leżała wtulona w materac, okryta kocem. Burza przyniosła ochłodzenie. Mimo zmęczenia nie mogła

zasnąć głębiej, raz po raz wyrywana ze snu odgłosami grzmotów za otwartym wciąż oknem. Gdy usłyszała jego kroki, myślała, że wychodzi do łazienki. Jej powieki były zbyt ciężkie, by je otworzyć. Kiedy więc poczuła jego dłoń na swoich włosach, paraliżujący prąd strachu przeszedł przez jej ciało i umysł, myśl jak błyskawica przeszła ją: teraz. Jego gest był jednak czuły i delikatny, jak gdyby nie chciał jej zbudzić i Weronika postanowiła czekać i nie drgnąć.

Zasnął nad ranem, gdy ucichła burza, nie spodziewając się, że prawdziwa nawałnica dopiero się zbliża, bezgłośnie i pod przykryciem pozornego spokoju.

Obudził go dźwięk telefonu. Kiedy na wyświetlaczu zobaczył imię Gera, zerwał się z łóżka i wyszedł na taras. Na zewnątrz panował poranny chłód.

– Luke. – Odebrał telefon schrypniętym głosem.

– Obudziłem cię? – W głosie Gera brzmiało rozbawienie. – Jak tam mijają ci długie wakacje w Rotterdamie?

– Nieźle. Przy okazji przymusowego odpoczynku, odebrałem dla ciebie kasę u regularnych klientów. – Luke próbował ukryć zaspany głos. Świeże powietrze działało lepiej niż kawa.

– I narobiłeś bałaganu w Jet Lag.

Luke otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale Ger wziął go z zaskoczenia i nie był przygotowany na tę rozmowę.

– Gość zameldował, kurwa, problemy dzielnicowemu. – Ger roześmiał się tym swoim chrapliwym śmiechem. – Szkoda, że nie wiedział, jakie mam, kurwa, układy z dzielnicowym. On chyba myślał, że ci chłopcy w mundurkach bawiący się w policjantów i złodziei to jakieś pieprzone FBI. Za dużo się, kurwa, filmów naoglądał.

– Dzwoniłem do ciebie. – Luke starał się ukryć zażenowanie, nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się zabrać roboty.

– Wiem, wiem, nie mam ci za złe, Luke, każdemu się zdarza. Nie po to do ciebie dzwonię zresztą. – Ger chrząknął. – Wygląda na to, że sytuacja się uspokoiła. Możesz się pakować i kończyć wakacje. Kolejny transport rusza za trzy dni ze stałego miejsca.

Dasz radę dostarczyć towar?

Luke poczuł jak zalewa go fala gorąca i dziwna mgła zakrywa mu oczy. Przez chwilę nie był w stanie wydobyć z siebie głosu ani zaczerpnąć powietrza w płuca, jakby coś ciężkiego spadło mu na klatkę piersiową.

– Luke?

– Tak – wydusił z siebie próbując zatuszować drzenie w głosie. – Dostarczę towar na stałe miejsce.

– W porządku. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś na wakacjach. Jak stoją sprawy w Londynie?

– Wszystko pod kontrolą – odpowiedział, ale jego myśli krążyły już zupełnie gdzie indziej.

Rzucił telefon na jeden z tarasowych foteli i odwrócił się w stronę miasta. Przesunął dłonią po krótko zgolonych włosach i zacisnął dłonie na metalowej poręczy balustrady.

Powietrze było rześkie i chłodne, wiatr nadal wiał mocno, miasto u jego stóp wrzało już dźwiękami nowego dnia. Luke czuł wirowanie w głowie, nagle zupełnie obudzony, szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w horyzont.

Tak, kurwa, świetnie się bawił na przymusowych wakacjach. Przymknął na chwilę oczy i próbował opanować niemożliwe drzenie w środku ciała, jak gdyby przez jego organy przeszedł wstrząs, który pozostawił wszystko rozedrgane i osłabione. Ogarnęło go uczucie bezsilności i Luke pamiętał dokładnie, kiedy ostatni raz tak się czuł. Twarzy młodego lekarza, który ze współczującym uśmiechem przekazał mu informację o stanie zdrowia matki, nie zapomni nigdy. “Nic więcej nie da się zrobić”. Jego głos rozpoznałby nawet dziś, choć minęło ponad dziewięć lat. Nie zapomina się kogoś, kto jednym zdaniem przewraca ci życie do góry nogami i sprawia, że czujesz się mały i niezdolny do niczego.

Otrząsnął się z bolesnego wspomnienia. Wziął głęboki wdech i głośno wypuścił powietrze z płuc. Musiał wziąć się w garść, to przecież nie był koniec świata. Dobrze wiedział, jak to wszystko miało się skończyć, innej opcji nigdy nie było i nie ma. Nagle

zrobiło mu się zimno i nie wiedział już, czy to poranny chłód, czy lodowate myśli przepływające przez jego niedospaną głowę. Trzy dni. Tyle miał czasu, żeby skończyć ze swoją obsesją, żeby ją urealnić lub stłumić nim wybuchnie niebezpiecznym ogniem. Trzy dni i dziewczyna zniknie z jego życia i jego mieszkania. Ten taras i ten apartament były jego ulubionymi miejscami i Luke nagle zdał sobie sprawę, że wkrótce zostanie tu sam, ale nic nie będzie tak, jak było, zanim ją tu sprowadził. Wszędzie pozostaną po niej wspomnienia, z którymi będzie musiał dalej żyć, echo jego wstydlivej obsesji na jej punkcie. Uderzyła go myśl, że będzie dokładnie tak, jak w Londynie, w domu jego matki, gdzie każdy mebel, każdy kąt, każdy obraz, każda rysa na ścianie były wspomnieniem o niej, wspomnieniem które go prześladowało, nawiedzało, odbierało spokój. Luke zaklął w duchu, uświadamiając sobie, iż po raz drugi przyjdzie mu zmierzyć się z tą samą sytuacją. Oczyma wyobraźni zobaczył siebie na tym tarasie za trzy dni, z butelką piwa i papierosem, i dotarło do niego, że będzie tu siedział sam, wyobrażając sobie raz po raz, kto ją rżnie i ile za to zapłaci, czy ją biją, czym ją faszerują. Będzie tu siedział, upijał się i zagryzał zęby, wyobrażając sobie jej duże szare oczy puste od narkotyków, granatowe od ciężkich pięści, ubrania porwane przez tych, co nie mieli cierpliwości albo zapłacili tylko za kwadrans, jej blade wargi pęknięte i spuchnięte od nachalnych pocałunków wziętych siłą. Luke schował twarz w dłoniach i poczuł pulsujący ból w skroniach. Trzy dni. Miał trzy dni.

Obudził ją dźwięk telefonu i zaraz potem usłyszała szybkie kroki i trzask tarasowych drzwi. Jeszcze na chwilę przymknęła oczy w półczuwaniu, gdy rzeczywistość okrywa lekka mgła snu i sprawia, że wszystko wydaje się odległe i surrealistyczne. Wróciło do niej wspomnienie wieczoru, jego nagie ciało pod rozpiętą koszulą, słodycz czekolady, delikatny dotyk jego palców na jej włosach. Weronika pozwoliła myślom dryfować na powierzchni snu, uciekając od jawy, zaczęła fantazjować, że zamiast na rzuconym w kącie materacu, leży na jego dużym łóżku, że jest tu z

własnej woli, jako gość. Wyobraziła sobie, jego umięśnioną klatkę i dotyk jego palców na swojej twarzy i włosach. Czy pokochałby dziewczynę taką jak ona, czy ona pokochałaby kogoś, kto wraca do domu późnym wieczorem z rozbitym łukiem brwiowym pełnym odłamków szkła? Jej myśli krążyły wokół jego zielonych oczu. Jak patrzyłyby na nią, gdyby jej pragnął? Czy byłoby w nich mniej groźby, chłodu, osaczenia? Jak echo wróciło do niej jego imię. Luke. Luke. W półśnie jej usta bezwiednie śledząc ślad jej myśli wyszeptały jego imię. *“Luke”*.

Stał w drzwiach swojej sypialni patrząc na jej ciało pogrążone we śnie, spokojną twarz, spadające na oczy niesfornie kosmyki włosów. Jej usta poruszyły się w bezgłośnym najpierw szepcie, po czym nim zdążył pochylić się, by usłyszeć lepiej, wyszeptały znów, tym razem wyraźnie. *“Luke”*. Wpatrywał się w nią z ustami otwartymi z zaskoczenia i ciepły prąd zelektryzował jego myśli. Jego imię w jej ustach brzmiało miękko, jakby należało do nich od zawsze, jak gdyby tam było jego miejsce. I Luke zdał sobie sprawę, że to był moment, gdy podjął decyzję, która miała na zawsze zmienić jego życie.

VIII

Luke nie był głupi i wiedział, jakie są zasady pracy, którą sobie wybrał. Co miesiąc odkładał pieniądze i zawsze był przygotowany na najgorsze. Pracował dla Gera już ponad osiem lat i zdawał sobie sprawę, że dobra passa nie będzie trwała wiecznie. Wiedział, że Ger sprzedałby własnego syna lub zostawił na pożarcie glinom, gdyby grunt zaczął palić mu się pod nogami. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że musiał liczyć na siebie samego. Miał więc uzbieraną pokaźną sumę, plany na przyszłość i poczucie bezpieczeństwa.

Stał pod prysznicem spłukując z siebie szok i stres i myśląc gorączkowo o tym, co dalej. Miał trzy dni i wiedział, że to zbyt mało, by zorganizować coś sensownego. Musiał się skoncentrować, myśleć jasno i nie dać się ponieść emocjom. Rozważał jak kupić sobie trochę czasu.

Nie zwracał sobie głowy goleniem wczorajszego zarostu. Naciągnął te same lniane spodnie i czystą koszulę i wyszedł z domu, nie oglądając się na dziewczynę. Im mniej na nią patrzył, tym jaśniej myślał. W aucie wyjął telefon z kieszeni spodni i wybrał numer. Ger odebrał dopiero po trzecim sygnale.

– Co jest, Luke? Obudziłeś się już?

– Chcę ją od ciebie odkupić – powiedział nie wdając się w dłuższe wyjaśnienia.

– Poczekaj... Kupić... co? – Słyszał wyraźne zaskoczenie i konsternację w głosie swojego szefa.

– Dziewczynę. Chcę ją od ciebie kupić.

Po drugiej stronie telefonu zapanowała cisza i Luke zastanawiał się, czy nie pociągnął za sznurek za mocno.

– Nie wiem, Luke. – Ger mówił powoli jakby się nadal wahał lub zastanawiał. – Z tego mogą być same kłopoty.

– Dam ci dwa razy więcej niż to, co dostałbyś za nią w transporcie. Zadbam o to, żeby kłopotów nie było.

– Kurwa, Luke, dlaczego ona? Chcesz się zabawić? Zajrzyj

do klubu, kiedy chcesz! Od kiedy w ogóle interesują cię dziwki?
Ile lat dla mnie pracujesz?

Luke zagryzł zęby i zacisnął lewą dłoń na kierownicy. Wolał nie wdawać się w tę rozmowę, ale widać nie było innego wyjścia.

– Osiem lat.

– Właśnie! Osiem lat i ani razu nie widziałem cię w żadnym z moich klubów, ani razu z żadną z moich dziewczyn! Gdybym cię, kurwa, nie znał, zacząłbym myśleć, że jesteś pedałem!

Luke pokręcił głową powoli i poczuł, jak wszystkie mięśnie napinają mu się do bólu. Musiał rozegrać to spokojnie. Nie było już odwrotu.

– Osiem lat i nigdy cię o nic nie poprosiłem.

W słuchawce zapanowała chwila ciszy i po paru sekundach usłyszał głębokie westchnienie.

– Widzę, że się na nią uparłeś.

– Nie muszę się włóczyć po klubach, żeby się zabawić tym, co już zużyte.

Ger zaśmiał się chrapliwie.

– Cały Luke. Znalazłeś sobie osobistą dziwkę.

Luke poczuł krople potu na czole. I czekał cierpliwie, nie naciskał.

– Potraktuj to jako urodzinowy prezent i dopilnuj, żeby nie było bagna. Masz u mnie zniżkę, więc zapłacisz zwykłą cenę, ale kurwa, Luke, jak mi narobisz bagna...

Kropla potu spłynęła mu po plecach. Starał się oddychać regularnie, choć czuł, jakby nie mógł zaczerpnąć powietrza.

– Chcę jej paszport – wyrzucił z siebie.

– O to nie musisz się martwić, dam znać, że dziewczyna nie jedzie z transportem i Raif pozbędzie się papierka.

– Nie, kurwa. Już sprzątałem bagno po tym palancie, ostatnie czego mi trzeba to problemy, jak nie dopilnuje roboty. Sam to zrobię, żeby mieć pewność.

– Jak chcesz. Wieczorem Raif podrzuci ci papier do mieszkania.

Luke odetchnął z ulgą. Poszło łatwiej niż przypuszczał.

– OK. Mam mu podać kasę, czy chcesz, żebym ją osobiście dostarczył?

– Kasa nie zajac. W Holandii będę dopiero po niedzieli. Pożegnali się krótko i Luke otarł mokre czoło wierzchem dłoni.

Siedział w aucie na parkingu obracając telefon w palcach. Kupił sobie trochę czasu, ale wiedział, że to jedynie tymczasowe rozwiązanie, które nie prowadzi donikąd. Teraz, kiedy miał parę dni, może tygodni więcej musiał skoncentrować się i przygotować plan. Była tylko jedna osoba, która mogła mu pomóc i Luke wyszukał w telefonie numer do Saula, który odebrał niemal natychmiast.

– Cześć. Masz chwilę? Mogę wpaść?

Saul był jak zawsze w jednej ze swoich siłowni, ale Luke chciał spotkać się z nim na neutralnym terenie. Wyjechali jego autem z centrum Rotterdamu i Luke ruszył w kierunku Kralingen, części miasta, gdzie znajdowało się niewielkie jezioro otoczone lasem. Zaparkował na dużym parkingu położonym jedynie parę metrów od piaszczystego brzegu jeziora. Wysiedli i w ciszy ruszyli w stronę plaży.

Szli powoli w milczeniu wzdłuż linii wody, pogrążeni w swoich myślach. Pierwszy ciszę przerwał Saul.

– Co jest, Luke? Masz kłopoty, stary? – W głosie Saula brzmiał dobrze skrywany niepokój.

– Chcę, żebyś coś dla mnie załatwił. – Luke odzyskał wreszcie głos.

– Nie ma problemu. Wiesz, jak jest. Mów o co chodzi.

– Potrzebuję nowych papierów.

– Dla siebie? Co się dzieje, Luke? Masz kłopoty? – Saul powtórzył pytanie tym razem nie ukrywając niepokoj.

– Jeszcze nie.

Luke wiedział, że Saul miał wszędzie kontakty, znał odpowiednich ludzi i miał dostęp do wszelkich nielegalnych praktyk, od narkotyków po broń. Poza swoim dobrze rozwijającym się interesem z siłowniami, Saul trenował chłopaków do

nielegalnych walk i cieszył się zasłużoną sympatią ludzi takich, jak Ger, którym dostarczał rozrywki i okazji do zarobienia kasy w zakładach. Saul nadal walczył od czasu do czasu i Luke nieraz miał okazję podziwiać jego szybkość i umiejętności. Nikt nie ściągał marzy z jego dobrze prosperujących siłowni i nikt nie ważył się próbować.

Szli obok siebie wzdłuż linii wody, ramię w ramię i Luke wiedział, że Saul nie będzie naciskał, żeby mówił i wiedział, że musi mu powiedzieć.

– Potrzebuję papierów dla siebie i dziewczyny.

Saul zatrzymał się i spojrzał na Luke'a, osłaniając oczy dłonią przed ostrymi promieniami słońca. Jego czarna zgolona czaszka lśniła w słonecznym świetle. Luke przystanął i wbił oczy w piasek.

– Dziewczyna? – Głos Saula zdradzał kompletne zaskoczenie.

– Potrzebuję dla niej papierów. Najszybciej jak się da. Zapłacę, ile zaśpiewają.

– Muszę mieć zdjęcia – powiedział nadal obserwując go pytającym wzrokiem.

– Wiem, będę je miał dziś wieczorem, może być?

Saul skinął głową, marszcząc ciemne czoło.

– Masz jakiś plan?

Luke wzruszył ramionami nie wiedząc, co odpowiedzieć. Czy miał plan? Do diabła, oczywiście, że miał! Od wody wiał mocny przyjemny wiatr i Luke przez parę minut stał, wpatrując się w przeciwny brzeg jeziora, pozwalając, by powiew wiatru chłodził jego rozgorączkowane myśli. Miał plan. Nie miał tylko pojęcia, czy plan był dobry.

– Dziewczyna? – Saul popatrzył na niego z niedowierzaniem i wsadził ręce w kieszenie dresowych spodni. Luke'owi wydawało się, że pytał bardziej siebie samego niż jego. – Serio? Ale... twoja dziewczyna?

– Nie. – Luke odwrócił twarz w stronę Saula i dłuższą chwilę mężczyźni mierzyli się spojrzeniami w milczeniu.

Saul westchnął odwracając wzrok.

– Luke, jak długo się znamy?

Luke aż skrzywił się mimowolnie słysząc to pytanie i ciasno zagryzł zęby. Co to, do kurwy nędzy, było? Dzień wspomnień i sentymentów? Wszyscy nagle zaczęli sobie przypominać, jak długo i jak dobrze go znali, pewnie nawet lepiej niż on sam siebie i zamierzali go przekonywać, że również lepiej wiedzą, co powinien, a czego nie powinien robić.

– Ponad dwadzieścia lat. – Saul kontynuował swoją krucjatę i Luke czuł, że kurczy się w środku w poczuciu irytacji i osaczenia.

– Dwadzieścia pieprzonych lat i nie przypominam sobie, kurwa, żebyś mi kiedyś o jakiegokolwiek dziewczynie wspominał. A teraz nagle wyjeżdżasz z czymś takim i oczekujesz, że nie będę zadawał pytań.

– Wiesz jak jest. Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie. – Luke kopnął kamyczek czubkiem buta i obserwował jak wpada z pluskiem do wody.

– Wiesz w co się pakujesz? Nie da się inaczej? – zapytał Saul, choć odpowiedź już znał.

– Nie na dłuższą metę.

Saul pokiwał głową i stali tak przez parę minut, patrząc na skrzącą się w słońcu tafłę jeziora i kolorowe żagle windsurferów, sunące z wiatrem po powierzchni wody.

– Idealna pogoda na żagiel. – Głos Saula brzmiał spokojnie i mocno i Luke wiedział, że przyjaciel skończył dociekania i załatwi mu papiery.

Stali obok siebie, patrząc na zmagania surferów z wiatrem i falami i Luke przypomniał sobie ich pierwszy wspólny wakacyjny wypad nad morze w Scheveningen, gdy mieli po szesnaście lat i wielkie marzenia, że kiedyś będą surfować zawodowo. Całe dni spędzali na deskach i Luke okazał się dużo lepszy niż Saul, co do tej pory dawało mu przyjemne poczucie satysfakcji. Życie wtedy było ciągłą rozrywką, serią gier, pasmem wygłupów. Przed oczyma stanęła mu tamta plaża, wysokie fale, roześmiana twarz Saula i dziewczyna, której imienia nie pamiętał, tylko jej zapach i smak,

gdy razem tracili dziewictwo na kocu w niebieską kratkę rozłożonym wśród wydm, gdzie wydawało się, że byli jedynymi ludźmi w promieniu stu kilometrów. I przypomniał sobie jak drżała i jak jej mówił, że ją kocha, niecierpliwie, rozgorączkowanym szeptem, i jak mięła pod jego słowami i dłońmi. I jak następnego ranka wyśmiewali ją z Saulem, że była taka łatwa i naiwna, i jak Saul klepał go po ramieniu z aprobatą i jak nigdy się Saulowi nie przyznał, że czuł się jak ostatnia świnia śmiejąc się, gdy ona płakała, bo lubił to uczucie bycia w niej i jej westchnienia, gdy do niej szeptał. I jak tego lata zaliczył jeszcze parę dziewcząt, ale żadna tak nie pachniała i nie smakowała, ani wtedy ani nigdy potem, jak tamta bezimienna dziewczyna.

Głos Saula wyrwał go z podróży w przeszłość.

– Wpadnę po zdjęcia późnym wieczorem. W porządku?

Luke skinął głową, klepnął przyjaciela po ramieniu i ruszyli w stronę parkingu. Musiał być na czas w apartamencie. Był czwartek.

Wpatrzona w linię horyzontu w oddali, próbowała poukładać myśli i pozbyć się niesmaku do siebie samej. Jej poranne fantazje były definitywnie oznaką zbliżającego się szaleństwa. Weronika czuła się zmieszana kierunkiem, w którym zmierzały jej emocje. Wolą go nienawidzić, czuć do niego odrazę, złość, bać się go panicznie. Wydawało jej się, że to jedyne właściwe uczucia w stosunku do człowieka, który odebrał jej wolność. Czy byłoby jej jednak łatwiej żyć i znieść samotność i niepewność każdego dnia? Czy rodząca się sympatia do mężczyzny pomagała jej podtrzymać wąty płomyk nadziei? A może po prostu ułatwić jej to, czego obawiała się najbardziej i co w końcu musiało nadejść? Przygryzała zębami paznokciec kciuka i desperacko tłumaczyła się przed samą sobą. Jej długie rozmowy z własnym alter ego wprawiały ją w konsternację i poczucie kompletnego rozdwojenia. Z jednej strony miała pełną świadomość swojej sytuacji, którą widziała jasno i wyraźnie: została zgwałcona, porwana, po czym przetrzymywana wbrew swojej woli, żyła w niepewności, co się z nią stanie, jaki jest cel jej pobytu tutaj, czy ma szansę na przeżycie,

czy jest skazana na rychłą śmierć, czy może na życie w bólu, strachu i upokorzeniu. Z drugiej strony w niewytłumaczalny sposób czuła się w tej izolacji bezpieczna i chroniona i myśl o jakiegokolwiek zmianie wydawała się niemal tak przerażająca jak myśl o braku zmiany. Bywały chwile, że chciała walić głową w ścianę i zedrzeć z niej farbę paznokciami, krzyczeć i wyć. Cisza i samotność sprowadzały ją na skraj szaleństwa, a własne niczym niepowstrzymywane myśli, jak sępy krążyły nad jej głową, co chwilę obniżając lot, by trącać ją ostrymi dziobami. Czasem to własnych myśli bała się najbardziej.

Podniosła z podłogi zawinięte w papier kawałki czekolady i włożyła jeden do ust. Jej myśli swawolnie powędrowały w przeszłość rozgrzebywać rany. Wspomnienie Maartena i ich pierwszej wspólnej czekolady wróciło boleśnie. Otrząsnęła się z myśli o nim i próbowała skupić na czymś innym, ale miała dziwne poczucie, że jej życie zatoczyło magiczny krąg od jednej czekolady do drugiej. Wspomnienie twarzy Maartena rozmywało się w jej pamięci, traciło ostrość, im intensywniej Weronika próbowała sobie przypomnieć, tym gęstsza mgła je okrywała i w to miejsce znów otwierały się ku niej uważne zielone oczy. Był tam, w jej głowie, w jej myślach, w jej wspomnieniach, na jawie i we śnie, zawsze obecny, zawsze czujny, jak pies wartownik o zielonych oczach, nieruchomy, zastygły, gotowy do ataku. Pragnęła go wypchnąć ze swojej głowy, ale nie mogła mu się oprzeć, nie potrafiła mu odmówić jego milczącej obecności w jej umyśle.

Powoli wtapiał się w nią, tkanki zrastały się, tworząc jeden oddychający organizm, dziwny twór, hybrydę dwóch żyć, karmioną strachem i napięciem. Weronika była jej częścią i powoli akceptowała fakt, że każda próba rozerwania zrosniętych tkanek, skończy się powstaniem krwawej rany, zakażeniem, które rozejdzie się z krwią po całym organizmie. Pozwoliła więc zielonym oczom, by przejęły kontrolę nad jej zmęczonym umysłem, zaszczepiły iluzje niczym lek immunosupresyjny, by zapobiec odrzuceniu nowego organu w jej głowie. Poddała się z

ulgą i obezwładniającym poczuciem, że choć przegrała starcie z samą sobą, wygrała spokój ducha i zgodę na własny los. Nie przypuszczała nawet, że jeszcze tego wieczoru jej pozornym spokojem zakołysze mały sztorm i wstrząs jak ruch tektoniczny wytrąci ją z iluzorycznej równowagi.

Luke siedział w kuchni z laptopem, gdy zadzwonił domofon. Rosalie była w drodze na górę i Luke rozejrzył się nerwowo. Drzwi sypialni były otwarte i przez chwilę patrzył na nie, wahając się, czy je zamknąć, ale nim zdążył podjąć decyzję, rozległo się pukanie do drzwi.

Przywitała się uprzejmie jak zawsze i niemal od razu zabrała do przygotowania niezbędnych jej rzeczy. Luke widział, że zerknęła w stronę sypialni i próbował odczytać reakcję z jej twarzy. Kierowany impulsem poprosił ją do kuchni i gdy weszła za nim zapytał, czy robi regularne zakupy i gdy przytaknęła, przez chwilę zmieszany, Luke ciszej niż zamierzał poprosił ją, by zapytała dziewczynę, czego potrzebuje. Zauważył zdziwienie w jej twarzy i choć nie był pewien, wydawało mu się, że również cień ulgi.

Pracował z laptopem na tarasie, żeby nie utrudniać jej wykonywania obowiązków. Odpowiedział na całą litanię e-maili od Dany i sprawdził stan swoich obu kont. Musiał wiedzieć, ile dokładnie udało mu się odłożyć. Większą część gotówki przechowywał w sejfie. Nie miał pojęcia, ile będą kosztować fałszywe papiery.

Kiedy dwie godziny później Rosalie przyniosła mu listę, żeby ją zatwierdził, zauważył, że na samym końcu dopisała bieliznę. Podziękował jej i wyszła, a on przez chwilę patrzył na skrzące się w słońcu wody rzeki i po raz kolejny zadawał sobie to samo pytanie, było jak natrętna piosenka tkwiąca w jego głowie, którą nuci się bezwiednie i nieświadomie. Co on, do cholery, robi?

Raif był Marokańczykiem z drugiego pokolenia emigrantów i aroganckim dupkiem z szerokim uśmiechem i ciemnymi zuchwałymi oczami. Jego czarne, krzaczaste brwi, które prawie łączyły się nad nasadą nosa, unosiły się często, gdy uśmiechał się

lekceważąco. Luke nie mógł znieść jego obecności dłużej niż kwadrans bez uczucia irytującego swędzenia w dłoniach, które aż rwały się, by poprzestawiać palantowi parę kości. Zwykle próbował ignorować jego bezczelne odzywki i prowokatorskie zaczepki i wyobrażać sobie, że gość jest po prostu powietrzem, śmierdzącym stęchłym powietrzem, na które wystarczy dmuchnąć, by ulotniło się i zabrało swój smród w przeszłość.

Luke wiedział, że to Raif zanim otworzył drzwi, sam nie był pewien, czy najpierw poczuł zwiastujący kłopoty smród, czy usłyszał głośne kroki i natarczywe walenie do drzwi.

Otworzył i stanął z nim twarzą w twarz.

– Co do kurwy, Luke? – Raif zaczął nie tracąc czasu na przywitanie. – Znalazłeś sobie chłopca na posyłki?

Oparł się ramieniem o futrynę drzwi i wykrzywił usta w kiepsko udawanym uśmiechu odsłaniając zęby, jak warczący pies.

– Jak tam nasza laleczka? Spodobała ci się, co? – Raif zaśmiał się chrapliwie i Luke poczuł znajomy swędzący prąd wzdłuż ramion. Rozejrzał się po korytarzu, po czym jednym zwinnym ruchem chwycił poły jego skórzanej czarnej kurtki i wciągnął go do mieszkania zatrzasnąwszy drzwi stopą.

– Będzie nasza jak się dołożysz do zapłaty. – Nie rozluźnił uścisku i trzymając nadal kołnierz kurtki w garści wbił mu wierzch pięści tuż pod gardło uniemożliwiając swobodne oddychanie. Raif próbował się wyswobodzić, oddychając chrapliwie. Luke drugą ręką rozchylił kurtkę i wyjął czerwoną książeczkę wystającą z bocznej wewnętrznej kieszeni, po czym rozluźnił uścisk.

– Kurwa! – Raif wrzasnął chrapliwie poprawiając kurtkę i stawiając krok w stronę Luke'a. – O co ci chodzi, człowieku?! Przyniosłem ci ten pierdolony papier!

Luke otworzył paszport. Należał do dziewczyny, jej zdjęcie patrzyło na niego dużymi szarymi oczyma. Weronika. Przeczytał i imię wryło się w tkanki jego ciała, zapisało się w każdym najmniejszym zwoju nerwowym, wsiąkło w osocze i krew, popłynęło przez jego umysł i ciało. Weronika. Odwrócił się do Raifa i zauważył jego zaciekawione spojrzenie w kierunku lekko

otwartych drzwi sypialni. Uczucie obrzydzenia i irytacji zmieniło się we wściekłość i Luke poczuł mrowienie na karku i napięcie w mięśniach.

– Spierdalaj stąd – wysyczał cicho.

Raif zdawał się nie wyczuwać niebezpieczeństwa i zrobił dwa kroki w kierunku sypialni.

– Możemy się podzielić kasą albo zapłacę ci za jeden raz. – Oblizwał wargi i obrócił się w stronę Luke'a z uśmiechem kogoś, kto ma pod nosem smakowity kąsek.

Luke wymierzył cios. Poczul pod pięścią twardą kość policzkową przeciwnika. Raif zatoczył się w kierunku ściany, ale nie upadł. Kolejny cios zwałił go z nóg i Luke rozprostował palce dłoni.

– Teraz będziesz musiał mi zapłacić za dwa razy – warknął, po czym otworzył drzwi wyjściowe.

Raif podnosił się z ziemi, dłonią sprawdzając wyrządzone na własnej twarzy szkody.

– Popierdoliło cię, człowieku – powiedział kierując się w stronę drzwi – odbiło ci, kurwa, na punkcie jakiejś jebanej dziwki.

Luke mimowolnie zacisnął pięść i uniósł ją gotową do działania, ale Raif odchylił się zapobiegawczo i wytarł rękawem cieknącą mu z wargi i nosa krew.

– Spierdalaj. – Warknął zaciskając dłoń na klamce i gdy Raif przekroczył próg, Luke pchnął drzwi używając całej swej wściekłości, a po mieszkaniu rozniósł się huk.

Przez chwilę stał z czołem wspartym na chłodnej powierzchni drzwi, ściskając w dłoni paszport. Weronika. Mógł ją przecież po prostu zapytać o imię. Raif miał rację. Odpierdoliło mu. Nie myśli jasno i nie myśli wcale. Poniosło go. Mógł po prostu odebrać paszport i trzasnąć mu drzwiami przed nosem, zamiast dać się sprowokować. Zagryzł zęby i przymknął oczy. Popełnił błąd, odsłonił karty i od teraz gra będzie trudniejsza niż przypuszczał.

Pamięć jest dziwnym zwierzęciem. W ciągu dnia żyje na powierzchni jaźni, nocą poluje ukryta w ciemnych tunelach

podświadomości. Bywa, że atakuje ostrością detali, których nigdy pamiętać się nie chciało, odbiera spokój podchodząc zbyt blisko, aż czuć jej oddech. Innym razem w najgłębszym z tuneli ukrywa wspomnienie, jak kości lub ochłap zostawiony na gorsze czasy. Czasem jakiś niepodziewany tektoniczny wstrząs odsłania zawartość tunelu i stajemy twarzą w twarz z gnijącą pozostałością, przerażeni jej istnieniem i nagłym objawieniem.

Weronika usłyszała walenie do drzwi. Było w nim coś gwałtownego i agresywnego i przez chwilę sceny z jej fantazji stanęły jak żywe przed oczami i niemalże uwierzyła, że oto dobija się do nich brygada antyterrorystyczna. Przesunęła się na koniec materaca, by być bliżej otwartych drzwi pokoju. Kiedy Luke otworzył, wiedziała już, że to nie był dzień jej ocalenia. Usłyszała szamotaninę, głosy rozmawiające po niderlandzku i zaraz potem wzbudzony chrapliwy głos, który postawił wszystkie włosy na jej ciele jak elektryczny szok. Zastygła w bezruchu, w bezoddechu. Jej wyostrome strachem zmysły rejestrowały każdy dźwięk. Jej oczy widziały przed sobą twarz mężczyzny, do którego należał podniesiony głos i to wspomnienie rozsadzało jej głowę ostrością wizji. Panika jak żelazna obręcz zacisnęła się wokół jej żołądka i płuc, każąc jej walczyć o każdy atom tlenu, który zdołał przyjąć jej sparaliżowany organizm. To był on! Poczowała na wargach jego słońa ciężką dłoń i jego gorący oddech na szyi. Wezbrała w niej fala mdłości. W otumanionej lękiem głowie krążyła jedna myśl, jak wycie syreny alarmowej. Znalazł ją i przyszedł po nią. Nie wiedziała, ile dzieli ich metrów, ale nawet z tej odległości czuła ciężar jego ciała na swoim. Jakaś tama pękła w jej przerażonym umyśle i Weronika zacisnęła palce na krawędzi materaca czując, tak jak wtedy, mocny chwyt na swoich nadgarstkach. Spod opadającej mgły wyłoniła się twarz jej drugiego oprawcy, blondyna o podłużnej twarzy i niebieskich oczach pod przydługą grzywką, wypadającą spod kaptura czarnej bluzy.

Nikt po nią nie przyszedł. Drzwi zamknęły się z hukiem i zapanowała cisza, w której jej myśli jak lawina toczyły się niczym niekontrolowane. Niebezpieczeństwo było blisko, ale małeńki azyl

jej materaca pozostał nietknięty i bezpieczny. Mężczyzna, który ją tu przetrzymywał nie był drugim oprawcą z tamtego wieczoru i choć wydawało się to co najmniej niewiarygodne, właśnie ocalił ją od gwałciciela. Napięcie odpuszczało powoli i znów mogła zaczerpnąć powietrza w płuca. Jej mięśnie drżały jak po wyczerpującym fizycznym wysiłku. Podkuliła nogi i oparła czoło na kolanach, które objęła ramionami. Kołysała się na boki w swoim kokonie powtarzając w myślach kojącą mantrę: wszystko będzie dobrze, wszystko musi być dobrze.

Luke wyjął z lodówki dwie butelki piwa i wyszedł na taras. Zbliżała się jedenasta i niebo pełne było gwiazd. Saul siedział rozparty w jednym z foteli i palił jointa. Wziął od niego jedną z butelek i pociągnął spory łyk. Luke oparł się o balustradę i dłuższą chwilę patrzyli na migoczące światłami miasto. Saul podniósł wreszcie wzrok i spojrzeli na siebie. Pokręcił głową z dezaprobatą, jakby sam do siebie i Luke poczuł napięcie w szczęce. Nie miał ochoty rozmawiać, rozgrzebywać, odpowiadać na niezręczne pytania. Nie miał ochoty nikogo widzieć i gdyby nie to, że Saul ma mu załatwić papiery, jego też najchętniej wyrzuciłby za drzwi. W głębi duszy Luke wiedział, że próbuje uratować iluzję, którą sam stworzył, ich mały świat na szczycie wieży, bezpieczny, odizolowany od reszty rzeczywistości, która nagle zaczęła wsączać się do środka maleńkimi szparami. To wszystko było ułudą, obsesją, która doprowadziła go aż tutaj i której nie potrafił się pozbyć. Powoli wszystko traciło znaczenie i zsuwało się stopniowo za zasłonę gęstniejącej mgły. Jego życie zawężało się do jednej twarzy, jednej myśli, jednej ułudy.

– Co za gówno. – Saul zaciągnął się jointem i znów pokręcił głową. – Co za, kurwa, jebane gówno.

Luke zacisnął dłonie na balustradzie. I popatrzył przed siebie, wprost na zacierający się w ciemności horyzont.

– Weronika Wil..t.. c..s.. Jak to się, kurwa, wymawia?! – Saul rzucił paszport na drewniany stół. – Co ty w ogóle o niej wiesz? Nie jest ani odrobinę lepszą dupą od jakiegokolwiek innej, którą mógłbyś mieć. I z jej powodu pakujesz się w takie gówno?!

Luke nabrał powietrza w płuca i przechylił głowę w jedną, potem w drugą stronę, rozciągając mięśnie szyi i odwracając swoją uwagę od rosnącej w nim irytacji.

– Załatwisz mi te papiery? – zapytał starając się ukryć napięcie w głosie.

– Załatwię ci, kurwa, co chcesz. Nie jestem twoją matką, żeby ci kazania prawić, ale...

– Więc nie praw – przerwał mu w pół zdania i przez parę sekund mierzyli się spojrzeniami. Saul zgasił jointa i odstawił butelkę na stół stojący między dwoma drewnianymi fotelami.

– Myślę, że popełniasz błąd. – Głos Saula stał się nagle miękki i śpiewny i Luke nie wiedział, czy to joint czy próba załagodzenia konfliktu.

Zamknął za nim drzwi z ulgą i od razu skierował się do sypialni, żeby wypuścić dziewczynę do łazienki. Wydawała mu się drobniejsza niż zwykle, bardziej przerażona i domyślał się, że wieczorne wizyty Raifa i Saula wyprowadziły ją z równowagi. Chciał, żeby znów popatrzyła na niego z tym spokojem, ale unikała jego spojrzenia i przemknęła holem do łazienki bez podnoszenia głowy. Było za późno, by wyjść na taras i Luke wyciągnął się na łóżku. Usłyszał jej bose stopy na podłodze, gdy wracała na materac. Lubił ten intymny dźwięk i wyobrażenie jej drobnych stóp, które wracało za każdym razem, gdy je słyszał. Leżeli w ciszy i Luke po rytmie jej oddechu domyślił się, że nie śpi. Przekręcił się na bok, na krawędź łóżka skąd mógł widzieć miejsce, gdzie leżał jej materac. W mroku pokoju widział niewyraźne detale jej twarzy i jej oczy wpatrzone przed siebie. Ich spojrzenia spotkały się i żadne z nich nie odwróciło wzroku. Luke poczuł znów cienką, ale wyraźną nić przyciągania i jej szarpnięcia, które odbierały mu oddech. Był pewien, że ona musiała czuć to samo, że w zawieszynie ciemności, pod przykryciem nocy, ich spojrzenia prowadziły rozmowę. Odruchowo podniósł się, kiedy usiadła. Widział, że wahała się, nie patrząc na niego, a potem powoli niesiona odgłosem bosych stóp na posadzce podeszła do łóżka i Luke przesunął się robiąc jej miejsce. Zdawało mu się, że

noc zaciera wszystko: emocje, różnice, lęki, myśli, łatwiej jest przyznać się do słabości, zaakceptować pragnienia, gdy nie błyszczą w ostrym świetle dnia. Położyła się obok niego i poczuł dreszcz przebiegający po jego ciele. Leżeli twarzami do siebie, podał jej kołdrę, którą się okryła, po czym zwinął resztę i ułożył między nimi jak prowizoryczną barierę, chroniącą resztki jego samokontroli przed nią, a może chroniącą ją samą przed nim. Luke nie był pewien tego ani niczego innego i w sennej ciszy nie dbał o to, co pewne ani o to, co niepewne. Jej oczy nieruchomo wpatrzone w jego, nierealnie rzeczywiste, były wszystkim, co miało znaczenie. Jej bliskość paraliżowała jego zewnętrzną powłokę, podczas gdy wewnątrz jego ciała wrzała gorąca lawa, rozpalając wszystkie zmysły. Luke miał wrażenie, że przestał oddychać tylko po to, by jej nie spłoszyć. Czuł jej zapach i ciepły oddech, w rytm którego falowało jej ciało. Rejestrował każdy szczegół, sposób w jaki trzymała dłoń po głowę, zaokrąglony punkt jej łokcia, linię jej warg, kąt, pod którym zakręcały się jej rzęsy, długą zmarszczkę wzdłuż jej czoła, kosmyk włosów spadający na jej twarz i spoczywający na jej policzku. Luke nie wiedział jak długo trwało zanim jej powieki osunęły się i oddech zwolnił. Czekala go bezsenna noc, która upłynęła zbyt szybko.

To był dziwny impuls, ładunek elektryczny, pchnięcie, silniejsze od niej, które podniosło ją z materaca. Gdyby miała to zrobić z własnej woli, gdyby miała to zrobić siłą własnej woli, nigdy by tego nie zrobiła. Coś innego było jednak odpowiedzialne za jej zachowanie, kryło się w jego oczach i kazało jej być posłuszną. Częściowo nadal pozostawała w stanie szoku. Twarze tamtych mężczyzn nie opuszczały jej cały wieczór, w ciemności słyszała ich natarczywe głosy i oddechy, czuła ich zapach, jak gdyby byli obok. Jak zaszczute zwierzę z oczyma szeroko otwartymi strachem, nieustannie czuwała. Dopiero w stalowym spokoju jego oczu odnalazła ukojenie i w desperacji poszukując schronienia dla skołatanych myśli, ruszyła w jego stronę. Nie rozumiała i nie próbowała zrozumieć. Poddała się instynktowi wierząc, że musi być najlepszą strategią przetrwania. I gdy leżeli

zwróceniu do siebie, oddzieleni jedynie wąskim pasmem nakrycia,
Weronika nie pytała siebie już o nic. Jej myśli tonęły w jego
zielonych oczach, przynosząc jej spokój, ciszę i wreszcie sen,
który zamazał wszystko, jak gdyby nigdy się nie zdarzyło.

IX

Szedł plażą zmagając się z porywami silnego wiatru, który rzucał falami o brzeg w jakiejś niezrozumiałej furii. Spienione szaleństwem żywiołu uderzały całą mocą tuż przed jego stopami, ale Luke szedł dalej, niewzruszony, nieulekniony, odczuwając w sobie tę samą furie, którą widział w szalejącym wietrze. Mrużył oczy, czując pod powiekami piekące ziarenka piasku podrywanego przez podmuch. Próbował osłaniać twarz dłonią i przeć na przód mimo wszystko. Przed sobą w oddali widział spacerującą parę. Szli jak gdyby wiatr wcale ich nie dotykał, jak gdyby kawałek plaży, po którym wędrowali, zamknięty był w chroniącej ich bańce, jak gdyby nie zauważali chaosu wokół, nie słyszeli huku. Luke wyteżył wzrok i jego serce zadrżało i zatrzymało swój bieg, gdy w spacerujących postaciach rozpoznał sylwetki rodziców, niebieski płaszcz mamy i jej długi biały szal lekko tańczący na wietrze, jej włosy upięte w kok, szarą kurtkę ojca z wysoko postawionym kołnierzem i ten dziwny sposób, w jaki garbił ramiona. Luke chciał ich zawołać, otworzył nawet usta lecz poczuł w nich jedynie suchy piach i nie mógł wydobyć głosu, choć był pewien, że nie dałby rady przekrzyczeć wiatru. Walczył z żywiołem, zbliżając się do nich krok po kroku, gdy kątem oka zobaczył olbrzymią falę, spienione kołtuny pędzące w ich stronę i nim zdążył wyciągnąć ku nim dłoń, fala uniosła się, jakby rozwierając paszczę i pochłonęła jego matkę, której dłoń jeszcze sekundę wcześniej trzymał jego ojciec. Stali teraz bezradni i przerażeni, daleko od siebie, patrząc na puste miejsce, które pozostawiła, na ślady jej stóp odbite na mokrym piasku. I Luke poczuł wzbierającą w nim furie i wściekłość i gdyby jego stopy nie grzęzły w mokrym piachu podbiegłby do ojca i wykrzyczał mu prosto w twarz. Jak mógł ją tak po prostu bez walki puścić, dlaczego nie trzymał mocniej? Wiatr zdawał się odpowiadać na jego złość i przybierał na sile porywając piach, wodę, kłębiąc się i robiąc uniki. I wtedy przyszła kolejna fala, zgarniając z plaży

sylwetkę jego ojca, po którym nie pozostały nawet ślady butów na piachu. Luke szedł pod wiatr. Nie wiedział dokąd, wiedział tylko, że musi iść, że na końcu plaży coś na niego czeka. Fale z furją spadały przed jego stopami, roztrzaskując się pianą i kroplami wody. Piach drażnił jego gardło i oczy. Ale on musiał iść. I z każdym kolejnym krokiem czuł jak wiatr ustępuje, jak fale zaczynają kołysać się w rytm jego oddechu. Spojrzał przed siebie i zobaczył jak w oddali morze wyrzuca na brzeg drobne ciało, nieruchome, bezładne. Zacerpnął powietrza w płuca, kaszłąc od piachu i zaczął biec. Upadł na kolana tuż przy niej, bezradny, zmęczony, nie wiedząc czy jest martwa czy jedynie śpi. Odgarniał jej włosy z białych policzków i gorączkowo próbował wyczuć jej puls. Wypowiadał jej imię, w kółko to samo słowo, jak modlitwę. Fale, które zabrały jego rodziców, rzuciły mu ją pod nogi, jak kłodę. Lub jak szansę. Luke chciał jedynie, by otworzyła oczy.

Obudził się wyczerpany i długo patrzył na sufit, nim jego świadomość nadal walcząca z wiatrem, wróciła na powierzchnię rzeczywistości. Starał się zapomnieć zły sen, ale nadal słyszał w uszach szum fal, czuł piach między wargami, rozgorączkowanie i paniczną desperację i jej mokre kosmyki włosów pod palcami.

Podniósł się na przedramionach i rzucił okiem w stronę kąta, gdzie leżał materac. Nadal spała, jej ramiona unosiły się delikatnie, niemal niewidocznie. Luke patrzył chwilę, jak gdyby rytm jej oddechu działał na niego hipnotyzująco i kojąco, po czym opadł znów na łóżko i zamknął oczy. Minał ponad tydzień od tamtego wieczora, gdy leżała obok niego i Luke każdej nocy zasypiał fantazjując o niej i przywołując każde zarejestrowane wspomnienie, aż stawała przed oczyma jego wyobraźni tak kompletna i żywa, że mógł jej dotknąć opuszkami palców.

Dni wykorzystywał na realizację swego planu. Zlikwidował konta i przeliczył gotówkę z sejfu. Zapłacił Gerowi za dziewczynę i zniósł z chłodnym uśmiechem jego żarty na temat transakcji. Uczynił Danę współniczką swojej firmy i spisał wszystkie konieczne wskazówki. Przełał pieniądze za trzy kolejne miesiące wynajmu apartamentu i wypełnił formularz rezygnacji najmu.

Każdy dzień utwierdzał go w przekonaniu, że nie ma innego wyjścia, choć nie był w stanie wyjaśnić, skąd miał tę pewność.

Wychodził z mieszkania rano i wracał wieczorem. Celowo unikał jej obecności i bliskości, która odbierała mu jasność myślenia, zdolność do zachowania dystansu, w zamian wypełniając go dziwnym drżeniem, niezrozumiałą ekscytacją, z którą nie potrafił lub nie chciał walczyć.

Wieczorami otwierał drzwi tarasu i siadali w ciemności i ciszy, otoczeni rozgwieżdżonym niebem i echem odgłosów miasta, odgradzeni od rzeczywistości, zamknięci w swoim iluzorycznym świecie, gdzie słowa nie były konieczne. Luke wielokrotnie zastanawiał się, co czuła i myślała i bywały chwile, że sącząc wodę z grzechoczącymi w szklance kostkami lodu, otwierał usta, by ją zapytać, ale słowa rozmywały się w ciszy. Miał pełną świadomość swojej obsesji i złudzeń. Było jednak coś silniejszego niż wiedza, że wszystko, czym żyje było ułudą. Pragnienie, które rosło w nim, najpierw jak chwast, nieproszone, niechciane, potem podlewane fantazjami, wrastało w żyzny grunt jego chorych wyobrażeń, pragnienie jej.

Luke leżał w bezruchu, pod zamkniętymi powiekami nadal czuł majaczący sen, jego uszy rejestrowały wiatr szumiący za oknem. Wiedział, że powinien wstać, ale chciał przedłużyć ten przyjemny stan półświadomości. Chwilę później odezwał się dźwięk nadchodzącej wiadomości. Sięgnął dłonią w poszukiwaniu telefonu i odczytał wiadomość od Saula. „Mam papiery”. Luke podniósł się ściskając telefon w dłoni. Musiał zbudzić ją dźwięk telefonu, bo siedziała wsparta na ręce i patrzyła w jego stronę. Wziął telefon i wyszedł na taras jedynie w cienkich spodniach od piżamy i podkoszulku. Chłodny mocny wiatr uderzył go podmuchem w twarz. Wybrał numer do Saula.

– Kiedy mogę je odebrać? – zapytał nie tracąc czasu na zbędne uprzejmości.

– Wieczorem. Na parkingu przed siłownią. Nie wchodź do środka.

– OK. – Rozłączył się i stał jeszcze parę minut pozwalając

zimnym podmuchom wiatru zedrzeć z niego resztki snu.

Był wieczór. Ciepły i wietrzny. Taras zdawał się zawieszony w przestrzeni, jakby nie przylegał do murów budynku. W dole rozciągało się miasto, tętniące, pulsujące milionami światełek; wody rzeki skrzyły się czernią. Wstała i szybkim zdecydowanym krokiem pokonała odległość w stronę balustrady. Nie patrzyła w dół, by widok przepaści nie sparaliżował jej strachem. Chwyliła w dłonie zimną poręcz balustrady i wspięła się na nią przerzucając nogi na drugą stronę i pochylając ciało w kierunku ciemności. Jej palce nadal uczepione chłodnej stali rozluźniły się nagle, powieki przymknęły. Lot ku wolności. I właśnie wtedy chwyciły ją mocne ramiona i przeciągnęły przez barierkę. I choć znów stała stopami na bezpiecznej powierzchni, ramiona nie przestały jej obejmować i nie wiedziała już, czy ją jedynie trzymają, czy już przytulają.

Weronika otworzyła oczy. Siedziała przy oknie oparta plecami o ścianę, oddając się fantazjom, zabijając czas, odwracając swoją uwagę od przerażającej rzeczywistości, wzniecając na nowo płomyk nadziei. Zastanawiała się, jakie to byłoby uczucie być w jego ramionach. Wydawał jej się wysoki i silny, groźny i chłodny. Jego szerokie barki i przedramiona, które odsłaniała koszula sprawiały wrażenie twardych od napiętych mięśni. Zwykle na nią nie patrzył, jak gdyby celowo unikał kontaktu wzrokowego, ale bywały chwile, tak jak tamtej nocy ponad tydzień temu, że ich spojrzenia niemal wczepiały się w siebie i nie potrafiła powiedzieć, ile w jego oczach było groźby, ile chłodu, a ile osaczającej ją przenikliwości. Ilekroć jego źrenice spotykały jej, czuła się schwytna, jak gdyby zielony zarys jego tęczy stawał się niewidzialną obręczą zaciśniętą wokół jej ciała.

Trzy tygodnie. Dwadzieścia jeden dni. Weronika odliczała je nadal, starannie i skrupulatnie notując w głowie. W pełnej akceptacji tego, co tu i teraz, żyła zawieszona w dziwnym spokoju, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest pozorny i kruchy. Spędzała długie samotne dni urządzając wędrówki w głąb umysłu, przywołując wspomnienia, fantazjując. Pozbyła się wszelkich blokad wewnątrz własnej głowy, odrzuciła poczucie wstydu i winy,

zrezygnowała z gniewu, żalu i smutku. Często myślała o mężczyźnie, bezwstydnie i nie próbując nawet udawać, że jest inaczej. Powtarzała w myślach jego imię, smakowała je, rozkładała na czynniki pierwsze, by potem znów je złożyć, wyszeptać, poczuć. W jego obecności czuła iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa, tak paradoksalne, że zadziwiało ją samą. Gdy wychodził, przyłapywała się na tym, że ogarniał ją niepokój i czekała. Czekala na niego każdego dnia. Od tamtej nocy, gdy w geście szaleństwa i desperacji, pchnięta strachem, samotnością i obezwładniającą potrzebą bliskości, położyła się obok niego, coś w niej pękło na dobre. Nie zrobił nic. Podał jej jedynie nakrycie i ułożył je między nimi, jakby chciał ich rozdzielić. Weronika nie rozumiała tego gestu tak, jak nie rozumiała tego mężczyzny ani tego, jaki jest cel jej obecności tutaj. W głębi duszy Weronika wiedziała jedynie, że on jest gwarancją jej przetrwania, jej egzystencji i lgnęła do niego, pragnąc wierzyć, że to wszystko ma jakiś sens.

Dziś rano dostał wiadomość i Weronika, która była jak czujny radar, rejestrujący każdą najdrobniejszą zmianę w jego twarzy, każdy przejaw emocji, widziała wyraźnie, że informacja go poruszyła. Wyszedł wcześniej niż zwykle i została sama ze swoim niepokojem, podwojonym widokiem jego głębszej jeszcze niż zwykle zmarszczki ponad nasadą nosa. Kiedy jego brwi zsuwały się nisko ponad linię powiek, zmrużone oczy przypominały niemal kocie, usta składały się w ciasną kreskę a mięśnie szczęki unosiły napięte, tuż pod powierzchnią jej skóry budził się lęk, podrażniając wszystkie nerwy i zmuszając ją do bezustannego czuwania w oczekiwaniu na najgorsze.

Spędził cały dzień błądząc po mieście. Przeszedł centrum Rotterdamu, zjadł ciepłą kanapkę spacerując zatłoczonymi ulicami. Nie czuł zmęczenia, jedynie dziwny niepokój, który nasilał się, ilekroć zwalniał lub stawał. Szedł więc dalej. Zamówił kawę na wynos w papierowym kubku z plastikową pokrywką. Była tak gorąca, że sparzył sobie język. Wiał silny chłodny wiatr, słońce raz po raz wychodziło zza gęstych ciemnych chmur, by zaraz potem

zniknąć za nimi znowu. Luke szedł pod wiatr, bezwiednie wracając myślami do swojego snu, którego wspomnienie nie opuszczało go cały ten czas. Zastanawiał się, czy jego wędrówka jest pożegnaniem z najbliższym mu miejscem na świecie.

Był późny wieczór, gdy Luke idąc wzdłuż rzeki, wszedł na sztuczną plażę, tego wieczora prawie pustą. Spadały pierwsze krople deszczu i wiatr zaciął coraz silniej. Zamówił szklankę wody z kostkami lodu, zignorował uniesione brwi dziewczyny za barem i skierował się do jednego z ustawionych wzdłuż linii brzegu leżaków z czerwonymi poduszkami. Usiadł i postawił szklankę tuż pod leżakiem. Zapalił papierosa osłaniając dłonią płomień zapalniczki przed podmuchami wiatru. Zapadał zmrok, niebo przykryte było gęstą warstwą chmur. W ciemnych wodach rzeki odbijały się światła miasta. Parę metrów dalej na leżaku urzędowali inni goście plaży, których nie odstraszała pogoda. Okryci kocem całowali się namiętnie i Luke rzucił okiem w ich stronę, ale oni wydawali się nawet nie zdawać sobie sprawy z jego obecności. Przez głowę przemknęło mu, że niegdyś taki widok wywołałby ironiczny uśmiech na jego twarzy i być może znajome przyjemne mrowienie w dole podbrzusza, gdyby dziewczyna była ładna. Dziś odwrócił wzrok i poczuł gorzki smak w ustach. Myśli, przed którymi uciekał cały dzień, dopadły go wreszcie i zaczęły pastwić się nad nim bez litości. Co się z nim działo? Z jego życiem? Dlaczego postanowił zostawić wszystko, zaprzepaścić wszystko? Co takiego było w tej dziewczynie, że obudziła w nim wszystko, co do tej pory uśpione, trwało w hibernacji? Luke oparł łokcie na kolanach i spuścił nisko głowę, pozwalając napiętym mięśniom szyi i karku odpocząć chwilę. Nie chciał tego wszystkiego, nie pchał się w to bagno, cały ten plan nie podobał mu się od pierwszej chwili. Co się więc stało pomiędzy tym wieczorem, gdy brudna, słaba i pobita rzygała i szlochała w jego łazience a dzisiejszym dniem? Co do tego doprowadziło? Czy chodziło o nią samą, czy jedynie o tę sytuację, o fakt, że po raz kolejny miałby stracić kontrolę nad czymś, nad kimś, za kogo wziął – wcale nie dobrowolnie – odpowiedzialność? Czy chodziło

mu tylko o to, by ocalić siebie samego od konfrontacji z pustką i wspomnieniami? Czy o to, że jej pożądał i pragnął ją mieć dla siebie, choć nie mógł? Decyzja w nim zapadła. Niezależnie od przyczyn. Luke przesunął dłonią po zgolonej czaszce i rozejrzał się wokół. Lubił to miejsce, nawet dziś, opustoszałe i smagane wiatrem. Most Erazma wznosił się dumnie w tle. Wypalił papierosa, dopił wodę do końca i zerknął na zegarek na wyświetlaczu telefonu. Dochodziło wpół do jedenastej. Miał jedną nieprzeczytaną wiadomość. „*Widziałam cię w mieście. Masz plany na wieczór? K.*”. Skasował wiadomość, włożył telefon do kieszeni marynarki i ruszył ku wyjściu.

Kiedy wszedł na parking pod siłownią Saula z daleka zlokalizował jego auto. W siłowni nadal paliło się światło. Oparł się o drzwi samochodu i zapalił kolejnego papierosa. Była prawie jedenasta. Czekał jedynie parę minut i wkrótce zobaczył sylwetkę Saula zbliżającą się w jego kierunku. Wrzucił niedopałek do klatki ściekowej i wsiedli do auta w milczeniu.

Saul wyjął niedużą białą kopertę ze sportowej torby i podał ją Luke'owi.

– Masz kasę?

Luke skinął głową, ściskając w rękach kopertę, po czym sięgnął do kieszeni marynarki.

– Drogi interes, wiem. Ale gość jest najlepszy w swoim fachu. Pracował w laboratorium policyjnym. Zwykle doliczam sobie patyka za pośrednictwo, ryzyko zawodowe, sam rozumiesz, ale na przyjaciołach się nie zarabia.

– Dzięki. – Luke podał mu umówioną kwotę i Saul schował ją do kieszeni kurtki bez przeliczania.

Zapanowała niezręczna cisza i Luke zdawał sobie sprawę, że to może być ich pożegnanie.

– Luke, jesteś pewny, że wiesz co robisz? – Saul trzymał ręce na kierownicy i patrzył przed siebie na pusty teren parkingu.

Luke chciał otworzyć usta i powiedzieć mu prawdę, ale skinął jedynie głową. Nie, nie wiedział, co robi, ani nie wiedział do końca dlaczego. Wiedział jedynie, że musi to zrobić.

– Podrzucę cię, ok? – zapytał i ruszyli z parkingu przez ulice miasta.

Na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie i Luke miał zamiar wysiąść, gdy Saul zatrzymał go.

– Luke, gdyby coś... możesz na mnie liczyć, ok? Mam nadzieję, że ona jest tego warta.

– Jest – odpowiedział po prostu z przekonaniem, które zaskoczyło nawet jego samego.

Rzucił kopertę na blat w kuchni i skierował się do drzwi sypialni. Nie było go cały dzień i dziewczyna na pewno musiała iść do łazienki. Weronika. Jej imię przemknęło mu przez myśl. Siedziała przy oknie, z nogami podkurczonymi pod siebie i głową wspartą na kolanach i gdy kazał jej iść do łazienki, skinęła głową i szybko udała się korytarzem w jej stronę. Miała na sobie skarpetki i bluzę. Pokój był chłodny, krople deszczu uderzały miarowo o szyby.

Wyjął z lodówki jej kanapki i nalał sobie szklankę wody. Był zmęczony i głodny, ale miał wrażenie, że jego żołądek nie był w stanie niczego przyjąć. Co chwilę zerkał na rzecz leżącą na blacie kuchni i czuł ukłucie niepokoju w piersi. W tej niewielkiej kopercie kryła się jakaś ostateczność i namacalny dowód jego obsesji.

Położył foliowe opakowanie z kanapkami na materacu dziewczyny, a sam wyciągnął się na łóżku, nie zrzucając ani butów ani marynarki. W dłoni trzymał nadal zamkniętą kopertę. Wsunął ją pod poduszkę, po raz kolejny odkładając na później konfrontację z jej zawartością. To miała być ich ostatnia noc tutaj. Luke próbował opanować chaos w swoim umyśle, kłębowisko myśli, które, gdy tylko jego głowa spoczęła na poduszce, ruszyło karuzelą. Przymknął powieki i skupił się na odgłosach dochodzących z łazienki, wyobrażając sobie ją, gdy zdejmuje ubrania i wchodzi pod prysznic, gdy strugi wody spływają po jej plecach i długich włosach, jej mokre stopy na posadzce. Myśl o niej uciszała sztorm w jego wnętrzu, a jej imię było jak zaklęcie, jak czar rzucony na niego.

Wkrótce usłyszał drzwi łazienki i jej ciche kroki wzdłuż holu, a potem szelest folii w ciemnościach. Dziwne jak oboje funkcjonowali obok siebie w mroku. Jak gdyby światło dnia obnażało coś, czego widoku nie mogli znieść. Jakaś przerażająca prawdę, której Luke nawet w tamtej chwili nie chciał poznać, choć czuł jej gorący oddech na swoim karku i jej cień wiszący nad nim. Może dlatego unikał dziewczyny w ciągu dnia, wymykał się z mieszkania rano, wracał wieczorem, by pod osłoną nocy być z nią, jak gdyby się wstydził lub obawiał, jak gdyby mógł znieść rzeczywistość jedynie w ciemnościach nocy, udając, że to wszystko jest surrealistycznym snem. Jutro miało przynieść zmianę, obrócić wszystko w stronę światła i Luke czuł napięcie narastające z każdą godziną. Jak by to było być z nią, być obok niej w świetle dnia?

Nie wiedziała, czy spał czy tylko leżał w ciemności. Była głodna i niespokojna. Jadła po cichu, skulona w kącie przy ścianie. O czym myślał? Co czuł? Czy coś czuł? Czy był jak kamień, zimny, pozbawiony emocji i pragnień? Weronika wyczuwała dziwne napięcie wiszące w powietrzu, wyczytała je z jego zmienionej twarzy, ze sposobu, w jaki unikał jej spojrzenia, z późnych powrotów. Jeszcze tydzień temu gotowa była uwierzyć, że w jego oczach dopatrzyła się cienia czułości. Dziś czuła jedynie chłód i dystans. Podejrzewała, że coś miało się zmienić i ta myśl porażała ją i dławiła.

Gdy obudziła się następnego dnia, niebo było szare. Wypuścił ją do łazienki i tak jak każdego dnia ostatniego tygodnia wyszedł wcześniej rano, zostawiając ją samą. Spędziła dzień obserwując chmury, szybko przepływające po niebie. Dzień był ponury i wietrzny.

Zapadał zmrok, gdy trzasnęły drzwi i Weronika skurczyła się w sobie. Mężczyzna pozwolił jej wyjść do łazienki, ale gdy z niej wyszła i skierowała się w stronę sypialni, zatrzymał ją i poczuła skurcz w żołądku pod wpływem jego chłodnego spojrzenia.

– Załóż to – powiedział podając jej ciemną plastikową torbę.

Wzięła ją ze sobą do sypialni i tam otworzyła drżącymi

rękoma. Czarne jeansowe spodnie typu rurki, sporo za długie, czarna kurtka i czarne adidas, o rozmiar za duże. Przebrała się szybko z bijącym sercem i wyszła na korytarz, gdzie stał oparty o ścianę, czekając na nią. Patrzyli na siebie w milczeniu i Weronika czuła drzenie wszystkich mięśni i myśli kłębiące się w jej głowie. Chciała wierzyć, że mężczyzna pozwoli jej teraz stąd wyjść, ale w jego twarzy spiętej i nieobecnej, nie mogła odszukać nawet iskry nadziei. Zauważyła, że wziął głęboki oddech.

– Wychodzimy. Masz iść blisko mnie. Schowaj włosy w kurtkę. – Wydawał jej polecenia krótko i zwięźle, rzeczowym opanowanym głosem. – Nie rób niczego głupiego. Rozumiesz?

Skinęła głową. Wyłączył światło w holu i otworzył drzwi wyjściowe. Tak po prostu. Nacisnął klamkę i pchnął je ukazując przestronną klatkę. Weronika przez chwilę stała oniemiała. Tyle razy wyobrażała sobie, że wychodzi tymi drzwiami i nigdy nie przypuszczała, że wyjdzie przez nie w ten sposób. Obawiała się jedynie, że nie czeka ją za nimi nic lepszego od tego, czego doświadczyła w swoim azylu. Obejrzała się za siebie w niemym geście pożegnania z miejscem, w którym spędziła ostatnie trzy tygodnie i ruszyła ku wyjściu.

Szła obok niego w stronę windy, blisko, tak jak jej przykazał. Kiedy drzwi rozsunęły się i weszli do środka odwrócił się do niej i spojrzał na nią krótko.

– Na dole jest portier. Kiedy będziemy go mijać, odwrócisz się i uśmiechniesz.

Skinęła głową. Stał blisko. Ich ramiona stykały się niemal i Weronika próbowała opanować dreszcze, które wstrząsały jej ciałem. Bała się. Ale jakaś jej część drżała z ekscytacji. Drzwi windy rozsunęły się ponownie. Zobaczyła przed sobą nowoczesnie urządzonej przestrzeń, przypominającą hotelową recepcję z obrotowymi drzwiami, wiszącymi żyrandolami i portierem za drewnianym lśniącym blatem. Oszołomiona wrażeniami niemal zapomniała i dopiero gdy poczuła delikatny, ale stanowczy uścisk jego dłoni na swoim przedramieniu, odwróciła głowę i obdarzyła młodego portiera wiodącego za nimi ciekawskim wzrokiem,

przelotnym uśmiechem. Podniosła oczy na Luke'a i przez ułamek sekundy wydawało się jej, że zauważyła cień zadowolenia na jego twarzy. Wyprowadził ją przez przeszklone drzwi i ruszyli w stronę parkingu. Wiał wiatr i było już niemal ciemno. Usłyszała kluczyki brzęczące w jego dłoni i wkrótce krótko błysnęły światła czarnego forda. Otworzył przed nią drzwi od strony pasażera i kazał jej zapiąć pas. Dopiero wtedy wszedł do auta.

Weronika czuła wzbierającą w niej panikę. Nagle nie była pewna niczego. Auto ruszyło ulicami miasta i patrzyła z podziwem na tych wszystkich ludzi śpieszących ulicami, żyjących zwykłym życiem, wolnych. Wkrótce wyjechali na autostradę i auto znacznie przyśpieszyło. Próbowwała czytać wszystkie tablice i domyślać się dokąd jadą, ale nigdy nie była mocna ani w orientacji w przestrzeni, ani w geografii. Nie знаła dobrze Holandii, niektóre nazwy nic jej nie mówiły, a te które mówiły, wcale nie podpowiadały jej, w jakim kierunku zacierają. Patrzyła na mężczyznę, którego napięta skupiona i niemal pełna groźby twarz nie zdradzała, co miało się stać. Weronika czuła się osaczona. Ostatni raz, gdy była w aucie nie wyszła z niego o własnych siłach i to wspomnienie przybierało teraz na intensywności.

– Co ze mną zrobisz? – zapytała w końcu prawie szeptem, nie rozpoznając własnego drżącego głosu.

– Dowiesz się na miejscu. – Jego głos był twardy i opanowany.

Wkrótce potem auto z piskiem opon skręciło z autostrady w boczną drogę. Minęli ulicę jednorodzinnych domów i Weronika widziała światła w oknach, po czym wjechali w opustoszałą drogę biegnącą tuż nad wodą. Było ciemno i opanowało ją głębokie przerażające przekonanie, że z tego auta również nie wyjdzie o własnych siłach. Wywoził ją w ciche wyludnione miejsce. I mógł być tylko jeden powód, dla którego to robił. Spojrzała na jego spiętą twarz i dłonie zaciśnięte mocno na kierownicy. W ciemności nie mogła widzieć jego oczu, ale wyobrażała sobie ich przepastną zieleń, która miała być ostatnią rzeczą, jaką zobaczy przed śmiercią. Zaciśnęła palce w pięści i poczuła ciepłe łzy na

policzkach.

Cały ten czas Luke przekonywał siebie, że to, co robił miało sens. Do ostatniej chwili wbrew wszystkiemu gotów był zrealizować plan. Dopiero w aucie, gdzieś na autostradzie A4, dotarło do niego, że był głupcem. Obsesja przesłoniła mu oczy i odebrała zdolność myślenia. Jej ciche pytanie, zadane drżącym ze strachu głosem, uzmysłowiło mu, że nieważne, co się dalej stanie, ona nigdy nie przestanie się go bać. A on nie mógł zagwarantować jej bezpieczeństwa w ten sposób. Po raz kolejny dał się ponieść impulsom i emocjom. Jak naiwny nastolatek, jak pieprzony bohater roku. Kogo próbował oszukać? Skręcił w pierwszy zjazd z autostrady z piskiem opon i jechał chwilę błędząc po okolicy i szukając ustronnego miejsca, żeby zaparkować auto.

Zatrzymali się nad samą wodą w cichej, pustej ulicy. Wyłączył silnik. Siedział z rękoma na kierownicy wpatrzony w ciemność, rozciągającą się przed nimi i myślał. Słyszał plusk wody uderzającej o brzeg. Wiedział już, że to nie był dobry pomysł. Im bliżej niego była, tym bardziej nie mógł się skupić, był rozkojarzony, popełniał błędy, potykał się o własne chwile nieuwagi. Stała się jego czułym miejscem, jego słabością. Przy niej nie potrafił jasno myśleć, tracił kontrolę nad sobą. Zrozumiał, że w ten sposób byli łatwym celem i szanse na powodzenie jego planu były niewielkie. Wziął głęboki oddech i zacisnął mocno dłonie na kierownicy. Musiał zdecydować szybko, tu i teraz. Nie było już czasu, nie było odwrotu.

Pochylił się i kątem oka uchwycił jej automatyczny odruch cofnięcia się. Pomyślał gorzko, że to właśnie nigdy się nie zmieni. Ze schowka po stronie pasażera wyjął dużą białą kopertę. Przez chwilę patrzył na nią i biorąc ponownie głęboki wdech, wyjął z niej swój nowy paszport i jedną trzecią gotówki. Podał jej kopertę.

– Otwórz – powiedział patrząc nadal przed siebie. Siedzieli w ciemnym aucie. Kątem oka obserwował jej ukrytą w mroku twarz, gdy wyjęła z koperty paszport. Jej wargi otworzyły się bezwiednie, a brwi uniosły w zaskoczeniu, gdy zobaczyła gruby plik gotówki. Odwróciła twarz w jego stronę i dopiero wtedy zorientował się, że

policzki miała mokre od łez. Przez ułamek sekundy poczuł ciężar w żołądku i nim emocje wzięły górę, otrząsnął się szybko. – Musisz słuchać uważnie. To jest od dziś twoja nowa tożsamość. Zapamiętaj szczegółowo wszystkie dane. W kopercie znajdziesz bilet lotniczy i kartkę ze wskazówkami, dokąd masz się udać. Jeśli chcesz żyć, musisz zrobić to, co mówię. Nie próbuj nawet wracać do domu, jeśli coś pójdzie nie tak, tam najpierw będą cię szukać. Jestem pewien, że nie chcesz narażać nikogo, ktokolwiek czeka na ciebie w domu. Rozumiesz? – Spojrzał na nią i widział, że skinęła głową i nie spuszczała z niego wzroku. – Zawiozę cię na lotnisko i od tej pory będziesz musiała radzić sobie sama. Kup sobie walizkę i parę ubrań, w sklepie powiedz, że zgubili twój bagaż. To się zdarza nagminnie, więc nie wzbudzisz podejrzeń. Kłam, zawsze i wszędzie. To twoja jedyna szansa. Jeśli myślisz, że gliny cię ochronią, zapomnij o tym od razu. Nie próbuj kontaktować się z nikim, nie dzwoń, nie wysyłaj listów. Trzymaj się wyłącznie tego, co jest napisane na kartce. Rozumiesz?

Kiwnęła głową. Czuł narastające w nim napięcie.

– Jeśli mimo wszystko cię znajdą, uciekaj. Nie oglądaj się za siebie, nie miej skrępowań, nie wahaj się. Uciekaj. Wszystko będzie lepsze niż spotkanie z nimi. Jeśli cię dorwą to, co już ci zrobili, będzie tylko miłym preludium do tego, co ci wtedy zrobią. Rozumiesz?

Usta nadal miała lekko otwarte, a oczy utkwione w nim. Przytaknęła. Chciał jej powiedzieć, że od tej chwili nie będzie mógł jej chronić, że tylko tyle może zrobić, że tak będzie lepiej. Ale skinął jedynie głową i przez parę sekund pozwolił sobie patrzeć na nią, na ciemny zarys jej poszerzonych strachem oczu, na które opadały kosmyki przydługiej grzywki, na jej prosty nos, na mokre policzki, czerwone drżące wargi. Odwrócił wzrok i zapalił silnik.

Znów wjechali na autostradę i już wkrótce znaleźli się w pobliżu lotniska. Siedziała obok niego z otwartym paszportem w dłoni, studiując go uważnie. Podniosła głowę dopiero, gdy zaparkował auto w najspokojniejszej części parkingu. Zgasił silnik

i kilka chwil siedzieli w ciszy.

– Jak się nazywasz?

– Sonia de Lange.

– Data urodzenia?

– Piąty maja 1990.

– Miejsce urodzenia?

– Delft.

Pokiwał głową patrząc przed siebie. Odpowiadała szybko i pewnie, to mu się podobało.

– Twój samolot odlatuje dopiero za 5 godzin. Postaraj się nie przyciągać uwagi. Idź już.

Chciał, żeby już wysiadła i zniknęła z zasięgu jego wzroku, ale ona z jakiegoś powodu siedziała patrząc na niego i ściskając w dłoni kopertę. Nie chciał albo nie mógł spojrzeć na nią po raz kolejny.

– Idź już! – powtórzył głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Chwyciła za klamkę i pociągnęła, ale nim wysiadła obróciła się ku niemu po raz ostatni.

– A ty? – zapytała cicho.

– Znajdę cię. Idź już. – Ponaglił ją i dopiero, gdy trzasnęły za nią drzwi jego forda, zdał sobie sprawę, co w odruchu napięcia powiedział. „Znajdę cię”. Co to, do kurwy, miało znaczyć? Co chciał jej powiedzieć, a raczej, co zrozumiała? Czy będzie teraz myślała, że będzie ją ścigał, prześladował, że nie zostawi jej w spokoju?

Patrzył na nią, gdy odchodziła szybko, pozostawiając za sobą jedynie odgłos kroków i pustkę. I gdy zniknęła wreszcie z zasięgu jego wzroku, Luke długo jeszcze siedział w pustym aucie pogrążonym w ciemnościach i zastanawiał się, czy zabrała ją kolejna potężna fala życia, znów zostawiając go samego, tym razem z wyboru.

X

Uderzył ją ruch, dźwięki, głosy, tłok, bliskość ludzi. Przez kilka minut stała po prostu jak w środku groteskowej sztuki, gdzie będąc widzem, była jednocześnie częścią dramatu, jego jedynym stabilnym nieruchomym elementem wśród chaotycznie poruszających się cząsteczek ludzkości. Oniemiała absurdem sytuacji, zastanawiała się, jak to możliwe, że wszystko to, co zdawało się być na wyciągnięcie ręki, ratunek, wolność, powrót do domu, stało się nagle tak odległe i niedostępne, jak gdyby to, co widziała, działo się w innym wymiarze niż jej własny. Mogła obserwować, wyciągnąć dłoń, dotknąć, poczuć opuszkami palców, ale nie mogła tego uchwycić.

Nie wiedziała, jak długo tak stała niezauważona, czasem potrącana przez spóźnionych pasażerów, między toczącymi się walizkami, biegnącymi ludźmi, w chaosie i harmiderze.

Minęła ją para ochroniarzy, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Weronika długo patrzyła za nimi, dopóki nie zniknęli w morzu ludzkich głów. Nadal ścisnęła w dłoni kopertę z paszportem i pieniędzmi. Sonia de Lange. Piąty maja 1990.

Impuls, jak pchnięcie, kazał jej ruszyć naprzód. Lotniska to dziwne miejsca na pograniczu ziemi i nieba, które nigdy nie zasypiają. Weronika zerknęła na zegar. Wyświetlał godzinę 23.20. Weszła do pierwszego sklepu, w którego oknie wystawowym zobaczyła podróżne torby. Miła ekspedientka, która nawet o tak późnej porze wyglądała, jak gdyby była dziewiąta rano, uśmiechnęła się współczująco, gdy Weronika wspomniała o zagubionym bagażu.

– Może mi pani wierzyć! To się zdarza prawie codziennie!

Pomogła wybrać jej dość lekką, nie za dużą torbę podróżną, wyposażoną w kółka i wyciąganą rączkę. Poradziła jej, w którym sklepie najtaniej i najszybciej może zaopatrzyć się w bieliznę i przydatne ubrania. Kiedy jednak zaczęła wypytywać o cel podróży, Weronika zapłaciła szybko i przepaszając skłamała, że musi się

pośpieszyć.

Błądziła między sklepami, tkwiąc w dziwnym stanie pomiędzy kompletnym osłupieniem a adrenalinowym porywem, który zmuszał ją do wykonywania poleceń. Nie wiedziała, czy to instynkt przetrwania czy nadal wdrukowany w nią w ciągu ostatnich tygodni przymus posłuszeństwa. Zapakowała zakupione rzeczy do torby, do małej podróźnej kosmetyczki włożyła nową szczoteczkę do zębów, pastę, mydło i szampon.

Po zdaniu bagażu, udała się w stronę kontroli paszportowej. Wzięła głęboki wdech, powtórzyła w myślach swoje nowe imię. Starła się opanować dreszcze, które odczuwała w każdej komórce swojego ciała. To miała być jej pierwsza w życiu podróż samolotem. Weronika ścisnęła w dłoni paszport. Pierwsza podróż z fałszywym dokumentem. Nigdy w życiu nie podrobiła nawet legitymacji szkolnej. Co będzie jeśli ją zatrzymają? Co wtedy ma powiedzieć? Mężczyzna wydawał się tak przekonany, że taka opcja nie istnieje, iż nie poinstruował jej, co ma zrobić w takiej sytuacji. Wiedziała jedynie, że to jej jedyna szansa. Więc gdy przyszła jej kolej, by podejść do ubranej w czarny żakiet urzędniczki, przywołała na usta uśmiech.

Nie mógł zasnąć. Godzinami leżał na łóżku z oczyma wbitymi w sufit, by w końcu wstać i błądzić po mieszkaniu bez celu. Był niespokojny i czujny, jak zwierzę w klatce, przemierzające jej małą przestrzeń, dysząc i z frustracją zawracając przy każdym rogu, by iść do kolejnego. Otworzył szeroko balkonowe drzwi, lecz zamiast wyjść na taras, usiadł na progu i zapalił papierosa. Czy wsiądzie do samolotu? Czy przejdzie bezpiecznie przez kontrole? Czy zatrzyma pierwszego strażnika i zdradzi mu swoją prawdziwą tożsamość? Luke obejrzał się na drzwi sypialni, wahając się, czy nie powinien od razu wyrzucić materaca i zatrzeć ślady jej pobytu tutaj, w razie gdyby policja zapukała do jego drzwi. Jakie to miało zresztą znaczenie?

Przekonywał siebie, że z każdym kolejnym dniem jej nieobecności jego obsesja na jej punkcie będzie bladła i zmieniała się we wstydlive wspomnienie, które wkrótce zatrze się i

rozpłynie.

Ale gdy tak siedział na progu świata, skąd przez oszkloną barierkę widział uśpione miasto i ledwie widoczną w ciemności linię horyzontu, nie mogąc przestać myśleć o niej, wiedział, że będzie odliczał dni, godziny, minuty, sekundy od chwili, gdy zniknęła mu z oczu na parkingu.

Kiedy pierwsze promienie słońca przełamały mrok i rozjaśniły linię horyzontu Luke z kołdrą zarzuconą na ramiona nadal siedział na progu swojego tarasu pochłonięty myślami, wycieńczony brakiem snu, z poczuciem wewnętrznego spustoszenia, jak gdyby huragan przeszedł przez niego i pozostawił wszystko doszczętnie zniszczone.

Jeszcze tego samego poranka zarezerwował bilet lotniczy do Londynu i powiadomił Gera o swoim wyjeździe. Wrzucił kilka ubrań do torby i wszedł pod prysznic. W zaparowanym lustrze zobaczył swoją szarą twarz, cienie pod oczami, nagle pogłębione rysy i bruzdy. Coś niepokojącego czało się w jego własnych źrenicach, jakby z lustrzanego odbicia patrzył na niego ktoś inny, ktoś, kogo znał dawno temu. Wyszedł myśląc, że zostawia za sobą klatkę, w której sam się uwięził.

Nie wyobrażała sobie, że tak łatwo podróżuje się na fałszywych dokumentach. Zdała sobie z tego sprawę dopiero, gdy po godzinach czekania w napięciu i przejściu przez wszystkie kontrole, wpuszczono ją wreszcie na pokład. Gdy zajęła swoje miejsce przy oknie w samolocie, pomyślała o tysiącach ludzi, którzy codziennie, co tydzień, każdego miesiąca giną nie pozostawiając po sobie śladu. Wychodzą z domu i nigdy nie wracają. Tak jak ona. Czy oni również lądują w samolocie pod zmienionym nazwiskiem? Rozejrzała się po pokładzie zastanawiając się, czy wśród jej współpasażerów jest ktoś równie zaginiony jak ona.

„Znajdę cię”. Gdzieś ponad szumem ludzkich głosów usłyszała echo jego słów. „Znajdę cię”. Czy była to obietnica czy groźba? Czy puścił ją wolno, tylko dlatego, by ją nadal prześladować? Czy dlatego, że wiedział, jak relatywnym pojęciem

jest wolność i że nawet wolna będzie mu posłuszna i od niego zależna? Weronika przymknęła powieki i przywołała jego twarz przed oblicze wyobraźni, odmalowując w pamięci szczegóły, rysy, blizny, zieleń jego oczu. Nie czuła się wolna ani bezpieczna. Czuła się jak ktoś zepchnięty z tratwy dryfującej po oceanie w nieznanym kierunku, kto nieudolnie sam próbuje płynąć pod prąd wszechogarniającej wody. I gdyby ktoś zapytał ją wtedy, czy wolałaby wrócić na swój materac w kącie sypialni, Weronika odpowiedziałaby „tak”.

Miejsce obok niej pozostało puste i gdy samolot ruszył do startu, Weronika zdała sobie sprawę, że to miało być jego miejsce i poczuła skurcz w żołądku, lecz nie strachu, a dziwnej tęsknoty. Jak miało to wyglądać? Czy po drugiej stronie oceanu czekało ją coś gorszego? Czy miał ją gdzieś dostarczyć, a zamiast tego pozostawił samą sobie? Czy ratował jej życie? Czy nim po prostu manipulował według własnych potrzeb? Weronika utkwiała wzrok w pustym siedzeniu i wzięła głęboki oddech. Nie było go przy niej, ale nadal czuła na sobie jego czujne zmrużone oczy, jego cichą, chłodną obecność. Ale najgorsze było to, że uwolniona od niej, w tamtej chwili jego obecności pragnęła.

Samolot wzbił się w powietrze i Weronika przymknęła powieki poddając się niechcianej fantazji.

Przebudził ją chichot współpasażerek. Przyjrzała się im z zaciekawieniem. Siedziały oddzielone od siebie przejściami, a od niej pustym fotelem. Były młode, o rok lub dwa młodsze od niej samej, może w tym samym wieku. Na kolanach trzymały książki. Jedna z nich, dziewczyna siedząca po drugiej stronie przejścia, miała ciemne, zuchwałe i bystre oczy, proporcjonalną twarz z lekko wypukłymi policzkami, ciemnobrązowe proste lśniące włosy, ścięte równiutko nad linią ramion. Często się szeroko uśmiechała, ukazując rząd białych zębów i unosząc kształtne brwi do góry. Miała na sobie obcisłe granatowe rurki, czerwony podkoszulek z nadrukiem i granatowe znoszone trampki. Rozmawiała entuzjastycznie i radośnie, wymachując przy tym rękoma i przechylając na boki głowę, za którą posłusznie biegły

lśniące włosy. Wydawała się rozpraszać iskry entuzjazmu, jak kropelki światła i była niezwykle ekspresyjna. Jej przyjaciółka – co do tego, że dziewczęta przyjaźniły się blisko Weronika nie miała wątpliwości, obserwując w ich sposobie porozumiewania się głęboką zażyłość – wydawała się mieć spokojniejsze usposobienie. Spod prostej linii grzywki patrzyły uważnie duże introwertyczne niebiesko-szare oczy w drobnej twarzy. Miała mały, lecz wyrazisty nos i niewielkie usta, które rozciągała w ciepłym, pełnym zrozumienia uśmiechu. Luźno spleciony warkocz jasnych włosów spadał na jej plecy. Potakiwała głową w stronę przyjaciółki. Miała na sobie szarą lekką bluzkę z ozdobnym materiałowym kwiatem na dekolcie, białe lniane spodnie i szare trampki. Dłonią gładziła okładkę książki. Rozmawiały ścisłymi głosami, używając płynnego niderlandzkiego i swobodnie wplatając angielski pomiędzy. Śmiejąc się co jakiś czas, pochylały się ku sobie ponad wolną przestrzeń między nimi. Gdyby nie kompletna różnica wyglądu, można było pomyśleć, że są siostrami. Weronika przymknęła oczy i bezczelnie, bez poczucia winy, przysłuchiwała się ich rozmowom. Obserwując młode kobiety, poczuła ukłucie zazdrości. Były pewne siebie, niezważające na otoczenie, entuzjastyczne. Zastanawiała się, czy ona i Amy miałyby szansę na taką przyjaźń, gdyby to wszystko się nie wydarzyło i nie rozdzieliło ich dróg prawdopodobnie na zawsze. Gdyby to wszystko się nie zdarzyło. Poczowała piekące łzy pod powiekami i by odwrócić uwagę od bolesnych wspomnień, ponownie skupiła się na współpasażerkach. Nie mogła nie zauważyć, jak ładnie wyglądają. Każda z nich piękna na swój indywidualny sposób. Poczowała się mała i brzydka w swoich czarnych ubraniach i za dużych butach. Kiedy podeszła do nich stewardessa, dziewczyna z warkoczem zamieniła z nią kilka zdań wskazując dłonią na wolny fotel obok. Weronika zauważyła, że ma bardzo przyjemny sposób odnoszenia się do ludzi, poświęcając im przez te kilka sekund całą swoją uwagę. Nie rozumiała dokładnie, o czym traktowała rozmowa prowadzona po niderlandzku, dopóki dziewczyna nie odwróciła się do niej, pytając płynnym angielskim, czy będzie jej

przeszkadzało, jeśli przesuną się o jedno miejsce w jej stronę tak, by ona i jej towarzyszka mogły siedzieć obok siebie

– Mam na imię Kira, a to moja przyjaciółka, Lena. –

Wyciągnęła do niej dłoń, kiedy obie się przesiadły.

– Sonia. – Weronika uścisnęła ciepłą dłoń dziewczyny, której przenikliwe oczy zdawały się patrzeć w głąb jej głowy.

– Ty też do Kanady? – Lśniące włosy Leny zawirowały radośnie wokół jej głowy, gdy wychyliła się, żeby przyjrzeć się Weronice.

– Tak.

– Na wakacje? Nie jesteś Holenderką, prawda? Zwiedzałaś Holandię, czy tam pracujesz? – Lena zdawała się nie mieć przycisku do dozowania energii, która płynęła wartkim nurtem cokolwiek dziewczyna robiła.

Kłam. Weronika słyszała wyraźnie swój wewnętrzny głos, który był Jego głosem.

– Studiuję w Holandii. Nauki o Ziemi na uniwersytecie w Utrechcie.

– Czyli wakacje. Super! My też! Mieszkamy w Rotterdamie, Uniwersek Erazma się kłania. – Twarz Leny rozjaśnił szeroki uśmiech. Kira przyglądała się jej wnikliwie z tym spokojnym, niczym nieporuszoną uśmiechem, który lekko tylko rozciągał jej wargi, sprawiając wrażenie, że wie więcej, niż daje po sobie poznać. – O mój boże! – wykrzyknęła Lena. – Na pewno lecisz tam, żeby zobaczyć kanadyjski fragment kręgu ognia! Mój były miał świra na tym punkcie.

Lena wyglądała na tak przekonaną o słuszności swojej teorii, że nawet Weronika czuła się do niej przekonana. Gdyby nie fakt, że nie miała pojęcia, czym był krąg ognia. Poczowała nerwowy ścisk w żołądku i zdała sobie sprawę, że nie kupiła na lotnisku nawet jednego przewodnika po Kanadzie. Kłam, podpowiedział jej twardy, chłodny głos i zielone oczy dodały jej odwagi.

– Chętnie pokazałabym wam jakieś ciekawostki, ale niestety, na lotnisku zgubiono mój bagaż, w tym moje książki.

– Błagam, do końca życia będę miała traumę kręgu ognia, ani

słowa na ten temat – roześmiała się Lena, a Kira odwróciła ku niej szczupłą twarz i obie dziewczyny uśmiechnęły się do siebie porozumiewawczo. Było jasne, że wiąże je jakiś zabawny sekret.

– Mamy ze sobą całe mnóstwo książek, większość po angielsku, jeśli masz ochotę poczytać. – Kira spojrzała na stos na swoich kolanach, potem na Weronikę, która przytaknęła radośnie. – Tę już przeczytałam. – Podała jej cienką książkę. – Anais Nin „Szpieg w domu miłości”.

– Błagam cię! – Lena wychyliła się opierając rękę na kolanach przyjaciółki. – Nie dawaj jej tego! Nie czytaj tego, to dla wyemancypowanych kobiet, które mają za mało seksu.

– Ty też jesteś wyemancypowana! – Kira spojrzała na nią zuchwale.

– Ale mam wystarczająco dużo seksu w życiu, żeby nie musieć tego czytać! Weź to. – Podała Weronice – Soni grubą książkę. – Chwyci cię za serce.

– I już nie puści, aż umrzesz od nadmiaru melodramatu! – Kira uśmiechnęła się lekko mrugając okiem spod grzywki – „Zaklinacz koni” rzuci na ciebie urok i zostaniesz klaczą!

– Hej, to ulubiona książka mojej mamy – Lena udawała urażoną, ale śmiała się razem z nimi.

– Wiesz co, weź Murakamiego, jego lubimy obie – Kira podała jej kolejną książkę. – Chyba, że już to czytałaś, albo chyba że chcesz wszystkie trzy. I nie musisz nam oddawać książek, w drodze powrotnej i tak będziemy miały za ciężkie bagaże.

Weronika z wdzięcznością przyjęła ofertę, biorąc trzy książki i szybko zanurzyła się w lekturze zapominając o głosie, zielonych oczach i swoich sąsiadkach, które choć jeszcze o tym nie wiedziała, całkiem nieświadomie miały jej pomóc ostatecznie przekroczyć granice Kanady.

Obudziła ją stewardessa. Książka prawie zsunęła się z jej kolan. Podchodzili do lądowania.

– Wiedziałam. Była tak nudna, że zasnąłaś. – Kira nachyliła się do niej wskazując ruchem głowy książkę, na co Lena zgromiła ją wzrokiem.

– Nie, podobała mi się. – Weronika – Sonia uśmiechnęła się blado. Zaczęła odczuwać delikatną podskórną nerwowość, myśląc o kolejnych kontrolach na lotnisku.

– Najwidoczniej jesteś jednym z tych nieuleczalnych egzemplarzy, które potrzebują codziennej dawki melodramatu w życiu – westchnęła Kira. – Dobrze się czujesz? Jesteś trochę blada.

– Tak, podróże mnie męczą, a w Holandii raczej trudno się opalić.

Lena roześmiała się dźwięcznym zaraźliwym śmiechem, który wprowadził w ruch jej lśniące gładkie włosy.

Wspólnie opuściły samolot i choć Weronika próbowała oderwać się od dziewcząt w tłoku na lotnisku, one zdawały się wcale nie mieć ochoty na rozstanie. W ten sposób ostatecznie w kolejce do kontroli paszportowej nadal stały razem. Kira i Lena wyglądały na podekscytowane i pełne energii. Weronika ścisnęła w dłoni swój fałszywy paszport i raz po raz rzucała okiem w stronę młodego urzędnika. Zauważyła przenikliwe oczy Kiry, spoglądające w jej stronę co jakiś czas. Podczas, gdy energia ekstrawertycznej Leny zdawała się rozpraszać jej uwagę na wszystko wokół, introwertyczna natura Kiry koncentrowała jej uwagę na wybranym obiekcie poddając go wnikliwej obserwacji.

Podeszły do młodego jasnowłosego urzędnika i po paru chwilach i kilku życzliwych uśmiechach, mogły udać się po bagaż, ale odwróciły się w oczekiwaniu na Weronikę, która podeszła do blatu i podała mężczyźnie swój paszport.

– Cel podróży? – zapytał nie spoglądając na nią.

Kłam. Weronika poczuła na sobie oczy Kiry i nagle głos zamarł na jej wargach, a kłamstwo utknęło w przetyku.

– Cel podróży? – Młody urzędnik nagle podniósł na nią zainteresowany i uważny wzrok.

– Wakacje – odpowiedziała cicho.

Patrzył na nią znad fałszywego paszportu. Może to było zmęczenie, może przenikliwe oczy Kiry, może strach, ale Weronika poczuła się naga i bezbronna. Fala gorąca spadła na nią i sparaliżowała jej ruchy. Wtedy poczuła ciepłe ramię, które

wyłoniło się znikąd i otoczyło ją mocno.

– Sonia, dobrze się czujesz? Słabo ci? – Usłyszała głos Kiry.
– Nasza przyjaciółka jest naprawdę zmęczona podróżą, źle znosi loty. Jesteśmy tu we trzy na wakacjach. Słyszał pan o Kręgu Ognia? To cel jej podróży.

– Czy może pan podać naszej przyjaciółce szklanek wody? – Lena przechyliła się ponad blatem w stronę młodego urzędnika, potrząsając lśniąącymi włosami i obdarzając go szerokim uśmiechem.

Patrzył na nie chwilę, ale nim zdążył się podnieść, starszy białowłosy mężczyzna, czekający w kolejce za nimi podszedł i podał jej plastikową butelkę z wodą.

– Moja żona nienawidziła latać. Też tak reagowała po wyjściu z samolotu. Proszę się napić i jak najszybciej usiąść z nogami do góry. Te zmiany ciśnienia są uciążliwe, a pani jest taka drobna.

Zrobiło się zamieszanie i nim Weronika zdążyła zorientować się, co się dokładnie dzieje, Lena wcisnęła jej paszport do ręki i ramię Kiry wyprowadziło ją z kolejki. Była w Kanadzie.

Spędził w Londynie ponad dwa tygodnie. Błądził ulicami bez celu, szedł przed siebie, nie rozglądając się wokół, nie zauważając ludzi, budynków, nie patrząc na czas. Coś zapadło się z hukiem w nim samym, tworząc olbrzymią pustą przestrzeń w jego wnętrzu i Luke nie potrafił jej wypełnić, choć wiedział, że była pusta odkąd pamięta, zarosła jedynie cienką warstwą powierzchniowego spełnienia. Desperacko pragnął wypełnić lukę w nim samym. Potrzebował bólu, by zagłuszyć emocje i myśli, które jak olbrzymia ciężka fala spadały na jego klatkę piersiową. Potrzebował czegoś, co rozproszy jego uwagę. Ból wydawał mu się najlepszą rozrywką, nie odbierał kontroli tak jak narkotyk czy alkohol, odwracał uwagę, zmuszał do koncentracji, do walki, do przeżycia. A Luke pragnął żyć, choć nie wiedział już jak. Szarpał się sam ze sobą w bezsensownej walce, nie sypiał, nie zaznawał chwili spokoju.

Nagle zdał sobie sprawę, że całe życie dostosowywał się do

oczekiwań innych. Dawał im wszystkim Luke'a, jakiego chcieli widzieć. Dla matki był porządnym niesprawiającym kłopotów studentem, dla ojca źródłem i potwierdzeniem jego poczucia winy, dla Saula kumplem od piwa, pięści, jointa i zaliczania panienek, dla Dany pieprzającym ją na biurku szefem, dla Karen niegrzecznym chłopcem, dla Gera chłodnym i wyrachowanym gościem od brudnej roboty i zaufanym księgowym. Nałożył na siebie tyle masek, że nie mógł już spod nich odszukać swojej własnej oryginalnej twarzy. Zresztą zapomniał już jak wyglądała i wydawało mu się, że nie dałby rady jej rozpoznać. Zastanawiał się, którą z masek widziała Weronika. Coś w niej pociągało go i łamało jego wewnętrzny opór, jego bariery, była jak koń trojański, który powalił go w jego własnej fortecy. Czy to dlatego, że jej oczekiwania wobec niego nie chciał spełnić? Nie chciał być tym, kogo w nim widziała, gwałcicielem, porywaczem, psychopata. Nie wiedział jednak, jaką inną maskę mógł nałożyć, nie potrafił odnaleźć się w sytuacji, w której nie miał możliwości zaspokojenia oczekiwań, dopasowania się, grania przypisanej mu roli. Dlaczego? Luke powtarzał to pytanie wielokrotnie. Dlaczego ona? Spośród tylu kobiet, które przewinęły się przez jego życie, dlaczego to musiała być ona – jedyna kobieta, której nie mógł mieć, której oczekiwań nie mógł i nie chciał spełnić, jedyna, której pragnął w ten chory, obsesyjny sposób? Czy była jedyną kobietą, która zobaczyła prawdziwego Luke'a pozbawionego masek, z których żadna nie pasowała? Jedyną, która swoją bezradnością, strachem, kruchością, posłuszeństwem osłabiła mury jego warowni i zmusiła do zmagania się z sytuacją bez ochrony, jaką dawały mu maski. Bez nich jednak Luke nie wiedział, kim tak naprawdę jest.

Zrozumiał, że wcale nie chodziło o nią. Chodziło o niego samego.

Dlatego potrzebował bólu.

Luke wrócił do Rotterdamu po dwóch tygodniach. Ger zlecił mu kilka regularnych prac i Luke przez pierwszych parę dni wracał do swojego apartamentu w De Coopvaert późnym wieczorem. Wkrótce miał jednak coraz mniej napięty plan dnia i niepokój

powoli wkładał się do jego myśli.

Był ciepły piątkowy wieczór. Centrum miasta wrzało szumem ludzkich głosów, beztroską i swobodą. Krzyki i śmiech wypełniały ulice, okoliczne bary i kafejki wylewały się potokiem klientów niemalże na ulice. Luke stał przed siłownią Saula, oparty o swojego forda palił papierosa. Nie musiał długo czekać. Wkrótce Saul wyszedł na zewnątrz z dużą sportową torbą w dłoni. Jego zaskoczony wzrok padł na Luke'a i w powitalnym geście uniósł jedynie dłoń, która zamarła w powietrzu. Wystukał kod zabezpieczający drzwi i zatrzasnął je za sobą, po czym ruszył w stronę Luke'a z uśmiechem.

– Stary! – Jego śnieżnobiały uśmiech ostro kontrastował z ciemną skórą. – Nie mogłeś dać znać?

– Mogłem – Uścisnęli sobie dłonie, Saul nadal wbijał w niego pytające spojrzenie.

– Myślałem, że postanowiłeś wyjechać na dłużej – zaczął Saul, ale Luke odwrócił wzrok, dając mu do zrozumienia, że nie będą o tym rozmawiać.

– Zmieniłem zdanie.

– A dziewczyna? – głos Saula był teraz cichy.

– Jest tam, gdzie jej miejsce.

Saul pokiwał głową i parę minut stali obok siebie wsparci o auto.

– Chcę, żebyś mi załatwił walkę w Piekło. – Luke wyrzucił niedopałek i spojrzał na przyjaciela.

– Żartujesz? – Saul uniósł brwi i zamrugnął, jak gdyby jego oczy nie mogły ustawić ostrości.

Luke pokręcił głową.

– Człowieku, nie walczyłeś już kilka lat, nie wiesz, co za goście tam teraz walczą. To nie są amatorskie przepychanki.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem wystarczająco dobry? – Własny głos wydawał mu się nagle obcy i czuł mrowienie na karku.

Luke wiedział, że jest dobry. Wiedział też, że nie jest nawet w połowie tak dobry jak Saul i z całą pewnością nie dość dobry,

żeby stawać do walk w Piekło. Ale czuł się odrętwiały, na wpół martwy, jakby nic już nie miało znaczenia. Za wszelką cenę pragnął obudzić w sobie instynkt przetrwania, zew, który pchnie go do walki, do życia, do zaczerpnięcia w płuca oddechu. Wydawać się mogło, że Luke próbował prowokować śmierć, podczas gdy on desperacko próbował przeżyć.

– Chcę powiedzieć, że nie rozumiem, co jest, kurwa, grane.

– Nic nie musisz rozumieć. Nieważne, zapomnij. Ger też może mi załatwić rundę.

Saul westchnął i z irytacją kopnął własną torbę.

– Kompletnie ci odpierdoliło! Chcesz się dać zabić, to skocz pod pociąg, będzie krócej bolało.

Luke splunął i nim zdążył przemyśleć swój ruch jego pięść spadła na twarz Saula, a potem na jego brzuch. Nie miałby z nim szans, gdyby nie wziął go z zaskoczenia. Wiedział, że Saul miał rację i to wkurwiało go jeszcze bardziej niż sam fakt, że robił mu problemy. Saul zgiął się w pół, ale w ułamku sekundy odzyskał panowanie nad sytuacją, wyprostował się i w odruchu uniósł pięść, którą Luke spodziewał się poczuć na sobie. Zawisła jednak w powietrzu. Saul zaczerpnął powietrze w płuca.

– Co do kurwy... – wysyczał – co ci, kurwa, odpierdoliło? Co chcesz mi udowodnić? Że złością nadrobisz braki w treningu?

– Splunął i wytarł wierzchem dłoni krew z pękniętej wargi. – W porządku. Niech zrobią z ciebie miazgę, skoro ci na tym zależy. Może po tym wróci ci, kurwa, rozum do głowy.

Odwrócił się, podniósł z ziemi swoją torbę i odszedł w kierunku auta, nie oglądając się już na Luke'a.

Luke wiedział, że prawdopodobnie stracił jedyne przyjaciela. Ale dużo bardziej przeraził go fakt, że wcale o to nie dbał.

Weronikę obudziły głosy dzieci dobiegające z zewnątrz. Musiało być zatem po dziewiątej. Owinęła się ciasniej kołdrą i przymknęła powieki. Każdego poranka powtarzała sobie, że powinna wstać, ale prawda była taka, że nie miała po co. Mogła spędzić cały dzień w łóżku i nikt nie zwróciłby na to uwagi.

Trudno było jednak spać, gdy zza szczelnie zasuniętych zasłon wpadało uparcie parę zagubionych promieni słońca. Wstała i podeszła do okna. Rozsunęła gruby, ciężki materiał i jak co dzień rano przez chwilę stała wpatrując się w widok za szybą. Pod oknami motelu Monashee rozciągał się wielki zielony trawnik, po którym biegały dzieci. Po przeciwległej stronie ulicy, znajdowała się stacja benzynowa z niewielkim marketem, do którego Weronika udawała się co trzy dni po podstawowe spożywcze zakupy. Za nią stał zielony mur drzew, a ponad nim ciągnęło się długie pasmo porośniętych lasami wzgórz. Jeśli wstało się odpowiednio wcześnie, można było podziwiać mgły lekko rozwieszane między czubkami drzew.

Od ponad dwóch tygodni Weronika wynajmowała mały pokój na pierwszym piętrze. Poza dużym łóżkiem z brzydką pstrokatą narzutą, komodą z sześcioma szufladami, na której stał mały telewizor i lampa oraz stolikiem z krzesłem, w pokoju nie było nic. Łazienka natomiast wyposażona była, poza wanną, umywalką i ubikacją, również w małą lodówkę, mikrofalówkę i dzbanek do zaparzania kawy, dzięki czemu Weronika codziennie od ponad dwóch tygodni mogła sobie pozwolić na marnej jakości, ale jednak ciepły posiłek i poranny kubek kawy.

Kiedy zgodnie ze wskazówkami zostawionymi jej przez mężczyznę, przybyła do Sicamous był już późny wieczór. Tym razem, nauczona doświadczeniem, na stacji autobusowej zakupiła przewodnik po Kanadzie, dzięki któremu wiedziała mniej więcej dokąd zmierza. Do autokaru odprowadziły ją Kira i Lena, które swoje pierwsze dni pobytu w Kanadzie chciały spędzić w Vancouver. Namawiały ją gorąco, by została z nimi parę dni, ale poddały się, widząc jej spokojny upór. Weronika postanowiła bowiem zaufać wskazówkom mężczyzny. Zanim wsiadła, obie dziewczyny uściskały ją i życzyły powodzenia.

– W zdobyciu kręgu ognia albo czymkolwiek innym, co jest celem twojej podróży. – Duże oczy Kiry patrzyły na nią spokojnie i ciepło.

Motel Monashee był jednym z wielu spisanych na stronach

przewodnika. Wybrała go jedynie dlatego, iż stał przy autostradzie transkanadyjskiej, przy której znajdował się przystanek autokaru, z którego wysiadła. Do tej pory nie wiedziała, jak to się stało, że idąc samotnie w ciemnościach, udało się jej znaleźć odpowiedni kierunek i wkrótce zobaczyła wielką rozświetloną tablicę z napisem MOTEL. Był koniec czerwca i szanse na wolny pokój niewielkie. Okazało się jednak, że pokoje jednoosobowe nie cieszą się wielką popularnością i Weronika ślaniając się ze zmęczenia wdrapała się po schodach ze swoją nową torbą podróżną i przekreśliła klucz w zamku.

Większość swoich pierwszych dni w Sicamous spędziła zamknięta w pokoju, od czasu do czasu zerkając przez okno lub wpatrując się w migoczący obrazami ekran telewizora. Jego dźwięk był jej jedynym towarzystwem i odwracał uwagę od strachu, osamotnienia i niepewności. Gdyby nie musiała jeść, prawdopodobnie spędziłaby cały swój czas w tym nerwowym oczekiwaniu. W drugim tygodniu hotel wypełnił się ludźmi, rodzinami z dziećmi, młodymi parami. Najgorsze były noce, gdy z niespokojnego snu wybudzały ją kroki, roznoszące się echem po korytarzu, lub nagły śmiech. Wskazówki mężczyzny kończyły się na Sicamous, gdzie musiała pozostać – nie miała jednak pojęcia jak długo.

Tego poranka podziwiając widok przez okno swojego małego pokoju, Weronika postanowiła, że musi wreszcie przełamać strach i wyjść, zobaczyć miasteczko, które знаła jedynie z krótkiego opisu w przewodniku, a w którym spędziła ostatnie szesnaście dni.

Ubrana w zakupione jeszcze na lotnisku jeansy i granatowy podkoszulek, ściskając w dłoni przewodnik, wyszła z motelu, witając bladym uśmiechem kobietę w recepcji, która jak zwykle mierzyła ją badawczym spojrzeniem. Weronika wiedziała, że zupełnie niezamierzenie przyciągała uwagę, uparcie tkwiąc w motelowym pokoju. Postanowiła więc za wszelką cenę, za cenę być może własnego bezpieczeństwa, nauczyć się udawać i już wkrótce okazało się, że jest w tym lepsza niż się spodziewała.

XI

Nazwa Sicamous pochodziła z języka Shuswap i oznaczała „rzekę okrążającą góry”. Sicamous było niewielkim turystycznym miasteczkiem położonym w niezwykle pięknym miejscu, tuż nad wąskim ujściem Jeziora Mara do Jeziora Shuswap. Otoczone wzgórzami, lasami i wodą, w letnich miesiącach przyciągało turystów.

Kolejny tydzień Weronika spędziła, spacerując ulicami miasteczka. Po roku spędzonym w ciasnej zaludnionej Holandii, zadziwiła ją przestrzeń i widoki – codziennie zapuszczała się trochę dalej w głąb ulic i wkrótce jej spacerowały nawet parę godzin i wybiegały poza granice Sicamous. Spędzała czas wędrując po piaszczystych plażach wzdłuż jeziora Mara, obserwując statki i łodzie na tle zalesionych wzgórz. Innym razem zmieniała kierunek i szła w stronę jeziora Shuswap. Siedząc na piasku w ciepłych promieniach słońca, delektując się widokiem, Weronika powoli uwalniała się z koszmaru minionych tygodni. Im dalej zapuszczała się w swoich wędrówkach, im bardziej wyczerpana wracała do małego motelowego pokoju, tym spokojniejsze był jej noce. Koszmary nadal jednak do niej wracały. Czasem były to jedynie ręce, które wciągały ją do auta, czasem twarze mężczyzn, tak realistyczne i pełne zapomnianych szczegółów, że budziła się dławiąc pod ciężarem ich ciał. Po takich nocach wychodziła z motelu już o wschodzie słońca, kiedy panował jeszcze chłód i spokój. Szła wtedy wzdłuż zatoki, gdzie cumowały jachty i łodzie. Większość budynków wzdłuż linii brzegu przeznaczona była na hangary dla jachtów, oferowała naprawy i restauracje łodzi lub stanowiła centra turystyczne z hotelami i wynajmem żaglówek. Czasem spotykała na swojej drodze ludzi, którzy wypływali na wodę wraz ze wschodem słońca. Zwykle jednak wędrowała samotnie w kierunku otoczonej drzewami opustoszałej plaży, skąd mogła podziwiać widok na jezioro Mara. Pozwalała błękitnej wodzie leczyć rany, uciszać

demony, koić lęki. Były też noce pełne niespokojnych urywanych snów, w których śledziły ją zielone groźnie zmrużone oczy, przed którymi próbowała schować się w ciemnościach. „Znajdę cię” odbijało się echem w jej własnej sennej wizji i gdy budziła się spocona, rozglądała się w panice po ciemnym pokoju w poszukiwaniu jego twarzy. Zdarzało się jej jednak przyłapać na niejasnym uczuciu tęsknoty, które spychała natychmiast w głąb umysłu. Najczęściej zasypiała wpatrzona w ekran małego telewizora, który dawał jej iluzoryczne poczucie towarzystwa. Odsuwała od siebie myśli zbyt bolesne, by mogła sobie z nimi poradzić. Nie rozmyślała o mamie, nie wspominała Maartena, którego twarz powoli zaczęła niknąć w cieniu, skupiła się tylko i wyłącznie na tym, że musi przeżyć, że jest tu by przeżyć, że to może być jedyna szansa, dana jej jakimś cudem. Bywały chwile, gdy wpatrując się w otaczające ją piękno natury, zapominała o wszystkim, jak gdyby zrzuciła z pleców ciężki balast. Wypełniał ją jedynie błękit wody migoczący refleksami promieni słońca, nasycona zieleń drzew, złoty ciepły piach. Oddychała wtedy głęboko, jak gdyby nigdy nic złego jej nie spotkało, jak gdyby powoli odzyskiwała wolność, tę prawdziwą wolność, gdy umysł wyzwolony jest od lęków, zależności, wahań, gdy rany zostają zabliznione, a blizny zaakceptowane. Weronika wiedziała, że do tej wolności było jej nadal daleko, ale te krótkie chwile dawały jej nadzieję, że zmierza w jej kierunku.

Przede wszystkim czuła się coraz silniejsza. Na tyle silna, by wyjść naprzeciw nowym wyzwaniom, naprzeciw ludziom. Nauczyła się patrzeć im w oczy i uśmiechać się, udawać swobodę i beztroskę młodej turystki. Przyłapana na smutku przez ciekawską i bystrą recepcjonistkę, która bezczelnie zarzuciła ją pseudożycziwymi pytaniami, skłamała, że te wakacje nie są dla niej łatwe, gdyż miała je spędzić z narzeczonym, który zginął w wypadku. Zauważyła, że zwykle to kończyło niezręczną rozmowę. Większość ludzi nie wiedziała, jak zareagować na nagle pojawiający się temat śmierci. Ich współczujące i pełne zrozumienia spojrzenia przyjmowała ze smutnym uśmiechem i

mogła być pewna, że do tematu więcej nie wróca.

Ludzie w miasteczku byli przyzwyczajeni do letnich nalotów turystów. Ponieważ większość z nich zarabiała w branży rekreacyjnej i wzbogacała się zwłaszcza w wakacyjnych miesiącach, doceniali wczasowiczów i witali ich z otwartymi ramionami, gotowi zawsze pogawędzić, poradzić gdzie zjeść, gdzie pójść na spacer, gdzie wynająć łódź. Chętnie opowiadali o historii miasteczka, o jego rdzennych mieszkańcach, Indianach Shuswap, w starym języków nazywanych Secwepemc. Starsi mieszkańcy z lubością przytaczali legendy o jeziorach i mitycznych zwierzętach, które je zamieszkiwały.

Im więcej turystów zjeżdżało do miasteczka, tym szerzej otwierały się serca miejscowej ludności. Czasem wieczorami pod budynkiem motelu rozpalano wielkie ognisko, wokół którego wrzały rozmowy i rozbrzmiewał śmiech. Weronika otwierała okno i zanurzała się w tej radosnej atmosferze, bezpiecznie odseparowana od ludzi, a jednak na tyle bliska, by czuć ich podekscytowanie.

Pewnego wieczoru do drzwi jej pokoju zapukała recepcjonistka zapraszając ją, by dołączyła do reszty gości motelu na zewnątrz.

– Noc jest naprawdę wyjątkowo piękna. Księżyc świeci, niebo jest pełne gwiazd, jest mnóstwo miłych ludzi. – Uśmiechała się serdecznie. – Oczywiście, jeśli chce pani pobyć sama, rozumiem w pełni, ale szkoda by było tracić taką noc na smutki.

Weronika wahala się chwilę, po czym z oparcia krzesła chwyciła bluzę i wyszła za recepcjonistką. Na zewnątrz panował przyjemny chłód. Jasna tarcza księżycy wisiała tuż ponad ciemną linią wzgórz. Pod motelem paliło się wielkie ognisko, od którego nawet z daleka biło ciepło i światło. Wokół kłębiły się ludzkie głowy, przekrzykując się nawzajem ponad radosnym gwarem. Jakiś młody mężczyzna w porwanych jeansach i wyciągniętym brązowym swetrze zauważył ją i przesunął się, robiąc jej miejsce na niskiej drewnianej ławeczce, jednej z wielu, które stały wokół ogniska. Większość gości popijała piwo, dzieci trzymały nad

płomieniami długie kije z kromkami chleba. Trzaskało palące się drewno i świetliste iskry wesoło wystrzeliwały w powietrze. Nikt tak naprawdę nie zwracał na nią uwagi i Weronika powoli rozluźniała się, nasłuchując rozmów i śmiechu. Wkrótce do ogniska podszedł starszy mężczyzna, którego goście powitali entuzjastycznie. Ktoś przyniósł plastikowe krzesło, ktoś inny podał mu butelkę piwa. Wyraźnie widziała, że wielu gości motelu rozpoznało mężczyznę. Weronika obserwowała go, gdy zaczął opowiadać historię. Siedział po przeciwnej stronie ognia i jego twarz widziana ponad językami płomienia jaśniała i falowała, przybierając nierzeczywisty surrealistyczny wygląd. Pochylił się w stronę ogniska i mimo iż nie mówił głośno, jego głos roznosił się w przestrzeni. Zebrani zamilkli i wszystkie twarze skierowane były w jego stronę. Nawet poprzez dzielącą ich odległość widziała, że miał piękne proporcjonalne rysy, ciemne bystre oczy, prosty mocny nos i wąskie kształtne usta. Jego ciemne niegdyś włosy przyprószone były siwizną. Gdy mówił, jego spojrzenie biegło po słuchających, nawiązując z nimi kontakt, zapraszając do świata, o którym opowiadał. Gdy spojrzał na Weronikę poprzez blask płomienia, zatrzymał na chwilę wzrok i miała wrażenie, że spadło na nią coś w rodzaju zaklęcia. Zniknęli ludzie wokół niej i ogień zamarł w bezruchu. Głos opowiadającego wypełnił dystans między nimi, a oczy przeniknęły przez nią.

– W starym języku Shuswap Seclep oznacza kojota. Jest on bohaterem wielu indiańskich legend. Seclep jest mitycznym zwierzęciem, posiadającym moc transformacji w cokolwiek zechce. Potrafił umrzeć i wrócić do życia. Wykorzystywał swoje moce, by pomagać ludziom lub płatać im figle. Ale przede wszystkim Seklep jest przypomnieniem o tym, jak żyć. I jak nie żyć. Jest symbolem, wskazówką, lekcją. Mężczyzna upił łyk z butelki, którą trzymał w dłoni i rozejrzał się po zebranych. – Tę historię opowiedział mi mój dziadek, jeden z nielicznych, którzy pamiętali jeszcze czasy, gdy Shuswap był językiem ojczystym wszystkim zamieszkujących te okolice. Pewnego poranka o wschodzie słońca kojot obserwował pajaka pracującego zwinnie

nad pajęczyną. Kojot widział, jak pająk z cienkich nici splata skomplikowaną fantazyjną konstrukcję nie do skopiowania. Krople rosy opadały na pajęczynę i choć jej nić wydawała się być najcieńszą, jaką Seclep widział w swoim życiu, w rzeczywistości była ona niezwykle silna i bez trudu mogła udźwignąć ciężar pająka i tysiąca kropli rosy, które zdobiły ją jak diamenty. Zachwytyt kojota nad pracą pająka wkrótce przerodził się w zazdrość i gdy pająk ruszył w drogę wzdłuż pnia wysokiej sosny, Seclep postanowił rzucić mu wyzwanie i zmieniając się w pająka ruszył za nim w stronę szczytu drzewa. Sosna miała prawie trzydzieści metrów i potężną koronę z tysiącem gałęzi i igieł. Kojot nie miał wprawy w poruszaniu się na ośmiu cienkich odnóżach i wkrótce stracił z oczu swojego przewodnika w gęstwinie konarów. Jego odnóża zaplątały się między gałęzie i igły – Seclep utknął bezradnie. Postanowił wrócić do swojej pierwotnej formy, ale zmiana w postać kojota tylko pogorszyła sytuację, jego futro wplątało się między igły. Został na zawsze uwięziony między konarami sosny tak wysokiej, że jego wycie nie docierało na ziemię. Wkrótce jego sierść zmieniła się w czarny mech, którym zaczęła żywić się ludność tych okolic. Głupota i pycha kojota przyniosła więc ludziom korzyści, lecz nie dajcie się zmylić. Ta opowieść nie mówi bowiem o tym, że nawet z głupstw może wyniknąć coś dobrego. To opowieść o tym, że kojot, choćby najzwinniejszy, pająkiem nigdy nie będzie.[1]

Kiedy skończył mówić, przez chwilę trwała cisza, nim rozmowy znów wezbrały między zebranymi wokół ogniska. Weronice zdawało się, że mężczyzna patrzył na nią, choć nie mogła być pewna. Gdy umilkł, czar powoli przestał działać i znów zaczęły docierać do niej głosy ludzi i chłód wieczoru.

Tej nocy stojąc przed lustrem w motelowej łazience przyglądała się swojemu odbiciu. Czy była kojotem udającym pająka? Ta myśl, natrętna i utrudniająca koncentrację, kołatała się w jej głowie długo zanim zdołała zasnąć. Było w niej coś więcej, jakieś niejasne uczucie kłębiące się pod maską zmęczenia i znużenia, słabo odczuwalne, ale wyraźne na tyle, by przeszkadzać

i dekoncentrować. Jak maleńka drzazga, wbita zbyt głęboko pod skórę, dawało o sobie znać, pulsując i kłując.

Urodziła się kojotem w pajęczym przebraniu, skazana na subtelną zaborczość matki, niezdarnie dygocząc przez życie na ośmiu nieswoich odnóżach. Wspinała się na drzewo, którego sama nie wybrała i wreszcie ugrzęzła na nim, pozwalając gałęziom zawładnąć jej życiem. Która z jej relacji była czysta, pozbawiona strachu, szczerą? W której była sobą? Czy wiedziała jak być sobą? Czy wiedziała, czego pragnie? Weronika kłamała. Szło jej niezwykle dobrze, co zaskoczyło ją samą, dopóki nie zdała sobie sprawy z tego, że ma przecież niebagatelne doświadczenie w tej materii. Potrafiła kłamać, ponieważ kłamała całe swoje dotychczasowe życie, udając kogoś kim nie jest. Być może po prostu nie wiedziała, kim jest, nie miała okazji dowiedzieć się, łatwiej więc było być kimś innym. Kochała matkę, lecz im dalej od niej była, im większy rozdzielał je dystans, tym jaśniej Weronika widziała, że była niczym innym, jak tylko projekcją własnej matki, jej odbiciem odmalowanym na innym ciele. Lęki i obawy matki, stały się jej własnymi, całkowicie nieświadomie przyjęła na siebie odpowiedzialność za realizację jej pragnień i marzeń, uznając je za własne. Uciekając w panice spod jej opiekuńczych skrzydeł wyfrunęła wprost w ramiona barwnej intensywnej Amy, silniejszej niż jej rodzicielka. Czy wybrała Amy, czy przyłgnęła do niej, by znów móc pozwolić komuś innemu decydować za siebie i zamiast pajęczej skóry ubrać czerwoną sukienkę z lekkiego szyfonu?

Ile wiedział o niej Maarten, asertywny, pewny siebie, zdecydowany? Czy wybrała go, by w jego cieniu bezpiecznie być pajakiem? I w końcu zielonooki mężczyzna, który więził ją za drzwiami, które potem otworzył, jak gdyby nigdy nie były zamknięte. Czy była łatwą ofiarą sabotującą własne opcje wyzwolenia, aż w końcu on sam pozwolił jej odejść. Czy zawsze potrzebowała kogoś, by ukryć się w jego cieniu, pod jego przebraniem, by przejąć jego wygląd?

Zasnęła z głębokim przekonaniem, że przez całe swoje dotychczasowe życie była kojotem zaplątanym w gałęzie.

Obudziło ją słońce wpadające przez lekko rozsunięte zasłony. I uczucie silniejsze od strachu i odrętwienia, pragnienie nagle tak silnie odczuwalne, jak gdyby wyrosło nie tylko z jej duszy i umysłu, lecz rozsiało ziarna w każdej komórce jej ciała. Pragnienie życia. Pragnienie odkrywania siebie, poznania siebie i świata. Dano jej szansę przeżyć i chciała przyjąć wyzwanie, ponieważ była to szansa nie tylko na przeżycie, ale również na prawdziwe życie.

Luke nie miał planu. Zamiast wracać do Londynu, jak zwykle to robić niegdyś, włóczył się bez celu po Rotterdamie. Wieczorami wsiadał w auto i jechał do Hagi. Uciekał od wspomnień, obsesji i myśli na plażę w Scheveningen, gdzie w ciepłe wieczory grupy młodych ludzi bawiły się do późna przy muzyce i szumie fal. Luke siedł plażą tak długo, aż głosy ludzi i dźwięki muzyki były jedynie echem niesionym przez wiatr. Siadał na piasku obserwując pomarańczowo-różowy zachód słońca, pasmo światła ostatnich promieni rozciągnięte na tafli wody, wsłuchując się w szum fal tak długo, aż jego własny oddech zdawał się unosić w ich rytm. Zostawał do późna, patrzył na horyzont niknący w ciemnościach, a potem w mroku wracał plażą, potykając się o rzeczy zostawione na piasku.

We wszystkim, co robił każdego dnia więcej było automatyzmu niż woli. Pustka w jego wnętrzu była jak zakaźna choroba atakująca stopniowo wszystkie obumierające powoli organy. Nic go nie obchodziło, nic nie poruszało, jak gdyby doznał jakiejś formy emocjonalnej śmierci. Świat zdawał się funkcjonować za szkłem, Luke nie miał do niego dostępu i nie chciał mieć. Stopniowo dojrzywał do zaakceptowania wstrząsającej myśli, że żył za tym szkłem całe życie, nigdy naprawdę nie dbając o nic, nigdy nie wiążąc się z niczym i nikim. Nigdy nie kochając. Do tej pory.

Prawie cztery tygodnie po tym, jak Luke odwiózł Weronikę na lotnisko, tkwił nadal w Rotterdamie, zastanawiając się, co zrobi za dwa miesiące, gdy wybije data wyprowadzki z De Coopvaert. Pod wpływem impulsu złożył rezygnację z wynajmu i właściciel

szybko znalazł nowych chętnych. Wiedział, że i tak nie chciałby tu zostać. Zawsze mógł wrócić do Londynu, zaszyć się w domu matki, zapisać na śmierć, zaćpać, albo żyć dalej udając, że nic nigdy się nie stało.

Obudził go dźwięk smsa. Nie wiedział, która była godzina, ale pokój wypełniało słońce. Nie pamiętał, o której wrócił, ani o której położył się spać, był głodny i zaspany.

Przez chwilę szukał telefonu na łóżku i w końcu znalazł go pod swoją zgniecioną marynarką. „*Piekło, sobota, 22.00. Saul.*” Luke przetarł oczy i usiadł na łóżku. Może nie będzie musiał zapisać się na śmierć. Może uda się to załatwić szybciej.

W Sicamous nie było wielu sklepów i Weronika w czasie swoich spacerów zlokalizowała większość z nich. Tego poranka wiedziała więc, gdzie ma się udać. Zaraz po śniadaniu postanowiła pójść do jedynej księgarni w miasteczku i zapytać o książkę z legendami Shuswap.

Z zewnątrz księgarnia nie wyglądała na dużą, jednak po wejściu do środka Weronika zobaczyła długie pomieszczenie z pełnymi książek półkami wzdłuż przeciwległych ścian. Na środku pomieszczenia stał stół z wyłożonymi najnowszymi pozycjami dostępnymi w księgarni. Ponad nim zawieszony pod sufitem lekko obracał się krąg spleciony z nici jak misterna kolorowa pajęczyna, ozdobiony piórami łapacz snów. Weronika widziała niegdyś podobny, dużo mniejszy i nie tak misterny- w pokoju Amy. Kasa znajdowała się zaraz przy wejściu po lewej stronie. Na fotelu przy ladzie siedziała młoda kobieta o ciemnych, niemal kruczoczarnych włosach starannie zebranych w koński ogon. Nosila okulary w czarnych oprawkach, dodające jej twarzy powagi. Weronika przez chwilę żałowała, że weszła do sklepu. Kobieta wydawała się jej pewna siebie, a nawet wyniosła. Ale gdy podniosła głowę znad trzymany w dłoni dokumentów i zdjęła okulary, jej twarz rozpromienił serdeczny uśmiech.

– Dzień dobry bardzo! Pierwszy klient i to już skoro świt – Przywitała się odkładając papiery do szuflady. – Mogę w czymś pomóc?

Miała ciemne oczy z długimi czarnymi rzęsami, wystające kości policzkowe i pełne usta, których czerwień komponowała się z jej szkarłatną bluzką.

– Dzień dobry. Szukam książek związanych z tematyką Shuswap.

Kobieta skinęła głową i ruchem ręki dała jej znać, by poszła z nią. Kiedy stanęły przed jedną z półek, uśmiechnęła się szeroko.

– Tutaj na pewno znajdziesz coś ciekawego. Atlasy i książki na temat geografii, flory i fauny tego regionu są na najwyższej półce, niżej stoi kilka pozycji z zakresu historii...

– Miałam na myśli coś bardziej dotyczącego... legend lub mitów związanych z tymi terenami – przerwała jej, przeglądając pobieżnie grzbiety pozycji stojących na półce.

Kobieta przyjrzała się jej uważniej.

– Jesteś turystką?

– Tak. I nie. – Kłam na litość boską, skarciła siebie. – Przyjechałam tu na wakacje, ale im dłużej tu jestem, tym bardziej chcę zostać. Rozważam to jeszcze.

– Rozumiem. – Kobieta skinęła głową i podała jej stos książek z najniższej półki. – Może któraś z tych pozycji cię zainteresuje.

Zostawiła ją samą z książkami i wróciła na miejsce na fotelu. Weronika zaczęła je przeglądać. Jedna z pozycji zatytułowana „Śladami kojota. Najstarsze mity i legendy ludu Shuswap” zwróciła jej uwagę. Odłożyła resztę książek i obróciła w dłoniach trzymaną pozycję, by przeczytać opis zamieszczony z tyłu książki. I oto on. Patrzył na nią ze zdjęcia, młodszy i jeszcze pozbawiony siwizny, ale bez cienia wątpliwości – fotografia przedstawiała mężczyznę z poprzedniego wieczoru. Teraz rozumiała, dlaczego rozpoznało go wczoraj tylu gości. William Kee, nazwisko autora widniało wypisane złotym drukiem ponad tytułem.

– To mój wujek. – Usłyszała za sobą głos kobiety, która nagle pojawiła się znów tuż obok. – Brat mojej mamy.

Jej uśmiech był szczery, a oczy błyszczały zainteresowaniem.

– Wezmę to. – Weronika podała jej książkę.

– Wpadaj częściej do nas, jeśli zdecydujesz się zostać oczywiście. Mój wujek odwiedza czasem księgarnię. Potrafi pięknie opowiadać. I pisać. – Przy kasie kobieta podała jej książkę zapakowaną w małą foliową torbę z nazwą księgarni i jej logo. – Mam nadzieję, że będziesz zadowolona z książki.

Pożegnały się i Weronika wyszła z dziwnym uczuciem, że jeszcze tu wróci. Postanowiła zrealizować kolejny punkt planu na dziś i skierowała się w stronę największego w miasteczku supermarketu, w którym można było kupić dosłownie wszystko. Znajdował się na obrzeżach i musiała przejść przez małe centrum, by do niego trafić. Mijała sklep z pamiątkami, pusty jeszcze tak rano, gdy większość turystów odsypia krótkie wakacyjne noce. Zatrzymał ją widok łapaczy snów, których różne rodzaje i kolory wisiały w wystawowym oknie. Patrzyła na nie chwilę, po czym weszła do środka. Starsza kobieta z ciepłym uśmiechem i oczyma, które uśmiechały się nawet, gdy usta już przestały, podała jej jeden z łapaczy. Pokazała jej otwór w środku sieci i wytłumaczyła, że starzy Indianie wierzą, iż w powietrzu wokół nas unoszą się dobre i złe sny. Dobre przechodzą przez otwór w sieci, zaś koszmary zostają w niej uwięzione i giną w świetle dnia. Weronika trzymała w dłoni misternie spleciony białą nicią łapacz, który podała jej kobieta. Ozdobiony był piórami w bieli i brązach oraz koralikami w podobnych odcieniach. Patrzyła w otwór i zastanawiała się, czy jest bramą do innego wymiaru, w którym giną złe sny i czy nie można w nim zgubić wspomnień.

Kobieta przyjrzała się jej uważnie.

– Może pani wybrać inny kolor. – Wskazała ręką na pozostałe łapacze, lecz Weronika nie potrafiła, a może nie chciała wypuścić z dłoni sieci, którą trzymała i której puszyste ozdobne pióra poruszały się lekko pod wpływem wiatru wpadającego przez otwarte drzwi sklepu, jak gdyby były żywe.

– Nie, dziękuję, chciałabym kupić ten.

Kobieta skinęła głową.

– Proszę powiesić go nad łóżkiem, a koszmary już nigdy nie wrócą – powiedziała jej na pożegnanie, dotykając lekko jej

ramienia.

Małe rzeczy decydują o tym jacy jesteśmy, składają się na kompletną całość, oryginalną i inną od reszty. Weronika nie była pewna jaką całością była, poza tym, że skopiowaną. Postanowiła więc dowiedzieć się poprzez rozłożenie jej na części i złożenie od nowa.

Stała wśród wieszaków pełnych ubrań w dziale odzieżowym największego supermarketu w Sicamous, rozważając jakie kolory najbardziej lubi. Przyłapała się dwukrotnie na podniesieniu z wieszaka bluzki pod wpływem spontanicznej myśli „to spodobałoby się mamie”, „Amy na pewno by to kupiła”. Poczowała wzbierającą irytację. Jak to możliwe, że nie wiedziała, jaki kolor lubi, jak to możliwe, że nie potrafiła nawet tu, na drugim krańcu świata, na drugim krańcu życia, podjąć najprostszych decyzji bez sabotowania ich wpływem innych? Zamknęła oczy i przez parę minut stała między wieszakami. Niebieski. Lubiła niebieski kolor. Kolor morza, jezior i nieba. Zielony, jak zalesione wzgórza otaczające Sicamous. Jak oczy mężczyzny, który przetrzymywał ją ponad trzy tygodnie. Przeszła między wieszakami, znajdując kilka ubrań w różnych odcieniach wybranych kolorów i ruszyła w stronę przymierzalni. Wolą być prawdziwym kojotem niż udawanym pajakiem.

Zaparkował auto za budynkiem magazynu. Było wpół do dziesiątej i nadal jasno. Luke lubił długie letnie dni i krótkie ciepłe noce. Wysiadł i zapalił papierosa, opierając się o maskę fordą. Słyszał rumor dochodzący z wnętrza budynku, wiedział, że trwała walka i magazyn pełen był ludzi, choć na parkingu stały jedynie cztery auta. Wszyscy biorący udział w nielegalnych walkach znali reguły. Teren pełen był innych budynków fabryk i magazynów z przyległymi parkingami, gdzie można było zostawić auto. O tej porze, szczególnie w sobotę wszystko było zamknięte. Magazyn, gdzie odbywały się walki, nazywano „Piekłem”. Należał do Gera, ale same walki organizował ktoś inny, choć Luke nie był pewien, kto konkretnie. Zaglądał tu tylko, gdy musiał lub gdy chciał popatrzeć na Saula, który pozostał fanatykiem cygańskiego boksu,

na pięści, bez reguł i do pierwszego złamania. Luke nie lubił tłumu spoconych, pijanych facetów wiwatujących i dopingujących, którzy sami nie mieli odwagi stanąć do walki, ale miał dużo respektu dla walczących. Wypalił papierosa do końca i stał oparty o auto z rękoma w kieszeniach spodni, obserwując ruch na autostradzie. Nie jadł od południa, wiedząc że nie uniknie dziś ciosu w brzuch, który jest o wiele mniej dokuczliwy, gdy żołądek nie jest pełen. Powietrze było rześkie, głowę miał przyjemnie pustą i czuł pulsowanie adrenaliny w każdej komórce ciała. Wiedział, że dziś nie wygra i nie przyjechał tu, by wygrać. Przyjechał, by umrzeć lub przeżyć, choć nie był jeszcze pewien, którą opcję wolał.

Piekło było przestronnym magazynem, wielką halą bez okien, której strop podtrzymywało kilka betonowych kolumn. W czasie walk rozciągano długi sznur i wiązano go wokół paru środkowych filarów oznaczając w ten sposób teren walki. Luke wszedł do środka, kiedy usłyszał wzmagający się rumor wśród widzów, znak, że walka dobiega końca i jeden z walczących wykańcza przeciwnika. Nie widział miejsca walki, gdy wszedł na halę, wokół gromadzili się wiwatujący widzowie. Luke czuł zapach alkoholu, potu i krwi. Gdy przechodził przez tłum, kątem oka uchwycił Gera machającego do niego dłonią, ale zignorował go i szedł dalej w kierunku sznurów odznaczających teren walki. Widział Saula stojącego po prawej, zaraz przy kolumnie obwiązanej grubą liną, podniósł głowę i wiódł za nim uważnym spojrzeniem, które Luke również celowo zignorował. Walka jego poprzedników dobiegała końca i wyglądało na to, że pokonany nie zejdzie z pola o własnych siłach, co było w Piekle raczej regułą niż wyjątkiem. Sędzia, zwykle wybierany po tym, jak zapłacił za tę przyjemność wysoką kwotę, nie był dziś łaskawy i ku radości publiki pozwalał zwycięzcy pastwić się nad pokonanym. Dopiero lekka sugestia ze strony Saula zakończyła walkę i zabrzmiał dzwonek. Luke zdjął marynarkę i koszulę i rzucił je na ziemię przy kolumnie. W Piekle nie było obowiązkowych strojów sportowych, choć jego rywal, który właśnie pochylał się, by przejść pod

sznurem łączącym kolumny, ubrany był w sportowe szorty do kolan. Nazywał się Aleksei i pochodził z Ukrainy. Luke schylił się i wszedł na pole walki. Mężczyźni spojrzeli na siebie, oceniając budowę i siłę rywala, mierząc swoje szanse. Aleksei był dwukrotnie cięższy, jego mięśnie zdawały się rozsadzać skórę napiętą wokół nich. Był od Luke'a młodszy, ale Luke gołym okiem widział, że był doświadczonym pięściarzem. Czuł mrowienie i rytmiczny puls adrenaliny wypełniającej jego żyły, czekał na dzwonek i ten moment, gdy przestajesz słyszeć i widzieć cokolwiek innego poza przeciwnikiem, gdy nic więcej cię nie rozprasza, pole widzenia zawęża się do paru metrów, które dzielą cię do rywala. Głos dzwonka przeszył jego ciało jak elektryczny impuls.

Aleksej ruszył na niego bez mrugnięcia okiem. Był szybki, szybszy niż Luke i zdecydowanie silniejszy. Kiedy padły pierwsze ciosy, Luke zdołał osłonić się i poczuć siłę przeciwnika. Zdawał sobie sprawę, że długo nie utrzyma się na nogach i starcie jest z góry przesądzone. Wiedział również, że jego jedyną szansą jest spryt i wnikliwa obserwacja, dzięki której mógł przewidzieć chwyt rywala i dać sobie szansę na obronę lub unik, a przede wszystkim na przebicie się przez osłonę przeciwnika i zadanie ciosu.

Luke utrzymał się na nogach dłużej niż się spodziewał, wkrótce jednak mocne ciosy Alekseja zaczęły go dosięgać i poza zmęczeniem musiał zmagać się z bólem. Aleksei wiedział, gdzie celować i Luke zaliczył już trzecie uderzenie w brzuch. Próbował zadać cios w splot słoneczny rywala, lecz ten był szybszy i nie ogłuszony rozsadzającym bólem w nadbrzuszu. Luke wiedział, że musiał rozpalic w sobie choć odrobinę furii, która działa jak najlepszy środek przeciwbólowy i dopalacz, ale choć jego ciało pozostawało aktywne w walce, wewnątrz trwało w odrętwieniu. I Luke poczuł wzbierającą desperację, natarł na przeciwnika ze zdwojoną siłą i z dziwną ulgą przyjął kolejne ciosy. Przynajmniej dostał to, po co tu przyszedł. Fale bólu jedna po drugiej spadły na niego i Luke próbował złapać oddech pomiędzy nimi. Ból zaczął

działać, jak w amoku zadawał ciosy na oślepa, próbując zlokalizować rywala poprzez mgłę, która ogarnęła jego oczy.

Uderzenia spadały na niego jak grad wielkich ciężkich kul, przed którymi nie miał już siły się bronić. Próbował osłaniać klatkę piersiową i rozrywany bólem brzuch, ale wkrótce pięści Alekseja zaczęły dosięgać go wszędzie. Poprzez szum w jego uszach słyszał głos Saula nakazujący mu paść.

– Padnij, kurwa! Luke!

W pewnym momencie Luke poczuł za sobą chłodną betonową kolumnę. Oparł się o nią na ułamek sekundy po czym, odbił się dłońmi i chwiejnym krokiem ruszył w stronę Alekseja. Wydawało mu się, że to jeden cios powalił go na ziemię, choć zorientował się, że było ich więcej.

Ciało zdaje się mieć limit bólu, który jest w stanie zarejestrować naraz. Luke widział pięści przeciwnika, ale nie czuł już ich uderzeń. Ustał nawet szum w jego uszach i słyszał jedynie miarowe, coraz wolniejsze bicie własnego serca, jak uderzenia gongu. We mgle wokół niego widział postać Saula, wstrząsającego sylwetką sędziego i tłum ludzi, których ramiona unosiły się jak gałęzie drzew. Wszystko jednak zdawało się powoli zamierać i rozpluwać. Luke przypomniał sobie swoje pierwsze próby na desce surfingowej, wielką falę, która uderzyła w niego otumaniając na chwilę i pozbawiając oddechu. Miał wrażenie, że ciosy przeciwnika były jak rozwścieczone fale.

Dźwięk dzwonka dotarł do niego z bardzo daleka i wkrótce nachyliła się nad nim sylwetka Saula.

– Luke! Ty głupi skurwielu! Ty pierdolnięty idioto! Kazałem ci paść, kretynie! Kazałem ci p...

Luke nie czuł nic. Ciało, skorupa którą był, strzaskane i zmiażdżone leżało potrząsane dłońmi. Mógłby umrzeć właśnie tak. Nie czując nic. Tak inaczej niż matka, której skowyt pełen bólu budził go w nocy. Był tylko skorupą, nic w nim nie było. Czekał na wielką falę, tę ostatnią, która zmiecie go z powierzchni, jak gdyby nigdy nie istniał.

– Nie waż się zamykać oczu, ty popaprańcu! – Ręce Saula

wstrząsały jego ciałem. – Dać się zabić przez jakąś, kurwa, dziewczynę...

Słowa Saula rozmywały się. Dziewczyna. Iskry wspomnień. Włosy. Szare oczy. Drobne stopy. Jej ciepłe palce na czole. Usłyszał jej głos szepczący jego imię. Luke. Zaczerpnął powietrze w płuca i przeszył go kłujący ból. Dławił się własnym oddechem. Głos Saula dochodził z daleka jak przez grubą ścianę.

– Nic mnie to kurwa nie obchodzi! Wezwij karetkę! Teraz! Kurwa! Wezwij ją pod budynek obok – zaniosę go!

Saul uniósł ciało przyjaciela i przerzucił je przez ramię. Z ust Luke'a wydobył się jęk.

– Wybacz, stary. – Saul szedł pomiędzy rozwrzeszczanym tłumem. Wiedział, że Luke ma złamane żebra i przebite płuco, a może nawet śledzionę. Widział gości umierających w ten sposób. Niósł Luke'a przez ciemny opustoszały parking. W oddali słyszał wycie syren ambulansu.

Kiedy parę minut później tłumaczył ratownikom pogotowia, że nie zna faceta, że tak go znalazł parę metrów stąd, poczuł dłoń Luke'a ciągnącą go ku niemu. Jego usta pod maską tlenową próbowały coś powiedzieć. Saul pochylił się nad przyjacielem i odsunął lekko maskę, by móc zrozumieć jego słowa.

– Weronika. – Szept cichy jak oddech wydostał się przez rozbite wargi.

Miała zamknięte oczy i – choć nie wie skąd – pewność, że wokół niej panowała kompletna ciemność i ciężka cisza, w której słyszała jedynie własny nierówny przyśpieszony oddech. Pod palcami dłoni czuła chłodną powierzchnię materaca, bojąc się wyciągnąć rękę choć odrobinę dalej. Kuliła się w oczekiwaniu na coś złego, co miało wynurzyć się z nicości wokół niej. Spodziewała się twardych spoconych dłoni zadających ból i prawie krzyknęła, gdy poczuła na sobie dotyk palców. Dłoń, która ją dotykała była jednak delikatna i czuła i Weronika spróbowała otworzyć mocno zaciśnięte strachem powieki. Gdy je uniosła, zobaczyła w mroku tuż przy swojej twarzy dwoje zielonych oczu – zmrużonych, uważnych, intensywnych. Nie mogła złapać tchu i

opanoowało ją przerażające uczucie, że się dusi.

Obudziła się walcząc o oddech, mokra od potu, w rozkopanej pościeli. W ciemnościach zeszła z łóżka i podeszła do balkonowych drzwi. Otworzyła je, rozsuwając lekko zasłony, by wpuścić świeże powietrze. Osunęła się na ziemię i z plecami wspartymi o chłodną powierzchnię ściany siedziała patrząc w okno, wdychając chłód nocy i dochodząc do siebie. Siedziała tak, jak zwykła siadywać w swoim rotterdamskim więzieniu. Nad linią wzgórz wisiała wielka okrągła tarcza księżyca. Kątem oka nad swoim motelowym łóżkiem Weronika zauważyła białe pióra poruszane wiatrem. Wieczorem powiesiła swój łąpacz snów i długo patrzyła na jego skomplikowaną sieć nim zasnęła. Przyglądała mu się również teraz, zastanawiając się, czy jego moce nie działały na jej koszmary senne, czy w sieci było pęknięcie, przez które złe sny sączyły się podstępnie. Myślała o swoim śnie, o czułym dotyku, pod którym kuliała się ze strachu, o uważnych oczach, pod których spojrzeniem nie mogła zaczerpnąć tchu. Dotyk nie zadał jej bólu. Wzrok nie ranił jej. I Weronika spojrzała po raz kolejny w stronę obracanego podmuchami wiatru łąpacza. Zaakceptował jej sen, jako bezpieczny i wpuścił go do jej głowy. Bo dotyk był czuły, a uważne oczy wydawały się jej strzec. Weronika skuliła się podciągając kolana pod brodę i obejmując je ramionami. Musiała być wreszcie ze sobą szczerą, jak kojot, który chce być kojotem. Musiała stawić twarz wstydlivej prawdzie, którą nosiła w sercu. Od pierwszej chwili, gdy tu przybyła, jej duszę rozrywała tęsknota za mężczyzną, który zagrażał jej życiu, przetrzymywał wbrew jej woli. Tęskniła desperacko i na przekór rozsądkowi. Nawet w myślach nie śmiała wymówić jego imienia, jak gdyby było zaklęciem, które on usłyszy mimo odległości, wezwaniem, które go tu sprowadzi. Ale w środku tamtej nocy rozświetlonej pełnią księżyca, zawstydzona i rozdarta, przerażona i zmieszana, jakby usłyszała diagnozę strasznej choroby, raz po raz szeptała jego imię, czując ciepłe łyzy na policzkach. Luke. Luke. Luke.

XII

Pierwsze dni września były nadal ciepłe i pachnące latem, choć miasteczko powoli pustoszało, żegnając wakacyjnych turystów. Nieliczni zostali lub dopiero przybyli, skuszeni posezonowym spokojem, aurą ostatnich dni lata i piękną pogodą. Lasy porastające wzgórza były nadal soczyście zielone, woda w jeziorach ciepła i jedynie chłód nocy przypominał, że wkrótce nadejdzie jesień.

Weronika weszła do księgarni jak zawsze kwadrans przed otwarciem. Emma klęczała pochylona nad tekturowym pudłem pełnym książek. Jej niemalże kruczoczarne włosy opadały na twarz. Założyła je za ucho i wtedy zauważyła Weronikę. Obok niej na ziemi leżał stos faktur i formularzy, który trąciła odwracając się i lawina papierów osunęła się z szelestem na ziemię.

– Sonia! Dobrze, że przyszałaś wcześniej. Nie dam rady tego sama rozbroić. Zajmiesz się rozpakowywaniem? Muszę jeszcze dziś przed wyjazdem wypełnić te formularze, zatwierdzić faktury i zrobić przelewy. Przejmiesz dziś sklep? – Emma wyglądała na zestresowaną. Próbowała ułożyć papiery na spójny stosik zerkając raz po raz na zegarek.

– O której musisz wyjść? – Weronika zdjęła kurtkę i torbę i rzuciła je na fotel przy ladzie.

– Za trzy godziny. Jeśli zdążę na autobus, to będzie cud. – Westchnęła patrząc bezradnie na stos w jej dłoni.

– Zostaw mi to pudło i sklep i biegnij wypełniać papiery. Jak się pospieszysz, na pewno zdążysz.

Emma uśmiechnęła się i po chwili zniknęła za drzwiami zaplecza.

Weronika uklękała nad wielkim pudłem i zaczęła wyjmować książki, segregując tytuły na oddzielnych stosach.

Pracowała w księgarni Emmy już prawie dwa miesiące. Pamiętała dokładnie słoneczny ciepły lipcowy poranek, gdy natknęła się na nią przed wejściem do jej sklepu. Zawieszała w

wystawowym oknie ogłoszenie i od razu rozpoznała Weronikę. Rozciągnęła koralowe usta w uśmiechu i zapytała, jak podobała się jej książka jej wujka. Usiadły na stopniu przed wejściem do księgarni i rozmawiały, delektując się porannym słońcem i spokojem na ulicach miasta. Wraz z pierwszymi dniami lipca miasteczko ożywało gwarem przyjezdnych. Wszędzie panował ruch do późnych godzin i jedynie rano, gdy turyści odsypiali, ulice spowijała cisza.

– Zawsze wstajesz tak rano? – zapytała Emma, wystawiając twarz w stronę słonecznych promieni i przymykając powieki z czarnymi długimi rzęsami.

– Zwykle tak.

– Nie jesteś typową turystką, prawda? – Emma spojrzała na nią zaciekawiona.

– Nie.

– Wybacz moją szczerość. – Mój mąż mawia, że to moja największa wada i największa zaleta. – Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że przed czymś uciekasz. Przepraszam, jeśli się mylę, w ogóle zignoruj mnie najlepiej. – Machnęła ręką z przepraszającym uśmiechem.

Weronika milczała chwilę, rozważając kłamstwo, które zamierzała opowiedzieć.

– W pewnym sensie masz rację.

Emma podniosła na nią wzrok pełen zainteresowania.

– To miały być wakacje we dwoje. Nasze wymarzone. Planowaliśmy je już od dawna. Wypadek wydarzył się półtora miesiąca przed planowaną datą wyjazdu. Zginął na miejscu. Chciałam wszystko odwołać, nie jechać, ale... musiałam uciec przed tym smutkiem.

– O mój boże, strasznie mi przykro. – Emma uniosła dłoń do ust i wyglądała na szczerze zasmuconą.

Weronika pokiwała głową i temat został przez nie obie uznany za wyczerpany, co było jej niezwykle na rękę, nie musiała bowiem brnąć głębiej w kłamstwa. Przez parę minut siedziały w ciszy, którą w końcu przerwała Emma.

– Szukam kogoś do pomocy w księgarni. Wiem, że nie wiesz jeszcze jak długo i czy w ogóle tu zostaniesz. Nie musisz mi odpowiadać dziś, ale przemyśl to. – Uśmiechnęła się do niej lekko, zaskakując Weronikę swoją propozycją. Poczowała się jeszcze gorzej ze swoimi kłamstwami, choć rozsądek podpowiadał jej, że musi w nich trwać.

Nie potrzebowała dużo czasu, by podjąć decyzję. Choć mężczyzna zaopatrzył ją w ilość gotówki, jakiej nie widziała nigdy wcześniej, zdawała sobie sprawę, że każde pieniądze, nawet największe mają swój kres. Zgodziła się więc i już następnego dnia Emma zaprosiła ją, żeby mogła zapoznać się z funkcjonowaniem sklepu.

– Nie ma tu zwykle zbyt wiele pracy, ale wkrótce zaczynam studia i nie poradzę sobie ze wszystkim sama. Poza tym dwa razy w miesiącu będę musiała jechać do Vancouver i potrzebuję kogoś, kto przejmie księgarnię.

Emma lubiła rozmawiać, ale nie była gadatliwa ani natarczywa. Mówiła to, co powinno zostać powiedziane i nie zarzucała Weroniki pytaniami. Z wzajemnością. Obie pracowały w życzliwej ciszy bez zbędnych rozmów, które zwykle odbywały się jedynie przy kubku herbaty, kiedy siadały na schodku przed sklepem. Weronika podziwiała urodę Emmy, jej sposób ubierania się i poruszania. Czuła pod skórą podobną fascynację, którą darzyła Amy i wiedziała, że w ten sposób znów zatraci się w kimś innym. Skupiła się więc na pracy i sobie. Było dla niej jasne, że między nią i Emmą prawdziwej przyjaźni nigdy nie będzie – nie da się zbudować zdrowej relacji na kłamstwach. Czuła się winna z tego powodu, ale instynkt przetrwania był silniejszy. I posłuszeństwo, którym podszyte było wszystko, co robiła.

Emma zdawała się jednak nie zauważać jej nieszczerości i brak wylewności przypisywała żalobie. Czasem opowiadała jej o swojej rodzinie i Weronice wydawało się, że robi to, by rozładować ciszę. W ten sposób dowiedziała się, że księgarnia pierwotnie należała do mamy Emmy, u której dwa lata temu zdiagnozowano raka piersi. To był szok dla jej córki, która rzuciła

studia i wróciła do rodzinnego miasteczka. Jej mamie udało się pokonać chorobę, lecz po wyjściu z niej, wolała zostać w domu, zająć się swoim ogrodem, psami i gotowaniem lunchy i obiadów. Przekazała swój sklep córce i Emma obawiała się, że mama czuje się winna wobec niej za przerwane studia, ale szybko zdała sobie sprawę, że była po prostu szczęśliwa w domu, blisko ojca Emmy, który nieprzerwanie pracował w swoim warsztacie położonym nad brzegiem jeziora Mara i jedynie dwie ulice od ich rodzinnego domu. Zajmował się budową i renowacją łodzi oraz jachtów, co było dochodowym interesem w miejscu położonym między dwoma jeziorami. Większość ośrodków wynajmujących jachty turystom miała co prawda własne ekipy do napraw, jednak wielu ludzi stacjonowało w zatoce własne jachty, wielu przyjeżdżało z łodziami, wielu kupowało stare jachty do renowacji. Warsztat nigdy nie był zamknięty i nawet w zimowych miesiącach ojciec Emmy miał ręce pełne pracy.

Emma najpierw nie planowała wracać na studia, ale czas płynął, ich życie rodzinne wróciło do normy po chorobie mamy, jej mąż zaczął wspominać o dzieciach i zrozumiała, że dłużej czekać nie może, albo teraz albo nigdy.

Weronika rozcięła nożem taśmę, którą sklezione było puste już tekturowe pudło, złożyła je i wstawiła na zaplecze, gdzie Emma pochylona nad małym biurkiem wypełniała formularze.

Stosy książek na ziemi poukładała wzdłuż półek i musiała przygotować im miejsce. Był piątek, Emma miała wyjść za trzy godziny i Weronika chciała, by wychodziła spokojna widząc, że wszystko jest na swoim miejscu.

Książki stojące w równych rzędach, zapach papieru, koralowy życzliwy uśmiech Emmy działały na Weronikę kojąco. Całkiem nieświadomie Emma dała jej szansę nauczyć się ponownie być wśród ludzi i obok nich. Przez pierwsze tygodnie pracy Weronika drżała za każdym razem, gdy zgrzytnęły drzwi księgarni. Pod osłoną uśmiechu, przyglądała się podejrzliwie każdemu odwiedzającemu klientowi, w każdym widząc zagrożenie. Choć praca nie była ciężka, Weronika czuła się

wyczerpana emocjonalnie. Mijały jednak tygodnie i napięcie, które odczuwała powoli odpuszczało, dając jej szansę cieszyć się szansą na nowe życie. Powoli wsiąkała w małomiasteczkowy tryb życia, odnajdując dziwną pociechę i ukojenie w uśmiechu piekarza, który bez pytania wiedział, który chleb przyszła kupić, w powitalnym uniesieniu dłoni przez starszą kobietę ze sklepu z pamiątkami, który mijała idąc do pracy, w tętniącym rytmie, którym oddychało miasto – spokojne, gościnne, ciepłe, jak gdyby reszta świata odcięta od niego pasmem wzgórz i błękitem jezior, nie miała znaczenia. Stopniowo, dzień po dniu, zaczynała czuć się częścią tego organizmu, w sposób w jaki nigdy dotąd nie czuła się nigdzie przynależna. Zdawała sobie sprawę, że jej poczucie bezpieczeństwa i przynależności jest iluzją zbudowaną na opowiadanych przez nią kłamstwach, pomimo których po raz pierwszy w swoim życiu Weronika, nawet skryta pod imieniem Sonia, czuła się bardziej sobą niż kiedykolwiek wcześniej.

Trwała jednak w oczekiwaniu na spełnienie jego słów. Myśl o tym, że ją tu znajdzie, budziła w niej wiele sprzecznych emocji. Przerażała i jednocześnie napępiała nadzieją. Weronika nie rozumiała tego, jednak nawet tutaj po drugiej stronie oceanu, czuła delikatne szarpnięcia łączącej ich nici, która nigdy nie odpuściła, nawet wtedy, gdy zatrzasnęła za sobą drzwi jego auta i ruszyła na drżących nogach w stronę lotniska. Każdego dnia i każdej nocy, nieustannie czekała na odgłos jego kroków, które rozpoznałaby wśród tysiąca innych, na twardy dźwięk jego głosu, na sposób w jaki pochylał głowę i mrużył oczy, mierząc ją stalowym wzrokiem. Gdzieś w jej umyśle kwitła myśl, że ten mężczyzna miał nad nią władzę sięgającą dalej niż jedynie do granic fizycznej niewoli i że jego siła, tak niebezpieczna i obezwładniająca, pociągała ją. Zadawała sobie pytanie, za czym tęskni bardziej, bo to, że tęskniła było dla niej jasne, za momentami, gdy okazywał jej swą irytację i dystans, czy za tymi chwilami, gdy nagle zaskakiwał ją odruchem życzliwości. Została jego własnością w najstraszniejszym okresie swego życia, gdy była osamotniona, zraniona, bezbronna, poniżona. Był jej jedynym towarzystwem w ciemnościach tych

strasznych nocy. I Weronika zdawała sobie sprawę, że jej uczucia zasługują na miano chorej obsesji, brzydkiej wstydlivej fantazji, zmanipulowanej strasznymi przeżyciami zależności, od której nie mogła się uwolnić. I tylko jeden fakt tłumaczył ją z tych mar, które nosiła w sercu. Niezależnie od wszystkiego, co się wydarzyło, dziś była wolna i bezpieczna i to on otworzył jej drzwi i wcisnął w rękę paszport i pieniądze. Jeśli wszystko, co czuła było po prostu formą wdzięczności, to miała do niej prawo.

Minęły ponad dwa miesiące i Weronika, choć jej egzystencja nadal podszyta była strachem, czujnością i oczekiwaniem, powoli oswajała się z myślą, że jej czekanie nie ma sensu.

Łapacz snów wisiał nadal nad jej łóżkiem, choć już nie w motelowym pokoju. Od paru tygodni wynajmowała nieduże mieszkanie trzy ulice od księgarni Emmy. To właśnie ona zauważyła ogłoszenie i namówiła Weronikę na wynajem. Kiedy razem poszły obejrzeć miejsce, Emma stwierdziła, że jest bardzo małe i Weronika niemalże musiała ugryźć się w język, by nie powiedzieć jej jak mały był jej studencki pokój w Utrecht. Mieszkanko mieściło się na pierwszym piętrze długiego budynku mieszkalnego i miało oddzielne wejście, do którego prowadziły długie schody. Drzwi wejściowe otwierały się od razu na słoneczny pokój z aneksem kuchennym. Po prawej znajdowały się drzwi prowadzące do małej sypialni, z której przechodziło się do niedużej lecz czystej i schludnej łazienki. Wyposażenie było bardzo podstawowe, ale mieszkanie sprawiało wrażenie odświeżonego, pełnego światła i przytulnego. W głównym pokoju stała beżowa sofa z malutkim stolikiem i szafka z telewizorem, którego widok Weronika przyjęła z ulgą. Wykładzina podłogowa w piaskowym kolorze była czysta i miękka. Aneks kuchenny wyłożony kremowymi płytkami wyposażony był w podstawowe sprzęty włącznie z lodówką i piekarnikiem, a nawet małym radiem stojącym na parapecie. W sypialni stało jedynie łóżko i sosnowa szafa. Emma wydawała się, być zawiedziona, lecz Weronika zdecydowała się wynająć mieszkanko i podpisała umowę jeszcze tego samego dnia. Dopiero parę tygodni temu, gdy pierwszy raz

zobaczyła dom rodzinny Emmy zrozumiała, dlaczego jej nowe miejsce wydało się jej za ciasne.

Trudno było jej przywyknąć do nowego miejsca, innych odgłosów, dźwięków w środku nocy lub nad ranem, których pochodzenia nie potrafiła rozpoznać.

Często zastanawiała się wciąż od nowa, czy strach i poczucie niepewności na zawsze będą częścią jej życia, czy obudzi się pewnego dnia uwolniona od nich. Wyobrażała sobie siebie samą za dziesięć lat – gdzie będzie wtedy? Czy nadal będzie Sonią, czy znów Weroniką? Czy nadal będzie tkwiła tutaj pozostawiając wszystko za sobą, nigdy nieskończone i niewyjaśnione?

Luke wszedł do apartamentu i położył torbę z zakupami i dwa tekturowe pudła na podłodze w holu. Rozejrzał się po mieszkaniu, zastanawiając się od czego ma zacząć. Westchnął głęboko i poczuł lekki, lecz wyraźny ból w klatce piersiowej. Minęły prawie dwa miesiące, ale ból dokuczał mu nadal, szczególnie po wysiłku fizycznym. W kuchni wyjął z zamrażarki parę kostek lodu, wrzucił je do szklanki i nalał wody. Czuł się zmęczony i postanowił posiedzieć na tarasie. Wieczór, choć wrześniey i chłodny, nadal był słoneczny. Luke dopiero od paru tygodni znów był na własnych nogach. Tygodnie po operacji spędził w szpitalu. Miał złamane żebra, przebite płuco, pękniętą śledzionę, rozległy krwotok wewnętrzny. Wycięto mu kawałek płuca i usunięto śledzionę. Utrzymywano go parę dni w stanie śpiączki, żeby mógł oddychać pod respiratorem. Pamięta, że przebudził się i dłuższą chwilę, zanim uniósł ociężałe powieki, słyszał miarowe dźwięki aparatów, do których był podpięty.

Saul siedział parę metrów dalej, przy niewielkim białym stoliku. Minęło parę minut zanim podniósł głowę znad laptopa i zauważył otwarte oczy przyjaciela. Zerwał się z krzesła z szerokim uśmiechem śnieżnobiałych zębów w ciemnej twarzy i podszedł do łóżka.

– Wyspany? – Mrugnął okiem i wyszedł. Wrócił po chwili z wysoką pielęgniarką, której poważna twarz z głębokimi bruzdami nie zdradzała śladu emocji.

Wkrótce znał twarze i nawyki wszystkich pielęgniarek na oddziale, na którym miał spędzić parę tygodni. Saul odwiedzał go regularnie, choć Luke nigdy go o to nie poprosił. Ani mu za to nie podziękował. Niewiele rozmawiali, ale żaden z nich nie należał do wylewnych rozmówców. Luke nie wiedział, czy był przyjacielowi bardziej wdzięczny za jego wizyty, czy za jego milczenie. Nie chciał rozmawiać. Pierwsze dni po operacji spał częściej niż był w stanie świadomości. Środki przeciwbólowe przyjemnie otumaniały i uwalniały od konieczności stawienia czoła temu, co się wydarzyło. Luke pozwalał więc sobie odpływać w nieświadomość, w pozbawioną snów chemiczną ciemność, gdzie nic nie bolało, ani ciało, ani dusza, ani umysł. Dwukrotnie do pokoju wpuszczono policjantów i dwukrotnie Luke udając, że śpi i dryfując gdzieś pomiędzy stanem snu a jawą, wyczerpał ich cierpliwość. Wiedział, że jeszcze wrócą i był na to gotowy. Cierpliwość Saula zdawała się jednak nie mieć granic. Przychodził zwykle co drugi dzień, czasem przynosił gazety, które czytał, gdy Luke gapił się w podwieszony pod sufitem telewizor lub drzemał, czasem laptop, przy którym pracował. Czasem zabierał jedzenie, które zjadali w milczeniu oglądając mecz, innym razem próbował nawiązać bez powodzenia krótką rozmowę na byle jaki temat, nigdy jednak nie naciskał i rezygnował, gdy zauważał u Luke'a pierwsze oznaki znużenia lub irytacji. Było jednak coś nieustępliwego i wytrwałego w jego zachowaniu, przeciw czemu Luke nie potrafił walczyć.

– Wiesz, że miałeś dużo szczęścia? – zapytał go pewnego dnia Saul, zbierając swoje rzeczy i kierując się ku wyjściu. – Pytanie, co z tym szczęściem teraz zrobisz.

Luke miał mnóstwo czasu, by myśleć. Gdy przestano podawać mu silne środki przeciwbólowe i zaczął dochodzić do siebie, rzeczywistość zdawała się zbliżać wielkimi krokami i dobijać do drzwi. Najpierw w formie dwóch agentów policji, którzy pojawili się z listą pytań dotyczącą pobicia i wyszli nieusatisfakcjonowani, notując skrupulatnie, iż poszkodowany nic nie widział i nic nie pamięta, nie będzie również w związku z tym, zgłaszał napaści.

Nagromadzone w nim myśli utworzyły kłębowisko, niebezpieczny wir, który co jakiś czas wciągał go kompletnie. Patrzył w ekran telewizora, nie widząc nic, kręcąc się w kołowrotku we własnej głowie. Czuł się zniewolony, zależny od innych. Był tym, czym gardził – był słaby. Wielokrotnie i mimowolnie przywoływał w myślach kruchą, drobną postać Weroniki, zastanawiając się, czy czuła się podobnie, będąc zdana wyłącznie na niego, jego łaskę i niełaskę. W karuzeli jego nieujarzmionych myśli, była jak nieruchome centrum, wokół którego kręciło się wszystko w jego głowie.

Kiedy nie myślał o Weronice, wspominał matkę. Pierwszy raz od jej śmierci oddał się wspomnieniom bez podejmowania prób ucieczki przed nimi. Wspominał mamę taką, jaką była zanim spadła na nią, na nich, diagnoza choroby nowotworowej. Zapamiętał jej spokojne oczy i sposób w jaki na niego patrzyła, spojrzeniem pełnym bezgranicznej miłości, jak gdyby nic, co Luke kiedykolwiek zrobił lub powiedział, mogło to zmienić. Parzyła herbatę w niemal mistyczny sposób, jakby to był religijny rytuał, a nie zalewanie wrzątkiem garści ziół. Kochała kwiaty i drzewa i nieraz zażenowała go, tuląc się do kory, gdy spacerowali w lesie lub parku. Nie znosiła hałasu i chaosu, choć bałagan w jej szafie z ubraniami nigdy jej nie przeszkadzał. Piekła pyszne ciasto czekoladowe na każde jego urodziny w kwietniu. Lubiała zwierzęta i uparcie dokarmiała zimą bezdomne koty, o których miski Luke potykał się w ciemności na schodach, gdy wracał do domu późnym wieczorem. Minęło wiele lat, ale jej zapach nadal wisiał w ich londyńskim domu. Luke poczuł ulgę, jak gdyby otworzył bezpiecznie butelkę zamkniętą pod ciśnieniem i spodziewał się, że wybuchnie i rozprysnie się na szklany pył, który pokaleczy mu ciało.

Weronika wracała do niego nawet w snach, jej skulone drobne ciało, duże pełne strachu oczy. Budził się dotykając palcami blizny po ranie, którą zszyla.

Luke nie wiedział, co w tej dziewczynie pociągało go do granic możliwości. Musiało jednak być w niej coś ważnego, skoro

była ostatnią jego myślą, nim odpłynął w nicość, przekonany, że umiera. Jakaś cienka nić, lepka jak pajęczyna, ciągnęła go ku niej mimo odległości, mimo czasu, mimo wszystko. Było w niej coś, czego pragnął, co zaczęło przejmować nad nim władzę, najpierw po cichu, potem coraz jawniej, aż wszystko, co robił, robił z jej powodu. Nadal nie wiedząc dlaczego. W czasie tych długich godzin w białym szpitalnym pokoju, Luke zrozumiał jedno. Choć to on przetrzymywał ją, był jej właścicielem, to ona tak naprawdę sprawowała władzę nad nim. Prawdopodobnie całkiem nieświadoma tego, stała się kamykiem, który tocząc się z góry, pociągnął za sobą całą lawinę. Lawinę, która nieomal go zabiła. Dlaczego? Tego Luke nie wiedział. Postanowił jednak, że musi się dowiedzieć – w ostateczności to on ją uratował, wykupił, wypuścił na wolność. Jeśli czegoś pragnął w zamian, to właśnie tego, prawa, by dowiedzieć się dlaczego.

Naturalnie brał pod uwagę najbardziej oczywistą z opcji, że zakochał się jak szczeniak. Luke nie czuł się jednak znawcą w kwestiach miłości i nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej był zakochany. Niewiele o tym myślał do tej pory i nie miał żadnego konkretnego wyobrażenia o tym, co dzieje się naprawdę w zakochanym człowieku. Jednak to, co dziewczyna naruszyła w nim swoją obecnością, intensywność uczuć, jakie do niej żywił, przypominała mu bardziej obsesję podszytą pożądaniem. Wiedział jednak, że kryło się za tym o wiele więcej i był gotowy szukać odpowiedzi na swoje pytanie. Przede wszystkim, nie miał nic do stracenia.

Luke siedział w jednym z drewnianych foteli na swoim balkonie, który za dwa tygodnie miał należeć do kogoś innego. Lekkie podmuchy chłodnego wiatru sprawiały mu przyjemność, ból w klatce piersiowej powoli odpuszczał. Popijał swoją wodę, w palcach drugiej ręki obracając zapalniczkę. Miał ochotę na papierosa, na którego nie powinien sobie pozwolić, musiał oszczędzać płuco. Nie miał wiele pakowania i nie wiedział jeszcze, co zrobi z rzeczami. Ani ze sobą samym. Pieniądze prawie się skończyły i Luke musiał w końcu podjąć jakąś decyzję. Podniósł

się z fotela i wszedł do apartamentu. W kuchni na błyszczącym blacie leżała niewielka koperta z jego nowym jeszcze nieużywanym paszportem, który czekał na swoją szansę już parę miesięcy. Luke patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym z kieszeni marynarki wyjął telefon.

Była jednak jedna osoba, której Luke winien był wyjaśnienie zanim wyjedzie. Czekał na Saula pod jego siłownią, wdychając chłodne nocne powietrze. Było już grubo po dziesiątej, ale w siłowni nadal paliło się światło. Luke wysiadł z auta i oparł się o maskę. Popijał wodę z plastikowej butelki, tej samej, której parę miesięcy temu używała Weronika.

Saul zauważył go od razu i jego twarz rozjaśnił uśmiech. Zamknął za sobą drzwi i ruszył w kierunku Luke'a.

– Chyba nie zamierzasz mi dziś przyłożyć, co? – zapytał z szerokim uśmiechem, rzucając sportową torbę na ziemię obok czarnego forda.

Luke wyjął z kieszeni marynarki zapalniczkę i obracał ją przez chwilę w palcach, stojąc w milczeniu i zastanawiając się, co powiedzieć.

– Wiesz, że nie możesz palić. – Saul zerknął na zapalniczkę w jego dłoni.

– Wiem. – Luke wsadził bezużyteczną zapalniczkę z powrotem do kieszeni.

– Byłeś ostatnio niezłym wrzodem na tyłku.

– Wiem – powtórzył ciszej przeproszającym tonem.

Zapadła między nimi cisza, którą pierwszy przerwał Saul.

– Jedziesz jej szukać i przyszedłeś się pożegnać? – To pytanie brzmiało bardziej jak stwierdzenie.

Luke skinął głową. Marzył o papierosie.

– Pewnie nie dam rady przekonać cię do zmiany zdania.

Pokręcił głową. Minęła ich grupa młodych ludzi prowadzących swoje rowery i przekrzykujących się nawzajem.

– Dasz mi znać, gdybyś czegoś potrzebował?

– Już wystarczająco dużo zrobiłeś.

Saul pokiwał głową w milczeniu. Po jego szerokim uśmiechu

nie pozostał nawet ślad, jak gdyby nagle uderzył go fakt, że więcej się nie zobaczą.

– Wskoczmy na piwo? – zapytał nagle, jakby kilka zdań, które zamienili nigdy nie padło.

– Muszę się zbierać. – Luke wyciągnął do niego dłoń, którą Saul uściskał mocno, kiwając głową ze zrozumieniem.

– Powodzenia, Luke.

Po tym, jak się pożegnali, Luke długo siedział w aucie na ciemnym parkingu, patrząc w mrok w miejsce, w którym za rogiem budynku zniknęła sylwetka Saula. Chciał powiedzieć mu więcej niż te parę zdań. Prawda była jednak taka, iż nie wiedział jak. Wrócił do domu zmęczony i w poczuciu, że to nie wielka fala zmiata ludzi z jego życia, lecz on sam spycha ich w mrok.

Wsunęła ostatnie książki na półkę i jeszcze raz przyjrzała się rezultatom swojej pracy. Wszystko było ustawione w oddzielnych kategoriach w porządku alfabetycznym, naklejki z cenami z kodem księgarni przyklejone, zapasowe egzemplarze grzbietami do góry w szufladach pod szafkami, pokazowe egzemplarze w oknie wystawowym i na dużym drewnianym stole stojącym na środku pomieszczenia. Duży łapacz snów wiszący nad stołem obrócił się kilka razy wokół własnej osi i Weronika przyjrzała mu się uważnie. Okna i drzwi księgarni były zamknięte a mimo to się obracała się, jak gdyby poruszał nią podmuch wiatru. Puszyste kolorowe pióra unosiły się delikatnie. Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł dreszcz niepokoju.

– Skończyłam! – Triumfalny głos Emmy wyrwał ją z zamyślenia i nieomal przyprawił o zawał serca; podskoczyła jak rażona prądem, czego Emma w swoim pospiechu zdawała się nie zauważyć. Rozejrzała się po księgarni i klasnęła w dłonie; koralowe wargi obnażyły rząd białych zębów w szerokim uśmiechu. – Świetnie! Wszystko gotowe! Mogę pakować się do szkoły. Aha! W szufladzie z gazetami leży koperta z magazynami ogrodniczymi dla Rity. Jej syn przyjdzie odebrać je popołudniu.

Emma wrzucała do swojej weekendowej torby książki, przekazując jej ostatnie wskazówki. Weronika podeszła do

szuflady i wyjęła podpisaną kopertę, by mieć ją gotową pod ladą, kiedy syn Rity zajrzy do księgarni.

Wiedziała, że to on, nim odwróciła twarz i zobaczyła go za szybą sklepowego okna. Jego sylwetka, którą uchwyciła najpierw jedynie kątem oka, nieruchoma i zastygła, zdawała się być cieniem, który nagle na nią spadł. W tym krótkim momencie zbiegły się wszystkie jej oczekiwania, lęki i tęsknoty. Patrzył wprost na nią i mimo odległości i szyby, która ich dzieliła, Weronika miała wrażenie, że słyszy jego oddech, że czuje go niemalże na swojej skórze. Utkwiła w nim oczy i nie potrafiła poruszyć się nawet o milimetr, sparaliżowana i otumaniona emocjami. Nić, która ciągnęła ją ku niemu, zdawała się być teraz sznurem, który oplatał jej szyję, zaciskając się na niej i odcinając dopływ tlenu. Oddech uwiązł w jej gardle, serce zwolniło rytm. Jej oczy widziały jedynie jego postać, jak gdyby na wszystko inne opadła gęsta mgła. Nie miała wątpliwości, że to on, choć wyglądał tak inaczej. Zastanawiała się, czy zapamiętała go innym niż był w rzeczywistości, czy zmienił się w ciągu tych miesięcy, czy wydawał się jej innym tylko dlatego, że stali w miejscu publicznym, w świetle dnia, jak zwykli ludzie, których nic nie łączyło.

Zauważyła, że odrosły mu włosy, nadal krótkie i w lekkim nieładzie nadawały jednak rysom jego twarzy odrobinę miękkości. Ubrany był w zwykły T-shirt, choć zapamiętała go w koszuli i marynarce. Wyglądał młodziej i smuklejszy, niż w jej wspomnieniach, choć nadal widać było twarde mięśnie jego ramion opięte materiałem podkoszulka. Jego twarz zdawała się szczuplejsza niż kiedyś, bruzda między brwiami wyraźniejsza, a oczy jeszcze głębsze. Patrzyli na siebie. Pragnęła odczytać emocje z jego twarzy, ale jej własne przejęły nad nią panowanie i jedna myśl jak gong ogłuszyła ją. Znalazł ją.

XIII

Nie była w stanie zasnąć. Przekręcała się z boku na bok, obracała poduszkę na drugą stronę, odkrywała ramiona, po czym znów je zakrywała. Wpatrywała się w łapacz snów wiszący pod sufitem nad jej łóżkiem. Próbowwała zamykać powieki i skupiać się jedynie na własnym oddechu, ale czuła pod skórą mrowienie adrenaliny. Co jakiś czas nieruchomiała, nasłuchując dźwięków przejeżdżających aut i wpatrywała się w smugę światła, która przesuwała się szybko po zasłonach. Sen nie nadchodził, choć czuła się znużona. Przed oczyma nadal widziała wyraźnie baczne spojrzenie jego oczu. Jego obecność tutaj wydawała się prawie nierealna. Gdy odwrócił się i odszedł, jak gdyby był przypadkowym przechodniem przyglądającym się książkom w sklepowym oknie, Weronika musiała przekonać samą siebie, że to, co zobaczyła za szybą, nie było iluzją. Widziała go jednak na pewno. Wiele wysiłku i emocjonalnej samokontroli kosztowało ją drobne kłamstwo, które musiała wymyślić na poczekaniu, gdy Emma podniosła wzrok znad torby podróżnej, pytając dlaczego wygląda jakby zobaczyła ducha. A on po prostu odszedł, zostawiając ją dygoczącą ze strachu i szoku. Parę szklanek wody później, gdy Emma wybiegła z księgarni w pośpiechu, Weronika odzyskała zdolność jasnego myślenia i próbowała analizować sytuację, odpowiedzieć sobie na pytanie, czy był tu tylko, by sprawdzić, czy była mu posłuszna, czy, jak zwykł ją ostrzegać wiele razy, nie zrobiła żadnych głupstw. Czy przyjechał, by odebrać to, co należało do niego, czy by ją chronić?

Weronika obróciła się na lewy bok i przez dłuższą chwilę zastygła w bezruchu, nasłuchiwała. Czekwała na dźwięk jego kroków na schodach, na jego głos, na spełnienie jej lęków, choć coraz częściej nie mogła ich odróżnić od pragnień. Czy można pragnąć tego, co jednocześnie budzi lęk? A może tak długo żyła w strachu, że stał się jej naturalnym środowiskiem emocjonalnym, tłem, na którym wypisana była cała reszta jej świata? Weronika

cała była oczekiwaniem, jej wszystkie zmysły, czujne i uważne, trwały w stanie gotowości. Weronika czekała na Luke'a.

On jednak nie pojawił się tej nocy, ani kolejnego dnia, ani żadnego z kolejnych sześciu dni, które minęły odkąd zobaczyła go przez okno księgarni. Jeśli do tej pory żyła strachem, teraz żyła czekaniem. Spała niewiele, budząc się często i nie będąc w stanie zasnąć ponownie. Czuła dziwne podekscytowanie, graniczące z niepokojem. Zdawała sobie sprawę ze swojego osobliwego zachowania i tego, że nie umknęło ono uwadze Emmy, która wkrótce zaczęła troskliwie pytać, czy wszystko z nią w porządku. Jej roztargnienie było tak ewidentne, że trudno było je ukryć lub zatuszować kolejnym kłamstwem. Była więc z Emmą prawie szczerą mówiąc, że przechodzi przez trudny czas i ma wrażenie, że wspomnienia ją ścigają. Emma zareagowała pełnym współczuciem spojrzeniem i zaoferowała jej parę dni wolnego, na co Weronika odpowiedziała, że jeśli zostanie sama całe dni w swoim mieszkaniu, na pewno zwariuje. Emma przyjęła to z pełnym zrozumieniem i zdawała się kompletnie ignorować długie niespokojne spojrzenia Weroniki w stronę okna, chwile milczenia i chroniczne zapominalstwo. Weronika czuła się jednocześnie ogromnie wdzięczna za jej wyrozumiałość i winna za swoją nieszczerłość. Tłumaczyło ją jedynie to, że nie miała wyboru.

Każdej godziny dnia i nocy trwała w stanie czujności. On jednak nie pojawiał się i Weronika nie potrafiła stwierdzić jednoznacznie, czy to ją cieszy i przynosi ulgę, czy rozczarowuje, czy może napęnia jeszcze większym niepokojem. Może wcale nie było go już w Sicamous. Przemykała z mieszkania do księgarni, z księgarni do mieszkania, oglądając się nerwowo za siebie, wszędzie spodziewając się zobaczyć jego oczy. Wyjście po zakupy stanowiło wyzwanie wymagające przełamania strachu, w tłoku w supermarkecie wszędzie czaiło się zielone spojrzenie. Była spięta i wycieńczona, nic nie przynosiło ulgi, noc nie zapewniała wypoczynku, czuła, że jest blisko granicy wytrzymałości.

W czwartkowy poranek siedziały z Emmą na progu księgarni, grzejąc dłonie na gorących kubkach kawy. Zapowiadał

się piękny słoneczny dzień, ale w porannym powietrzu unosił się już zwiastujący jesień chłód.

Milczały wpatrując się w ulice budzące się do życia, śpieszących przechodniów, ruch w piekarni na rogu. Było coś kojącego w tym rutynowym codziennym zamieszaniu, jakieś zapewnienie, że świat nadal trwa, że życie nadal toczy się swoim rytmem.

– W sobotę zamykamy trochę wcześniej – powiedziała nagle Emma. Weronika skinęła głową, wpatrując się przed siebie. – Moi rodzice co roku na zakończenie lata organizują małe rodzinne przyjęcie w ogrodzie. Chciałam cię na nie zaprosić.

Weronika przyjrzała się Emmie uważnie. Jej pełne wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– To nic wielkiego, naprawdę, ale chciałabym, żebyś tam była. Poznasz moich rodziców, mój wujek też na pewno będzie. Poza tym tylko ja i Pete. Mój tato na pewno jak co roku rozpali grilla, prawdziwe barbecue w amerykańskim stylu. – Emma upiła łyk gorącej kawy. – Zupełnie zapomniałam, będzie jeszcze nowy pracownik mojego taty. Już go poznałam, jest... milczący. Pete mówi, że nie da się z nim co prawda pogawędzić, ale bardzo szybko się uczy, jest zdyscyplinowany i pracowity. Skoro Pete tak mówi, musi tak być. Przy okazji pewnie powinnam powiedzieć ci co nieco o warsztacie mojego taty. W naszym mieście wszyscy to wiedzą i nie wszystkim się to podoba, więc pewnie czas, żebyś i ty się dowiedziała. – Emma zrobiła krótką pauzę. – Zresztą, nie chodzi jedynie o mojego tatę.

Weronika czuła swój nagle przyśpieszony oddech i rytmiczne tętno uderzające w każdym zakątku jej ciała, pulsujące w skroni. Ruch wokół nich przestał nagle istnieć i jej oczy spoczywały na Emmie, która zaciskając dłonie wokół kubka mówiła dalej nie zwróciwszy uwagi na pełną napięcia reakcję Weroniki.

– Warsztat należał kiedyś do mojego dziadka, ojca mojej mamy. Mój tato przyjechał do miasteczka uciekając od przeszłości, odsiedział wyrok za włamania i wymuszenia i chciał zacząć od nowa. Był młody, uwikłany w gangi, nie miał nikogo. Mój dziadek

dał mu pracę, bo tata był z nim szczery i nie ukrywał prawdy o swojej przeszłości. I w ten sposób poznał moją mamę, pracując w warsztacie. Nie od razu wszystko poukładało się dobrze, ale z upływem czasu było jasne, że są dla siebie stworzeni. Kiedy dziadek umarł, zapisał warsztat mojemu tacie. To nie był nakaz dziadka, ani nawet zamiar mojego ojca, ale wkrótce życie zatoczyło koło i pewnego lata do warsztatu znów zapukał ktoś szukający pracy, kto potrzebował drugiej szansy i zaufania. I tak to się zaczęło i stało się niepisaną regułą ojca, że w warsztacie zatrudnia ludzi, którzy nigdzie indziej nie mieli szansy na zatrudnienie ze względu na kryminalną przeszłość. Jedni pracują tylko parę miesięcy, by odbić się od dna i dostać referencje, inni zostają na dłużej, pracy jest zawsze sporo, niektórzy zostają na stałe.

Emma zamilkła na chwilę i zanurzyła wargi w ciemnym płynie, patrząc przed siebie nieobecny wzrokiem.

– Ale... na stałe w warsztacie pracuje tylko Pete... – Weronika nadal patrzyła na Emmę. – Poczekaj... Pete?

Emma pokiwała głową, nie podnosząc na nią wzroku i Weronika zrozumiała. Poznała męża Emmy już jakiś czas temu. Nigdy dotąd nie spotkała tak dobranej wizualnie pary – Pete był wysoki, smukły, o ciemnej oliwkowej karnacji i ciemnych włosach, których kosmyki spadały na czoło. Miał niezwykle spontaniczny sposób bycia i zdawało się, że uśmiech nie schodził nigdy z jego ust. Podobnie jak żarty. Głos miał donośny i często wybuchał gromkim śmiechem. Weronika lubiła, gdy podjeżdżał pod księgarnię czerwoną półciężarówką, by odebrać Emmę z pracy. Jego obecność i głos wypełniały pomieszczenie po brzegi, ale jego oczy rozjaśniały się dopiero, gdy żona wychodziła z zaplecza. Patrzyła na ich czułość i żartobliwe powitania, czując ukłucie zazdrości.

I choć czuła się zaskoczona tym, co usłyszała o rodzinie Emmy, jej myśli krążyły wokół nowego pracownika warsztatu. Czy to mógł być on? Czy powinna zaakceptować zaproszenie?

– Rozumiem oczywiście, jeśli po usłyszeniu tego

wszystkiego nie będziesz miała ochoty przyjść i nie musisz się martwić, że ktoś poczuje się urażony.

– Bardzo chciałabym przyjść. – Weronika przerwała jej szybko i oczy Emmy rozświecił uśmiech. – W końcu każdy ma jakąś przeszłość i... lepiej nie oceniać ludzi na jej podstawie – powiedziała ciszej niż zamierzała i bardziej o sobie niż o rodzinie Emmy. Ale tego Emma wiedzieć nie mogła.

Dni i noce do soboty zdawały się trwać dłużej niż przeciętne dwadzieścia cztery godziny. Weronika próbowała zajmować czymś swoje skołatanе myśli, nad którymi miała coraz mniej kontroli. One jednak obsesyjnie wracały do tego samego punktu, do przekonania, że na przyjęciu w domu Emmy będzie on. Wiedziała, że mogła się mylić, że może popełnia błąd, ale musiała to sprawdzić, przekonać się na własne oczy. Nie zastanawiała się, co zrobi, jeśli on tam będzie, ani co zrobi, jeśli to nie będzie on. Nie wybiegała myślami dalej niż ten moment, gdy znów go zobaczy. O ile zobaczy.

Musiała wyjść za kwadrans, jeśli nie chciała się spóźnić. Stała jednak nadal jedynie w bieliźnie wpatrując się w otwartą szafę i próbując zrozumieć, dlaczego tak bardzo jej zależy, by ładnie wyglądać. Westchnęła głęboko i przymknęła oczy. To mógł być po prostu ktoś inny, a jeśli to był on, jakie to miało znaczenie, co będzie miała na sobie. Naciągnęła jeansowe spodnie i białą lekką tunikę zdobioną błękitnymi i granatowymi koralikami, na którą założyła swój ulubiony zielony kardigan z miękkiej cienkiej wełny. Jej szare oczy nabierały lekko zielonego odcienia, gdy go ubierała. Zebrała włosy luźno nad karkiem i spięła srebrną klamrą. Opadły lekko na plecy. Nie spojrzała do lustra. Nie chciała widzieć swoich rozszerzonych strachem i napięciem błyszczących oczu, policzków zarumienionych wewnętrzną gorączką oczekiwania, pąsowych warg, drżących i zaciskanych z przejęcia. Wyszła ściskając w dłoni kawałek papieru, na którym Emma własnoręcznie wyrysowała mapę ze wskazówkami, jak dotrzeć do domu jej rodziców.

Dom Parkerów stał przy cichej pełnej zieleni ulicy, jedynie

paręset metrów od zatoki nad jeziorem Mara, gdzie znajdował się warsztat Toma Parkera. Od strony ulicy zasłaniały go lekko dwie wysokie jodły. Zza nich wyłaniał się jasnobezowy piętrowy budynek ze spadzistym dachem i białymi okiennicami, do którego prowadziła wyłożona kostkami brukowymi ścieżka między krzewami. Ścieżka otaczała dom i prowadziła za niego. Weronika usłyszała śmiech Pete'a dochodzący zza budynku, gdzie rozpościerał się przestronny ogród, na który wyszła kierując się śladami dróżki. Od strony ogrodu dom wykańczała duża weranda, której dach podierały białe kolumny. Ogród mimo późnego lata nadal pełen był kwitnących krzewów i wysokich kolorowych kwiatów. Na pierwszy rzut oka widać było, że dbał o niego ktoś, kto zna się na ogrodnictwie. Z każdej strony otaczały go drzewa, dając poczucie prywatności i odcinając goszczących go od reszty świata. Weronika stała chwilę na rogu werandy onieśmielona nowymi twarzami, kiedy zobaczył ją Pete i zamachał dłonią. Po przeciwległej stronie werandy stał kamienny piec i duży drewniany stół nakryty zielonym obrusem w białą kratkę, wokół którego trwały rozmowy. Emma podniosła się na jej widok i ruszyła w jej kierunku. Wyglądała zniewalająco pięknie i inaczej niż w pracy. Miała na sobie długą do kostek czerwoną sukienkę w pomarańczowe kwiaty i biały sweter z szerokim dekoltem, który zsuwając się z jej ramienia odsłaniał jej śniadą, opaloną skórę. Rozpuszczone włosy opadały długimi czarnymi smugami na jej plecy i biust i nie miała na sobie swoich okularów w czarnej oprawce. Weronikę po raz pierwszy uderzył fakt, że było w niej coś indiańskiego, jak gdyby nagle zobaczyła koleżankę w zupełnie innym świetle. Emma rozłożyła ramiona i powitała ją swoim najpiękniejszym uśmiechem.

– Przyszłaś! Tak się cieszę! – Pociągnęła ją delikatnie za nadgarstek w kierunku stołu. – Chodź, poznasz moich rodziców!

Stała tam, pośród tych roześmianych ludzi, ich podniesionych entuzjazmem głosów, rozświetlonych radością oczu, ściskając ich dłonie, odwzajemniając uśmiechy. Stała tam nie słysząc nic i nie widząc nic, nie czując ich dłoni, jak gdyby

wszystko to działo się za grubą dźwiękoszczelną szybą, która oddzielała ją od nich. Nie patrzyła na niego, lecz czuła jego spojrzenie na sobie, zimne przyciąganie jego zielonych oczu. Każdy organ w jej ciele drżał, małe trzęsienia ziemi, których wibracje naruszały jej umysł i duszę. Nie pamiętała, czy oddychała. Wydawało się jej, że ustały w niej wszystkie funkcje życiowe i jedyne, co ją utrzymywało przy życiu, to drżenie pod wpływem jego spojrzenia. Jak gdyby żyła, bo na nią patrzył. Jak gdyby żyła, by na nią patrzył. Podniósł się z krzesła po przeciwnej stronie stołu. Miał na sobie granatowy podkoszulek i zarzuconą na niego koszulę w białoniebiesko-granatową kratkę. Nachylił się i wyciągnął do niej rękę przez stół.

– Matt – powiedział i dźwięk jego głosu odbił się kolejnym trzęsieniem ziemi w jej wnętrzu.

Wyciągnęła swoją dłoń, którą uścisnął delikatnie, niemalże niewyczuwalnie. Nie była świadoma, co działo się poza nimi, wokół nich, czy otaczający ich ludzie zdawali sobie sprawę z tej chwili, czy umknęło ich uwadze, że pod dotykiem jego dłoni, jej ciało doznało wstrząsu, że musiała walczyć o głębszy oddech, że krew przestała krążyć w jej ciele.

– Sonia – odpowiedziała półszepem i poczuła jak puszcza jej dłoń.

Ciepłe ramię Emmy otoczyło ją nagle i harmider wokół nich ruszył od nowa, jak gdyby ktoś ponownie wcisnął przycisk pauzy i pozwolił światu kręcić się dalej. Emma zabrała ją do środka, by pokazać dom, jej własny pokój, pięknie urządzonej kuchnię z dużym stołem i salon z kominkiem, na którym stały zdjęcia. W salonie podniosły się do nich dwa kudłate brązowe psy o białych pyskach i brzuchach.

– To psy mojej mamy, Rocco i Bruno, są kochane, ale potrafią wykończyć człowieka, bardzo typowe owczarki border collie.

Z zewnątrz dochodziły jej radosne głosy zgromadzonych przy stole. Zabrały ze sobą psy i wyszły na pełen słońca ogród, po którym zaczęły roznosić się apetyczne zapachy.

Emma była bardzo podobna do matki, te same ciemne oczy pod osłoną długich ciemnych rzęs, te same pełne usta i niemalże kruczoczarne włosy. Weronice zdawało się, że przebyta choroba nowotworowa nie zdołała nadwerężyć ani jej urody, ani ducha. Pani Parker emanowała mieszaniną życzliwości i dumy do złudzenia przypominającej Weronice aurę otaczającą jej córkę. Ojciec Emmy, wysoki łysiejący mężczyzna pod sześćdziesiątkę o niebieskim przenikliwym spojrzeniu, siedział przy stole obok Pete'a i Luke'a. Przed nimi leżał magazyn, otwarty na dużym zdjęciu łodzi. Pete tłumaczył coś słuchającym go mężczyznom, wskazując palcem na zdjęcie.

– Tata dostał nowe zamówienie, jacht do renowacji. Podobno bardzo stary i zachowany w dobrym stanie. Chcą sprowadzić do niego oryginalne części, żeby po renowacji wyglądał jak oryginał. Muszą przygotować kosztorys dla klienta. – Emma i Weronika siedziały na ławce na werandzie. Próbowwała na niego nie patrzeć i zapomnieć o jego obecności, ale jej oczy ulegały raz po raz potężnej sile jego przyciągania. – Jesteś dziś strasznie blada. I nieobecna. – Emma uśmiechnęła się, poprawiając zsuwające się ramiączko sukienki. – Mam nadzieję, że nie czujesz się zobowiązana zostawać z nami.

Weronika zaczerpnęła powietrza w płuca i przywołała w myślach twardy głos, któremu musiała być posłuszna. Kłam.

– Przepraszam. Naprawdę bardzo chcę zostać i cieszę się, że poznałam twoich rodziców, bardzo mili ludzie. Macie piękny dom i ogród. – Weronika ruchem głowy wskazała na zieloną przestrzeń rozpościerającą się przed nimi. – Jest po prostu zniewalający. Czy twoja mama sama w nim pracuje? Wstyd się przyznać, lecz nie wiem nic o ogrodnictwie, a chciałabym mieć chociaż jedną roślinkę na parapecie.

– Koniecznie musisz z nią porozmawiać. Kwiaty, krzewy, wszystko co zielone to jej życiowa pasja. Oraz Rocco i Bruno.

– Oraz moja śliczna córka. – Pani Parker wyszła właśnie z wielką miską sałatki i stanęła na progu werandy.

Popołudnie mijało w miłej atmosferze. Emma i Weronika

pomagały w nakryciu stołu, pan Parker i pan Kee, brat mamy Emmy, którego Weronika pamiętała z ogniska pod motelem, przygotowywali grill. Pani Parker była centrum dowodzenia, a Pete i Luke-Matt bawili się z psami. Weronika obserwowała go kątem oka, widziała jak pochyła się, by pogłaskać kudłatą głowę, jak rzuca patyk, który Bruno w mgnieniu oka znów kładzie przy jego stopach. Mogłaby dać się oszukać, że jest zwykłym, przypadkowym mężczyzną. Gdyby nie fakt, że wiedziała, iż nie jest. Jego oczy czasem przypadkowo spotykały jej i zatrzymywały się na ułamek sekundy, uważne, czujne, chłodne, głębokie. Porywały ją jak wartki strumień, przenosząc znów w jakiś inny odmienny wymiar, gdzie gaśnie wszystko, co ich otacza. Odwracała wtedy wzrok i przywoływała się do porządku.

Pomogła Emmie i jej mamie sprzątnąć naczynia po posiłku i próbowała się pożegnać. Zatrzymał ją jednak nieznoszący sprzeciwu głos pana Parkera głoszący, iż jego żona piecze najlepsze ciasta i jeśli Sonia nie zostanie, nie będzie miała okazji się o tym przekonać.

Zapadał zmrok, gdy nadal siedząc wokół stołu w ogrodzie, jedli szarlotkę i rozmawiali o kończącym się lecie. Weronika czuła narastający niepokój. Nigdy nie opuszczała swojego mieszkania po zmroku i myśl o powrocie do domu w ciemnościach zaczęła ją przerażać. Emma zdawała się wyczuwać jej nerwowość i wkrótce sama zaproponowała, że odprowadzi ją do drzwi i wytłumaczy ojcu. Pan Parker zorientował się, co się dzieje, szybciej niż się spostrzegły. Odwrócił się w stronę Luke'a.

– Matt, bądź tak miły i odprowadź Sonię do domu. Nie chcemy, żeby musiała wracać sama ciemnymi ulicami.

Luke wbił w niego oczy, nagle zaskoczony, po czym skinął głową i przeniósł je na Weronikę, która próbowała jeszcze tłumaczyć, że nie ma takiej potrzeby. Głos pana Parkera zdawał się jednak być decydujący, nie tylko w domu Parkerów, ale w całym Sicamous. Luke podniósł się posłusznie, chwytając z oparcia krzesła granatową kurtkę wiatrówkę. Weronika podziękowała za gościnność i pożegnała się myśląc, że do swojego mieszkania

będzie wracać pod opieką jedynej osoby w tym mieście, której się obawia.

Szli ulicami, mijając kałuże świateł ulicznych latarni. Zmierzch okrył wszystko i nocny chłód zawisł nad ziemią. Słyszała jego kroki obok swoich, gdy szli nieśpiesznie. Miasteczko cichło powoli. Czowała wiszące między nimi napięcie. Mijali właśnie jeden z najpopularniejszych w Sicamous pubów, nadal otwarty o tej porze nawet poza sezonem, gdy Luke zatrzymał się nagle i zapytał, czy chce się czegoś napić. Stali przed wejściem, zza zamkniętych drzwi dochodziły dźwięki muzyki, głosy ludzi, śmiech, brzęk szkła. Nie wiedziała, jak odmówić, a może nie potrafiła odmówić? Może chciała być posłuszną ofiarą swojego oprawcy, a może pragnęła wierzyć, że oprawca jest jej wybawicielem? Chciała wytłumaczyć sobie przed samą sobą, znaleźć usprawiedliwienie, dlatego kiwnęła głową i przekroczyła za nim posłusznie drzwi pubu. Prawda była jednak taka, że nie było dla niej wytłumaczenia. Nikt nie przyłożył jej noża do gardła, nikt jej tym razem nie zmusił, nie groził. Poszła za nim z własnej chorej woli, która zdawała się nadal pozostawać za zamkniętymi drzwiami rotterdamskiej ciemni.

Gdy weszli do środka, kilka par oczu zmierzyło ich uważnie i Weronika widziała krzywe spojrzenia rzucone w stronę Luke'a, zrozumiała, co miała na myśli Emma mówiąc, że nie wszystkim mieszkańcom Sicamous podoba się sposób prowadzenia interesów przez jej ojca.

Zapytał ją, czego się napije i poprosił o to samo, co on, mając nadzieję, że nie będzie to whisky.

Zamówił dwie szklanki wody z kostkami i lodu i wyszli w milczeniu z hałaśliwej sali, wspięli się schodami na otwarty taras, skąd rozpościerał się widok na jezioro. Zamiast usiąść przy jednym z wielu wolnych stolików, podeszli do balustrady. Stali obok siebie, nie zamieniwszy ani słowa, jak dwoje zwykłych ludzi w milczeniu podziwiających widok na spowite mrokiem jezioro. Weronika czuła chłodny wiatr na swojej twarzy, w którego podmuchu wisiał lekko wyczuwalny zapach Luke'a taki, jaki

zapamiętała z ich wspólnych wieczorów na balkonie w Rotterdamie. Nie było w niej już strachu, raczej wstyd z powodu jego braku. W ciemnościach nocy na tarasie pubu znów trwali obok siebie, odcięci od reszty świata, milczący, poddając się bezwolnie szarpnięciom cienkiej nici, która ciągnęła ich ku sobie. Weronika nagle zrozumiała, z mieszaniną ulgi i zaskoczenia, że Luke musiał czuć to samo, to przyciąganie, które wisiało między nimi, jak gdyby byli cząsteczkami zagubionymi w przestrzeni, między którymi zachodzi reakcja chemiczna. Wsłuchiwała się w plusk wody, szum drzew, we własny równy oddech i miarowe tętno pulsujące w jej ciele i po raz pierwszy od długiego czasu doznała wewnętrznego spokoju, jak gdyby jego bliskość regulowała jej funkcje życiowe, przywracając równowagę w jej wnętrzu. Miała świadomość, że to iluzja, choroba zmęczonego strachem umysłu. Ale uczucie było przyjemne, oswobodziło ją z napięcia, w którym żyła i Weronika uległa mu. On był jedyną rzeczą, która nadal łączyła ją z przeszłością, z życiem, które kiedyś wiodła. Był przypomnieniem i jedynym dowodem na to, że pod maską Sonii istniała też Weronika.

XIV

Elektroniczny zegarek wskazywał drugą w nocy. Luke leżał na swoim łóżku w pokoju na poddaszu warsztatu Toma Parkera, który wynajmował od ponad tygodnia. Nie mógł zasnąć, w dłoni obracał zapalniczkę, patrząc na cienie przesuwające się po powierzchni sufitu. Zza lekko otwartego okna dochodził szum wiatru i Luke czuł przyjemny podmuch na nagiej skórze klatki piersiowej. Odruchowo przejechał palcami po bliznach, które pozostawiła operacja. Nie był zmęczony mimo późnej pory. Dzień, który miał za sobą, pozostawił go pobudzonym i czujnym. W myślach po raz setny odgrywał sceny z popołudnia spędzonego u Parkerów.

Do Sicamous przyjechał dwa tygodnie temu. Sprawdził wszystkie motele i znalazł ten, w którym zameldowała się pod nowym nazwiskiem parę miesięcy wcześniej i w którym od dawna już nie mieszkała. Nie zostawiła adresu ani numeru telefonu, co Luke przyjął z ulgą – była ostrożna. Postanowił zostać w miasteczku, choć nie miał pojęcia, czy ona nadal gdzieś tu była. Ostatnie pieniądze wydał na bilet i pokój w motelu. Potrzebował jakiejś dorywczej pracy, żeby móc przeżyć. Widział w zatoce centra turystyczne z wynajmem jachtów i łodzi i zdecydował, że tam popyta o pracę. Jednak wszędzie spotykały go rozłożone bezradnie dłonie, było po sezonie i nikt nie potrzebował dodatkowej pary rąk. Minął kolejny hotel nad zatoką, rząd magazynów i szedł dalej, aż zobaczył niewielki budynek, warsztat położony w zatoce jeziora Mara, z którego dochodziły odgłosy pracy, mimo iż była pora lunchu. Luke nie rozumiał, dlaczego Parker przyjął go w trybie natychmiastowym. Był z nim szczerzy mówiąc, że nie ma referencji, nie może pokazać mu żadnego cv, nie ma za grosz doświadczenia w pracy z jachtami i łodziami, ale potrzebuje pracy i może nawet zamiatać podłogę. Zaskoczył go fakt, jak łatwo został przyjęty. Parker od razu zaprosił go do środka, pokazał warsztat, zapoznał z godzinami pracy i

regulaminem. Przyjął go na okres próbny i po pierwszych dniach wydawał się zadowolony. zaproponował mu pokój nad warsztatem, skromnie urządzony, z łóżkiem, szafą i biurkiem, na którym stał niewielki odtwarzacz płyt z radiem. Pokój wyposażony był w mikrofalówkę i niewielką lodówkę, stojącą w kącie przy drzwiach prowadzących do łazienki. Łóżko nie było wygodne, ale Luke nie narzekał. I tak sypiał niewiele, choć po długich dniach pracy w warsztacie, który musiał sprzątnąć każdego wieczoru, odpoczywał naprawdę dobrze. Wstawał każdego poranka o szóstej trzydzieści rano, parzył kawę i zjadał śniadanie stojąc przed oknem, z którego widok rozpościerał się wprost na jezioro Mara. Rankami wisiała nad nim cienka warstwa mgły, którą powoli przebijały promienie słońca. Codziennie stojąc tam z kubkiem kawy, myślał o niej zastanawiając się, czy kiedykolwiek ją znajdzie.

Nie szukał jej tego popołudnia, gdy mijał księgarnię. Szedł przez miasto bez celu, może w duchu licząc, że jest gdzieś tutaj, może powoli godząc się, z faktem, że jej tu już nie ma. Zatrzymał się przed witryną księgarni chcąc sprawdzić, czy sprzedają w niej magazyny na temat jachtów, podobne do tych, które pokazał mu Pete, współpracownik Parkera. Pete nie był typem faceta, z którym Luke mógłby się zaprzyjaźnić, był zbyt głośny i nieobliczalny na swój entuzjastyczny żartobliwy sposób, ale Luke doceniał jego dobrą wolę, by nauczyć go wszystkiego, jego cierpliwość i pracowitość. Pracowali w ciszy, co bardzo go cieszyło, wymieniając jedynie krótkie uwagi, ale w porze lunchu, Pete nadrabiał zaległości w pogawędkach i Luke starał się nie urażając nikogo, zjadać swoje kanapki w samotności na pomoście parę metrów od warsztatu, unikając jego pytań i konieczności rozmowy. Pete zdawał się nie brać tego do siebie i odnosił się do niego z typową dla siebie otwartością i uśmiechem, w odpowiedzi zderzając się z typową dla Luke'a powściągliwością.

Zobaczył ją przez okno księgarni. Przez ułamek sekundy nie mógł uwierzyć, że to ona i stał oniemiały i sparaliżowany jej nagłym widokiem. Zauważyła go niemal od razu, jak gdyby

wiedziała, że to on, nim odwróciła głowę, jakby wyczuła jego obecność, nim przekonała się o niej na własne oczy. Nie mógł widzieć, czy była przerażona. Zdawała się tak samo oniemiała jak on sam. Jej wargi lekko otwarte zaskoczeniem lub strachem i oczy znieruchomiały, wbite w niego – rejestrował wszystko. Jej twarz nie była już tak blada i nie nosiła śladów cieni pod lśniąącymi oczyma. Włosy zdawały się lekko jaśniejsze, jak gdyby ich kosmyki musnęło słońce. Nie wie, jak długo stali tak patrząc na siebie. Jej widok wywołał w nim serię drobnych elektrycznych impulsów, których szczyptnięcia przeszły przez każdą komórkę jego ciała, pobudzając do życia wszystko, co w nim obumierało tak długo. To nie była tylko ulga, że ją znalazł, lecz nagła satysfakcja, że stała tam spokojna, bezpieczna, ocalona. I Luke poczuł cień radości, uczucia tak mu odległego, że prawie zapomnianego. Udało mu się. Odwrócił się i odszedł z rękoma w kieszeniach jeansów, niesiony krokami, które już dawno nie były tak lekkie.

Po tym jak zobaczył ją przez szybę sklepowej witryny, coś w Luke'u zmieniło się, jak gdyby odzyskał wolę życia, nie jedynie pierwotny podświadomy instynkt przeżycia, lecz pragnienie – świadome i żywe – pragnienie, by żyć. Czuł w sobie nowe pokłady energii, które zużywał pracując w warsztacie. Praca fizyczna dobrze mu robiła, a nowe rzeczy, których uczyli go Tom i Pete, zajmowały jego myśli.

Chciał ją odnaleźć i zobaczyć raz jeszcze. Dowiedzieć się, gdzie mieszka, co robi. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu jednak, że musi się powstrzymać. Obawiał się, że Weronika przerażona jego widokiem, opuści miasto, a on straci ją na zawsze z oczu i nigdy już nie odnajdzie. Zastanawiał się, jak mógł dać jej znać, że nie przyjechał tu, by ją prześladować i doszedł do wniosku, że najlepszym sposobem, będzie właśnie zostawienie jej w spokoju. Zadawał sobie pytanie, dlaczego zatem tu przyjechał i czy prześladowanie Weroniki nie było jednym z powodów. Jej widok, jej obecność w tym mieście podsyciła jego obsesję, będąc jednocześnie energetycznym bodźcem. Postanowił dać sobie czas, sobie i jej, i skupić się na pracy w warsztacie, zająć myśli i ręce

czymś innym. Sicamous było niewielkie, skoro tu była, wcześniej czy później ich drogi znów się skrzyżują. Taką miał przynajmniej nadzieję.

To Pete powiedział mu, że na sobotnie spotkanie u Parkerów jego żona przyprowadzi koleżankę z księgarni. Chlapnął tę informację między potokiem słów traktujących o kulinarnych wyborach Toma Parkera, który przysłuchiwał się wszystkiemu z lekkim uśmiechem, układając narzędzia w dużej skrzyni. Luke próbował nie dać po sobie poznać, że spał się cały nasłuchując. Nie był oczywiście pewien, czy Pete miał na myśli Weronikę, ale na to liczył.

– Sonia! – wykrzyknął nagle Pete i Luke poczuł skurcz w żołądku, dziwną mieszaninę ekscytacji i niepokoju. – Zawsze zapominam jej imienia. Bardzo miła dziewczyna. Nie pamiętam skąd pochodzi, nie stąd w każdym razie. Małomówna, pewnie ją polubisz, Matt. – Pete mrugnął okiem żartobliwie w stronę Luke'a, który w odpowiedzi próbował przywołać na usta uśmiech, ale nagle napięte mięśnie szczęki wykrzywiły go w dziwny grymas. – Bardzo miła i Emma polubiła ją od razu. Dzięki temu, że ma pracownika w księgarni może spokojnie studiować. Musi wyjeżdżać co drugi weekend.

Pete brnął dalej w szczegóły na temat edukacji i rozwoju zawodowego swojej żony, których Luke już nie słyszał. Jego myśli krążyły wokół Weroniki. Ich drogi miały się więc spleść szybciej, niż się spodziewał. Całe popołudnie u Parkerów czuł się spięty i czujny. Zanim weszła do ogrodu nie był w stanie przełknąć nawet wody, którą podała mu Emma, żona Pete'a. Nie próbowała z nim rozmawiać, choć jej ciemne oczy obserwowały go z przeciwległej strony stołu, przez co czuł się nagle niepewny. Emma choć łudząco podobna do matki, miała spojrzenie swojego ojca, uważne, głębokie, bystre. Tom Parker patrzył na niego w ten sam sposób, jak gdyby wiedział o nim o wiele więcej, niż był gotowy przyznać. Luke próbował udawać, że nie robi to na nim żadnego wrażenia, ale w głębi duszy czuł się obnażony. Prawdopodobnie w innych okolicznościach czułby się zirytowany, ale Tom Parker zdawał się

swoim spojrzeniem wyrażać o wiele więcej. Traktował go tak, jak Pete'a, uczył cierpliwie, nie wypytywał o nic, dawał przestrzeń, wymagał dużo. W jego czujnym, bystrym spojrzeniu była pewna doza zaufania i wyzwania rzuconego Luke'owi, i Luke podjął je i zamierzał mu sprostać. Widział wyraźnie, że córka Parkera mierzyła go zaciekawionym wzrokiem, nie zadała mu jednak żadnego pytania, być może uprzedzona przez Pete'a, że nie dowie się o wiele więcej.

Kiedy Weronika weszła do ogrodu, ich oczy spotkały się przez chwilę. Świadomy jej obecności, czuł narastające napięcie. Unikali siebie całe popołudnie i wieczór i nikt z obecnych zdawał się nie zwracać na nich większej uwagi, dopóki Tom Parker głosem nieznoszącym sprzeciwu „zapropozował”, by odprowadził ją do domu, patrząc na niego zdecydowanym wzrokiem, pod którym Luke czuł, że nie ma wyboru. To nie to, że nie chciał jej odprowadzić. Było późno, zapadł zmrok i robiło się chłodno, oczywiście, że czuł się lepiej wiedząc, że bezpiecznie dotarła do domu. Obawiał się bardziej tego, co w jej odczuciu było bezpieczne. Spacer w towarzystwie faceta, który przetrzymywał ją parę tygodni w zamkniętym pokoju i świadomość, że będzie wiedział, gdzie mieszka mogła wydawać się jej równie przerażająca, co samotna droga do domu. Ostatnie, czego Luke chciał to sprawianie, by czuła się osaczona. Decyzja zapadła jednak ponad nimi i choć Weronika próbowała ją negocjować, Tom Parker przy poparciu wszystkich obecnych zdecydował za nich. Zmierzył Luke'a swoim uważnym spojrzeniem, po raz kolejny rzucając mu nieme wyzwanie, zapewniając jednocześnie o swoim zaufaniu.

Szli obok siebie opustoszałymi ciemnymi ulicami. Luke mógłby iść tak bez końca, choć miał pełną świadomość, że ich wspólny spacer ma kres. Kiedy zapytał ją, czy chce się czegoś napić, miał nadzieję, że powie tak i że wie, iż może powiedzieć nie.

Stali na przestronnym tarasie, na który prowadziły strome schody. Dochodziły ich głosy ludzi i muzyka z wnętrza pubu, ale

nad jeziorem, na które patrzyli wisiała cisza i spokój. Nie rozmawiali i Luke sam nie wiedział, o czym mieliby rozmawiać. Cisza była dobra, przypominała mu ich wieczory i noce w Rotterdamie, przywoływała do życia uśpioną iluzję intymności. Było za zimno na wodę z kostkami lodu, ale sączyła ją bez wahania. Luke żałował, że nie trzyma w ręce szklanki whisky, która pomogłaby mu rozluźnić trochę napięcie, ale pamiętał, że whisky jej nie smakowała.

Odprowadził ją do domu, szli bez słowa, choć miał wrażenie, że żadne z nich nie czuje się skrępowane. Było coś między nimi, jakieś milczące porozumienie, które oboje akceptowali.

– Tutaj mieszkam – powiedziała zatrzymując się przed budynkiem i wskazując ruchem głowy schody prowadzące na piętro. Na ulicy panowała cisza, padało na nich jedynie mdłe światło latarni ulicznych.

Skinął głową w milczeniu, pierwszy raz w życiu desperacko pragnąc znaleźć odpowiednie słowa. Co chciał jej powiedzieć? Przedłużyć chwilę? Luke patrzył na nią i w jej oczach widział nieme oczekiwanie, którego nie rozumiał. Czy mogła, mimo wszystko, mimo tego, co zdarzyło się między nimi, czuć to, co on? Pożegnała się krótkim „dobranoc” i zaczęła wspinać po schodach.

– Zobaczę cię jeszcze? – Pytanie wypowiedziane schrypłym szeptem zawisło w mroku.

Odwróciła się do niego. Stała parę schodków wyżej, patrząc na niego z góry. Nie potrafił odczytać z jej twarzy emocji, ale skinęła głową i zniknęła za drzwiami swojego mieszkania na piętrze.

Wyświetlacz zegarka wskazał godzinę trzecią, gdy Luke obrócił się na bok, zdecydowany wreszcie zasnąć. Musiał być wypoczęty. Pete zaproponował, że nauczy go żeglować.

– Nie możesz pracować nad łodzią, której nie umiesz ujarzmić – stwierdził.

Luke niewiele mógł mu powiedzieć, pominął więc fakt, że pływał odkąd skończył cztery i pół roku, był dobrym surferem, pływał motorówkami, wodnymi skuterami i zdarzało mu się bywać

na jachcie. Był pół-Holendrem i woda była jego żywiołem. Choć wiedział, że bywać a sterować, to dwie zupełnie inne rzeczy. Wizja niedzielnej lekcji żeglowania ekscytowała go.

Jacht Toma Parkera nie był po prostu łódką. Jego renowacja i znalezienie oryginalnych części zajęły mu ponad rok. Jedyne ręce, w które Tom oddawał łódź należały do Pete'a. Kiedy Luke zjawił się w zatoce punktualnie o godzinie dziewiątej rano, widok łopoczących na wietrze żagli zaparł mu dech w piersi. Jacht był duży, z nadbudówki bieгло zadaszenie nad kokpitem, gdzie spokojnie zmieściłby się stół i krzesła, ponad pokładem unosiły się dwa olbrzymie białe żagle umocowane do wysokiego masztu. Jacht zacumowany był na końcu pomostu w pobliżu warsztatu Toma. Na białym tle burty duże granatowe litery głosiły dumnie „Królowa Mara” i Luke w duchu musiał przyznać, że nazwa idealnie pasowała. Pete ubrany w gruby wełniany sweter i rozpiętą kurtkę, której poły rozwiewał wiatr pomachał do niego dłonią. Kiedy Luke wspiął się na pokład, Pete podał mu rękę i uśmiechnął się szeroko.

– Robi wrażenie, prawda? Ma napęd motorowo-żaglowy, choć przy tym wietrze, motor nie będzie nam potrzebny. Mam nadzieję, że nie masz skłonności do choroby morskiej?

Luke pokręcił głową, rozglądając się po pokładzie i obserwując Pete'a, którego zwinne silne ręce automatycznie i bez chwili zastanowienia naciągały i mocowały liny. Pete otarł pot z czoła wierzchem dłoni.

– Mam złą i dobrą wiadomość. Dobra jest taka, że zapewniłem nam gratis catering, zła jest taka...

– Pete! – Spod pokładu dobiegł ich głos Emmy. – W której szafce mój ojciec trzyma kubki?

– Zła jest taka, że na pokładzie są dwie kobiety. Podobno to przynosi pecha, więc wolałem cię ostrzec, zanim odcumuję.

Zielone oczy Luke'a mimowolnie padły na zejście pod pokład. Musiała wiedzieć wczoraj, gdy ją pytał o spotkanie, że nie minie dwanaście godzin, nim znów będą razem.

Pete mówił dużo i szybko, momentami przekrzykiwał szum

wiatru lub łopot żagli ponad nimi. Luke próbował nadążyć za jego wyjaśnieniami i skupić uwagę na wskazówkach. Czuł się w swoim żywiole. Było mu gorąco mimo zimnych podmuchów, bez wahania wykonywał polecenia Pete'a i wkrótce wypłynęli na obszerne wody Jeziora Shuswap. Wiatr oczyścił niebo z grubej warstwy chmur, która rano jeszcze wisiała nad nimi i promienie słońca skrzyły się na zmarszczonej falami tafli wody. Luke wziął głęboki oddech i jego płuca wypełnił zapach jeziora i wiatru. Jacht pruł wodę i Pete z szerokim uśmiechem uniósł kciuk w stronę Luke'a.

Wkrótce wiatr zelżał i Pete zarządził odpoczynek i przerwę na lunch. Jedli na wodzie siedząc na pokładzie wsparci o reling. Żagle były podniesione i jacht kołysał się delikatnie.

Policzki miała zarumienione od wiatru i różowy od chłodu koniuszek nosa. Niesforne kosmyki jej włosów unosił co chwila podmuch i próbowała odgarnąć je z twarzy lub założyć za ucho. Luke nagle nie mógł oderwać oczu od jej nieujarzmionych włosów i lśniących oczu. Jej wargi unosiły się w uśmiechu, gdy rozmawiała z Emmą, siedzącą obok niej. Miała na sobie niebieską kurtkę z kapturem. Podniosła się i pochyliła w jego kierunku, podając mu kanapki. Spojrzeli na siebie, oboje nagle świadomi symboliki tego gestu.

Weronika widziała jego spojrzenie, gdy podawała mu kanapki i wiedziała, że oboje pomyśleli to samo. Zdziwiająca, jak ludzie potrafią rozumieć się bez potrzeby używania słów. Od czasu do czasu miała wrażenie, jak gdyby ich oczy i ciała prowadziły nieustanną rozmowę ponad nimi i bez udziału ich woli. Była świadoma tego, co się w niej dzieje, lecz nie dawała sobie na to zgody.

Gdy poprzedniego wieczoru niemalże szeptem zapytał ją, czy jeszcze się zobaczą, wiedziała, że stanie się to szybciej niż się spodziewał. Dziwna łagodność w jego głosie zaskoczyła ją. Jego pytanie brzmiało jak prośba i Weronika poczuła nieznaną ciepło rozświetlające jej wnętrze.

Siedzieli naprzeciw siebie. Woda pluskała o burtę jachtu, który kołysał ich lekko. Czuła na sobie promienie słońca i

spojrzenie zielonych oczu, pod którym miękła. Było coś niezwykłego w ich wyprawie jachtem, którą zaczęli pod niebem pokrytym gęstą warstwą chmur, na łodzi targanej silnymi porywami wiatru. Od czasu do czasu wychodziły na pokład i obserwowały ich zmagających się z falami. Nim się spostrzegli wiatr przewiał chmury i na gładkiej nagle tafli jeziora roziskrzyły się promienie słońca. Weronika miała wrażenie, że nagła zmiana pogody rzuciła czar na wszystkich obecnych. Napięcie zelżało, ucichły pokrzykiwania Pete'a i wszyscy rozluźnili się i rozsiedli na pokładzie. Nie mówiła zbyt wiele i zauważyła, że Luke również nie był rozmowny. Pete nieprzerwanie tłumaczył mu żeglarskie zawiłości, wskazując raz po raz na osprzęt jachtu i używając nazw, których Weronika mimo bardzo dobrej znajomości angielskiego nie mogła zrozumieć. Luke głównie potakiwał i od czasu zadawał krótkie pytanie, szukając potwierdzenia, czy dobrze zrozumiał. Wkrótce Emma zeszła pod pokład zabierając ze sobą kubki i talerze, Weronika uniosła się chcąc jej pomóc, lecz Pete uprzedził ją z szerokim uśmiechem oznajmiając, że zasłużył na parę minut sam na sam z piękną żoną, na co Weronika zdobyła się jedynie na nieśmiały uśmiech.

Zostali sami na pokładzie kołysanym pluskiem fal, oboje unikając wzajemnych spojrzeń. Był blisko i Weronika, czy tego chciała czy nie, odczuwała wewnętrzny przymus, by na niego patrzeć. Nagle zrozumiała jak samotna była w ciągu ostatnich miesięcy swego życia, samotnością, której nie potrafiła wypełnić życzliwość Emmy. Dla Emmy była Sonia, której kłamstwa pogłębiały jej osamotnienie i izolację. Z drugiej strony, paradoksalnie, nigdy wcześniej nie była bardziej sobą, niż w tym momencie swego życia, odcięta od wszystkich wpływów, poza jednym. Siedział naprzeciw niej, z plecami wspartymi o reling, w swojej granatowej kurtce krojem przypominającej żołnierską, z jedną nogą podciągniętą pod siebie, by oprzeć na niej łokieć i drugą wyprostowaną luźno tak, że ich stopy niemal się stykały.

Podniosła wzrok i jej oczy napotkały zielone uważne spojrzenie, które zdawało się patrzeć w jej wnętrze bardziej niż w

jej oczy, przeszywać ją, przyciągać, szeptać do niej. Zrobiło się jej ciepło i mimowolnie rozchyliła wargi, chwytając w płuca powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Rozmawiali bez słów, rozumiejąc się nagle wyraźnie, jak gdyby ich niewypowiedziany szept przenosił wiatr, z jednych warg na drugie. Żadne z nich nie odwróciło wzroku. Ich spojrzenia nagle złąknione, splecione, zuchwałe. Gdyby nawet chciała, nie potrafiła przerwać strumienia, który zdawał się płynąć między nimi.

Gdy na pokład wraz z Emmą i Petem wrócił śmiech i gwar, czar przysł, lecz w Weronice pozostało delikatne jak mgła uczucie zamroczenia, jak gdyby zbyt długo patrzyła prosto w słońce i gdy odwróciła wzrok, wszystko wokół zdawało się spoczywać w cieniu.

Do zatoki przybyli późnym popołudniem, gdy wiatr znów zaczął się wzmacniać. Tom Parker stał na brzegu i osłaniając dłonią oczy obserwował, jak Pete i Luke wpływają do zatoki i cumują przy pomoście. Drzwi hangaru przylegającego do warsztatu stały otwarte. Zacumowali i zaczęli składać rzeczy, które musieli zabrać ze sobą, powoli wyładowując je z jachtu. Czekał na nią przy burcie stojąc na pomoście i gdy podeszła wyciągnął do niej rękę, by pomóc jej zejść z pokładu. Chwycił ją mocno i w stanowczym dotyku jego dłoni, było jakieś zapewnienie, które sprawiło, że poczuła się bezpieczna. Nagle wiedziała – Luke jej nie skrzywdzi.

Słyszała za sobą rozmowę Toma i Pete'a, który mówił mu, że Luke uczy się szybciej niż przypuszczał i nigdy by nie uwierzył, że to jego pierwszy raz na jachcie. Emma zebrała ich rzeczy i postanowiły wracać razem, mężczyźni musieli zabezpieczyć jacht w hangarze.

Spojrzała przez ramię nim zeszła z pomostu i napotkała jego spojrzenie, w którym odczytała prośbę. Musiała jednak pójść, poukładać wszystko w swojej głowie, zaczerpnąć powietrza, uwolnić się spod jego chłodnego czaru, przerażającego i przyjemnego jednocześnie.

Dni mijały powoli i spokojnie, w ich kojącym rytmie codzienności Weronika odnajdywała przestrzeń, by zrozumieć,

czego pragnie. Było oczywiste, że Luke ją pociągał – w nieznanym jej sposób, którego nie potrafiła nazwać ani określić. Pytanie, które zadawała sobie każdej nocy, spędzając bezsenne godziny wpatrzona w swój łapecz snów, nie brzmiało jednak, czy on ją pociąga, lecz czy ona chce się temu przyciąganiu poddać.

Był piątek rano i po szarych, pełnych zimnej mżawki i wiatru dniach, zza chmur znów wyszło słońce. Emma i Weronika otworzyły szeroko drzwi księgarni, stojąc w nich z kubkami gorącej aromatycznej kawy. Zbliżała się pora lunchu i w piekarni na rogu zaczął się zwyczajny o tej porze ruch.

– Podobasz mi się – powiedziała nagle Emma nie patrząc na nią. – Wiem, że pewnie jeszcze nie jesteś gotowa i rozumiem, że się boisz, że niektóre rany nigdy się do końca nie goją. Ale... w razie gdybyś nie wiedziała, podobasz mi się. Widziałam, jak na ciebie patrzy.

Nie odpowiedziała nic. Być może nagle zdziwiona faktem, że słowa Emmy przemawiały do Weroniki, nie do Soni, porażona ich trafnością i swoją reakcją na nie, tym, jak dotykały najgłębszego i najbardziej wstydliwego pragnienia w jej duszy, które spychała w jej głąb i które wciąż wypływało na powierzchnię, przypominając jej o sobie.

Mieli ręce pełne pracy. Części zamówione przez Toma do renowacji jachtu, który stał na środku warsztatu, otwarty jak ciało na operacyjnym stole, przyszły dwa dni temu. Klient płacił dobrze za renowację, ale umówiony termin był niemal zabójczy i trzech mężczyźni wychodzili z warsztatu po zmroku i zaczęli pracę wcześniej niż zwykle.

Zbliżało się południe, gdy brudni i zgrzani rzucili narzędzia na bok, żeby zrobić sobie przerwę. Pete podniósł z ziemi szmatę i wycierając ręce podszedł do drzwi, popychając je nogą. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Eee, Matt? Ktoś do ciebie, chyba? – Luke odwrócił się do niego, próbując ukryć nagłą panikę na zmęczonej twarzy. Podszedł do drzwi i stanął obok Pete'a.

Zobaczył ją od razu. Stała na pomoście, opierając się

łokciami o balustradę. Miała na sobie tę samą niebieską kurtkę, wiatr rozwiewał jej włosy, w ręku trzymała papierową torbę. Podniosła się, gdy ich zobaczyła i pomachała im dłonią.

– Na twoim miejscu nie stałbym tak tutaj, bo twój lunch zmieni zdanie i sobie pójdzie. – Pete klepnął go po ramieniu w przyjacielskim geście dodania odwagi.

Luke chwycił bluzę i naciągnął ją na spocone ciało. Szedł w stronę Weroniki, wpatrując się w jej twarz oświetloną słońcem. W każdej części ciała czuł echo swego mocno bijącego serca. Zmęczenie zniknęło nagle, jakby uniesione podmuchem wiatru. Dzielił go od niej dystans jedynie paru kroków, ale miał wrażenie, że był bliżej niej niż kiedykolwiek i że z każdym krokiem w jej kierunku jego wnętrze wypełniało się ciepłem i spokojem. I Luke Stanford uśmiechnął się.

XV

W powietrzu unosił się zapach wilgoci, pozostałość po szarych deszczowych dniach. Chłodne podmuchy wiatru przybierały na sile i jedynie ciepłe promienie słońca przypominały, że był to przedostatni dzień astrologicznego lata. Ostatni tydzień lata w Sicamous obfitował w napływ turystów i choć pogoda nie dopisywała, nic nie odstraszało wielbicieli grzybobrania, którzy ściągnęli do miasteczka na Festiwal Dzikich Grzybów, który na koniec tygodnia przeradzał się w Festiwal Końca Lata z koncertami organizowanymi w zatoce, na plaży i centrum miasteczka. Zdawało się, że Sicamous znów odżyło gwarem turystów. Na wodach jeziora Mara kołysały się łodzie, połyskując w słońcu białymi żaglami, z oddali dochodził ich dźwięk motorówki, w zatoce cumowały jachty.

Weronika i Luke siedzieli na końcu pomostu popijając kawę z papierowych kubków z plastikową nakrywką. Papierowa torba po ich lunchu, który Weronika zakupiła w piekarni na rogu, leżała zmięta między nimi, ponad nią unosiło się milczenie. Ale oboje zdawali się spokojni i niezrażeni tą ciszą, jak gdyby wiedzieli, że muszą przywyknąć do przebywania ze sobą w świetle dnia. Dopił swoją kawę do końca i spojrzał na nią. Miała na sobie niebieską wiatrówkę, spod której widać było biały sweter i lekko wytarte jeansy. Jej włosy zebrane luźno na karku spadały falami na plecy; co jakiś czas odgarniała niesforny kosmyk poderwany wiatrem i Luke czuł mrowienie w dłoni, która niemal siłą własnej woli pragnęła unieść się, by wplątać w jej włosy. Wiedział, ile miała lat i że była od niego młodsza, ale wyglądała tak dziewczęco, jakby dzieliło ich nie dziewięć a piętnaście lat.

Przez chwilę patrzyli na siebie, mrużąc oczy od słońca.

– Dziękuję – powiedział po prostu i w odpowiedzi na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech. – Muszę wracać. Mamy dużo pracy.

– Wiem, Emma mówiła mi, że przyszły już części do jachtu i

Pete wraca do domu późnym wieczorem, podobno termin was goni – odpowiedziała odwracając twarz w stronę jeziora.

Patrzył na nią chwilę, delektując się echem jej głosu w swojej głowie.

– Tak, to będzie piękny jacht, o ile skończymy na czas.

– Na pewno się uda... o ile nie spędzisz całego dnia na pomoście.

Odwróciła się do niego i uśmiechnęli się do siebie. Pokiwał głową z uroczym, trochę nieśmiałym uśmiechem, patrząc na nią spod pochylonej głowy. Nagle wyraz jego twarzy stracił swój zwykły chłód i ostrość. Weronika przyjrzała mu się zaskoczona tą nagłą zmianą i własną reakcją.

Luke odwrócił głowę w stronę warsztatu, gotowy podnieść się i odejść, gdy zatrzymał na niej wzrok wyraźnie niezdecydowany.

– W mieście jest festiwal... – powiedział zerkając w stronę warsztatu, skąd zaczęły dochodzić dźwięki pracy. – Muszę dziś pracować do późna, ale jutro... Może chciałabyś pójść?

Skinęła z uśmiechem głową odgarniając niesforne kosmyki włosów z twarzy.

– Pracuję do czternastej. Potem będę w domu.

– Przyjdę po ciebie – powiedział podnosząc się. Wyciągnął do niej dłoń, by pomóc jej wstać.

Podąła mu rękę i poczuła, tak jak wtedy na łodzi, jej siłę, delikatną, lecz stanowczą, jak zapewnienie. Podniosła się, lecz jego dłoń, chłodna i szorstka, nadal trzymała jej. Był dużo wyższy od niej, myślała, że sprawiał takie wrażenie w ciemnościach rotterdamkiego mieszkania, gdy wyrastał przed nią jak cień, ale nawet tutaj w pełnym słońcu, gdy stał obok niej, był rosły jak drzewo i jej twarz sięgała wysokości jego klatki. Jej dłoń pozostała w jego i odpowiedziała mu delikatnym uściskiem. Bez słowa opuścili pomost i dopiero, gdy zeszli na piaszczystą drogę, puścił jej rękę. Jego oczy zdawały się jej nagle zieleńsze niż kiedykolwiek przedtem, głębsze i lśniące jak tafla jeziora.

– Przyjdę po ciebie. Jutro – powtórzył prawie bezgłośnie i

Weronika poczuła dreszcz pod wpływem jego zmrużonych oczu znów świadoma, że w jego ustach zacierała się granica między obietnicą a groźbą.

Odwrócił się i odszedł w kierunku warsztatu, pozostawiając ją nadal rozdartą między jego ciepłym uśmiechem a chłodem jego zielonych, lśniących oczu. Jeśli przez sekundę zapomniała, jego spojrzenie przypomniało jej, że nadal był częścią koszmaru, który przeżyła. I nadal, mimo wszystko, jej oczy podążały posłusznie za jego sylwetką, nie potrafiąc lub nie chcąc oprzeć się sile jego przyciągania.

W sobotnie popołudnie wszyscy trzej czuli się zmęczeni, lecz pełni satysfakcji. Łódź nie była gotowa, ale Tom Parker kiwał głową z zadowoleniem powtarzając, że uda im się skończyć na czas. Luke szlifował deski, gdy Tom kazał mu wyłączyć maszynę i ruchem głowy wskazał na Pete'a.

– Wy dwaj, zbierajcie się stąd. Dostyc na dziś – powiedział z uśmiechem i wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

Luke zabrał się do sprzątnięcia, jak zwykł to robić codziennie, gdy Tom chrząknął podając mu jego bluzę i kurtkę.

– Powiedziałem, zbieraj się. Ja to dziś ogarnę.

Luke wziął od niego swoje rzeczy i spojrzał na Pete'a, który wzruszył ramionami.

Razem wyszli z warsztatu.

– Idziemy z Emmą do miasta wieczorem, na koncert i piwo, przyłączysz się? – W głosie Pete'a Luke wyczuł nutkę ciekawości.

– Dzięki. Nie tym razem. – Machnął do niego ręką i wbiegł po schodach prowadzących do jego pokoju na poddaszu warsztatu.

Pete pokiwał głową z pełnym zrozumienia uśmiechem.

Dochodziła dziewiętnasta, gdy szedł przez miasto wrzące już gwarem rozentuzjasmowanych głosów. Grupki ludzi pod kafejkami stały sącząc piwo, inne zmierzały na plażę, lub do zatoki, gdzie odbywały się koncerty. Luke czuł rosnącą ekscytację i niepokój, mimo iż stojąc pod prysznicem powtarzał sobie w kółko, że będzie spokojny. Czy powinien jej coś przynieść? Kwiaty wydawały mu się głupie i naiwne, podobnie jak

czekoladki, które przypomniałyby jej koszmarne dni sprzed miesiący, choć Luke nie wątpił, że nigdy ich nie zapomniała. Nie chciał przyjść z pustymi rękoma i nie mógł wyobrazić sobie, że mógłby dać jej coś, co sprawiłoby, by na chwilę zapomniała o tym, co ich tu przywiodło. Mijał piekarnię na rogu ulicy, gdzie znajdowała się księgarnia Emmy. Obok piekarni, o tej porze już zamkniętej, wzdłuż całej ulicy stały nadal stragany – słoiki miodu, kosze jabłek, drewniane ozdoby, świece i wszelkiego rodzaju pamiątki kusily turystów i mieszkańców miasta. Luke zatrzymał się na widok niewielkiego koszyczka pełnego dorodnych malin. Ich kolor przypomniiał mu barwę jej warg.

– To już ostatnie maliny w tym roku – słodkie i soczyste – proszę się nie wahać. – Luke podał monety starszej kobiecie, której twarz przypomniiała mu Rosalie.

Parę minut później stał przed drzwiami Weroniki, zaciskając mięśnie szczęki i próbując otrząsnąć się z niepokojących myśli o ich przeszłości, o tym, co się między nimi działo. Przeczuwał już, że jego obsesja nie była zwykłym pożądaniem i że nie mógł oczekiwać od niej tego, czego pragnął, choć sam nie był jeszcze w stanie do końca nazwać swoich pragnień, dla niego miały jedno imię.

Otworzyła drzwi z tym delikatnym uśmiechem, który choć prawie niewidoczny na jej wargach, rozjaśniał jej szare, duże oczy. Wpuściła go do środka. Wszedł i rozejrzał się po niewielkim mieszkanku. Spodobało mu się, że wewnątrz było jasne i czyste. Podał jej koszyczek, którego widok wywołał szeroki uśmiech na jej twarzy.

– Maliny! – powiedziała stawiając je na małym stoliku i z przerażeniem zauważając, że jej ręce drżą.

Luke stał nadal wpatrując się w jej falujące, rozpuszczone luźno, kasztanowe włosy, z jednej strony podpięte spinką ze srebrnym motylem, która odsłaniała drobne, kształtne ucho. Nie miała na sobie niczego specjalnego, a mimo to ubrania zdawały się podkreślać jej urodę, jeansy linię bioder, błękitny sweter kolor oczu i kształt ramion, mankiety białej koszuli wystającej spod

rękawów swetra wąskie nadgarstki. Wiódł za nią wzrokiem, nadal stojąc na środku pokoju. Skierowała się do blatu w aneksie kuchennym i Luke zauważył leżącą na nim kopertę, którą rozpoznał od razu. Podeszła do niego wręczając mu kopertę.

– Jest w niej nadal dużo pieniędzy. – Trzymała ją wyciągniętą w jego kierunku – Dziękuję.

Luke pokręcił głową.

– Zatrzymaj to. Nie są mi potrzebne.

Stali naprzeciw siebie, jej dłoń z kopertą zawisała w powietrzu między nimi. Nie patrzyła na niego. Wyjął kopertę z jej palców i odłożył na stolik, obok koszyka malin. Nie chciał tych pieniędzy. Chciał zapomnieć o ich istnieniu, o wszystkim, co zdarzyło się przed tym wieczorem. Pokiwała głową. Podał jej niebieską kurtkę wiszącą przy drzwiach. Założyła ją, chwyciła ze stołu koszyk malin i wyszła w milczeniu przez drzwi, które otworzył przed nią, dokładnie tak, jak parę miesięcy temu otworzył drzwi swojego apartamentu. Dokładnie tak, a zarazem zupełnie inaczej.

Luke miał wrażenie, że wykonał zły ruch, że coś poszło nie tak i nagle między nimi pojawił się chłód. Szli ulicami pełnymi entuzjastycznych pokrzykiwań, śmiechu, rozmów. Z daleka dobiegały ich odgłosy muzyki niesione echem z nad wód jeziora. Zmierzch nadal nie zapadł, choć niebo przykryły już ciemniejące chmury i miasteczko zaczynało tlić się światłem lamp. Czuł się nagle niepewny i zmieszany, idąc przy jej boku, gdy niespodziewanie podała mu malinę z koszyka, ciepłym gestem przełamując chłód między nimi. Wziął owoc z jej drobnych palców i włożył go do swoich ust, nie spuszczać wzroku z jej oczu, podczas gdy ona podniosła do swoich ust kolejny owoc, który zniknął między jej wargami.

Dreszcz przebiegł wzdłuż jego kręgosłupa, pulsująca mocno krew jak alkohol wezbrała nagłą falą, powodując krótki, intensywny zawrót głowy. Luke odwrócił wzrok, łapiąc oddech w zaciśnięte skurczem płuca. Poczuł nagle jak jego własna obsesja porywa go wartkim prądem i wszystko wokół znów odpływa, a przestrzeń wypełnia jedynie jej bliskość. Jak miał nad sobą

panować w jej obecności, gdy jej najprostszy gest, odbijał się potężnym szarpnięciem w jego wnętrzu? Luke czuł, że traci równowagę, tak bardzo pragnąc ją zachować.

Zmierzali do miejsca, skąd dochodziła muzyka. Zatoka pełna była ludzi stojących przed zbudowaną na tę okoliczność niewielką, jasno oświetloną sceną. W pobliżu znajdowało się centrum turystyczne, którego drzwi stały szeroko otwarte zapraszając do zakupu napojów i przekąsek. Przy pomostach kołysały się jachty pełne ludzi. Powoli zapadał zmrok i jedynie linia horyzontu nad jeziorem jaśniała jeszcze pomarańczowo-błękitnym światłem. Echo niesło po wodzie dźwięki muzyki i głosy rozmów. W powietrzu unosił się zapach jeziora, piachu, alkoholu i dymu z rozpalonych niedaleko grilli. Było tłoczno i gdy podeszli bliżej sceny Luke chwycił jej rękę, by nie zgubić jej w tłumie. Poczuł jak jej palce splatają się z jego i po raz drugi tego wieczoru musiał walczyć o oddech. I jeśli widok malin w jej wargach odczuł jako jedno z najbardziej erotycznych doznań w jego dotychczasowym życiu, to dotyk jej palców i sposób w jaki zwały się ich dłonie miał w sobie o wiele więcej niż jedynie erotyczny posmak – był jak impuls, który dotarł wprost do jego serca, gdyby nie tłum wokół nich Luke zatrzymałby się tylko po to, by powiedzieć jej, że będzie ją zawsze chronił.

Znaleźli drogę przez morze ludzkich ciał i dotarli do drzwi knajpki w centrum turystycznym. Weszli do środka, gdzie ogłuszył ich gwar i łomot głośnej dyskotekowej muzyki. Musiał przekrzykiwać hałas, by zapytać ją czego się napije. Tak jak tydzień wcześniej poprosiła o to samo, co on, ale po chwili poczuł jak delikatnie pociąga rękaw jego kurtki. Pochylił do niej twarz i usłyszał, że prosi o czerwone wino. Jej szept był ciepłym oddechem tuż przy jego uchu i kolejny dreszcz jak seria delikatnych elektrycznych porażen przebiegł po jego ciele. Skinął głową i kupił dla nich całą butelkę wytrawnego czerwonego wina, którą barman zapakował w papierową torbę, wrzucając do niej dwa przezroczyste plastikowe kubki i mrugając do Luke'a.

Wydostali się z knajpy i Luke poprowadził ją w stronę drzew.

Nie mogli widzieć stamtąd sceny, ale muzyka była tak głośna, że nawet tam rozmowa nie była możliwa. Wszędzie stały grupki ludzi, niektórzy siedzieli na trawie, przekrzykując hałas i sącąc piwo lub drinki. Na scenę wszedł kolejny zespół i wkrótce rozbrzmiały dźwięki gitary. Usiedli pod jednym z drzew. Postawiła koszyczek z malinami przed nimi. Luke otworzył wino i rozlał do plastikowych kubków. Nie próbowali nawet rozmawiać, sączyli wino i atmosferę wieczoru wsłuchując się w muzykę. Alkohol splukiwał z niego napięcie. Wkrótce pierwsze gwiazdy pojawiły się na granatowym niebie. Poczł delikatne szarpnięcie za rękaw kurtki. Odwrócił do niej twarz i napotkał jej oczy, lśniące od alkoholu, zarumienione policzki i usta rozciągnięte w delikatnym uśmiechu. W palcach trzymała malinę. Wyciągnął po nią dłoń, ale pokręciła głową, nie spuszczać wzroku z jego zielonych oczu, nadal trzymając owoc wyciągnięty w jego kierunku. Otulała ich noc i gwar, ale zdawało się, że byli sami. Luke pochylił się i otworzył usta, w które włożyła owoc. Wciągnął powietrze i przymknął powieki, czując dreszcz rozchodzący się po jego ciele, jak kręgi po tafli jeziora. Sięgnął do koszyka i wyjął z niego malinę, którą obracał chwilę w palcach, czując na sobie spojrzenie Weroniki. Podał jej owoc, ale gdy wyciągnęła po niego dłoń, pokręcił głową i nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc jej figlarne oczy i nieśmiało uniesione kąciki ust. Rozwarła wargi, w które delikatnie włożył owoc, czując na palcach jej ciepły oddech. W duchu dziękował bogu, że nie zdecydował się kupić jej kwiatów.

Karmili się malinami popijając wino. Ze sceny chrapliwy kobiecy głos, przy akompaniamencie perkusji i elektrycznych gitar śpiewał o straconych szansach. Weronika po raz kolejny pociągnęła za rękaw jego kurtki i gdy nachylił ku niej głowę, wyszeptała, że musi poszukać ubikacji i zaraz wróci. Luke ani myślał pozwolić jej pójść samej. Ruszyli poprzez rozkołysany tłum w stronę knajpki. Czekał na nią przy zatłoczonym barze. W knajpie było duszno i gęsto od dymu i zapachu alkoholu, z ulgą wyszli na drgające od głośnej muzyki chłodne nocne powietrze.

– Powinam już pójść do domu – powiedziała; jej oczy lekko mgliste, wargi malinowe, włosy rozrzucone, spływające falistymi strumieniami po ramionach i plecach.

– Odprowadzę cię. – Skinął głową.

Ruszyli przez tłum, on pierwszy torując jej drogę. Rozkrzyczany, wibrujący głosami ocean ciał zwolnił nagle wraz z pierwszymi akordami gitary. Tłum zacisnął się wokół nich, pochłaniając ich i otaczając ciasnym murem. Sięgnęła po jego dłoń i ich palce splotły się ponownie. Tym razem jednak Luke zrobił jedyną rzecz, którą czuł, że powinien był zrobić. Odwrócił się do niej, wplótł palce drugiej ręki w jej włosy nachylając się ku niej. Przyciągnął jej twarz ku swojej. Zanim jego wargi spadły na jej, ich oczy spotkały się na ułamek sekundy. Nie było strachu w jej oczach, choć szukał go, by zatrzymać się na czas. Były tylko iskry odbijających się w jej źrenicach światła. Jej malinowe wargi, rozwarte lekko, zdawały się czekać. Rytmicznie kołyszące się ciała ukryły ich przed światem, czerwone wino osłabił resztki samokontroli, muzyka zagłuszyła myśli.

Kiedy ich wargi zetknęły się po raz pierwszy, Luke poczuł jak coś, co powstrzymywał zbyt długo, pękło wreszcie z trzaskiem jak tafla lodu i rozlało się ciepłem i światłem w jego wnętrzu. Nie mógł zaczerpnąć powietrza, jak gdyby jego płuca były już zbyt pełne.

Jego ręce objęły jej talię i delikatnie przyciągnęły do siebie. Poczuł ciepłe drobne ciało, które przywarło do jego. Bał się stracić kontrolę nad własnymi pragnieniami. Oderwał swoje wargi i oparł gorące czoło na jej chłodnym czole, biorąc głęboki oddech. Jej usta smakowały wciąż malinami i winem, które dzielili. W morzu głów, ogłuszeni muzyką, gwarem i winem, stali pod granatowym niebem nocy, wdychając się nawzajem i falując z tłumem, ukryci przed przeszłością i przyszłością.

Nie wiedziała, czy to było wino, maliny czy dzielona przez nich oboje tajemnica, czy może głośna muzyka, dzięki której nie słyszała własnych myśli, one bowiem mówiły jej, że to, co robi jest chore i niewłaściwe. Tych myśli jednak Weronika nie mogła i nie

chciała usłyszeć. Czerwone wino porwało ją falą i delikatnie łyk po łyku zdjęło z niej bariery i splukało resztki samokontroli, uwolniło od napięcia i lęków, zakryło mgłą wszystko, czego nie chciała widzieć i pamiętać. Czuła się tak dobrze siedząc tam obok niego. Zdawał się nie wywierać na niej żadnej presji, niczego nie oczekiwać, nie przyspieszać.

Mocny uścisk jego silnej dłoni działał na nią uspokajająco, paradoksalnie dając jej poczucie bezpieczeństwa.

Weronika z każdym łykiem wina, każdą kolejną gwiazdą pojawiającą się na ciemnym niebie, każdą kolejną piosenką, którą echo roznosiło po wodach jeziora, poddawała się czarowi nocy, który unosił ją i kołysał, rozpalał w niej wszystko to, co uparcie do tej pory gasiła. Tym razem jednak pozwoliła sobie czuć wszystko, odbierać bodźce, impulsy, wrażenia, pozwoliła im rozpalać te maleńkie iskry, które powoli przeradzały się w ogień, któremu dała płonąć. W końcu nie miała nic do stracenia, raz już wszystko straciła i w jakiś niezwykły sposób tracąc, odzyskała samą siebie. Ten wieczór z nim zrzucił z niej jakiś ciężar i Weronika dała sobie przyzwolenie, by się nim cieszyć.

Nie poznawała siebie. Jego obecność wyzwoliła w niej coś nieokreślonego, z czym do tej pory nie stanęła jeszcze twarzą w twarz, jak gdyby ktoś zdjął z niej zasłonę i pokazał jej jej własną inną stronę.

Lubiła sposób, w jaki na nią popatrzył, gdy włożyła malinę do jego ust, jego zaskoczone oczy, zmrużone nagle widocznym pragnieniem, łobuzerski uśmiech zabłąkany na jego ustach, gdy podjął jej grę i sam włożył owoc do jej ust.

To była gra – Weronika nie miała co do tego wątpliwości – gra, w którą grali, przeciągając czas, wydłużając chwile, odraczając to, o czym oboje wiedzieli, że miało nadejść. Nie dbała już o nic, nic nie miało znaczenia. Śmiała się i czuła jak wino spływa gorącym do jej gardła, jak słodycz malin, które wkładał jej do ust, rozplýwała się w jej wargach. W głowie wirowało jej przyjemnie, muzyka dudniła w uszach. Luke prowadził ją przez ciasny tłum ludzi, chwyciła jego dłoń, której palce zwały się z jej

palcami. Nim zdążyła zorientować się, co się dzieje, obrócił się ku niej i poczuła jego palce zaplątane w swoje włosy i jego przyciąganie, które czuła od dawna stało się nagle przyciąganiem jego rąk, którym poddała się posłusznie. Wszystko wokół nich wirowało, dudniło i pulsowało w nieokiełznanym wirze dźwięków, ruchów, doznań, jak gdyby byli nieporuszonym epicentrum huraganu. Nie pocałował jej od razu, czekając na jej niemą zgodę, szukając jej w jej oczach. Weronika cała była zgodą, na cokolwiek miało nadejść. Jego pocałunek zabrał ją do miejsca we własnej duszy, w którym nie była nigdy dotąd, płonął tam ogień, którego języki smagały jej usta nagle nabrzmiące, rozświetlały jej oczy, drażniły skórę, nagle wrażliwą na najłżejszy dotyk, ogień, w którym zamiast spalać się na popiół, odradzała się.

Wydostali się z tłumu i ruszyli ulicami w stronę miasteczka, pozostawiając za sobą dudniącą muzyką i głosami zatokę. Odprowadził ją do mieszkania, ale zatrzymał się przy schodach, choć nadal trzymała jego dłoń, stojąc na pierwszym schodku. Uśmiechali się do siebie w milczeniu.

– Przyniosę ci jutro mocną, dobrą kawę – powiedział wreszcie; ich dłonie wciąż były splecione.

Skinęła głową. Rozluźnił uścisk i Weronika wbiegła na górę. Czekał, aż zniknęła we wnętrzu mieszkania.

Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, doznając wciąż przyjemnego wirowania w głowie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni czuła się w ten sposób. To nie było przepełniające ją szczęście. To był chaos szalejący w jej wnętrzu jak burza, dokonujący spustoszeń, niszczący wszystko, co wiedziała o sobie, lub myślała, że wie, zrywający skorupy, spod których wyłaniała się inna Weronika, nieustraszona, dzika, spokojnie stąpająca wśród roztańczonych błyskawic i piorunów. Już nie musiała starać się być kojotem. Teraz wiedziała, że jest nim na pewno.

XVI

Luke leżał na twardym materacu swojego niewielkiego łóżka w pokoju nad warsztatem. Z zatoki dochodziły go dźwięki trwającej nadal imprezy. Nie przeszkadzał mu hałas, nie byłby w stanie zasnąć, nawet gdyby panowała grobowa cisza. W palcach dłoni obracał czerwoną zapalniczkę. Po paru kubkach czerwonego wina, którego zwykle nie pijał, miał ochotę na papierosa. Czuł znajome bolesne pulsowanie w skroniach, gdy odpuszcza alkoholowy rausz. W ciemnościach pokoju widział wszystko nagle wyraźne i nasycone. Miał wrażenie, że mimo zmęczenia, jego zmysły były wyostrzone do granic możliwości, odbierając rzeczywistość z czułością, jakiej nie znał. Dotyk jej warg strzaskał grubą szybę, zza której obserwował świat, nie dotykając go. Nagle wszystko nabrało koloru, ostrości, głębi. Zasypiał myśląc o niej, z przerażeniem akceptując wreszcie fakt, że to, co brał za obsesję, mogło być czymś więcej.

Z twardego snu obudziło ją stukanie do drzwi – zegarek pokazywał godzinę jedenastą. Jej głowa pulsowała bólem, powieki sprawiały wrażenie zbyt ciężkich. Wygrzebała się z pościeli i odnalazła na oparciu łóżka sweter noszony poprzedniego wieczoru. Naciągnęła go na białą piżamę, którą miała na sobie i ruszyła do drzwi.

Luke stał przed nią w swojej granatowej kurtce, oparty o framugę drzwi. W rękę trzymał torebkę z kubkami aromatycznej gorącej kawy i papierową torbę z logo znajomej piekarni. Przetarła zaspane oczy. Nie wszedł do środka, dopóki nie dała mu wyraźnie znać, że ma to zrobić. Na jego ustach widziała błakający się uśmiech, ale nie miała siły zastanawiać się, czy bawi go jej złe samopoczucie, czy po prostu cieszy się, że ją widzi. Ją z kolei cieszył zapach mocnej kawy.

Opadła na sofę, masując pulsujące bólem skronie. Zdjął kurtkę, rzucił ją na oparcie krzesła i siadając obok niej, podał jej kubek kawy, której aromat sprawił, że od razu poczuła się lepiej.

Kiedy pierwsze łyki gorącego płynu przyjemnie rozlały się po jej ciele i kofeina powoli zaczęła działać otrzeźwiając ją i łagodząc ból głowy, uśmiechnęła się do niego przepaszając. Odpowiedziało jej spojrzenie zielonych oczu, niespokojne i czujne. Nie zwykła pić tak dużo i nie była przyzwyczajona do dziwnej reakcji jej ciała i umysłu. Ostatnim razem, gdy wypła za dużo, obudziła się w Paryżu w hotelowym pokoju obok śpiącej Amy, myśląc o tym, że już nigdy w życiu nie weźmie do ust nawet kropli czerwonego wina.

Pili kawę w milczeniu. Podał jej papierową torbę, w którą zapakowane były ciepłe jeszcze bułeczki.

– Mam w lodówce tylko masło i ser – powiedziała przepaszając. Nie miała pojęcia, że mieli zjeść śniadanie razem.

Obserwowała go, gdy w jej aneksie kuchennym przygotowywał kanapki, których nie była w stanie przełknąć. Miał na sobie zwykłe przetarte jeansy i szary T-shirt, którego długie rękawy podkasał, odsłaniając przedramiona. W Rotterdamie widywała go jedynie w perfekcyjnie wyprasowanych spodniach, koszulach z kołnierzykiem i marynarkach dobrej jakości, co nieraz sprawiało, że zastanawiała się, czym zajmował się poza przetrzymywaniem porwanych kobiet, bo to przecież nie wymagało eleganckiego stroju. Przyłapała się na myśleniu, że wyglądał tak normalnie, prawie niewiarygodnie normalnie, zważywszy, że parę miesięcy temu był w jej oczach potworem.

Spojrzał na nią nagle, jego dłoń z palcami zaciśniętymi na nożu zawisała w powietrzu, jak gdyby odgadł myśli patrząc w jej oczy. Wahala się, czy widziała w jego oczach niepokój czy irytację i poczuła delikatny dreszcz strachu, który stłamsiła w zarodku. Nie będzie się bała. Nie byłaby tutaj sącząc gorącą kawę, gdyby chciał jej coś zrobić. Podniosła się z sofy, odstawiając kubek na mały stolik stojący obok.

– Idę pod prysznic – powiedziała nie patrząc na niego, nie chciała wiedzieć, jak na nią popatrzył, gdy to mówiła.

Weszła do swojej małej łazienki i zamknęła drzwi od środka. Przez chwilę stała patrząc na zamek, nie mogąc powstrzymać

wspomnienia drzwi rotterdamskiej łazienki i jej pierwszego prysznic. Otrząsnęła się z niego i otworzyła zamek, na przekór lękom, złym wspomnieniom i samej sobie, za wszelką cenę pragnęła mieć nad nimi kontrolę.

Gorąca woda spłukała z niej resztki nocy. Poczowała się świeża i silniejsza, mogła stawić czoła kanapkom z serem i mężczyźnie z zielonymi oczyma i nożem w ręce.

Kiedy weszła do pokoju, podał jej sweter i kurtkę. Chwycił swoją i wrzucił gotowe kanapki do papierowej torby.

– Chodź. Przyda ci się świeże powietrze.

Było południe, gdy wyszli z jej mieszkania i ruszyli w stronę jeziora. Sicamous budziło się po krótkiej nocy, gotowe do ostatniego festiwalowego dnia.

Minęli zatokę, gdzie nadal trwało sprzątanie po ostatniej nocy i ruszyli wzdłuż linii jeziora zostawiając za sobą gwar. Szli ramię w ramię, nieśpiesznie i nie wymieniając ani słowa, inaczej jednak niż poprzedniej nocy, pod osłoną ciemności. Tym razem cisza wisząca między nimi była niezręczna, jak gdyby oboje wiedzieli, że dłużej nie da się tak milczeć, omijać słowa, ukrywać przed myślami.

Znaleźli ustronne miejsce, gdzie zdecydowali się usiąść i Luke wyjął kanapki z papierowej torby. Czowała się trochę lepiej po tym spacerze, choć nadal nie była głodna.

– Jak wam idzie praca na jachcie? – zapytała wreszcie, trochę po to, by przerwać ciszę, trochę dlatego, że była ciekawa.

– Dobrze. Tom twierdzi, że zdążymy na czas.

Pokiwała głową zastanawiając się, co dalej. Czar ostatniej nocy prysnął i w jarzącym świetle dnia wszystko wyglądało inaczej. Nie mieli przy sobie butelki wina, by zatopić w nim to, o czym nie chcieli pamiętać lub rozmawiać, to, co trzeba było zapomnieć, by móc patrzeć sobie w oczy.

Czy mają udawać, że przeszłość nigdy się nie wydarzyła? Czy pocałunek ostatniej nocy również należał do rzeczy, które nigdy się nie zdarzyły? Co naprawdę działo się między nimi?

Nie mogła przełknąć swojej kanapki, jej skronie znów

zaczęły pulsować bólem. Nagle poczuła się kompletnie słaba i zmieszana. Jak gdyby z gruzów, z popiołów wyłaniała się stara Weronika, jak mara z sennego koszmaru. Weronika przygryzła wargę i wzięła głęboki oddech, powtarzając sobie po raz kolejny, że nie ma już nic do stracenia.

– Wiem, jak masz na imię – powiedziała cicho, odkładając na bok ledwo nadgryzioną kanapkę. Obróciła twarz lekko w jego stronę. Głowę miał pochyloną, łokcie oparte na kolanach, mięśnie jego szczęki uniosły się delikatnie napięte. Na tafli jeziora tańczyły promienie słońca, skrząc się srebrno-złoto.

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać – odpowiedział dopiero po chwili ciszy, nie podnosząc głowy.

– Dlaczego? – zapytała prawie szeptem, tym razem jednak jej głos zdradzał determinację. – Dlaczego pozwoliłeś mi odejść?

Luke podniósł twarz, wzrok miał wbity w horyzont, usta zaciśnięte mocno w wąską linię. Czekala przez chwilę na odpowiedź, która nie nadeszła.

Podniosła się z piasku i ruszyła w stronę, skąd przyszli. Nie oczekiwała od niego przeprosin za wszystko, co ją spotkało, ale miała prawo wiedzieć, dlaczego jest tu, gdzie jest. Usłyszała za sobą jego kroki na piasku i poczuła jego silną dłoń, której palce oplótły jej nadgarstek. Szarpnął ją stanowczo i gdy obróciła się do niego, objął ją mocno w talii drugim ramieniem.

– Dlatego – powiedział stanowczo i w jego zmrużonych oczach żarzył się zielony płomień.

Tym razem jego usta nie pytały o zgodę, nie były delikatne. Wzięły ją w posiadanie, odpowiadając na jej pytanie słowami, których Luke nie potrafił odnaleźć.

Jeśli chciała go odepchnąć, to trwało to ułamek sekundy. Jej usta posłusznie odpowiedziały na jego pocałunek, tak inny niż ten poprzedniej nocy. Jego ramiona niemalże uniosły ją do góry. Zdawało się, że choć nie potrafili ze sobą rozmawiać, wszystko to, co tliło się między nimi niewypowiedziane, wybuchało żarem i płomieniami za każdym razem, gdy byli blisko, gdy ich ciała zetknęły się ze sobą, jak gdyby ponad nimi toczyła się rozmowa,

której nie zawsze byli świadomi.

Nie chciała, by przestał. Gdy przerwał pocałunek, wczepiła się w niego, jej dłonie zacisnęły się na jego granatowej kurtce. Otulił ją ramionami i schował twarz w jej włosach.

– Luke. Tak masz na imię – wyszeptała czując jego ciepły oddech.

Pokręcił głową powoli.

– Przestań... – wyszeptał.

– Weronika. Mam na imię Weronika – szeptała nadal, nie zważając na jego sprzeciw.

– Wiem. Wiem. – Jego ramiona zacisnęły się jeszcze mocniej wokół jej drobnego ciała – Nikt nie może się dowiedzieć.

Jego szept był stanowczy i mocny, skinęła głową.

Stali wtuleni w siebie, niemalże pogodzeni z dziwną rzeczywistością, wreszcie patrząc jej w twarz w świetle dnia.

Spędzili resztę popołudnia razem, błądząc po miasteczku, pomiędzy muzyką, straganami, grupkami ludzi. Od czasu do czasu zatrzymywali się posłuchać granych na scenie utworów, obejrzyć sprzedawane przedmioty, kupić parę jabłek lub kanapkę. Cały ten czas Luke trzymał jej dłoń mocno, jego długie palce wplecione między jej, wczepione z niemal wyczuwalną desperacją. Nie rozmawiali wiele wymieniając jedynie krótkie uwagi dotyczące tego, co widzieli wokół. Raz na jakiś czas odwracał się do niej, całując jej włosy lub usta i miała wrażenie, że zapewnienie, którego nie potrafił wyrazić słowami, wypisane było w tych gestach.

Momentami tonęła we własnych chaotycznych myślach. Jak dużo o nim wiedziała? A raczej jak niewiele? Zrozumiała, że szanse, iż się czegokolwiek dowie są znikome i musiała podjąć decyzję, czy jest w stanie to zaakceptować. Po raz kolejny jej jedynym argumentem w dyskusji z samą sobą był fakt, że nie miała nic do stracenia. Ale za każdym razem, gdy jego dłoń rozluźniała uścisk wokół jej palców, delikatne lecz wyraźne uczucie paniki unosiło się jak poranna mgła. Nie chciała i nie mogła wypuścić jego dłoni ze swojej.

Odprowadził ją do domu, gdy zapadł zmrok. Oboje byli zbyt zmęczeni, by zostawać w mieście na ostatnim koncercie Festiwalu Końca Lata. Wszedł z nią po schodach, lecz gdy otworzyła drzwi, nie przekroczył progu. Luke widział jej zapraszający uśmiech, wiedział jednak, że nie powinien mu ulec, że musi dać czas temu, co rosło między nimi.

Luke Stanford nie był przyzwyczajony do odraczania przyjemności. Ani do myślenia o kimkolwiek innym poza sobą samym. Nigdy nie chciał ani nie musiał czekać, zastanawiać się, nigdy nie zadał sobie trudu budowania relacji. Jeszcze parę miesięcy wcześniej zapraszający uśmiech byłby dla niego jasnym znakiem, co należy robić. To było jednak, zanim skorupa, którą obrósł, skruszyła się pod wpływem szarych oczu Weroniki, zanim podjął szaleńczą walkę o przetrwanie huraganu, jaki wniosła w jego życie.

Teraz stał na progu jej mieszkania pewny, że niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnął, musiał odwrócić się i odejść.

Kątem oka zauważył kopertę, nadal leżącą na stoliku przy sofie, i zastanawiał się, czy o niej po prostu zapomniała, czy był to jej niemy protest.

Wymienili uśmiechy i zbiegł schodami. Gdy odwrócił się, nadal stała w drzwiach. Odszedł dopiero, gdy je zamknęła.

Czas po festiwalowym weekendzie był intensywny. Praca w warsztacie Parkera trwała całe dni. Przerywali jedynie na krótki kwadrans w południe, żeby coś przekąsić. W pierwszych dniach jesieni Tom dostał nowe zlecenia i oprócz nieskończonej renowacji jachtu, który powoli nabierał oryginalnej formy, mieli do wykonania kilka powakacyjnych reparacji łodzi i żaglówek. Napływały już zlecenia na okres jesienno-zimowy. Tom Parker skrupulatnie odnotowywał terminy i wpisywał łodzie na listę.

Luke widywał Weronikę jedynie wieczorami, gdy zmęczony i spocony zarzucał kurtkę i zaraz po sprzątnięciu warsztatu, szedł do jej mieszkania, by postać w jej drzwiach parę krótkich chwil. Po powrocie do swojego pokoju rzucał się na łóżko i zasypiał w chwili, gdy zamknął powieki.

Tęskniła za nim. Widywała go jedynie parę minut co wieczór, gdy stawał wycieńczony w jej drzwiach. W jego zmęczonych oczach widziała jednak coś więcej – satysfakcję i cień radości. Za każdym razem zapraszała go, by wszedł i za każdym razem odmawiał, opierał się o framugę drzwi i oplatał palcami jej wąskie nadgarstki przyciągając do siebie. Całował jej usta i włosy, przyglądał się jej, jak gdyby sprawdzając, czy zmieniła się w ciągu ostatniego dnia. Czasem rozchyłała poły jego granatowej kurtki i wtulała się w niego, chowając twarz. Stali zwykle na progu pomiędzy jej pokojem jasnym od światła lamp, a ciemnością nocy i Weronika za każdym razem doznawała wrażenia, że to najlepiej oddawało ich relację, rozgrywającą się na pograniczu światła i mroku. I za każdym razem, gdy on wreszcie odchodził znikając w ciemnej ulicy, czuła ścisk strachu w żołądku i przekonywała samą siebie, że wróci jutro. Zamykała drzwi i tęskniła, poddając się już bez cienia sprzeciwu i wahań rosnącemu w niej uczuciu.

Najpierw unikała zaciekawionych spojrzeń Emmy. Udawała, że ich nie zauważa. Trwała uparcie w swoim milczeniu, do czasu gdy Emma zaprosiła ją na lunch do pobliskiego baru sałatkowego. Zamknęły za sobą drzwi księgarni i udały się tam razem. Emma opowiadała o swoich studiach, nowych znajomościach, nadmiarze nauki. Weronika potakiwała z uśmiechem.

Zamówiły swoje sałatki z ciemną bagietką i usiadły przy jednym ze stolików. Wyszły dość wcześnie, dzięki czemu ruch w barze zaczął się dopiero, gdy już siedziały.

– Widzieliśmy was w sobotę wieczorem na festiwalu – powiedziała wreszcie Emma. Jej koralowe wargi rozciągnęły się w uśmiechu, ciemne brwi uniosły w górę w oczekiwaniu.

– Tak? – Weronika próbowała udawać nieporuszoną. Emma skinęła głową, jej brwi nadal uniesione, a oczy figlarne. Weronika nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Przed oczyma przewijały jej się obrazy z tamtego wieczoru. Co widziała Emma? Co powinna jej powiedzieć? – Dlaczego nie podeszliście? Nie widziałam was.

– Wcale się nie dziwię. – Uśmiech Emmy wydawał się teraz

nieco zaczepny.

Weronika wciągnęła powietrze do płuc. Czy nie wystarczająco dużo kłamstw dzieliło ją i Emmę?

– Powinniście byli podejść...

– Nie chcieliśmy wam przeszkadzać, wyglądaliście na bardzo zajętych... sobą.

– OK. Emma, nie wiem, co widziałaś... ale...

– Myślałam, że sama mi o nim powiesz! – Emma splotła ręce na piersi udając obrażoną. – Wiedziałam, że mu się podobasz, nawet domyślałam się, że on podoba się tobie.

– Przepraszam, powinnam ci była powiedzieć, ale nawet nie wiedziałam, co dokładnie. To wszystko jest jeszcze takie świeże... i niepewne.

Emma wyglądała na gotową wybaczyć i uśmiechnęła się znów, pochylając się nad talerzem z sałatką w stronę Weroniki.

– Widać było, że dobrze się razem bawiliście. Czym on cię karmił?

Weronika poczuła w podbrzuszu ciepło, które jak pod wpływem ciśnienia uniosło się i uderzyło w jej policzki rumieńcem.

– Malinami...

Emma pokiwała głową z uśmiechem.

– Czy przy tobie też jest taki małomówny?

Weronika skinęła głową.

– Nie przeszkadza mi to.

Bar wypełnił się gwarem, kolejka do kasy rosła w oczach.

– Myślisz, że coś z tego będzie?

– Nie wiem. – Pochyliła głowę – Nie wiem.

– Ale chciałabyś?

Weronika spojrzała za okno. Drzewa pochylały się pod naporem silnego wiatru. Pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać o szybę.

– Chciałabym – odpowiedziała wreszcie, bardziej do siebie niż do Emmy, choć nagle zupełnie inne pytanie stanęło jej przed oczyma. Dlaczego tego chciała?

W to piątkowe popołudnie deszcz rozszalał się na dobre. Weronika wracała do domu szarpana wiatrem i w strugach wody, taszcząc torbę z zakupami. Mokre kosmyki włosów lepiły się jej do twarzy, palce drętwiały z zimna.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i postawiła torby z zakupami pod ścianą. Zrzuciła z siebie mokre ubrania i poszła prosto pod prysznic. Stała w strugach gorącej wody, czując jak powoli krew znów zaczyna krążyć w jej zziębniętym ciele. Wyszła spod prysznic rozgrzana i odświeżona. Rozczesała splątane włosy i zostawiła je luźno rozpuszczone, by szybciej wyschły. Założyła szare cienkie spodnie od piżamy, biały podkoszulek obszyty koronką i swój biały wełniany sweter. Luke nigdy nie wchodził i stali w otwartych drzwiach, wołała być przygotowana na chłód nocy.

Zaglądał do niej codziennie, zwykle po dziewiątej wieczorem i choć było to jedynie parę minut, czekała na te chwile cały dzień.

Rozpakowała zakupy i przygotowała sobie omlet z warzywami. Zapadł już zmrok i Weronika czuła rosnący dreszcz przyjemnego oczekiwania.

Zaparzyła sobie herbatę i usiadła na sofie z książką. Nie włączyła telewizora ani radia, żeby móc usłyszeć jego kroki, gdy będzie wbiegał po schodach. Minęła jednak dziewiąta, potem wpół do dziesiątej, ale odgłos jego kroków nadal nie zabrzmiał za drzwiami. Słyszała deszcz uderzający o szyby i szum wiatru. Zaczęła myśleć, że był zbyt zmęczony po całym tygodniu, żeby przyjść, że było zbyt mokro i zimno, by wybierać się na spacer tylko po te parę minut razem.

Była dziesiąta, gdy usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Stał w strugach deszczu, zmęczony, lecz z lekkim uśmiechem na ustach. W dłoni trzymał papierową zgrzewkę z butelkami piwa i butelkę czerwonego wina. I Weronika zrozumiała, że jeśli dziś go zaprosi, wejdzie do środka.

Patrzył na nią z tym dziwnym uśmiechem, jak gdyby nie zauważał ani deszczu, ani wiatru. Jego policzki były zarumienione od zimna, a oczy ciepłe mimo chłodu.

– Skończyliśmy – powiedział tylko i Weronika wiedziała, że ma na myśli Łódź.

Patrzyli na siebie – ona stojąc w jasnym pokoju – on nadal w mroku deszczowej nocy. Włosy miał mokre od deszczu i dwudniowy zarost na twarzy. Coś w jego oczach, jakaś przenikająca ją nagle ciemność, przypomniła jej noc w Rotterdamie. Patrzył na nią spod pochylonej lekko głowy. Weronika doznawała raz po raz delikatnych szarpnięć cienkiej nici przyciągania między nimi, na które jej ciało odpowiadało dreszczem. Co w tym mężczyźnie pociągało ją tak bardzo? Czy to była ta ciemność i chłód, jego stanowczość ukryta pod maską milczenia?

Kierowana nagłym impulsem, nacisnęła wyłącznik światła i oboje stali teraz w ciemności. Otworzyła szerzej drzwi i Luke wszedł do środka. Weronika czuła delikatne drżenie we własnym wnętrzu, jak gdyby wszystkie organy w jej ciele reagowały na jego bliskość.

Stali w mroku jej pokoju, on z dziwnym wahaniem w oczach, nadal w mokrej kurtce.

To nie on wciągał ją w ciemność, którą ze sobą przynosił. To ona zapraszała tę ciemność do swojego serca.

Zrobiła krok w jego stronę. Jego palce oplotły jej nadgarstki, mocno i stanowczo, i przyciągnęły ją do niego. Słyszała jego przyspieszony oddech, widziała jak przymknął powieki na chwilę. Położyła głowę na jego klatce piersiowej i miarowe bicie jego serca zagłuszyło wszystko inne. Znów ukryci w ciemności, znów razem, niczego nie udając, oddychali tym samym rytmem. Czuła, jak rozluźnia uścisk dłoni na jej nadgarstkach. Jego palce wplotły się w jej włosy, usta odnalazły jej. Jak inaczej odczuwała z nim wszystko, co zdawało się, że już знаła. Z Maartenem doznawała uczucia spadania i utraty równowagi, któremu w końcu musiała się poddać. Gdy całował ją Luke czuła, jak zamiast spadać, unosi się na potężnej fali. Jego ręce zacisnęły się na jej talii przyciągając ją tak blisko, aż ich ciała przywarły do siebie. Zatrzymał się łapiąc oddech i oparł czoło na jej czole. Gdy uniosła powieki ich oczy

spotkały się i widziała wyraźnie pytanie ukryte w jego spojrzeniu. Jej dłonie zaciśnięte na połach jego mokrej kurtki uniosły się do jego twarzy, pod palcami czuła szorstki zarost. Ta ciemność w jego oczach – pragnęła, by zabrał ją w nią ze sobą. Oswoiła się już z mrokiem między nimi. Powoli skinęła głową, odpowiadając na jego nieme pytanie i czując kolejną potężną falę blisko.

Nie przestawał jej całować, ani gdy sam wyswobadzał się z mokrej kurtki, ani gdy powoli zdjął z niej sweter i zsunął jej spodnie. Jego dłonie, silne, zdecydowane, spragnione, odkrywały jej ciało, przyciągały ją z taką siłą, jak gdyby w każdym jego geście zapisane było nie tylko pożądanie, lecz również strach, że jeśli puści ją choć na chwilę, umknie mu na zawsze.

Weronika drżała, obezwładniający ją nagle strach i wspomnienie gwałtów, przejęły nad nią kontrolę, jak gdyby to, co jej umysł potrafił wyprzeć, jej ciało nadal pamiętało. Jego usta gorące i czułe zdawały się mówić więcej niż słowa. Zaciśnęła dłonie na jego twardych ramionach, które uniosły ją do góry, chciała schować się w nich i zniknąć. Chciała by przestał i pragnęła, by nigdy nie przestawał.

Leżeli prawie nadzy wśród rozrzuconych ubrań na podłodze ciemnego pokoju. Jego wargi całowały jej szyję, palce zaplatały się we włosy. Ale zatrzymał się po raz kolejny, jak gdyby wyczuwał jej niepewność i drzenie.

– Boję się – wyszeptała.

Patrzyli na siebie, oddychając szybko i płytko. Pochylił twarz do jej ucha i ledwo słyszalnym szeptem powiedział.

– Jesteś wszystkim.

Jego zielone oczy znów spojrzały na nią uważnie i po raz kolejny skinęła głową, wiedząc, że on nigdy jej nie skrzywdzi.

Był delikatny i otwierał ją powoli, jego zielone oczy cały czas wpatrzone w nią, uważne i czujne, ciemne i rozżarzone.

Wkrótce drzenie strachu zamieniło się w drzenie pożądania i Weronika poczuła się uwolniona od lęku. Jej nogi uniosły się wyżej, kolana zaciśnęły wokół niego, ciało zaczęło reagować na jego ruchy i odpowiadać im i Luke zrozumiał. Przyśpieszył

stanowczo i nagle, niczym już nie ograniczany, sam poddał się ekstazie. Pod palcami dłoni czuła jego ciało, twarde od mięśni, gorące, wilgotne i napięte. Z każdym jego kolejnym ruchem zbliżała się do granicy, za którą miała zmienić się w oddech, którym on oddychał, w zielony żar jego oczu, w drzenie.

Nie przestawał na nią patrzeć. Nie zamknął oczu nawet na chwilę, obserwując jej reakcję na każdy jego ruch, chłonąc ją. Nagle łącząca ich cienka nić, którą oboje czuli wyraźnie cały ten czas, próbując ją zerwać lub o niej zapomnieć, przestała szarpać, ciągnąc ich ku sobie, lecz oplotła ich ciała i zacisnęła się wokół nich.

Zatracił się w niej i w niej się odnajdywał. Wszystko, czego obsesyjnie pragnął przez ostatnie miesiące wybuchło płomieniem. Czuł pod palcami miękkie fale jej włosów, jej delikatną ciepłą skórę, czuł jej zapach, wdychał jej oddech. Wargami odnajdywał i naznaczał najczulsze miejsca na jej ciele.

Pragnął pocałunkami zetrzeć z jej ciała każdy ślad i wspomnienie aktów przemocy, ciosów, ran, bólu. Jego dłonie drżały w nagłym przerażeniu, że nie potrafią być dość czułe i ostrożne.

Szeptał do jej ucha jedyną prawdę, jaką znał, że jest wszystkim, bo w jego życiu nie było już miejsca na nic, poza myślą o niej.

Luke spadał w rozkoszną ciemność, w której nie istniała ani przeszłość, ani przyszłość, ani teraźniejszość, w ciemność bez granic, która jednocześnie zawężyła się do jednego intensywnego doznania, w nicość, w której kryło się wszystko. Rozpadał się na miliony drżących, tętniących cząsteczek, czując się zarazem tak kompletnym, jak jeszcze nigdy dotąd.

Czuł jej drobne drżące ciało pod swoim, słyszał jej urywany, płytki oddech, mocny nagle uścisk jej palców na swoich łopatkach i kolan zaciśniętych wokół jego bioder. Zwolnił na chwilę, by przyspieszyć zaraz potem i patrzył jak porywa ją orgazm, jej wargi drżące i rozwarte, włosy rozrzucone wokół niej, jej drobne ciało wygięte nagłym sztormem doznań.

Nagle wiedział z całą pewnością, że wszystko co przeżył, wszystko czego w życiu doświadczył, małe i głupie rzeczy, bolesne ciosy, irytujące pomyłki, lepsze i gorsze wybory, wszystko było nieświadomym podążaniem śladem tej cienkiej nici, która wiodła go cały czas i doprowadziła aż do tej chwili.

Nie mógł jej nic zaoferować, poza obietnicą, że będzie ją chronił, zawsze i nie zważając na nic.

I właśnie teraz, gdy wszystko, co posiadał, było stracone, czuł, że miał więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Stracił poczucie czasu. Leżeli na podłodze pokoju wtuleni w siebie w mroku, okryci jedynie kocem, który ściągnął z jej sofy. Jej palce wędrowały po bliznach, które pozostawiła po sobie operacja, ale nie pytała o nic.

Wkrótce zasnęli oboje, wtuleni w siebie, milczący, okryci ciemnością i ciepłem spoconych ciał.

Obudzili się, gdy wciąż jeszcze panował mrok. Kochał się z nią jeszcze raz, sennie i powoli. Potem zarzucił na nią swoją bluzę, którą odnalazł po omacku wśród rozrzuconych ubrań i przenieśli się na jej łóżko, gdzie zapadła w sen otulona jego ramionami.

Luke nie mógł zasnąć. Wiódł palcem po skórze, rysując mapę pomiędzy znamionami na jej ciele. Owijał kosmyki jej długich kasztanowych włosów wokół swoich palców. Wdychał jej zapach.

Pierwszy raz w życiu doznawał tego tsunami sprzecznych uczuć. Nigdy wcześniej nie pożądał kobiety w ten sposób, jednocześnie tak bardzo pragnąc jej nie skrzywdzić. Bezwiednie wrócił myślami do chwili sprzed siedemnastu lat, gdy ukryty wśród wydm i traw, na kocu w niebieską kratkę po raz pierwszy kochał się z dziewczyną, i po raz ostatni, bo wszystko potem było już jedynie seksem, marną kopią, próbą przywołania tych uczuć jeszcze raz. Ale nawet wtedy, trzymając w ramionach dziewczynę, której imię na zawsze zagięło w niepamięci, Luke nie doznał takiego sztormu, jaki teraz targał jego wnętrzem. Co wiedział o życiu mając szesnaście lat? Czy myślał o czymś więcej, niż jedynie samym sobie i swojej przyjemności? Czy szepcząc gorączkowo wyznania miłości w jej drobne kształtne ucho i

całując jej szyję pachnącą słodko jak jaśmin, naprawdę wierzył w to, co mówił? Jej zapach i smak mógł nawet dziś, w każdej dowolnej chwili przywołać do życia. Czy wiedział, jakie piętno odcisnie na nim? Że zostawi w nim ryse, pustą i głęboką, niemożliwą do wypełnienia? Dziś mając ponad trzydzieści lat, Luke poznał już wiele życiowych zakrętów i kantów, o które można rozbić głowę. Dowiedział się, że nad większością rzeczy nie ma się kontroli, że można żyć pozorami, udawać, że wszystko ma się w ryzach i trzymać się tej iluzji tak kurczowo i ślepo, że nie zauważa się potężnego zakrętu, który wyrzuca na pobocze drogi. Można wstać, otrzepać się z kurzu i próbować wrócić na trasę, ale zwykle upadając, puszcza się ster i traci nawet te resztki kontroli, które udało się utrzymać. Luke już to wiedział. To spotkało jego samego.

Trzymając śpiącą Weronikę w ramionach czuł się słaby i obnażony, a jednocześnie silniejszy niż kiedykolwiek.

Obudziły ją dźwięki dochodzące z łazienki. Jej pościel pachniała jego zapachem, jej skóra i włosy też. Pod przymkniętymi powiekami jak film przesuwały się wspomnienia ubiegłej nocy i Weronika poczuła delikatne ciepło rozlewające się w jej wnętrzu. Otworzyła oczy, gdy wszedł do pokoju. Uśmiechnęli się do siebie, lubiła sposób, w jaki się uśmiechał, kąciki jego ust jedynie lekko uniesione, ale oczy skrzyły się zielono.

Naciągnął T-shirt i bluzę.

– Muszę iść – powiedział. Był sobotni poranek. Gęste chmury wisiały na niebie, ale deszcz ustał i wiatr nie targał już światem. – Tom będzie dziś wodował jacht. Chcę go zobaczyć na wodzie.

Umilkł na chwilę, jakby się wahał.

– To pierwsza dobra rzecz, jaką zrobiłem w życiu – powiedział nie patrząc na nią i sięgnął po kurtkę.

Odprowadziła go do drzwi, owinięta w koc. Pocałował ją na pożegnanie, ale nim wyszedł przytrzymała jego dłoń w swojej.

– Druga – powiedziała cicho. – Druga dobra rzecz.

XVII

Poranek nie był wietrzny, ale żagle jachtu kołyszącego się na wodzie wygięły się przyjemnie łapiąc lekkie podmuchy wiatru. Gęsta warstwa szarych chmur wisiała nisko, jak gdyby deszcz miał spaść w każdej chwili. Wody jeziora były ciemnoszare i lekko zmarszczone.

Tom Parker stał na pomoście z właścicielem łodzi, niewysokim siwym mężczyzną w grubym czarnym swetrze, który po raz trzeci uścisnął jego dłoń.

Luke i Pete stali na piaskowej drodze przy pomoście, Emma spuściła ze smyczy psy, które ujadając radośnie, pognały w kierunku wody.

Luke obserwował jacht, gdy wypływał z zatoki, śnieżnobiałe burty z granatowym pasem, lśniący drewniany pokład, którego deski sam lakierował. Widział tę łódź kompletnie zniszczoną, w stanie rozpadu, potem rozebraną na części, pustą w środku, gdy Tom i Pete usunęli mechanizm z jej wnętrza. Widział wrak tej łodzi, zrujnowany i nieużyteczny, i z niedowierzaniem patrzył na niego teraz, gdy unosił się na wodach jeziora, swobodnie i z gracją, jak gdyby nigdy nie doznał żadnej usterki.

Nie zauważył jej. To Pete szturchnął go łokciem, szczerząc zęby w uśmiechu, po czym odszedł w stronę Emmy, pogwizdując jakąś smętną miłosną melodię.

Jej włosy w nieładzie spływały falami po jej ramionach i plecach. Miała na sobie kurtkę i dresowe spodnie. I uśmiechała się z uznaniem, obserwując łódź opuszczającą zatokę.

– Piękna – powiedziała i Luke pokiwał głową.

Trzymał jej chłodną dłoń w swojej, nagle dziecinnie szczęśliwy, że przyszła, że mógł dzielić z nią tę chwilę.

Październik choć rozpoczął się deszczem i wichurami, wkrótce rozjaśnił Sicamous słońcem. Zielone do tej pory wzgórze wokół miasteczka, przybrały jesienne kolory. Rankami ponad brązowo-żółto-czerwonymi drzewami wisiała delikatna mgła.

Wieczory stały się chłodne.

W warsztacie Toma Parkera praca wróciła do stałego rytmu. Luke kończył późnym popołudniem. Wieczory spędzał z Weroniką, podobnie soboty i niedziele, gdy wybierali się na długie jesienne spacery i wypijali kawę w kafejce w centrum miasteczka.

Wiezorami wspólnie przygotowywali kolację, którą zjadali razem, by potem kochać się na jej sofie lub w sypialni. Zostawał na noc jedynie w piątki i soboty. Lubił weekendowe poranki, gdy po nocy z nią, wchodzili razem pod prysznic i stali w strumieniach gorącej wody. Mył jej włosy, plecy, piersi, uda i pozwalał jej myć własne ciało i wodzić palcami po bliznach, których pochodzenia nadal nie znała.

Czasem myślał, że sam był niegdyś wrakiem łodzi, zrujnowanym i pustym, dopóki ktoś nie dokonał koniecznych reparacji, nie naprawił mechanizmów, nie zbił i od nowa nie polakierował desek. I puścił go na wodę, by mógł wznosić się na falach.

Któregoś wieczoru siedzieli wtuleni na sofie, oglądając film. Weronika zasnęła z głową na jego ramieniu. Siedział bez ruchu, nawet po tym gdy skończył się film i w telewizji zaczęły się wieczorne sesje teleshoppingu. Czas nie miał znaczenia. Słuchał spokojnego rytmu jej oddechu, gdy spała w jego ramionach. Fascynowało go wszystko, co robiła, sposób, w jaki piła kawę, zmywała naczynia, czesała włosy. Wszystko w nim pragnęło jej obecności, jak gdyby była paliwem napędzającym jego życie.

Życie Weroniki kręciło się wokół Luke'a, jej myśli, uczucia, jej rzeczywistość i jej sny. Był wszędzie. Cokolwiek robiła, robiła z myślą o nim.

Była jakaś doza szaleństwa w tym, co ich łączyło, w tych październikowych słonecznych tygodniach, w ciągu których każdą wolną chwilę spędzali razem. Codziennie odkrywała w nim coś nowego, jakiś fascynujący szczegół, na którym skupiała się jej cała uwaga. Lubiła momenty, gdy się uśmiechał, rysy jego twarzy miękkie, zielone oczy skrzyły się światłem.

Zauważyła, że potrafił gotować i choć nie robił tego z

wprawą kogoś, kto gotuje codziennie, stał obok niej w kuchni i uczestniczył w przygotowaniu posiłków. Wiedziała już, że świetnie liczył, w pamięci i na szybko, zaskakiwała ją jego umiejętność poruszania się w świecie cyfr. Lubił porządek i sam o niego dbał. Zawsze od razu zmywał naczynia, które używał, nigdy nie zostawiał bałaganu w łazience, gdy wychodził z jej mieszkania. Wyglądało tak, jakby nigdy nie wszedł do środka, jakby ona sama nie weszła do środka. Odkładał na miejsce nawet przedmioty, które ona sama zostawiła gdzieś w chwili nieuwagi i nie robił tego złośliwie, miała raczej wrażenie, że to była jego druga natura.

Zostawał u niej na noc jedynie w weekendowe noce i czasem przynosił ze sobą magazyny lub książki o budowie jachtów i łodzi, które podrzucał mu Pete. Lubiła patrzeć, jak czyta je na sofie, jak jego twarz zmienia się w skupieniu.

Stał się rdzeniem rzeczywistości, wokół którego Weronika budowała swoją siłę.

Emma pakowała książki do dużej podróźnej torby. W księgarni bywała coraz rzadziej, semestr akademicki rozkręcił się na dobre. Weronika zauważyła, że była dziś mniej rozmowna niż zwykle, nie miała jednak śmiałości zapytać, o co dokładnie chodziło. Emma zaproponowała, żeby przed jej wyjściem wypity wspólnie herbatę. Kiedy ubrane w kurtki usiadły na schodku przed otwartymi drzwiami sklepu i Emma nadal trwała w smutnym milczeniu, Weronika odezwała się pierwsza.

– Emma, wszystko w porządku?

Westchnęła głęboko kręcąc głową.

– Pete coraz częściej wspomina o dzieciach. Tyle, że tym razem to nie są już żarty i sugestie. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Odkąd wznowiłam studia, zrobił się zazdrosny, łatwo się irytuje i do tego ciągle od nowa zaczyna temat dzieci, choć myślałam, że ustaliliśmy to, zanim złożyłam podanie w sprawie studiów.

Emma zaciskała dłonie na kubku herbaty. Weronika nie wiedziała, co powiedzieć. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Emma i Pete wydawali się najbardziej dobraną i szczęśliwą parą, jaką widziała w życiu.

– To na pewno przejściowe – powiedziała w końcu cicho. – Może tęskni za tobą?

– Ja... po prostu... bardzo chciałam skończyć te studia, dla siebie samej. – Pochyliła głowę – A teraz nie wiem, czy to jest tego warte? Czy warto rujnować związek dla własnych ambicji i pragnień? Na czym zależy mi bardziej? Tak bardzo bym chciała, żeby zrozumiał, że to dla mnie ważne.

– Zrozumie, na pewno. – Weronika powiedziała to tak żarliwie, że Emma podniosła na nią smutne oczy, w których nagle pojawił się cień uśmiechu.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Nie chcę jeszcze mieć dzieci. Nie chcę mieć dzieci tylko i wyłącznie ze strachu o nasz związek. Nie myślę jeszcze o przyszłości w ten sposób, terażniejszość wydaje mi się idealna. Póki co, niczego więcej mi nie trzeba. A ty? Myślisz o przyszłości? Między tobą a Mattem chyba układa się idealnie?

Weronika poczuła nagle ścisk w żołądku. Pokiwała głową. Niewiele rozmawiały o Luke'u, zwykle udzielała krótkich odpowiedzi, jeśli Emma pytała, ale nawet ona szybko zorientowała się, że nie dowie się zbyt wiele.

W to piątkowe popołudnie Weronika czuła się rozbita i zmieszana. Rozmowa z Emmą otworzyła jakieś drzwi w jej głowie, przez które sączyły się niczym niepowstrzymywane niepokojące myśli i pytania.

Ostatnie tygodnie żyła niesiona na fali ich namiętności, nie liczyło się nic więcej i na nic więcej nie było miejsca w jej myślach. Bez wahania i niepotrzebnych rozterek zanurzyła się w tej fali i dała się nieść, zatracając się w nim kompletnie. Był jej lekiem na wszystkie lęki, wspomnienia. Jak narkotyk dawał jej okazję do zapomnienia, upajał ją, porywał. Nigdy dotąd nie czuła się do kogoś w tym stopniu przynależna. Posiadał ją, należała do niego. To, co niegdyś zdawało się być cienką nitką subtelnego przyciągania, przerodziło się w mocny ciasny sznur, który oplatał ich i wiązał ze sobą.

Weronika zaakceptowała i przyjęła wszystko, ciszę i mrok

między nimi, dziwną znową złą milczenia, niewypowiedzianą zasadę. Nie próbowała nic zmieniać, nie naciskała, jedyne czego potrzebowała to jego szept, gorące zapewnienie, że należy do niego, że jest wszystkim.

Ale nagle głos Emmy, jak echo w jej głowie, powtarzał pytanie: co z przyszłością? Co będzie za rok, za pięć lat, za dziesięć? Na ile lat starczy tej pasji, by wypełnić rysy i pęknięcia w ich relacji, zatuszować niedopowiedzenia, kłamstwa, jak długo da się namiętnością wypełnić ciszę? Jak długo mogą żyć udając, że świat, który pozostawili za sobą nie istnieje? Co się stanie, jeśli ktoś ich odnajdzie? Co się stanie, jeśli nikt nigdy ich nie odnajdzie? Weronika nigdy dotąd nie myślała o dzieciach, ale rozmowa z Emmą uświadomiła jej, że pewnego dnia zapragnie mieć dom, psa, może dzieci. Czy Luke chciałby mieć dzieci? Dzieci, które nigdy nie poznają prawdziwego imienia swojej matki. Jak miałyby powiedzieć im, kim jest ich ojciec? Jak go poznała? Jak miałyby komukolwiek powiedzieć?

Wychodziła z księgarni przytłoczona pytaniami. Luke czekał na nią, siedząc na schodach prowadzących do jej mieszkania. Powiedziała mu, że jest zmęczona, więc przygotował jej kolację i zabrał pod prysznic, gdzie jego ciepłe silne dłonie przynosiły jej zapomnienie, zmywając z niej napięcie i nagły smutek, który jak wirus zaczął dokonywać spustoszeń w jej umyśle.

Tej nocy długo wpatrywała się w cienie przesuwające się po zasłonach, słuchając jego miarowego oddechu i zadając sobie pytanie, czego naprawdę chce.

Przed oczyma stały jej te wszystkie drobne rzeczy, momenty, które sprawiają, że życie wydaje się normalne, wspólne mycie zębów, gdy patrzą na siebie w odbiciu lustra, dzielenie tej samej kanapki, robienie zakupów, parzenie kawy bez pytania, bo wiedzą dokładnie jaka powinna być, spacer po plaży. Te wszystkie maleńkie plamki codzienności rozarte na płótnie życia, które powoli i stopniowo zasłaniają prawdziwy ukryty pod nimi obraz.

Weronika leżała z szeroko otwartymi oczyma, nagle z całą wyrazistością zdając sobie sprawę, że zasypia w ramionach

mężczyzny, który należał do zupełnie innego świata – świata, który ją porwał, zgwałcił, pobił, zamknął w ciemni, odcinając od jej życia, ludzi, których znała i skazał na rozpacz, głód, ból i strach. Nawet jeśli była przekonana, że to nie jego ręce zrobiły jej to wszystko, jaką miała pewność, że za tym wszystkim nie stał? Jaką miała pewność, że nie robił tego innym kobietom? Wspomnienie ich pierwszego spotkania, gdy otworzył drzwi do jej ciemni, nagle wstrząsnęło jej ciałem. Luke śpiący z ramionami wokół jej talii poruszył się niespokojnie. Czują jego ciepły lekki oddech na swojej szyi.

Zgrzyt zamka w drzwiach, smuga światła, ból, strach i jego twarz ukryta w cieniu, jego ostry twardy głos. Wciągnęła powietrze do płuc i poczuła dreszcz wewnętrznego chłodu rozchodzący się po jej ciele, którego jego ciepłe ramiona nie mogły już ogrzać.

Był ostatni październikowy weekend, słoneczny lecz chłodny. Szli plażą wzdłuż jeziora. Piasek i kamienie chrzęściły pod ich stopami. Wiał zimny wiatr. Zauważył, że jest dziwnie nieobecna i chłodna i niepokój powoli wpełzał pod jego skórę.

Zatrzymał ją chwytając za nadgarstek i przyciągnął do siebie, ale czuł, że nie chce mu się poddać. Podniósł dłonią jej podbródek tak, by musiała na niego spojrzeć, ale gdy ich oczy spotkały się, zobaczył w nich smutek i chłód, którego nie znał.

– Co się dzieje? – zapytał wreszcie, nadal ściskając drugą dłonią jej nadgarstek, który próbowała wyswobodzić.

Kręciła głową w milczeniu, jej oczy nagle wilgotne, usta zaciśnięte w zacięciu. Luke poczuł wszechogarniającą falę strachu i niepokoju. Wypuścił z dłoni jej nadgarstek. Uwolniona odwróciła się szybko i odeszła parę kroków w stronę jeziora unosząc dłonie do ust.

Luke miał wrażenie, że wiatr stał się nagle lodowato zimny. Każdy podmuch przeszywał go na wskroś.

Podszedł do niej, ale tym razem nie dotknął jej.

– Nie mogę tak dłużej. – Jej głos był cichy i drżący, ale była w nim jakaś pewność. – Nie mogę.

Stał za nią, niemy i niespokojny, nie rozumiejąc nic.

– Co masz na myśli?

– Nas. Mam na myśli nas.

Luke poczuł drzenie pod stopami i wiedział, że nadchodzi trzęsienie ziemi, że już nic nie da się zrobić. Kręcił głową osłupiały.

– Powiedz, jak mam na imię – wyszeptała, ale milczał, kręcąc głową. – Powiedz! – powiedziała głośniejszym głosem odwracając się w jego stronę.

– Wiesz, że nie możemy...

– Przestań! – Stali teraz twarzą w twarz. Jej dłonie zaciśnięte w pięści, oczy wilgotne od łez, policzki zarumienione od wiatru. Szept przerodził się w krzyk. – Nie ma tu nikogo, nikogo przed kim musimy udawać! Nie wiem, kim jesteś! A ty nie wiesz nic o mnie! Tak się nie da! Nie da się tak żyć na zawsze! Nie rozmawiając i grając w tę grę milczenia! Nie da się zostawić za sobą przeszłości! – Luke poczuł jak jego mięśnie napinają się nagle w akcie protestu, wiedział, że mówiła o Rotterdamie. – Nie da się zapomnieć!

Patrzyli na siebie, między nimi niewidzialne, lecz obecne, zawisło wspomnienie sprzed paru miesięcy. I żadne z nich nie było w stanie go dotknąć. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Nie mogę tak dłużej. Nie wiem, co będzie potem. Co się stanie? Jak można żyć w ten sposób? Jak długo możemy tak udawać? Nie mogę tak dłużej – powtarzała cicho.

Luke milczał. Myśl, jak lodowaty podmuch wiatru uderzyła go nagle w twarz, szczypiąc boleśnie.

– Nie chodzi o to jak, prawda? – spytał i podniosła na niego duże mokre oczy. – Lecz z kim. Chodzi ci o mnie. Nie o nas.

Czuł ból, nagły i obezwładniający. Zamiast trzęsienia ziemi, był jedynie porywający nurt, który zrywał mu grunt pod stopami. Luke odwrócił się. Nie patrzył dokąd idzie, kroki niosły go same. Szedł jak w dziwnym transie. Gdzieś w głębi duszy wiedział, że miała rację. Wiedział, że nie miał jej nic do zaoferowania. Że w końcu przebudzi się i zobaczy go naprawdę. I czy tak nie było

lepiej? Lepiej dla niej?

– Luke! Luke! – Jej krzyk wyrwał go z transu. Obrócił się. Stała na plaży, zapłakana i drżąca. – Luke!

Patrzył na nią, nagle nie dbając, kto usłyszy jej wołanie, rozdarty między tym czego pragnął, a tym co powinien zrobić. Powinien odejść. Nie ma do niej prawa.

– Luke! – Łzy spływały po jej policzkach, jej krzyk, niemal błagalny i pełen desperacji przesywał go i wywoływał to znajome drżenie w jego wnętrzu. Tak jak niegdyś, wiedział, że jego imię należy do jej ust, jak gdyby stamtąd pochodziło, jak gdyby jego imię miało znaczenie jedynie w jej ustach.

Ruszył ku niej szybkim, zdecydowanym krokiem pchnięty nagłym impulsem bólu, przerażony i pokonany. Chwycił ją mocno za ramiona, patrząc jej prosto w oczy.

– Myślisz, że ja tego chciałem? – zapytał ostro w panicznym strachu i desperacji. – Tego wszystkiego? Myślisz, że się o to prosiłem? Myślisz, że miałem wybór?

Stała przed nim szlochając, bezbronna i krucha. Czuł się nagle wycieńczony, jak gdyby wypowiedzenie tych paru zdań kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Był zmieszany i przerażony.

– Czego ty chcesz? – zapytał.

– Chcę ciebie, prawdziwego ciebie – odpowiedziała drżącymi nabrzmiałymi od szlochu wargami.

Palcami ocierał łzy z jej policzków. Luke nie mógł mówić. Nie potrafił wyrazić słowami tego, co czuł. Ale nagły strach, że ją utraci, był silniejszy.

– Wiem, jak masz na imię, Weroniko – powiedział łagodniejszym głosem. – Nie muszę wiedzieć o tobie wszystkiego, ale wiem kim jesteś. Zapytaj mnie. Zapytaj mnie o co chcesz – mówił do niej czule gładząc jej twarz i wargi, odgarniając kosmyki włosów, które przylepiły się do jej mokrych policzków. Pochylił się i oparł swoje czoło na jej. – Nazywam się Luke Stanford. Mam trzydzieści trzy lata. Urodziłem się w Rotterdamie. Mam urodziny dziesiątego kwietnia. Moja mama była Angielką, mój ojciec jest Holendrem. Nie zrobiłem w życiu nic wartościowego dopóki nie

pojawiłaś się w nim ty. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Była? – spytała szeptem.

– Zmarła na raka parę lat temu.

– Dlaczego pozwoliłeś mi odejść? Dlaczego mnie wypuściłeś?

Pytanie unosiło się w przestrzeni między nimi, zaczepiając o cienką nić, która ich przyciągała, drażniąc ją, napinając.

Luke czuł swój własny rytmiczny, płytki oddech, echo własnego tętna, coś wzbierało w nim. Oplótł palcami jej wąskie nadgarstki.

– Musiałem – powiedział cicho.

– Dlaczego? – Jej pytanie, uparte i stanowcze zdawało się pożądać odpowiedzi.

Luke zaczerpnął powietrza w płuca.

– Kocham cię – wyszeptał i poczuł jej piersi nagle wzniesione w głębokim westchnieniu, jak gdyby wynurzyła się spod wody walcząc o oddech, jak gdyby to było jedyne, co chciała usłyszeć, jedyne co naprawdę stało między nimi niewypowiedziane.

Jej usta były gorące i nabrzmiałe płaczem, wilgotne i słone od łez, gdy ją całował przerażony. Miał wrażenie, że zdrapała z niego ostatnią maskę, zadając mu ból i pozbawiając ostatniej ochronnej warstwy, która dzieliła go od własnych uczuć. Luke czuł się bezbronny.

Wracali do jej mieszkania zmęczeni i milczący. Nie czuli się głodni, jedynie spragnieni zapewnienia, że wszystko między nimi jeszcze się ułoży. Spędzili popołudnie i wieczór kochając się i zasypiając na przemian, czując się bardziej nadzy niż kiedykolwiek wcześniej. Kochał się z nią szepcząc jej imię raz po raz, jak wyznanie lub obietnicę.

W środku nocy leżeli w ciszy, oboje nagle rozbudzeni i pogrążeni we własnych myślach.

– Co ci się stało? – Weronika przejechała palcami po jego bliznach.

Luke nie poruszył się, po czym dotknął palcami tych samych

miejsc.

– Operacja – powiedział w końcu, częściowo mówiąc prawdę, częściowo ją ukrywając, choć sam nie wiedział dlaczego.

– Operacja? – Nie poddawała się drążąc.

Luke zacisnął usta na wspomnienie walki i przeszywających ciosów. Jej końcówkę i rezultat pamiętał jak przez mgłę, strzępy bez chronologii.

– Walka na pięści... – powiedział w końcu próbując znaleźć słowa, by wytłumaczyć jej, co się wtedy stało. – ...Którą przegrałem.

Milczała chwilę, zdając sobie sprawę, jak niewiele wie o jego przeszłości. I jak trudno im ze sobą rozmawiać.

– Opowiedz mi o swojej mamie – poprosiła cicho.

– Po co? – zapytał ostrzej niż zamierzał i poczuł jak kuli się w jego ramionach.

Po zasuniętych zasłonach przesunęły się powoli światła przejeżdżającego auta. Leżeli w ciszy. Luke próbował odsunąć mury przeszłości, które nieproszone napływały falami.

– Była zabawna i ciepła. Uparta jak osioł i irracjonalna. Lubiła spokój, zwierzęta, naturę. Wiecznie dokarmiała te cholerne bezdomne koty. – Zaskoczyła go wyrazistość wspomnienia i łatwość, z jaką niespodziewanie potrafił je opisać. – Dobrze gotowała, choć całe życie powtarzała, że tego nie lubi. Lubiła za to piec, bogu dzięki. Uwielbiała kawę z mlekiem, nie tolerowała szklanek. Mieliśmy w domu całą kolekcję filiżanek i kubków i ani jednej szklanki, żeby napić się z niej wody. Po rozwodzie z moim ojcem wróciła do swojego rodzinnego domu, zabierając mnie ze sobą. Do szkoły chodziłem w Londynie, wakacje spędzałem u ojca w Rotterdamie. Mama nigdy nie pozwoliła sobie na chwilę słabości po rozwodzie. Chyba... była silniejsza niż mi się wydawało.

– Dlaczego się rozwiedli?

Jej pytanie zwisło na chwilę między nimi. Luke wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba pochodzili z dwóch różnych światów,

których nie potrafili pogodzić, złożyć w jeden.

Zamilkli, oboje porażeni faktem, jak bardzo jego odpowiedź mogła dotyczyć ich samych.

– Pamiętam ich szczęśliwych. Nie wiem, co się tak naprawdę stało między nimi – dodał i wyczuła w jego głosie dziwny smutek, jakby dopiero teraz to sobie uświadomił. – Śpij już. – Pocałował jej włosy.

Weronika przewróciła się posłusznie na bok. Jego ramiona objęły ją mocno. Czowała się wyczerpana i słaba, ale w jej głowie panował nadal huk i chaos, który nie pozwalał jej zasnąć. Powiedział, że ją kocha. Jak to możliwe? Jak to wszystko było możliwe i realne? Jak miała to zrozumieć, poukładać, zaakceptować? Jak budować na tym życie? Czy kochał ją naprawdę? A jeśli tak, czy miłość wystarczy, by uleczyć przeszłość, zamiast ją zapomnieć, zatracając się w sobie wzajemnie? Czy miłość wystarczy, by ich usprawiedliwić? Czy miłość wystarczy, by połączyć ich światy w jeden, by nauczyć ich wspólnego języka?

Tej nocy Luke długo nie mógł zasnąć. Ilekroć zaciskał powieki, obrazy jak w kalejdoskopie zaczynały przesuwać się szybko i w panice otwierał oczy, by zatrzymać zawrót głowy, o jaki go przyprawiały. Wszystkie cząsteczki jego ciała nadal rozedrgane, sprawiały, że czuł niepokojący chłód, który pochodził z jego własnego wnętrza, jak gdyby lodowata dłoń dotknęła jego serca.

Co miał zrobić? Czy popełnił błąd wierząc, że był tym, czego ona chce? Czy popełnił błąd wierząc, że może ją ochronić? Czy potrzebowała ochrony jedynie przed nim samym?

Czy mówił prawdę twierdząc, że nie miał wyboru? To, co odczuwał jako brak wyboru było w końcu po prostu decyzją, z którą zmagał się i walczył, by w ostateczności ją podjąć. Mógł przecież zwyczajnie otworzyć drzwi i pozwolić jej odejść, choć wiedział, że byłaby zdana na siebie samą, mógł dać się zabić, mógł nigdy jej nie szukać, pozwolić jej żyć bez tego chaosu, który wniósł ze sobą do jej życia. Ale wybrał co innego i w mroku nocy

zastanawiał się dlaczego. Wybrał egoistycznie nie to, co było najlepsze dla niej, lecz to, czego pragnął sam. Luke zacisnął mocno szczęki tonąc we własnych nerwowych myślach. Czy mógł coś jeszcze zmienić, odwrócić, naprawić? Czy tego by chciała? Czy pozwolił sobie uwierzyć w iluzję tak realną, że niemal namacalną? Na jego wyznanie miłości odpowiedziała jedynie cisza i Luke wiedział, że nie miał prawa oczekiwać od niej niczego i niczego nie oczekiwał. Pamiętał jednak obietnicę, którą złożył sam sobie, że będzie ją chronił za wszelką cenę. I tej nocy, ciemniejszej i głębszej od innych, Luke pytał siebie, czy sam był ceną, którą będzie musiał zapłacić za jej bezpieczeństwo i szczęście. Nie wiedział jeszcze, że życie zadecydowało już za niego i jedyne, co miał wkrótce zrobić to dokonać jeszcze jednego, ostatniego i najtrudniejszego wyboru.

XVIII

Listopadowy chłód przyniósł ze sobą dni pełne deszczu. Weronice zdawało się czasem, że nie przestawało padać nawet na chwilę i zastanawiała się, jak to się dzieje, że woda w jeziorach nie przelała się jeszcze i nie pochłonęła Sicamous. Obroty w księgarni wzrastały proporcjonalnie do ilości deszczowych dni. Na półkach księgarni pojawiła się też długo wyczekiwana przez wszystkich nowość, druga część popularnej trylogii opowiadającej historię zawiętej relacji między młodą dziewczyną pochodzącą z biednej rodziny, która próbuje przetrwać w wielkim mieście, i zamożnym mężczyzną w średnim wieku należącym do jazzowego zespołu jeżdżącego z koncertami po całym świecie. Weronika jednym tchem przeczytała pierwszą część zatytułowaną „Rzeka nut” i wyczekiwała na ukazanie się w sprzedaży drugiej pod tytułem „Rzeka czułości”. W myślach i emocjach głównej bohaterki odnajdywała samą siebie i wreszcie czuła się zrozumiana i choć odrobinę mniej osamotniona w swojej wewnętrznej walce.

Książki stały się również jej drogą do Luke'a i sposobem na rozmowę. Ilekroć się spotykali, Weronika opowiadała mu o tym, co czyta i co myśli o tym, co czyta. Bywały chwile, że miała wrażenie, iż mówi sama do siebie, ale za każdym razem napotykała jego uważne oczy, wiedziała, że słucha. Podjęła więc walkę o to, by oboje nauczyli się ze sobą rozmawiać i zaczęła od wszystkiego, co neutralne. Przeglądała z nim jego magazyny żeglarskie i książki o jachtach, pokazywała mu zdjęcia łodzi i mówiła, które jej się podobają, pytała które podobają się jemu, prosiła, by tłumaczył jej skomplikowane terminy żeglarskie. Nie wywierała na nim presji, by mówił, ale też nie poddawała się. Czuła, że małomówność leży w jego naturze i nie zamierzała jej zmieniać. Pragnęła jedynie, by ich relacja weszła w inny poziom intymności.

Nigdy nie wrócili do tej ostatniej soboty października i słów, które wtedy padły. Rozmowa o uczuciach wydawała się być dla

nich obojga zbyt trudna. To, co nie mogło być powiedziane słowami, okryte mrokiem nocy wypełzało na powierzchnię, by elektryzować przestrzeń między nimi tą samą pasją i wyraźnie wyczuwalnym przyciąganiem. Pozostało więc wypisane milczeniem to, co wypowiedziane głośno brzmiało bardziej jak klątwa niż jak wyznanie.

Weronika porzuciła bezcelowe rozmyślenia na temat przyszłości, uświadamiając sobie, że nic nie jest pewne, że życie w jednej chwili potrafi zmienić się w koszmar lub z koszarnej głębi wyrzucić potężną falą na nieznaną łódź. Jaki sens miało zamartwianie się o jutro? A tym bardziej o to, co będzie za parę lat. Wszystko mogło się zdarzyć. Lub zupełnie nic. Tu i teraz było jedynym, co się liczyło. Luke miał rację, nie prosili się o to. I mimo wszystko, poza ich wolą, stało się.

Postanowiła również nie patrzeć na niego przez pryzmat ich przeszłości i nie oceniać go na podstawie jego przeszłości. Często myślała o mężu i ojcu Emmy, którzy jak już wiedziała, również mieli za sobą nieciekawą przeszłość, a mimo to udało im się odbić od ciemnego dna i stworzyć spokojne życie. Podczas gdy Weronika budowała swoją relację, małżeństwo Emmy przechodziło pierwszy poważny kryzys. Zderzenie różnych priorytetów i lęków owocowało kłótniami, które przeradzały się w ciche dni. Weronika obserwowała rosnący ból, złość i smutek w oczach Emmy, która uparcie obstawała przy tym, co dla niej ważne, jednocześnie próbując desperacko uratować związek. Pete zdawał się popadać w panikę, że nagle rosnące ambicje żony, zniosą ją na dalekie wody, gdzie będzie poza jego zasięgiem. Zastanawiała się, ile było w tym strachu, że ją straci, a ile naleciałości z jego ciemnej przeszłości. Bolesny proces szukania kompromisu wydawał się ciągnąć bez końca i Weronika przeczuwała, że musi stać się coś, co zmusi ich oboje do spojrzenia na siebie nawzajem i ich relację od nowa.

Zdała sobie również sprawę, że kolejny poziom intymności między dwojgiem ludzi, to nie tylko głębsza relacja, ale też więcej komplikacji.

Patrzyła zatem na Luke'a próbując zapominać, co ich połączyło i dając mu kredyt jedynie za ich wspólną teraźniejszość. Nie zawsze było to łatwe. Jego chłód i dystans zdawały się wrodzone i Weronice trudno było się przez nie przebić. Wiedziała, co Luke do niej czuje i że nie jest księciem na białym koniu, ani mężczyzną, który będzie wracał do domu z bukietem kwiatów. I nie tego od niego chciała. Jedyne na czym zależało jej naprawdę, było dotarcie do jego wnętrza. W samotne noce w zwykłe dni tygodnia, gdy oboje spali u siebie, Weronika zadawała sobie pytanie, czy go kocha. Im częściej wirowało ono w jej głowie, tym bardziej świadoma była, że jedyne, co ją powstrzymuje przed pokochaniem go był strach. Weronika bała się tej miłości.

Luke starał się. Mówić, rozmawiać, podążać za jej potrzebami. Jej cierpliwość i nieugiętość przypominały mu matkę. Przerażała go ta myśl, jednak nie mógł pozbyć się wrażenia, że matka używając tej samej ciepłej perswazji, stymulowała go do kontaktu i rozmowy. Mówił jej, że go męczy i irytuje, ale była jedyną osobą, z którą potrafił rozmawiać. A może jedynie tak mu się wydawało. Weronika z kolei korzystała z każdej okazji, by usłyszeć jego głos, nawet jeśli to, co jej mówił było nudne i zawile. Lubił, gdy przeglądała z nim magazyny żeglarskie i zadawała mnóstwo pytań, patrzyła na niego, jak gdyby rozumiała o czym mówił. Czasem pytał ją, czy zrozumiała i nie mógł powstrzymać uśmiechu widząc jej minę.

Deszczowe listopadowe weekendy spędzali w jej łóżku i Luke na zawsze zapamiętał je jako najszcześniejsze chwile w życiu, leniwe poranki trwające do popołudnia, gdy czas nie ma znaczenia, pościel pachnąca nią, aromatyczna kawa na stoliku obok łóżka. Wstawał dopiero, gdy zaczynała wspominać, że robi się głodna. Zarzucał na siebie jeansy i kurtkę i wybiegał do sklepu po jedzenie. Wracał mokry od deszczu i zastawał ją w jego własnym podkoszulku w kuchni. Zamykał ją w swoich ramionach nie zdejmując mokrej kurtki, aż wiła się śmiejąc i krzycząc, że jest zimny i mokry. Dźwięk jej śmiechu pobudzał wszystkie komórki w jego ciele i wprawiał je w przyjemne wibracje rozchodzące się

echem po jego wnętrzu.

Nieraz chciał kupić jej coś, kwiaty, prezent, bieliznę, cokolwiek jednak wybrał, wydawało mu się nie dość dobre lub po prostu głupie. Lubił przynosić jej dobre wina, czekolady, owoce lub ciasta z piekarni i karmić ją patrząc jak rozwiera wargi, dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa przypominał mu maliny, którymi karmili się w ostatni weekend lata.

Luke czuł się szczęśliwy, przekonywał sam siebie, że tak już zostanie, że tak może być zawsze. Jego wrodzona czujność, uśpiona, lecz żywa, podpowiadała mu jednak, że muszą być ostrożni. W gruncie rzeczy byli parą uciekinierów na podrobionych papierach.

Tom Parker nie był po prostu facetem naprawiającym łodzie. Lubił myśleć, że poza łodziami, naprawia też ludzi albo przynajmniej daje im szansę na samoreparację.

Dawno temu sam podjął kilka bardzo złych decyzji, które ostro spieprzyły mu młodość. Gdy wyszedł z więzienia okazało się, że błędy młodości czekały na niego nieustannie i Tom musiał decydować, czy chce je kontynuować, czy z nimi zerwać. Obiecał sobie, że spróbuje tylko raz. Wsiadł do pierwszego autobusu, który przywiózł go do Sicamous. Tom miał farta, po raz pierwszy w życiu i w najodpowiedniejszym momencie. Szukał pracy w zatoce, gdy natknął się na starego Kee, który próbował wciągnąć sporych rozmiarów łódź na ląd. Tom rzucił się do pomocy i wspólnie dali radę ulokować łódź na podeście, którym zawieźli ją do warsztatu. Gdy stary Kee zapytał go, czy wie coś o łodziach, Tom w nagłym akcie szczerości powiedział mu, że nie tylko nie wie nic o łodziach, ale nie wie też nic o uczciwej pracy. Kee kazał mu zdjąć kurtkę i zabrać się do roboty, zamiast uzalać się nad sobą. Stary Kee dał mu nie tylko pracę i szansę na uczciwe życie, ale też własną piękną ciemnowłosą córkę za żonę, co nie przyszło mu łatwo.

Tom przejął po nim warsztat i od tamtej pory utrwalił jako własną tradycję, że zatrudnia do pomocy tych, którzy nie mieli wielkich szans na inną pracę. Widział w swoim życiu wielu

uciekających przed błędami przeszłości i poszukujących nowej szansy. Tylko raz w życiu zapłacił wysoką cenę za swoje zaufanie, w większości przypadków potrafił ocenić sytuację na pierwszy rzut oka. Oczywiście, że przyjął cierpko fakt, iż historia lubi się powtarzać i jego własna śliczna córka o oliwkowej cerze i ciemnych włosach swojej matki, wpadła w ramiona jednego z jego pracowników. Wiedział jednak z doświadczenia, że w miłości niewiele ma się do gadania. Pete okazał się pracowitym facetem i szybko się uczył, co osłodziło Tomowi trochę wybór jego córki.

Lubił Matta za jego milczące skupione oczy, umiejętność pracy w ciszy i porządek. Wiedział, że wcześniej czy później i po niego upomną się błędy przeszłości i tak jak w każdym innym przypadku, Tom Parker zawsze był gotowy.

W piątkowe popołudnie w warsztacie Parkera atmosfera zwykle była rozluźniona. Wszyscy trzej pracowali pochyleni nad silnikiem, gdy Tom zwrócił się nagle do Pete'a.

– Pete, bądź tak miły i rozładuj półciązarówkę zanim zamkniemy warsztat.

Nim Luke, który zwykle wykonywał tego typu prace w warsztacie, zdążył otworzyć usta i podnieść się, Pete wstał bez słowa i wyszedł. Luke spojrzał na Toma, który nawet na chwilę nie podniósł głowy znad silnika, który czyścił. Przez chwilę pracowali w ciszy, gdy Tom odezwał się ponownie, nadal nieprzerwanie pochylony nad pracą.

– Wczoraj wieczorem dwóch Holendrów zameldowało się w jednym z hoteli w miasteczku. – Głos Toma nie zdradzał żadnego niepokoju lub napięcia, jak gdyby opowiadał o prognozie pogody. – Szukają mężczyzny i dziewczyny. Nie wyglądają przyjaźnie.

Luke zastygł w napięciu. Nie potrafił się poruszyć, choć w jego głowie kotłowała się przerażająca myśl, że Weronika jest w księgarni sama. Podniósł się gotowy biec natychmiast, lecz spokojny i twardy głos Toma powstrzymał go.

– Siadaj i słuchaj. Pod warsztatem stoi półciązarówka, którą Pete właśnie rozładowuje. Weźmiesz ją i odbierzesz Sonię z księgarni. Wsiądziecie do auta. Nie zatrzymujcie się nigdzie. W

schowku jest mapa okolicznych lasów. Są na niej dwie linie – czerwona i niebieska. Kieruj się czerwoną. Przed północą powinniście dotrzeć do drewnianej chaty w głębi lasu. W schowku jest klucz. Z tyłu ciężarówki znajdziesz czarną plastikową torbę, są w niej zapasy żywności na dwa- trzy dni. Reszta jest w chacie. Wróćcie podążając niebieską linią, wjedziecie do miasteczka z drugiej strony. Przejedziesz obok warsztatu. Jeśli drzwi hangaru będą otwarte miniesz warsztat i wyjedziesz z Sicamous natychmiast i nie wrócisz przez następny tydzień. Jeśli drzwi będą zamknięte, będziesz wiedział, że jest bezpiecznie. Zrozumiałeś?

Luke słuchał z oczyma wbitymi w Toma. Skinął głową.

– Idź już! Pośpiesz się!

Tom Parker patrzył w milczeniu jak spod warsztatu odjeżdża jego czerwona półciężarówka.

Wiedziała, że coś jest nie tak, choć Luke nie mówił nic, jego spięta twarz, zmrużone oczy, bruzda między brwiami, nagle głębsza, mówiły to za niego. Siedziała posłusznie, milcząc w ciemnościach półciężarówki Toma Parkera, nie pytała o nic. Wszystko w tej dziwnej podróży przypominało jej tamten wieczór pięć miesięcy temu, gdy wyprowadził ją z mieszkania na szczycie rotterdamskiej wieży i wywiózł autem. Zastanawiała się, jaki jest cel ich podróży. Jechali już ponad trzy godziny, wokół zrobiło się ciemno i droga pomiędzy ścianami wysokich drzew zdawała się ciągnąć bez końca. Musieli wspinać się coraz wyżej, gdyż wkrótce zauważyli pierwsze plamy cienkiej jeszcze warstwy śniegu.

Była jedenasta wieczorem, gdy dotarli do niewielkiej chaty ukrytej wśród drzew. Zaprowadził ją do środka, gdzie było równie zimno jak na zewnątrz i głosem nieznoszącym sprzeciwu kazał je okryć się czymkolwiek, co znajdzie, i czekać. Gdy wyszedł, Weronika rozejrzała się w ciemności. Powoli jej wzrok przyzwyczajał się do mroku i odnalazła koce złożone na zakurzonej fotelu. Okryła się jednym z nich i przeszła wzdłuż pokoju, na kominku zauważyła świece i pudełka z zapalnikami. Zapaliła je ostrożnie i wkrótce mdłe, migotliwe światło świec rozjaśniło przestrzeń. Chata składała się z jednego niewielkiego

pomieszczenia z łóżkiem, fotelem, małym stołem z dwoma krzesłami, które wyglądały, jakby nie mogły unieść nikogo cięższego od dziecka, gazową kuchenką z dwoma palnikami wepchniętą pod stół i szafą stojącą obok kominka. Okno zasłaniały grube zasłony. Luke wszedł do środka, położył czarną torbę obok drzwi i wyszedł znów. Weronika wyciągnęła zakurzoną kuchenkę i postawiła ją na stole. Butla gazowa wepchnięta jeszcze głębiej pod stół okazała się już podłączona. W szafie znalazła niewielki garnek. Rozejrzała się wokół. Nie było wody. Nie będzie ciepłej herbaty. Odstawiła garnek z powrotem do szafy. Luke wrócił z naręczem drewna i po krótkiej, lecz efektywnej walce z rozpaleniem długo nieużywanego kominka, wkrótce poczuli ciepło ognia. Cały ten czas obserwowała jego napiętą szczękę i nieobecne pociemniałe oczy. Rozpakował czarną torbę, która okazała się zawierać pożywienie i trzy zgrzewki wody mineralnej. Luke zrobił kanapki i uruchomił gazową kuchenkę, na której zagotował wodę. Miała wrażenie, jakby jej nie było, jakby jej nie zauważał. Kiedy podał jej kubek gorącej herbaty i talerz z kanapkami próbowała spojrzeć mu w oczy, ale zdawał się ignorować jej obecność. Rozłożył gruby pled tuż przed kominkiem, by mogli pozostać w ciepłe ognia.

Siedzieli obok siebie, choć miała wrażenie, że był gdzieś daleko poza jej zasięgiem.

– Luke? – mówiła szeptem, który w otaczającej ich ciszy wydawał się niemal krzykiem. – Co my tutaj robimy?

Pochylił głowę i w blasku ognia widziała jego zmęczone oczy i mięśnie szczęki unoszące się w napięciu.

– Szukają nas – odpowiedział nie patrząc na nią. Jego chłodny głos był jak ostry kawałek lodu kaleczący jej ciało.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Drżącymi dłońmi odstawiła kubek i talerz na podłogę. Nagle czuła się odrętwiała i bezwolna. Nie bała się, jak gdyby nawet jej serce w tym odrętwieniu nie było zdolne do uczuć.

Zasnęli okryci stertą koców na pledzie ułożonym w zasięgu ciepła płomieni, nadal w kurtkach, tuląc do siebie przerażone i

zziębnięte ciała.

Spędzili w chacie dwa dni i dwie noce, cisza między nimi pełna była napięcia, ale jego ramiona tuliły ją mocniej niż zwykle i w tym geście odnajdywała otuchę.

Dwa ciemne dni i dwie ciemne noce, przypominały jej tygodnie bez poczucia czasu w ciemni rotterdamskiej sypialni, tym razem jednak oboje byli więźniami w domu, którego drzwi stały otwarte, a mimo to sprawiały wrażenie zamkniętych. I jedyną pociechą było ciepło ich ciał i niespokojny sen, w którym zatracala się rzeczywistość.

Kiedy w niedzielne popołudnie Luke zapakował wszystko do półciężarówki i ruszyli znów drogą przez las, nie spodziewała się, że wrócą do Sicamous. Zasnęła ze zmęczenia, poddając się kołysaniu auta i jednostajnemu burczeniu silnika. Gdy się obudziła, było już ciemno, rozpoznała jednak drogę prowadzącą do miasteczka.

Luke wjechał do Sicamous, gdy wszystko spowijała już ciemność. Minął warsztat Toma i z ulgą zobaczył zamknięte drzwi hangaru. Czuł jak napięcie odpuszcza trochę. Odwiózł Weronikę do jej mieszkania i długo siedział w ciemnym aucie wpatrując się w jej zamknięte drzwi. Musiał ułożyć plan.

Była szósta rano, gdy wsiadł do autobusu jadącego do Salmon's Arm. Miał za sobą trzecią bezsenłą noc. Przez jego ciało przechodziły dreszcze, w głowie czuł tętniący puls, ale jego myśli zdawały się pracować na najwyższych obrotach.

Kiedy autobus dowiózł go na miejsce, skierował się na pocztę i zakupił telefon z kartą. W powietrzu unosił się mroźny chłód. Luke zacisnął zeszytwniałe z zimna palce na papierowym kubku z kawą, która trzymała go w stanie przytomności i drugą dłonią wystukał numer. Siedział w opustoszałym parku w centrum miasta. Zacinał lodowaty wiatr. Głos Saula odezwał się dopiero po trzecim sygnale.

– Tak?

– To ja. – Dźwięk głosu przyjaciela wywołał dziwne uczucie osamotnienia.

Usłyszał szelest. Potem trzaśnięcie drzwi i dopiero wtedy Saul odezwał się ponownie ściszym głosem.

– Luke?

– Szukają nas.

– Nie powinieneś dzwonić!

– Wiem. Co się do kurwy dzieje? Dlaczego nas szukają?

– Wybrałeś zły moment. Parę tygodni po twoim wyjeździe, okazało się, że ktoś kablował i Ger chcąc nie chcąc połączył fakty z twoim zniknięciem.

– Kurwa... – Tego Luke nie spodziewał się usłyszeć.

– Znaleźli was?

– Prawie. – Luke czuł jak jego umysł rozkręca się jak karuzela, próbując poskładać części i dopasować je do nowej układanki.

– Pakujcie się i uciekajcie. Ger jest wkurwiony i żądny zemsty. Nie sądzę, żeby się poddał dopóki cię nie znajdzie. Zaszyj się gdzieś i ...

– Wracam. – Luke przerwał mu zdecydowanym głosem i odpowiedziało mu parę sekund milczenia.

– Odpierdoliło ci? Zabiją cię w chwili, gdy przekroczysz granicę!

– Nie, jeśli mi pomożesz.

W słuchawce zapanowała cisza. Luke wiedział, że Saul waha się i rozumiał to.

– Co chcesz zrobić? – zapytał w końcu.

– Muszę zobaczyć się z Gerem na osobności.

– Nie da rady. Zrobią z ciebie miazgę.

– Wymyśl coś.

– Nie jestem, kurwa, cudotwórcą! Myślisz, że przekonasz Gera, że to nie ty jesteś kablem?! Pojechało cię?

– Załatw mi to spotkanie. Resztą się nie przejmuj.

Odpowiedziało mu głębokie, pełne irytacji westchnienie.

– Twój ojciec zabiłby mnie, gdyby wiedział...

– Całe szczęście to go nic nie obchodzi. – Luke przerwał mu ostro. – Będę w Rotterdamie pod koniec tygodnia. Zadzwoń.

- A dziewczyna?
- Zostanie tutaj bezpieczna.

Saul milczał przez parę sekund, po czym odpowiedział zmęczonym głosem.

– Z wszystkich ludzi, których znam, ty byłeś ostatnim, którego podejrzewałbym, że wpadnie w to gówno. – I Luke wiedział, że Saul ma na myśli Weronikę – Zadzwoń jak tylko wylądujesz.

Luke rozłączył się. Rozprostował sztywne zmarznięte palce i wziął parę łyków kawy, która zdążyła już ostygnąć. W głowie dokonywał chłodnych kalkulacji swoich szans. Chciał odciąć emocje, odsunąć na bok uczucia, zanalizować wszystko racjonalnie. Wyobrażał sobie, o ile byłoby to prostsze, gdyby musiał decydować tylko za siebie, tylko dla siebie. Życie zakreśliło nagle potężne koło i Luke był dziś tym, kim kiedyś sam gardził, słabym człowiekiem z odsłoniętym czułym miejscem, w które w każdej chwili może uderzyć cios.

Pierwsze lekkie płatki śniegu zaczęły spadać z nieba, gdy nadal siedział zziębnięty na parkowej ławce, kruche białe płatki śniegu kołyszące się i wirujące z wiatrem, spadały na jego twarz, kurtkę, na jego zmarznięte lodowate dłonie. Było mu tak zimno, że nie dbał już o to, czy robi się jeszcze zimniej.

Czuł się sam słaby i kruchy, niesiony potężnym podmuchem wiatru, przeciw któremu nie potrafił walczyć. Musiał coś zrobić i podjąć decyzję, nie dotarł aż tutaj, nie przeszedł przez to wszystko tylko po to, by poddać się przy pierwszej trudności.

Jego oczy utkwione twardo w przestrzeń przed nim zobaczyły jej postać, jak gdyby wyłoniła się z prószącego śniegu, rozmazany obraz wspomnień, za które przyjdzie mu zapłacić wysoką cenę. Była wszystkim, czego pragnął, ale jej bezpieczeństwo było wszystkim, co mógł mieć, o co jeszcze miał siłę zawalczyć.

Decyzja zapadła, była bardziej jak elektryczny impuls przenikający do wszystkich nerwów jego zziębniętego ciała niż jak świadomy wybór. Musiał spróbować i podjąć ryzyko, inaczej

wszystko będzie na próżno. Wiedział dokładnie, co musiał zrobić. W swoim wyczerpanym umyśle zobaczył to z jaskrawą jasnością.

Wyjął kartę z telefonu i wyrzucił go do śmietnika obok ławki, na której siedział, po czym ruszył w stronę miasta. Przełamał kartę na pół i wyrzucił ją do kolejnego śmietnika.

Zostawił za sobą puste miejsce na ławce i papierowy kubek po kawie, jak gdyby ktoś miał za chwilę wrócić, by ją dokończyć.

Szedł opustoszałym parkiem pośród wolno opadających płatków śniegu, czując jak w jego zimnym ciele resztki ciepła gasną stopniowo, z każdym jego krokiem, z każdym podmuchem lodowatego wiatru. Aleja z rzędem nagich drzew wydawała się nosić na sobie znamię mroźnej, złudnej śmierci. Wszystko pogrążone było w cichej hibernacji, zastygłe, półmartwe, nieme. Cmentarzysko pogrzebanych szans i iluzji, przez które szedł równym krokiem na spotkanie ze swoim przeznaczeniem. Luke nie miał bowiem wątpliwości, dokąd prowadziła cienka nić. I choć wszystko wokół zdawało się być obumarłe, Luke czuł się żywy, jak nigdy dotąd, chłód i ból przenikały go aż do rdzenia jego istnienia. Ból pulsujący w rytm jego tętna, płynący jego żyłami, odżywczy jak tlen.

Musiał złapać autobus do Sicamous. Zobaczyć ją jeszcze raz. Ogrzać zziębnięte serce.

Weronika spędziła swój dzień wyglądając nerwowo przez okno księgarni. Powietrze było mroźne i gęste, szara ciężka warstwa chmur wisiała nisko na miastem. Była w nich jakaś groźba, która podrażniała wszystkie nerwy w jej ciele. Weronika wyczuwała ją podskórną, reagowała na nią tym dziwnym stanem między pobudzeniem a odrętwieniem. Jakby wiedziała, że coś się zbliża, coś czego nie da rady powstrzymać. Wyczekiwała w napięciu, doznając mrowienia adrenaliny sączącej się w jej żyłach. Wróciła do domu niemal natychmiast po zamknięciu księgarni. Emma również nieswoja i mało rozmowna, nie zatrzymywała jej.

Zmierzch zapadał teraz szybko, wkrótce miał zacząć się grudzień. Weronika przemknęła ulicami miasteczka i zatrzasnęła za sobą drzwi mieszkania, dające jej prowizoryczne poczucie

bezpieczeństwa.

Jej dłonie nadal były zimne od mroźnego chłodu i nie zdążyła jeszcze rozpakować drobnych zakupów, które zrobiła po drodze, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Parę sekund stała wpatrzona w nie, zastygła jak gdyby jedynym żyjącym organem w jej ciele było głośno bijące serce. Było za wcześnie na Luke'a i za późno na kogokolwiek innego.

Mimo to podeszła do drzwi ze świadomością, że jakiegokolwiek zagrożenie czekające na nią za nimi, wcześniej czy później znalazłoby drogę do niej, nawet gdyby ich nie otworzyła.

Luke stał przed nią, sprawiał wrażenie wycieńczonego. Miał ciemne kręgi pod oczyma, trzydniowy zarost i wzrok kogoś na granicy wytrzymałości. Nie wszedł od razu, stał tam po prostu pod osłoną mroku, patrząc na nią. I gdy tak trwali, drobne białe płatki śniegu zaczęły prószyć i lekko opadać wokół nich, jak gdyby podążały za nim aż tutaj, jak gdyby przyniósł je ze sobą. Spojrzeli oboje do góry i gdy ich oczy znów się spotkały, uśmiechnęli się do siebie. Weronika pomyślała jedynie, że to musi być dobry znak, a może po prostu chciała w to wierzyć. Wyciągnęła do niego dłoń. Zza pleców wyjął bukiet czerwonych róż oprószonego śniegiem i podał go jej.

– Luke... Wejdz do środka, proszę... – Wzięła kwiaty z jego lodowatej dłoni i gdy przestąpił próg i stanął w świetle pokoju, poraziła ją myśl, że wyglądał jak ktoś pokonany. W głębi jej duszy powoli rósł strach i to przekonanie, że te kwiaty i jego spojrzenie przynoszą złą wiadomość. Poczwała lodowate, jak jego dłoń, ukłucie w sercu i nakazała sobie stanowczo wziąć się w garść.

Zsunęła kurtkę z jego ramion i biorąc jego dłoń w swoją zaprowadziła go do swojej małej łazienki, gdzie odkręciła gorącą wodę. Wkrótce pomieszczenie wypełniła para i duszne ciepło. Zdjęła z niego ubrania, on pomógł jej zrzucić własne i razem weszli pod strumień gorącej, parującej wody. Tym razem to ona myślała jego i splukiwała z niego resztki bezsennych nocy, strach, stres, smutek i odrętwienie. Każdy jej ruch, czuły dotyk, pocałunek upewniały go w podjętej decyzji, każda minuta do niej zbliżała.

Wycierali się wzajemnie ręcznikami patrząc na siebie z uśmiechem. Przygotowała im proste spaghetti, które zjedli siedząc obok siebie na sofie. Za oknem nadal sypał śnieg i Weronika pomyślała nagle o Bożym Narodzeniu.

– Zostały tylko cztery tygodnie do świąt – powiedziała nawijając makaron na widelec. – Kupimy choinkę?

Przestał jeść i spojrzał na nią. Jego zielone oczy nagle przejrzyste i ciepłe patrzyły na nią, gdy skinął lekko głową. Wiedziała, że kłamał.

Tej nocy kochali się długo i powoli. Szeptał jej imię, a ona odpowiadała, szepcząc jego. Pod osłoną obezwładniającej czułości Weronika wyczuwała rozpaczliwą desperację w każdym pocałunku. Dziwny niepokój ogarniał jej duszę i wiedziała, że miało stać się coś złego, jak gdyby złowieszczy cień wisiał nad nimi. Ilekroć wypowiadał jej imię, niemal bezgłośnie, gorącym oddechem, w którym czuć było mroźny ból, wczepiała się w niego dłońmi zaciskając palce na jego twardych ramionach, jak gdyby chciała wbić się pod jego skórę. I choć wiedziała, że nic nie było w stanie zerwać nici łączącej ich istnienia, ogarniała ją panika na myśl, że ich splecione ciała miał rozdzielić dystans. Niewypowiedziane na głos pożegnanie czaiło się bowiem w każdym jego geście i spojrzeniu.

Spała tak spokojnie, jak gdyby nigdy nic złego jej nie spotkało. Luke patrzył na nią zauroczony i w widoku jej uśpionej twarzy znajdował pociechę i siłę. To było jego pożegnanie i nie zamierzał spać. Żegnał się z iluzjami, które sam obsesyjnie budował, które obrosły nadzieją, snami i oczekiwaniem, by wewnątrz tego kokonu nadal być jedynie cienkim szkłem złudzenia.

Budził ją pocałunkami, by kochać się z nią, aż zasypiała w jego ramionach. Zapamiętywał każdy szczegół jej ciała, dotyk jej włosów, zapach skóry, ciepło rytmicznego oddechu, tętno jej serca, zarys ust. Rejestrował i kodował każdy detal, każde wspomnienie, każdą z nią związaną myśl i odczucie. Gdy zasypiała, leżał patrząc na jej spokojną twarz i pozwalał wspomnieniom płynąć swobodnie

przez jego wyczerpany umysł. Niczego nie sortował, nie selekcionował, poddał się strumieniowi obrazów. Wspomnienia wypełzały z najciemniejszych zakamarków jego pamięci, właśnie teraz, gdy był tak bezbronny i osłabiony roztrzaskując własnoręcznie cieniutkie szkło mirażu, że mógł ją mieć, kochać bezkarnie, nie płacąc za swoją miłość, za swoją przeszłość, właśnie teraz wspomnienia dopadały go i pastwiły się nad nim. Słodko-gorzki smak przeszłości, szeroki śnieżnobiały uśmiech Saula, gdy miał dwanaście lat, pierwszy rozbity jego pięścią nos, kurz unoszący się znad piłki, którą kopali przed budynkiem bloku, zapach ciasta, które piekła mama, jej miękkie, zawsze łagodny i śpiewny głos, dotyk jej dłoni na jego policzku i jej spojrzenie i wreszcie obraz ojca, na tak długo wymazany z pamięci, jego zielone oczy i zgarbione ramiona.

Spojrzał na śpiącą Weronikę po raz pierwszy oczyma swojej mamy i czując rozrywający ból pomyślał, że polubiłaby ją.

Luke przejechał kciukiem po jej dolnej wardze, miękkiej, wypukłej i ciepłej. Poruszyła się i uniosła powoli powieki w odpowiedzi na jego gest. Przyciągnął ją, zanurzył twarz w jej włosach, wdychał ją i smakował, czuł jak jej ciało reaguje delikatnym poruszeniem, jej dłonie na jego ramionach, wargi szukające jego ust. Napawał się chwilą. Ten ostatni raz, mówił sobie scałowując okruczności snu z jej ciała, szepcząc jej imię, powtarzając je jak modlitwę, jak obietnicę, jak przysięgę. W dźwięku jej imienia kryło się więcej, niż w jakimkolwiek wyznaniu miłości.

To była jego czwarta bezsenna noc i Luke czuł swoje własne serce momentami zwalnijące, by niespodziewanie przyspieszyć, jakby usypiało z wyczerpania i znużenia. Ból tętnił w jego zmęczonej głowie. Wkrótce brzask miał przełamać noc i pchnąć ich oboje za kolejny zakręt.

Obudziła się, gdy pokój nadal okrywał półmrok. Była sama. Jakaś część jej wiedziała, że obudzi się sama, choć odpychała tę myśl w panice. Jej oczy powoli przywykły do mroku. Dopiero wtedy zauważyła kartkę papieru na poduszce obok. Poczowała

ukłucie niepokoju. Podniosła kartkę i zapaliła lampkę stojącą na stoliku. Wzięła głęboki oddech, nim jej oczy padły na skrawek papieru, który ścisnęła w palcach. *„Zaufaj mi ten ostatni raz. Nic im nie mów.”*

XIX

Na początku musi być chaos. Chaos, który zmusza cię do zrzucenia maski, przełamania barier, zburzenia murów, które wybudowałeś wokół siebie, by chronić się przed tym, co może zadać ból. Chaos, który jest jak potężny sztorm dewastujący fasady, wszystko, co w tobie nieprawdziwe, wszystko, co jest jak narośl nabyta w trakcie życia. Aby móc stanąć z miłością twarzą w twarz, nieuzbrojonym bezradnym, znów niewinnym. Aby móc zostać pokochanym takim, jakim jesteś naprawdę, aby móc pokochać najczystsza część duszy, tę nieskażoną jeszcze dotykiem zewnętrznego świata, nieokaleczoną ranami, które nigdy nie miały okazji się zagoić, niepooraną bliznami, które pozostawiło życie, niezbezczyszczoną brudem, który przykleił się, gdy próbowałeś przejść przez życiowe bagna. Jest w tobie to miejsce nadal zdolne kochać, które boisz się obnażać, bo jest tak czułe i wrażliwe, że aby je chronić budujesz wysokie ściany wokół, zakładasz pancerze, robisz wszystko, by zapomnieć o jego istnieniu.

Gdy trafiasz w epicentrum chaosu, jego żywioł zdziera z ciebie warstwy, które nałożyło życie. Najpierw bronisz się jeszcze, bo czujesz ból, rzucasz się na wszystkie strony, ślepo wymierzając ciosy, raniąc siebie samego i wszystko dookoła. A potem poddajesz się z wycieńczenia, padasz na kolana i pozwalasz, by chaos wirował w swoim szaleńczym tańcu. I kiedy opada kurz, wyłaniasz się z niego bezbronny, obdarty z wszystkiego, co posiadałeś na swoją obronę, a mimo wszystko silniejszy niż kiedykolwiek. Odślaniasz swoje najczulsze miejsce, w które będzie celował wróg, odwracasz jego uwagę od nowej siły, którą dysponujesz. Jesteś gotowy.

Luke zasnął, gdy tylko samolot oderwał się od ziemi, ciężkim i przytłaczającym snem, z którego nie przebudził się nawet raz w ciągu całego lotu.

Zadzwoił do Saula zaraz po wylądowaniu i półtorej godziny

później, gdy odebrał swój niewielki bagaż i przeszedł przez kontrolę, przyjaciel czekał na niego na parkingu przy lotnisku.

Luke naciągnął na głowę czapkę z daszkiem, którą kupił tuż przed wyjściem i wsiadł do auta. Uścisnęli sobie dłonie.

– Dobrze cię widzieć, nadal w jednym kawałku. – Saul przekręcił kluczyk w stacyjce, jego twarz była poważna.

Dopiero, kiedy wyjechali na autostradę, odezwał się ponownie.

– Wiem, że pewnie wolałbyś teraz odespać lot...

– Spałem w samolocie.

– Dobrze. Dobrze. – Saul pokiwał głową w napięciu. – Ger jest zakurwiście ostrożny, nigdzie nie rusza się bez swoich ludzi, wszystko trzyma żelazną ręką i sprawdza po dziesięć razy. Nie dziwię mu się, bo gliny siedzą mu na ogonie. Niewiele mogłem dla ciebie zrobić, bo jedynym miejscem, gdzie chodzi bez ochrony jest kibiel. Właśnie zaczyna się walka bokserska, na którą wykupił bilety. Mogę cię tam przemycić, moje siłownie sponsorują jednego z juniorów. Musisz go dopaść w kiblu, inaczej będziesz martwy, zanim otworzysz usta. To twoja jedyna szansa i musisz być szybki, rozumiesz?

Saul mówił ze wzrokiem wbitym w ruch aut przed nim, ale na te jedną chwilę odwrócił głowę i spojrział na przyjaciela.

– Rozumiesz?

Luke skinął głową bez słowa.

– Nie wiem, co zamierzasz mu powiedzieć albo zrobić, ale obiecaj, że tym razem nie będą musieli składać cię do kupy tygodniami.

Luke zacisnął szczęki. Obietnice. Tak łatwo je składać, dają nam iluzoryczne poczucie, że mamy kontrolę nad przyszłością, że mamy władzę nad potokiem wydarzeń, podczas gdy wszystko, co mamy to nadzieja. Milczał więc, wolał to niż puste obietnice.

– Luke, kurwa jego mać! – Saul podniósł nagle głos i wałną pięścią w kierownicę.

– Postaram się – powiedział wreszcie zgodnie z prawdą.

Saul pokiwał głową w milczeniu.

– Musimy się pospieszyć – powiedział i dodał gazu. Jego lśniące, czerwone BMW wystrzeliło przed siebie, zwinnie omijając inne auta, jak nieruchome przeszkody na torze.

Luke stał oparty o białą glazurę w męskiej ubikacji w rotterdamskiej boksgali. Nadal miał na głowie czarną bejsbolówkę i starał się nie przyciągać niczyjej uwagi. W palcach dłoni obracał czerwoną zapalniczkę. Saul miał zadbać o to, by Ger wszedł do odpowiedniej łazienki i by nikt im nie przeszkadzał. Czekał, rozważał, co i jak powinien powiedzieć, choć wiedział, że trudno było przewidzieć reakcję Gera i wszystko mogło pójść inaczej. Próbował nie myśleć o Weronice i nie analizować dłużej, czy coś mógł zrobić inaczej. Przemyślał wszystkie opcje. Wiedział, że były inne rozwiązania, ale nie miał złudzeń co do tego, że ta, którą wybrał była najlepsza dla niej. Dla niej. Bo chodziło mu już tylko o nią.

Czekał już jakiś czas, podnosząc lekko głowę, by nie odsłaniać całkiem twarzy za każdym razem, gdy ktoś otwierał drzwi. Tym razem jednak rozpoznał bezbłędnie i natychmiast mocny szybki chód Gera, jego nienagane obuwie i gdy podniósł głowę zobaczył go w całej okazałości, jego elegancki garnitur najlepszej jakości, grafitowy z ciemnoniebieską koszulą rozpiętą pod szyją, gładko zaczesane włosy, siwiejące nad skroniami, które tworzyły dość głębokie już zakola ponad jego czołem. Mógł mieć trochę ponad pięćdziesiąt lat, choć Luke nie był pewien. Swego czasu znał stan wszystkich jego kont, nadzorował wszystkie finansowe transakcje, ale nie miał pojęcia, kiedy facet miał urodziny.

– Co słysząc, Ger? – Wsadził ręce do kieszeni, żeby nie zdradziło go ich nerwowe drżenie.

– Co do kurwy... – Ger spojrzał na niego, po czym obejrzał się za siebie, jakby spodziewał się ataku od tyłu. – Masz kurwa tupet, Stanford... – zaczął ostro próbując zatuszować zaskoczenie.

– Ty też. – Luke nadal stał oparty o ścianę, czuł własne serce, którego każde uderzenie rozchodziło się łomotem po jego ciele i echem w jego głowie. Musiał się skupić, rozegrać to taktycznie. –

Skąd ci, kurwa, przyszło do głowy, że jestem kablem? – zapytał niemal przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli nie wyjdę stąd za chwilę, moi ludzie wpadną tu i nie będą zadawać ci żadnych pytań. – Ger nie miał ochoty na wdawanie się w żadne dyskusje. – Rozpierdolą ci łeb na tych czyściutkich kafelkach.

Mdłe migotliwe światło jarzeniówki nadawało wszystkiemu surrealistyczny odcień. I Luke nie mógł powstrzymać wizji krwi spływającej powoli strużkami po białej glazurze.

– Świetnie... Ja na tym stracę, ale nie łudź się, ty też.

– O czym ty, kurwa, pierdolisz? Co powiedziałeś glinom skurwysynom? – Luke zauważył, że szyja Gera zrobiła się lekko czerwona, facet musiał mieć problemy z nadciśnieniem i widać było, że już coś wypił.

– Cały kłopot w tym, kurwa, że nic. Ale mam dla ciebie propozycję...

– Ty? Propozycję? – Ger roześmiał się chrapliwie zanim jego twarz ponownie stężała irytacją. – Wychodzę, mam nadzieję, że będzie boleć krótko. – Odwrócił się.

– Wyjdź. Ale wiemy obaj, że cię szukają, że masz nóż na gardle, że wiedzą coraz więcej. Wiesz dobrze, że nie przestaną szukać i w końcu cię znajdą. Chyba że...

Ger zatrzymał się z ręką na klamce i odwrócił głowę w stronę Luke'a, nagle zainteresowany tym, co mówi.

– Chyba że co?

– Chyba, że będą przekonani, że już cię znaleźli.

Zapanowała między nimi chwila ciszy, w której Ger przyglądał się z zaciekawieniem Luke'owi, a ten zaciskał nerwowo palce na zapalniczce schowanej w kieszeni.

Prawie podskoczył, gdy rozległo się walenie do drzwi. Ochrona Gera stała w gotowości. Otworzył lekko drzwi i ostrym tonem kazał im czekać i nie robić scen. Zamknął drzwi i wsadziwszy dłonie do kieszeni spodni podszedł do Luke'a.

– Mów – zażądał krótko.

– Oto moja propozycja. – Luke czuł suchość w ustach, gardło

bolało go, gdy przełykał, marzył o szklance wody. – Gliny są blisko, ale nadal nie na tyle, by położyć na tobie łapy. Wezmę na siebie wszystko, ty znikasz z kasą bezpieczny. Będziesz musiał poświęcić parę interesów, dać im coś, na czym będą mogli zerować, coś, czym ich skuszę i udowodnię, że Ger to ja, a nie Jeroen Gerard de Wit: miejsca, nazwiska, daty, parę w miarę pełnych kont. Resztę zabierasz i znikasz z ocalonym tyłkiem.

Ger zmrużył oczy. Nie mówił nic, kiwał głową.

– Co chcesz w zamian? – zapytał wreszcie i w jego głosie Luke słyszał, że rozważa propozycję.

– Dziewczyna.

Ger uniósł brwi.

– Twoja osobista dziwka?

Luke skinął i przełknął głośno na dźwięk słowa „dziwka”.

– Zapominasz, że istniała.

– A co, jeśli będzie kablować?

– Ona nic nie wie. – Luke odpowiedział chłodno, czując jak zjeża się na samą myśl, że coś może jej grozić.

– To o nią chodzi? – Ger zapytał i Luke usłyszał niedowierzanie w jego głosie.

– Mnie chodzi o nią, tobie chodzi o ciebie.

Ger milczał i przez parę sekund jedynie patrzył w jakiś niewidoczny punkt.

– Tylko tyle?

Luke skinął głową.

Ger spuścił głowę, zacisnął zęby i myślał chwilę. Po czym pokiwał głową, patrząc na Luke'a tym dziwnym spojrzeniem między pogardą a współczuciem.

– Wiesz jaki jest twój problem, Luke? – Spojrzał na niego wszystkowiedzącym wzrokiem.

– Dlaczego ci się wydaje, że mam problem?

– Masz, oj masz. Twój problem polega na tym, że wydaje ci się, iż jesteś lepszy niż my wszyscy, tylko dlatego, że masz nad sobą więcej kontroli. Zawsze mi się wydawało, że to niezdrowe, facet, który nigdy się w niczym nie zatracą. I zawsze wiedziałem,

że w końcu będą z tego jakieś kłopoty. Ale widzisz, Luke, kiedy kamień zaczyna wreszcie krwawić, to już nie przestaje.

Luke zacisnął szczęki, poirytowany i zmęczony, walcząc z uczuciem suchości w ustach i pieczeniem nagle zmęczonych oczu podrażnionych światłem jarzeniówek.

– Nie przyszedłem tu słuchać pierdolonej poezji.

Ger zrobił parę kroków w jedną, potem w drugą stronę, jakby chodzenie pomagało mu myśleć. Luke obserwował go spod spuszczonej głowy.

– Ile mam czasu?

– Tydzień.

– Potrzebuję dziesięciu dni.

Luke skinął głową.

– Może być. Dziesięć dni.

– Skąd mam mieć pewność, że mnie nie wrobisz?

– Twoje słowo za moje słowo. Nie interesuje mnie, dokąd jedziesz, co ze sobą bierzesz. Zadbaj o to, żeby nikt inny się nie dowiedział, masz kabla między swoimi ludźmi. To musi zostać między nami, jeśli ma się udać.

Ger patrzył na niego w milczeniu, gdy ponownie rozległo się pukanie do drzwi.

– Spierdalać! – huknął i za drzwiami zapanowała cisza. – Jak cię znajdę, żeby przekazać wszystko?

– To ja znajdę ciebie. Teraz chcę stąd wyjść w jednym kawałku, dla twojego i mojego dobra.

Ger kiwnął głową.

– Odczekaj pięć minut.

Odwrócił się w kierunku drzwi.

– Ger? Jak nas znalazłeś?

– Jeśli myślisz, że ktokolwiek w tym mieście może zrobić sobie nielegalne papiery bez mojej wiedzy, to nie doceniasz jak daleko sięgają moje sznurki... – odpowiedział bez odwracania się w jego stronę. – Poza tym rzadko się słyszy o dwóch gołąbkach uciekających razem. Zajęło mi to trochę czasu, ale wiesz jak jest, Luke... Nawet najlepsi i najdyskretniejsi w swojej branży mają

jakieś czułe miejsce.

Wyszedł i kiedy pięć minut później Luke otworzył drzwi łazienki na korytarzu nie było żywej duszy, nie tylko ludzi Gera, ale nawet przypadkowego zabłąkanego widza. Ruszył pustym holem i wkrótce opuścił budynek. Było ciemno i chłodno. Parking oświetlały wysokie lampy. Saul czekał na niego, oparty o maskę swojego BMW. Podniósł się zaskoczony, kiedy zobaczył Luke'a.

– Nie spodziewałem się zobaczyć cię jeszcze żywego. – Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. – Co mu powiedziałeś?

Luke nie odpowiedział i twarz Saula stężała nagle niemym pytaniem.

– Ger ma się świetnie, nie martw się. – Luke minął auto przyjaciela i szedł dalej w stronę wyjścia z parkingu.

– Zawiozę cię. Możesz się u mnie zatrzymać. – Twarz Saula wyrażała niepokój, gdy wiódł wzrokiem za przyjacielem. – Gdzie ty, kurwa, idziesz?

– Wezmę taksówkę. Zatrzymam się w hotelu. Będzie lepiej, jeśli póki co nie będziesz się ze mną kontaktował.

– Co ty...? Luke! Kurwa! – Saul ruszył za nim szybkim krokiem, ale Luke opuścił już parking i wszedł do pierwszej taksówki stojącej w pobliżu i oczekującej na widzów kończącej się wkrótce walki. Słyszał za sobą ostatnie słowa Saula „Luke, ty arogancki niewdzięczny dupku...!” i w odruchu chciał się jeszcze odwrócić, ale wiedział, że powinien go trzymać możliwie jak najdalej od wszystkiego, co miało się wkrótce wydarzyć. Może i był arogancki, ale nie niewdzięczny.

Nie wiedziała, kim byli „oni”, o których Luke pisał na skrawku papieru. Ale wieczorami leżąc w pustym łóżku, gdy nie mogła zasnąć, nawiedzały ją lodowate cienie wspomnień, twarze mężczyzn, których potężne ramiona i dłonie wyszarpały ją życiu. Mogła sobie z łatwością wyobrazić, że staną wkrótce w jej drzwiach. Weronika wiedziała, że nie powiedziałyby im nic, po prostu dlatego, że nie byłaby w stanie otworzyć ust.

Nie wiedziała też dlaczego Luke zniknął, choć przeczuwała, nim się to stało, że stać się miało i czuła, że było związane z ich

ucieczką do lasu i faktem, że „oni” ich szukają. Nie rozumiała jedynie, dlaczego zostawił ją samą, przerażoną i skazaną na domysły i strach.

Myślała nieraz, że może zmusili go, by odszedł, może nie miał wyjścia, może nie był to jego wybór.

I wreszcie męczyło ją pytanie, dlaczego nie napisał jej, by uciekała tak, jak zrobił to, gdy siedzieli w ciemnym aucie parę miesięcy temu. Może tym razem ucieczka była bez sensu? Może po prostu było za późno?

Sicamous skryło się pod puszystą warstwą śniegu, dni zrobiły się krótkie i zimne, wieczory i noce zbyt długie, samotne i bezsenne.

Emma, która rzadko bywała w księgarni, patrzyła na nią ze współczuciem i nie pytała o nic, choć Weronika zauważyła, że jej stosunki z Pete'm ociepliły się. Pete miał swoje wady i nie zawsze był łatwy w obyciu, ale przynajmniej nie zniknął pewnego dnia, pozostawiając ją samą i wszystko za sobą. Weronika starała się żyć dalej, choć wewnętrzna pewność, że „oni” mają nadejść sprawiała, iż każdy dzień pełen był strachu, nerwowego oczekiwania i przerażających wizji. I tęsknoty, która jak cień okrywała wszystko. Życie zmieniło się w serię oddechów i automatyczne tętno jej serca, w utrzymywanie organizmu w stanie funkcjonowania. Próbowwała pamiętać, że musi jeść i pić, choć wydawało się jej paradoksalne, że próbuje utrzymać przy życiu ciało, tylko po to, by „oni” przyszli i zmiażdżyli je rozrywającym bólem. Zawsze miała przy sobie złożony na cztery i ukryty w kieszeni kawałek papieru, z literami wypisanymi ręką Luke'a. Czy była w jego słowach nadzieja, czy jedynie groźba? Weronika wiedziała już, że w przypadku Luke'a granica między jednym a drugim zacierała się.

Chłód, który panował na zewnątrz, czuła każdą komórką przerażonego ciała. Kuliła się pod jego wpływem i drżała, jak gdyby nic nie było w stanie jej ogrzać.

– Źle wyglądasz – powiedziała Emma, wpatrując się w nią ciemnymi przenikliwymi oczyma. – Chcesz pójść do domu wcześniej?

Jej pytanie pełne było troski, ale Weronika pokręciła głową. Tu czuła się bezpieczniejsza, o ile gdziekolwiek była bezpieczna.

Emma westchnęła cicho, obróciła tabliczkę na drzwiach księgarni i przekręciła klucz w zamku, po czym wzięła w swoją ciepłą dłoń jej dłoń i powiodła ją w stronę krzeseł. Kiedy usiadły obok siebie, pochylili głowę i Weronika miała wrażenie, jak gdyby Emma przygotowywała się do spowiedzi. Czekala w milczeniu i wkrótce z ust dziewczyny popłynęły słowa.

– Miał na imię Raphael i swoimi długimi jasnymi włosami przypominał anioła. Nigdy nie spotkałam kogoś z tak błękitnymi oczyma. Miałam prawie dziewiętnaście lat, gdy zaczął pracować w warsztacie taty. Głupi wiek, gdy zaczynasz mieć dość małego miasteczka, tych samych twarzy, ulic, miejsc i wtedy zielony maj przynosi ci pod nos tego pięknego, fascynującego chłopaka. Wiedziałam, że nie jest niewiniątkiem, ale to jedynie podsycalo moją ekscytację. – Emma zamilkła na chwilę, założyła za ucho kosmyk ciemnych włosów, który spadł na jej twarz, gdy pochylili głowę, jakby starała się ukryć wstyd. – Musieliśmy ukrywać się przed tatą, choć powiedziałam mamie, że się spotykamy. Nie była zadowolona, ale zdawała się rozumieć. To było gorące lato. Miało zostawić po sobie tyle szalonych wspomnień, ale jedyne co dziś pamiętam, to wstyd. To ja ukradłam klucz do warsztatu, o który mnie poprosił. Nie umiałam odmówić jego niebieskim oczom, pocałunkom, wyznaniom. Zniknął z łodzią klienta i całą kasą dostępną w warsztacie. Tata wydał połowę swoich życiowych oszczędności, by odkupić łódź, tygodniami nie odzywali się do siebie z mamą. Zadziwiające, że winił ją, a nie mnie, choć przyznałam się do wszystkiego. – Emma zagryzła dolną wargę i przez parę sekund wpatrywała się w czubki własnych butów, jak gdyby czas przeniósł ją do tamtych chwil i znów uczynił dziewiętnastolatką. – Chyba próbuję ci powiedzieć, że to, co dobrze wygląda, nie zawsze jest dobre, a to, co wygląda źle, nie zawsze jest złe. Rozumiesz? Nie wiesz, dlaczego zniknął.

Weronika patrzyła na Emmę i gdyby nawet chciała coś powiedzieć, nie potrafiła. To prawda, nie wiedziała. Nie wiedziała

również, a może przede wszystkim, co ma zrobić ze sobą bez niego. Nawet nie miała siły udawać, że wszystko jest dobrze, nie miała energii, by być miłą, nie widziała sensu walki o cokolwiek. Była pozostawiona sama sobie, zdana na siebie, zagubiona i przerażona.

Bywały poranki, gdy budziła się i marzyła, żeby wreszcie po nią przyszli, byle tylko udręka czekania na nich wreszcie dobiegła końca.

Marcel van der Vos, pieszczotliwie zwany przez kolegów z wydziału lisem, niestety z powodu nazwiska, a nie wrodzonego sprytu, siedział naprzeciwko podejrzanego, rozważając ich rozmowę.

Marcel pracował w policji ponad dwadzieścia lat i choć wykonywał swoją pracę z zaangażowaniem, nigdy nie łudził się, że kiedykolwiek zrobi karierę. Nie miał tego czegoś, co jego koledzy nazywali fachowo „zawodowym węchem”. Marcel miał na koncie kilka rozwiązanych spraw i kilka ciągnących się w nieskończoność, ale nic spektakularnego lub skandalicznego, nie na tyle, by ściągnąć czyjąś uwagę. Lubił swoją pracę i zwykle nie dotykały go sukcesy lub porażki innych, choć od czasu do czasu miewał zawodową chandrę, po raz kolejny słysząc o osiągnięciach gwiazd wydziału.

Być może to właśnie ta chandra zadecydowała. Marcel w głębi duszy czuł, że coś mu nie leżało, sam nie wiedział co, ale wyjścia miał dwa: oddać podejrzanego w ręce Groena i jego ekipy i być może znów potem okłaskiwać jego kolejny sukces lub wziąć sprawy w swoje ręce. W gruncie rzeczy anonimowy telefon skierowany był personalnie do niego, choć teraz wydawało mu się to podejrzanym. Dlaczego ktoś miałby przekazywać informacje właśnie jemu, a nie głównemu prowadzącemu śledztwo? Kiedy jednak zadzwonił telefon i głos informatora powiedział mu, gdzie boss, na którego od dawna kręcą pętlę, właśnie ubija interes, w biurze nie było już nikogo. Panowała przedświąteczna atmosfera i wszyscy powoli dawali sobie na luz. Marcel zebrał ekipę i wpadł pod podany adres, gdzie oprócz nielegalnego burdelu, nielegalnej

broni i kilogramów koki, zastał też podejrzanego w towarzystwie jakiegoś Marokańczyka i śmierzącego marychą blondyna, obaj byli jednak nieprzytomni i tak pokiereszowani, że z miejsca zabrała ich karetka. Marcel przyjrzał się uważnie podejrzanemu, stukając rytmicznie palcami w powierzchnię stołu. Facet miał krótko zgoloną czaszkę, zielone zmrużone oczy z nisko zawieszonymi nad nimi brwiami i kwadratową szczękę. Marcel nie miał problemu z uwierzeniem w jego tożsamość jako Gera. A jednak czuł niepokojące ukłucie i zastanawiał się skąd pochodziło. Miał przed sobą wydruk z serwera dotyczący niezamkniętej nadal sprawy zniknięcia młodej Polki, studentki z wymiany międzynarodowej. Zaginęła pod koniec maja z ulicy w centrum Utrechtu. Znalaziono po niej jedynie czarny but typu balerinka w rozmiarze 36, nienoszący niestety żadnych śladów.

– Więc zacznijmy jeszcze raz, panie... eee... Stanford. Twierdzi pan, że jeśli pójdziemy z panem na układ, poda nam pan miejsce, gdzie przetrzymywana jest zaginiona...

– Weronika Wilczyńska. – Stanford spojrzał na niego twardym wzrokiem. – I o wiele więcej. Oferuję wam jak na dłoni miejsca, nazwiska, daty, liczby.

Marcel zmarszczył brwi. Nagle wiedział, co mu w tym nie grało. Dlaczego gość miałby pogrążyć sam siebie?

– Panie Stanford, dlaczego?

– Obaj wiemy, że macie informatora wśród moich ludzi. Wcześniej czy później i tak byśmy się spotkali. Powiedzmy, że liczę na sprzyjający obu stronom układ.

Marcel pokiwał głową i podjął decyzję. Jemu też należał się jakiś bonus na święta.

– Co to za układ, na którym panu tak zależy, panie Stanford?

– Załatw mi adwokata. Wtedy się dogadamy. Chcę to mieć na piśmie.

Zabawne, że najbardziej znaczące dni w naszym życiu zaczynają się zupełnie podobnie do wszystkich innych szarych dni bez znaczenia. Żadne przeczucia, znaki na niebie, symboliczne zdarzenia, nic nie wskazuje na to, że spośród wszystkich innych

dni, właśnie ten wstrząśnie naszym światem.

Była niedziela, paręnaście dni dzieliło Sicamous od świąt Bożego Narodzenia. Niedziele bez Luke'a wydawały się Weronice bezsensowne, dni bez celu, spędzane na bezmyślnym patrzeniu w migoczący ekran telewizora. Nie musiała wychodzić do pracy, więc zamiast wejść pod prysznic, założyła na piżamę ciepły sweter i wlokąc za sobą kołdrę przeniosła się z łóżka na sofę, gdzie z kanapkami i ciepłą herbatą zamierzała przeżyć kolejny dzień. Czasem takie dni mijały w stanie emocjonalnego znieczulenia, świat zastygał wokół niej, czas gęstniał i przez parę chwil zdawało się jej, że oddycha swobodnie.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi. W niedzielne południe, gdy nic nie powinno się wydarzać, nic złego, nic bolesnego.

Siedziała w bezruchu parę sekund, może mając nadzieję, że w ten sposób zniechęci nieproszonych gości. Ale pukanie rozległo się jeszcze raz, potem jeszcze raz. Odstawiła kubek z herbatą, rzuciła z siebie nagrzaną kołdrę i ruszyła w kierunku drzwi. Wiedziała przecież, że nie było innego wyjścia.

Podobno, gdy przetrwanie organizmu jest zagrożone poprzez wykrwawienie, mózg wyłącza wszystkie niepotrzebne funkcje życiowe, by oszczędzać energię i resztki krwi zużywane są do utrzymania organizmu przy życiu – umierający najpierw przestają słyszeć, potem widzieć – Weronika czytała o tym kiedyś artykuł. Gdy otworzyła drzwi i zobaczyła przed sobą cztery poważne twarze i cztery odznaki, była pewna, że przyszli powiedzieć jej, że Luke nie żyje. I poczuła wyraźnie, jak gasną w niej wszelkie oznaki życia.

Tuż przed nią stała jasnowłosa kobieta w czarnej, dopasowanej kurtce. Wiedziała, że przedstawili się wszyscy, lecz jej uszy nie zarejestrowały dźwięku. Ich nazwiska na zawsze przepadły w jej niepamięci i Weronika nigdy potem nie potrafiła ich sobie przypomnieć, jak gdyby nigdy ich nie usłyszała. Stała tam osłupiała, gotowa bardziej na cios, niż złą wiadomość. Wpatrywała się w ich wargi, by z ich ruchu wyłapać imię Luke'a.

Kobieta powtarzała coś cierpliwie i w końcu, poprzez gęstą mgłę szoku i strachu, dotarły do niej dwa słowa, których nie spodziewała się usłyszeć.

– Weronika Wilczyńska? – Kobieta uśmiechnęła uspokajająco.

Weronika zamrugała mocno. „*Nic im nie mów.*”

– Nazywam się Sonia de Lange – powiedziała cicho.

– Weroniko. Już po wszystkim. Przyjechaliśmy zabrać panią do domu. – Kobieta patrzyła na nią ciepło. Stojący za nią mężczyźni byli poważni, ich twarze nie zdradzały cienia emocji. Dwóch ubranych było w mundury kanadyjskiej policji, kobieta i stojący obok niej agent byli w cywilu.

Weronika nadal stała w drzwiach, zastygła i ogłuszona. Kobieta wprowadziła ją do mieszkania, za nią weszli pozostali. Pozwolili jej zabrać podstawowe rzeczy i naciągnąć spodnie. Kobieta przyglądała się jej uważnie, od czasu do czasu pytając, czy dobrze się czuje.

Prawda była taka, że Weronika nie czuła nic. W jej rozdygotanym nagle ciele była pustka, wszystko ustało, zamarło lub umarło, poruszała się jakąś ponad fizyczną siłą pochodzącą nie z niej samej.

Gdzie był Luke? Czy wie, że ją znaleźli? Czy to byli „oni”?

XX

Emma kiedyś uwielbiała niedzielne zimowe popołudnia, widok śniegu za oknem, brak pośpiechu, aurę oczekiwania i tę nutę dziecinnej radości w przygotowaniach do Bożego Narodzenia. Gorąco wierzyła, że po trudnych miesiącach, które mieli za sobą, potrzebują tych świąt bardziej niż kiedykolwiek. Planowała zaprosić rodziców i Sonię na świąteczne śniadanie. Ostatnio miała poczucie, że wszystko się rozpada i nigdzie nie potrafi znaleźć kryjówek dla swoich niepokojów. W domu Pete był albo mrukliwy albo zbyt układowy w zależności od jego nastroju, w księgarni Sonia jak błądzący duch dużymi oczyma patrzyła pośpiesznie za okno, na uniwersytecie wpadła w wyścig szczurów, za którym nie nadążała. Emma uciekała do rodzinnego domu, gdzie mama w końcu uzmysłowiła jej, że kłopotów nie da się rozwiązać chowając się przed nimi. Im bardziej zbliżali się do świąt, tym bardziej rosło jej przekonanie, że to będzie bardzo dziwne Boże Narodzenie.

Kiedy w niedzielne popołudnie tuż przed pierwszą rozległo się pukanie do drzwi, Emma spojrzała na Pete'a spodziewając się, że to musi być ktoś do niego. Kiedy Pete spojrzał na nią w ten sam sposób, podniosła się i ruszyła w stronę korytarza.

W drzwiach stała Sonia, jeszcze bledsza niż zwykle, w jej drobnej twarzy dwoje ogromnych oczu pełnych było niemego krzyku. Za nią stało czarne auto z przyciemnianymi szybami. Emma uniosła brwi zaskoczona.

– Nazywam się Weronika Wilczyńska. – Głos Soni wydawał się tak blady jak ona sama.

Emma patrzyła na nią w milczeniu zaciskając dłoń na klamce.

– Możesz wejść? – spytała zerkając na auto zaparkowane na jej podjeździe.

Sonia skinęła głową i weszła do środka, otrzepując ośnieżone buty na werandzie.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć Emmie, jedyne co chciała

powiedzieć, to „przepraszam”, które wykrztusiła z siebie pomiędzy szlochaniem i ocieraniem łez. Chciała wytłumaczyć jakoś swoje kłamstwa. Dłonie Emmy zamknęły jej własne.

– Wiedziałam to od początku – powiedziała z lekkim smutnym uśmiechem. – Nie przepraszaj. Wracaj do domu.

Popatrzyła na nią pytającym wzrokiem. Emma zdawała się nie być zaskoczona.

– Ludzi, którzy uciekają przed przeszłością można łatwo rozpoznać, jeśli widziało się ich wielu. Patrzą przez ramię w ten specyficzny sposób. Wzrok mają pełen dobrze skrywanego strachu. Patrzą w okno, krótko, ale czujnie. Wisi nad nimi aura niewytłumaczalnego napięcia, jak gdyby nigdy nie potrafili się w pełni rozluźnić. Niechętnie mówią o sobie. Zwykle wolą słuchać i choć patrzą ci w oczy, gdy mówisz, wiesz, że jednocześnie uważnie lustrują wszystko wokół.

Przez chwilę siedziały naprzeciw siebie w milczeniu, w ciepłym salonie Emmy. Pete stał przy oknie, obecny lecz trzymający się na uboczu, słuchając, lecz nie mówiąc nic. Od czasu do czasu zerkał na auto stojące na podjeździe ich domu i Weronikę uderzył fakt, że Emma miała rację, patrzył krótko, lecz czujnie i choć nie była pewna, zdawało się jej, że widziała w jego oczach błysk napięcia i strachu.

Weronika pochyliła się w stronę Emmy. Podała jej wyjętą z za spodni białą kopertę.

– Możesz to przechować dla mnie?

Emma popatrzyła na kopertę pytająco.

– Nie pytaj, proszę. Po prostu weź to.

Emma wzięła z jej dłoni kopertę. Objęły się ramionami i Weronika poczuła, że ciało przyjaciółki wstrząsa szloch.

– Nie płacz – wyszeptała.

– Bo nie będzie cię tutaj, gdy urodzi się nasze dziecko – powiedziała cicho i Weronika przez krótką chwilę zapomniała o samej sobie patrząc w zapłakane oczy Emmy, która kiwała głową w odpowiedzi na jej zaskoczony wzrok i ukryte w nim niewypowiedziane pytanie.

Kompromisy. Podejmujemy je dla siebie samych, dla kogoś, kogo kochamy, dla ratowania relacji, na której nam zależy. Podejmujemy je ze strachu lub z niewiedzy, że możemy inaczej. Niektóre przynoszą zmiany, gdy inne tłamszą nas w stagnacji. Kompromisy, bolesne zgody, które zawsze mają swoją cenę.

Weronika myślała o nich, gdy siedziała w aucie, patrząc po raz ostatni przez przyciemnione szyby na postać Emmy w oknie jej domu i w duchu wypowiadając słowa pożegnania.

Nikt z nią nie rozmawiał, nie zadawał pytań. Nagle poczuła się dokładnie tak, jak piętnaście lat temu, gdy ojciec przyjeżdżał po nią dwa razy w miesiącu, by zabrać ją do swojego domu na parę godzin. Wizyty najpierw regularne, w miarę upływu miesięcy stawały się krótsze lub zostawały nagle odwoływane. Weronika pamięta dokładnie tę niezręczną ciszę, panującą między nimi w aucie i jej kompletną nieumiejętność odnalezienia się w sytuacji. Zwykle mawiał „jedziemy do domu” i wprawiał ośmioletnią Weronikę w konsternację.

Auto mknęło autostradą transkanadyjską i Weronika nie mogła powstrzymać się przed zadaniem sobie pytania, gdzie naprawdę jest jej dom. Nagle wizja stanięcia twarzą w twarz z mamą, wydała się jej przerażająca, a twarz mamy tak odległa, jak gdyby była wspomnieniem z poprzedniego życia.

Weronika próbowała się cieszyć i wzbudzić w sobie choć cień entuzjazmu, ale pustka w jej wnętrzu zdawała się rozprzestrzeniać i jedynym na co pozostało jeszcze miejsce było wspomnienie twarzy Luke'a, gdy stał w jej drzwiach tego ostatniego wieczoru dwa tygodnie temu.

W życiu zdarzają się rzeczy, na które nikt nas nie przygotowuje. Ten moment, gdy rodzi się dziecko, twoje ciało rozrywa ból i wydaje ci się, że umrzesz, że nie jesteś w stanie znieść ani minuty dłużej. Ta chwila, gdy ukochany mąż, wokół którego zbudowałaś całe swoje istnienie, wychodzi taszcząc walizki, wychodzi z waszego domu, z waszego życia. I ten dzień, gdy dzwoni telefon i obcy głos w słuchawce mówi ci, że twoja córka zaginęła bez wieści. To wszystko było trudniejsze niż się

spodziewała. Na nic nie była w życiu przygotowana. Barbara Wilczyńska siedziała na korytarzu policyjnego biura w Rotterdamie. Była zmęczona po locie z Polski i zmarznięta.

Sześć miesięcy temu wzięła miesiąc bezpłatnego urlopu i wsiadła na pokład samolotu, by lecieć do Holandii. Nigdy nie wyjeżdżała za granicę i nigdy nie siedziała w samolocie. Nigdy też nie straciła jedynej córki i nie wiedziała, co innego ma robić, poza szukaniem jej w panice. Tygodniami błąkała się po ulicach Utrechtu, co dwa dni odwiedzając biuro policji. Barbara nie znała holenderskiego, a jej znajomość angielskiego była podstawowa. Znalazła jednak tłumaczkę i z nią odszukała wszystkich znajomych Weroniki, z którymi przeprowadziła rozmowy. Wyglądało jednak na to, że jej po prostu córka zniknęła bez śladu i bez znaku. Nikt nic nie wiedział, nikt niczego nie widział.

Barbara zapamiętała dziwnego chłopaka z dreadami, kolorowymi ubraniami i tatuażem na ręce. Kiedy go zobaczyła po raz pierwszy, była przekonania, że jej córka wpadła w złe towarzystwo. Kilka dni męczyły ją wizje Weroniki uzależnionej od narkotyków. Ostatnio dzwoniła rzadziej, nie odbierała telefonów, rozmowy z nią były krótkie i raczej lakoniczne. Trzy dni śledziła chłopaka z dreadami ulicami miasta, podejrzewając, że może wiedzieć więcej, niż przyznaje.

Wszystko było jednak bezcelowe i nie przynosiło efektów. Co wieczór zasypiała, płacząc w poduszkę i zastanawiając się, za co karze ją życie? I dlaczego kara musiała spaść na jej jedyną córkę?

Barbara wydała całe swoje oszczędności na lot, hotel i tłumaczkę. Pieniądze kończyły się powoli, straciła siedem i pół kilograma w cztery tygodnie i na pewno straciła głowę. W każdym przechodniu widziała napastnika, wszyscy byli podejrzani, w każdej narkomance widziała córkę. W końcu zdecydowała się wracać do Polski. Złamana, niepokieszona, zrozpaczona, spędziła dobę w autokarze, który wiózł ją do domu, w którego ścianach przez kolejne pięć miesięcy miała rzucać się jak dzikie zranione zwierzę, czekając na ten jeden jedyny telefon.

Barbara obserwowała ruch na korytarzu policyjnego biura. Czekala na tłumaczkę Annę, która po raz kolejny miała jej pomóc, tym razem jednak w dużo przyjemniejszych okolicznościach. Dwa dni temu zadzwonił telefon i uprzejmy głos poinformował ją, że odnaleziono jej córkę w dobrym stanie fizycznym i że niedługo pod opieką agentów i psychologa zostanie przewieziona do Rotterdamu.

Jeden z młodych policjantów przyniósł jej kubek gorącej kawy i wkrótce na drugim końcu korytarza Barbara rozpoznała postać Anny, która przywitała ją szczerym serdecznym uśmiechem.

Z pomocą tłumaczki wytłumaczono Barbarze, co się stało, skąd uzyskano informacje na temat miejsca pobytu jej córki, co mogło ją spotkać, w jakim jest stanie. Słuchała potakując głową, przerażona i drżąca. Chciała wreszcie zobaczyć Weronikę. Policjant, który wyjaśniał jej to wszystko, wyglądał na bardzo dumnego z siebie, miał spokojny głos i powtarzał w kółko, że to naprawdę dobra nowina, że Weronika nie ma żadnych obrażeń i jest w tak dobrym stanie fizycznym. Nie był w stanie powiedzieć dokładnie w jakim stanie emocjonalnym jest Weronika, ale zapewniał ją, że córka od razu na miejscu dostanie opiekę psychologa i że wkrótce, jak tylko pewne drobne kwestie zostaną wyjaśnione, będzie mogła zabrać ją do domu, ponieważ nie będzie powoływana na świadka w zbliżającej się po świętach rozprawie, więc Boże Narodzenie spędzą w domu. Barbara zastanawiała się, co to za drobne kwestie, ale nie widziała potrzeby pytać, najważniejsze, że wkrótce będą w domu i będą mogły zapomnieć o koszmarze ostatnich miesięcy.

Nie spodziewała się jednak, że pozornie nieokaleczone ciało, które wkrótce wejdzie do tego pokoju, nie będzie zawierało nawet resztek tego, co zapamiętała jako swoją córkę.

Maarten Wassenaar miał za sobą najgorsze pół roku swojego życia. W ciągu paru miesięcy dostał kilka bolesnych lekcji, z których efektami zmagał się do dziś. Dowiedział się na przykład, że poczucie winy jest dużo bardziej obciążającym balastem niż

strach i że nie da się go zbyć jego zwyczajowym „no to co?”, że o wiele trudniej wybaczyć sobie samemu, niż wybaczyć komuś innemu wyrządzoną nam krzywdę.

Tamtego poranka miał potwornego kaca i kiedy otworzył tętniące bólem oczy, marzył jedynie o jointcie albo kubku kawy. Pamiętał, że zerknął na telefon, była prawie dwunasta i zdziwił się, że nie dostał żadnej wiadomości od Weroniki. Było po trzynastej, kiedy zadzwonił do niej po raz pierwszy. Od tego momentu próbował co pół godziny, w końcu wsiadł na rower i pojechał do jej studenckiego pokoju. Miał przy sobie zapasowy klucz. Nie przestraszył się, kiedy zastał jej pokój pusty, był pewien, że spędza dzień z Amy. Fala niepokoju i przerażenia zalała go dopiero, gdy Amy odebrała telefon twierdząc, że nie miała wieści od Weroniki odkąd rozstali się poprzedniej nocy. Maarten wrócił do domu i już wspólnie z ojcem pojechali jego autem na policję, gdzie próbowano ich przekonać, by wrócili do domu, odczekali jeszcze dwadzieścia cztery godziny i wrócili po tym czasie. Ojciec Maartena nie był jednak mężczyzną, którego łatwo przekonać do czegoś, do czego sam nie jest przekonany. Znużony policjant przyjął zgłoszenie, zobowiązał się do powiadomienia matki Weroniki i nawiązania kontaktu z Komendą Policji w Olsztynie, w razie gdyby dziewczyna po prostu wróciła do domu.

Był wieczór, gdy Maarten zdecydował przejść ten sam dystans, który Weronika musiała pokonać, by dojść od Klubu Havana, pod którym się rozstali, do swojego mieszkania. To on znalazł jej czarną balerinę i w panice wystukiwał numer na policję, gdzie kolejny znużony głos pytał go pięć razy, czy jest pewien, że to but zaginionej. Maarten miał ochotę rzucić telefonem komórkowym w ścianę, zamiast tego wrzasnął jedynie, że mają natychmiast kogoś przysłać, przecież to może być dowód. Czekał dwadzieścia minut zanim podjechał policyjny samochód i dwóch patrzących na niego podejrzliwie policjantów wysiadło obejrzeć „dowód”. Pamiętał, że śmiali się po cichu szepcząc coś o pijanym Kopciuszku. Ale wtedy Maarten wiedział już na pewno, że Weronikę spotkało coś strasznego.

Próbował ją znaleźć. Drukował plakaty, śledził wiadomości, rozsyłał zdjęcia w sieci. Pierwsze tygodnie naznaczone były niemal szaleństwem, bezsenne noce, w czasie których wyrzucał sobie, że pozwolił jej pójść samej, zbyt długie dni, desperacja i panika. Nigdy nie przestał jej szukać, ani na nią czekać, choć nadzieja, że ją znajdzie, zgasła i pozostało jedynie gorzkie poczucie winy, które nakazywało mu szukać dalej, czekać dalej.

Deszczowy grudzień pasował do jego nastroju. Maarten walczył, by utrzymać się na studiach. Semestr miał zakończyć się niedługo, zbliżały się egzaminy i wiedział, że nie idzie mu najlepiej.

Stał w kuchni, szukając w lodówce czegoś do jedzenia, gdy usłyszał wołanie ojca siedzącego w salonie. Zwykle o tej porze oglądał wiadomości. Maarten słyszał urywki relacji z zatrzymania jakiegoś ważnego mafioza i rozbrojenia paru punktów przemytu. Wiadomości dudniły o tym od paru dni, pokazując dumne twarze agentów policji odpowiedzialnych za ten sukces w walce z przestępczością, relacje z aresztowań, zdjęcia ton narkotyków i wciąż powracające na ekran zdjęcie mężczyzny podejrzanego o bycie głową organizacji przestępczej.

– Maarten! – Alarmujący głos ojca odezwał się znów.

– Tato, nie obchodzi mnie, co się dzieje na świecie! – odkrzyknął zamykając lodówkę.

– Maarten, cholera jasna! Szybko!

Głos ojca był podniesiony i było w nim coś nieznoszącego sprzeciwu, z czym Maarten rzadko się u niego spotykał. Odłożył więc masło na blat stołu i wszedł do pokoju.

Zrobiło mu się słabo i przez chwilę nie docierał do niego głos reporterki. Widział jedynie fotografię Weroniki w lewym górnym rogu ekranu. Po chwili pokazano ją jak opuszcza lotnisko w towarzystwie kobiety i mężczyzny, którzy próbują osłaniać ją przed fotoreporterami.

Maarten stał osłupiały.

– Ona żyje – wyszeptał nie będąc w stanie oderwać oczu od ekranu.

Saul Eman żył od zawsze na pograniczu tego, co legalne i nielegalne. Życie szybko nauczyło go balansować na tej cienkiej linii oddzielającej bezpieczne od niebezpiecznego. Nie był dobrym surferem, nie tak dobrym jak Luke w każdym razie, jeśli musiał surfować na falach, ale posiadał umiejętność surfowania w przestępczym świecie bez moczenia sobie tyłka lub nawet kostek. Wiedział wszystko, gdzie, kto, za ile, kiedy, z kim, ale nie dotykał niczego.

Był cztery lata starszy od Luke'a, znali się jeszcze za szczeniackich czasów. Po rozwodzie ojciec Luke'a przeprowadził się do mieszkania w bloku, gdzie ze swoją rodziną mieszkał Saul. Pamiętał, że polubił go od razu, głównie za to, że nie tracił czasu na gadanie i był odporny. Saul nie mógł zliczyć, ile razy sprzął mu tyłek w ramach szczeniackich treningów, ale za każdym razem Luke otrząpywał się z piasku i wstawał bez zająknięcia i jednej łzy w oku. Spędzali wspólnie dużo czasu w wakacje, kopiąc piłkę lub siebie nawzajem. W ciągu roku widywali się może dwa razy, nie wymieniali listów ani nie dzwonili do siebie, ale po miesiącach rozstania, gdy nadchodziło lato, mieli wrażenie, że ostatni raz widzieli się wczoraj.

Kiedy Luke zaczął studia, Saul był już w trakcie otwierania swojej pierwszej siłowni, w którą zainwestował pieniądze wygrane w czasie walk. Dzięki walkom poznał wielu niezbędnych do przeżycia ludzi, zdobył klientów i inwestorów.

Luke potrafił się dobrze bić, choć nigdy nie mógłby walczyć zawodowo, jego mocną stroną nie była szybkość czy siła, lecz odporność, koncentracja, równowaga i kontrola nad własnym ciałem, wszystko to czyniło z niego świetnego surfera, ale w walce jedynie niezłego przeciwnika.

Saul wściekł się, gdy Luke przyznał mu się, że pracuje dla Gera. Nie miał pojęcia, że przyjaciel po śmierci matki wpadł w kłopoty i nie potrafił się pozbierać. Nigdy nie potrafił rozmawiać i im Saul dłużej go znał tym lepiej potrafił go rozszyfrowywać bez potrzeby zadawania pytań, na które nie dostałby odpowiedzi. Saul znał Gera i jego ludzi i starał się mieć oko na Luke'a, który okazał

się radzić sobie nieźle nie tylko z surfowaniem po falach.

Od początku czuł kłopoty, gdy Luke powiedział mu o dziewczynie w jego sypialni. To nie był jego zwyczaj, żeby zabierać „pracę do domu”, choć Luke wyraźnie dał mu do zrozumienia, że robi to z polecenia Gera. Pamiętał, że rzucił coś w rodzaju „tylko do kolejnego transportu”, ale sposób w jaki z każdym dniem stawał się coraz bardziej spięty i poirytowany rzucał się w oczy z daleka. Saul myślał najpierw, że chodziło o kłopoty Gera, o których pogłoski dochodziły i do niego. Ale wtedy bomba wybuchła i Luke poprosił go o papiery dla siebie i dziewczyny. I Saul wiedział, że nie docenił zagrożenia. Wiedział o tym niosąc przyjaciela przez pusty parking przy Piekło. Ale jak bardzo go nie docenił, miał dowiedzieć się pół roku później.

O aresztowaniu Luke'a dowiedział się z telewizji. Stał w siłowni rozmawiając z klientami, gdy kątem oka zerknął w ekran podwieszony pod sufitem obok baru, gdzie można było kupić coś do picia po treningu. Słowa utknęły mu gardle, gdy zobaczył zdjęcie przyjaciela i nagle zrozumiał wszystko, to, jak Luke wyszedł w jednym kawałku po rozmowie z Gerem, dlaczego go spławił na parkingu i jaki miał plan. Saul przeklął kilkakrotnie. Kiedy trzy dni później obok relacji o rozbiciu organizacji przestępczej pojawiło się również zdjęcie Weroniki i relacja z akcji ratunkowej i jej powrotu do domu, Saul walnął pięścią w stół, aż coś trzasnęło w blacie. Był wściekły i rozgoryczony. I kompletnie bezsilny. A do tego Saul nie był przyzwyczajony.

Przerażające jak bardzo życie potrafi się zmienić, podczas gdy wszystko, co je otacza pozostaje nietknięte. Weronika leżała na łóżku w swoim pokoju w domu rodzinnym, te same biurko, krzesło, szafa, ten sam koc i zasłony w jasnobezowe kwiaty. Półka z książkami, dwa plakaty wiszące w tym samym miejscu od lat, jeden z galopującym koniem i drugi z wielkim, przyjaźnie patrzącym dogiem, ten sam dywan w kolorze kawy z mlekiem. Wszystko tak do siebie dopasowane, czyste, ładne, tylko ona jak jakiś niepasujący do całości element wydawała się sobie jarząco inna od wszystkiego, od samej siebie z wtedy, i nie była ani czysta,

ani ładna. Nie wiedziała, co ma dalej robić, jak ogarnąć odzyskane życie, nagle tak niechciane i tak nieswoje. Mama dawała z siebie wszystko, dawała jej przestrzeń i czas, by mogła dojść do siebie. Weronika słyszała ją jak nuci w kuchni, gotując im obiad, który pachnie tak samo jak zawsze, jak przemierza dom na palcach myśląc, że Weronika śpi, podczas gdy ona w bezsennej ciszy wpatruje się w ścianę. Żadnych myśli, żadnych uczuć, tylko to zadziwienie i osłupienie, które dźwiękoszczelną szybą oddzielało ją od świata. Nawet chciała się przedrzeć przez nią, coś powiedzieć, ucieszyć się, ale wszystko rozpływało się znów we mgle. Weronika skuliła się pod kocem i naciągnęła go na siebie aż po czubek głowy. Cisza i ciemność. Gdyby mogła zrozumieć, co się stało, gdyby ktoś wytłumaczył jej, co się dzieje. Wszyscy zdawali się wiedzieć, poza nią. Ale ona nie mogła mówić, zapytać. Nic im nie mów. Kim byli „oni”? Wszyscy nimi byli. Wszyscy.

XXI

Inneke Willems pracowała z pacjentami z objawami stresu posttraumatycznego od ponad piętnastu lat. Już na początku swojej kariery zawodowej trafiła do grup pomocy kobietom, które były ofiarami przemocy domowej. W ciągu swojej pracy widziała różne przypadki współzależnienia ofiary od oprawcy, w różnym nasileniu, mniej lub bardziej świadome. Najtrudniejszą częścią jej pracy było przekonanie ofiary, że to, co brały za miłość, było śmiertelną, powoli zabijającą chorobą. Pracowała z prawnikami, policją, lekarzami. Widziała mniej i bardziej wyrafinowane formy przemocy, poznała i była świadkiem tak wielu ran i odmian bólu, że wydawało się jej, iż nic więcej nie może jej dziwić.

Kiedy pewnego grudniowego popołudnia otrzymała telefon od prawnika i usłyszała nad jaką sprawą pracuje, była zafascynowana i wyraziła zgodę, zanim jeszcze adwokat skończył swoją opowieść. Inneke odłożyła słuchawkę telefonu i przez chwilę siedziała nieruchomo z oczyma utkwionymi w telefonie. Musiała spotkać się z ofiarą, o której mówił jej prawnik. Taka forma syndromu sztokholmskiego, o ile to był ten syndrom, występowała naprawdę rzadko, szczególnie w takim nasileniu. Inneke powoli układała w głowie otrzymane informacje i wiedziała, że jedyną drogą do diagnozy było spotkać się z dziewczyną i choć próbowała hamować swą ciekawość, musiała przyznać sama przed sobą, że nie mogła się tego spotkania doczekać.

Pierwszy raz spotkała Weronikę zaraz po jej przewiezieniu do Rotterdamu, gdzie mogła obserwować zjednoczenie matki i córki i spisać pierwsze uwagi na temat zachowania Weroniki Wilczyńskiej. Dziewczyna była w bardzo dobrym stanie fizycznym, ale emocjonalnie zdawała się nieobecna. Widok matki nie wykrzesał z niej nic poza bladym uśmiechem.

Spotkały się trzy razy. W czasie pierwszego spotkania Weronika Wilczyńska nie powiedziała ani słowa. Siedziała w

fotelu naprzeciw Inneke nieobecna, spięta, w stanie dziwnego ogłuszenia. Od czasu do czasu nerwowo wkładała dłoń do kieszeni zakietu, jak gdyby tam czegoś w panice szukała i na chwilę jej twarz rozluźniała się, by zaraz potem tężeć ponownie w upartym milczeniu. W czasie tego pierwszego spotkania Inneke próbowała zadać jej kilka pytań, na żadne nie otrzymała odpowiedzi. Głównie jednak spisywała swoje refleksje i uwagi na temat zachowania dziewczyny, było dla niej jasne, że pozostaje w stanie szoku i głębokiej traumy. Od prawnika i głównego prowadzącego śledztwo agenta dowiedziała się, iż istnieje podejrzenie, że dziewczyna nie była ofiarą przestępstwa, lecz współuczestniczyła w nim, policji zależało przede wszystkim na diagnozie jej stanu i ocenie, czy faktycznie była poszkodowana, czy też z własnej woli towarzyszyła oskarżonemu. Dla Inneke było jasne, że Weronika Wilczyńska z własnej woli nie była w stanie zrobić kroku.

W czasie ich drugiego spotkania, które odbyło się po jej krótkim pobycie w Polsce w domu rodzinnym w okresie świątecznym i powrocie do Holandii na własne żądanie, sytuacja wyglądała bardzo podobnie, choć nie widziały się trzy tygodnie. Po powrocie Weronika zdawała się jedynie odrobinę mniej spięta, prawdopodobnie dlatego, że wiedziała już na czym mają polegać ich spotkania. Ponieważ nadal milczała, Inneke postanowiła zmienić taktykę i zamiast zadawać jej pytania, skonfrontować ją z faktami dotyczącymi jej porwania i przetrzymywania. Wszystko, co wiedziała pochodziło z akt policji. Źródłem informacji były zeznania Luke'a Stanforda, ponieważ nikt nie przesłuchał Weroniki, zresztą nawet gdyby próbował, dziewczyna pozostawała głucha na wszelkie pytania.

Weronika Wilczyńska słuchała Inneke, nadal niema, patrząc za okno. Psycholog zastanawiała się, czy dziewczyna w ogóle ją słyszy. Dopiero gdy padło z jej ust imię Luke'a oczy Weroniki, jak gdyby przebudzone nagłym elektrycznym impulsem, spojrzały na nią. Inneke była świadoma, jakie wrażenie na dziewczynie zrobiło imię mężczyzny. Jej ręka znów nerwowo powędrowała do kieszeni obracając w palcach coś, co tam znalazła. Psycholog przyjrzała się

dokładnie twarzy dziewczyny, zastanawiając się, co dokładnie widzi w jej oczach.

– Weroniko, spędziłaś z tym mężczyzną parę miesięcy swojego życia. Wszystko, co robiłaś w trakcie tego czasu, zrobiłaś, by przeżyć. To, że odczuwasz niezrozumiałe poczucie lojalności wobec niego, a może nawet tęsknotę za nim jest zupełnie normalne i nie musisz czuć się z tego powodu winna. – Patrzyła na nią, jakby nie rozumiała słów. – Jesteś już bezpieczna i nie musisz być wobec niego lojalna, teraz czas zadbać o siebie.

Dziewczyna nadal milczała. Inneke czuła jednak, iż odniosła sukces. Nawiązała bowiem kontakt wzrokowy i zdawało się, że coś z tego, co mówiła, jednak do niej dociera.

– W swojej pracy codziennie widuję przypadki podobnych toksycznych relacji. Pewnie wydaje ci się, że jesteś jedyna, ale tak nie jest. Jest wiele kobiet, które w dużo mniej tragicznych i niebezpiecznych okolicznościach wpadły w tę samą pułapkę zależności od kogoś silniejszego, kto nadużywał tej siły. Te kobiety są, podobnie jak ty, zastraszane, manipulowane, przekonane o swojej słabości, i co gorsza, o konieczności bycia lojalną wobec oprawcy. Zostają, mimo iż mogą odejść. Nie wierzą, że potrafią się wyrwać lub wierzą zbyt mocno, że kochają i są kochane, na chory i tragiczny sposób, ale kochane. – Inneke kontynuowała widząc, że w ten sposób utrzymuje uwagę dziewczyny. – One mają wybór, ty tego wyboru nie miałaś. Masz go jednak teraz. Czas sobie wybaczyć i odrzucić poczucie winy. Ten mężczyzna już nie ma nad tobą władzy. Chyba że ty sama mu ją przekażesz. Możesz się od niego uwolnić, a ja mogę ci w tym pomóc, dać ci szansę na nowe życie bez koszmarów.

Oczy Weroniki pozostały nieruchome, wpatrzone w twarz Inneke. Jej usta otworzyły się lekko, jak gdyby chciała coś powiedzieć, palce dłoni nadal obracały coś w kieszeni. Z jej ust nie padło jednak ani słowo.

Ich trzecie spotkanie wypadło dwa dni przed rozpoczęciem rozprawy sądowej. Weronika wyglądała na spiętą, ale tym razem jej twarz zdradzała coś w rodzaju zacięcia. Inneke wyłapała tę

zmianę natychmiast. Przywitała dziewczynę, która niemo skinęła głową.

– Pozostały dwa dni do rozprawy. Wiem, że zdecydowałaś się być na niej obecna, mimo iż nie musisz zeznawać i możesz wrócić do domu. Twoja mama twierdzi, że jesteś zdecydowana zostać do końca rozprawy. Dlaczego?

Odpowiedziało jej milczenie.

– Weroniko, czy zdajesz sobie sprawę, że on tam będzie i będziesz musiała go znów zobaczyć?

Dziewczyna nie patrzyła na nią. Jej ręka automatycznie zniknęła w kieszeni swetra. Siedziały chwilę w milczeniu i wtedy Weronika Wilczyńska przemówiła nagle.

– Te kobiety, te wszystkie kobiety... Może one wcale nie są słabe, może one są właśnie silne? Bo doświadczyły ciemności w kochanej osobie i odparły pokusę ucieczki, zostały mimo wszystko. Może to oznaka siły, a nie słabości? Może one wcale nie mają wyboru? W końcu... nie wybieramy, kogo kochamy.

Weronika wstała i wyszła, pozostawiając Inneke osłupiałą i w przekonaniu, że nie doceniła, jak głęboko dziewczyna była uwikłana w tę sytuację.

Weronika była w budynku sądu pierwszy raz. Nawet w Polsce nigdy nie musiała tego doświadczać. Korytarze wydawały jej się prawie surrealistyczne, długie i pełne ludzi, którzy jak gdyby nigdy nic rozmawiając, mijali ich w pośpiechu. Weronika czuła ścisk w żołądku i łomot miliona serc we wszystkich komórkach jej ciała. Dłonie wcisnęła w kieszenie marynarki i zaciskała je tak mocno, że czuła, jak własne paznokcie wbijają jej się w skórę. Odnalazła zwitek papieru złożony w kostkę i przez chwilę obracała go w palcach. Czuła się nie jak ofiara, lecz jak ktoś, kto czeka na wyrok. Czuła się winna, szczególnie gdy patrzyła w twarz mamy, która postarzała się o dziesięć lat i choć za każdym razem, gdy jej oczy napotkały oczy Weroniki była w nich nieskrywana radość i ulga, Weronika widziała wyraźnie cienie pod jej oczyma, głębokie bruzdy wokół ust, siatkę zmarszczek wokół oczu i grube pasma białych jak śnieg włosów, których nie

pamiętała. Zastanawiała się, ile razy w ciągu tych ostatnich miesięcy biegła myślami ku mamie i ile razy zapominała o niej, zapominała o tym kim była, nauczyła się zapominać i próbowała sama sobie odpowiedzieć na pytanie, czy to było egoistyczne i czy dlatego stojąc przed drzwiami sali rozpraw, czuje się winna. Słyszała rozmowy, które toczyły się wokół niej między prokuratorem a tłumaczem przysięgłym, który miał tłumaczyć przebieg rozprawy dla niej i jej mamy. Z jakichś powodów miała nie być wzywana jako świadek i nie musiała zeznawać, nie wiedziała czy to dobry znak, ale prawniczka i psycholog, które z nią rozmawiały twierdziły, że to oszczędzi jej stresu i rozdrapywania ran.

Weronika rozejrzała się wokół. Maarten stał oparty o parapet po drugiej stronie korytarza. Zdawał się nie spuszczać z niej oczu. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, obdarzał ją łagodnym uśmiechem, jakby chciał dodać jej otuchy bez słów. Nie podchodził bliżej i Weronika nie ukrywała, że tak było lepiej. Wydawał jej się kimś, kto przybył z poprzedniego życia i choć bardzo chciała, nie wiedziała, co miałaby mu powiedzieć. Zdawał się jej jeszcze szczuplejszy niż kiedyś. Blask jego migdałowych oczu, który zapamiętała tak dobrze, zbladł i zatarł się. Widziała niepewne i podejrzliwe spojrzenie mamy w kierunku Maartena i wzruszyła tylko ramionami. Czuła się wycieńczona i zagubiona, jak gdyby nagle ktoś przeniósł ją bez uprzedzenia z fabuły jednej książki do innej.

Rozglądając się wokół, zauważyła też rosnącego czarnoskórego mężczyznę, którego łysa czaszka połyskiwała w sztucznym świetle sądowego korytarza, a koszula zdawała się pękać na twardych mięśniach ramion. Jego oczy śledziły ją, patrzyły na nią uważnie. Było w jego spojrzeniu coś poza ciekawością, jakieś niewypowiedziane oskarżenie, które wisiało nad nią. Patrzył, jak gdyby wiedział o niej więcej i Weronika pomyślała, że musi być agentem lub policjantem, który wie, że nie była w tym wszystkim jedynie bezwolną ofiarą. Rozważała przez parę sekund, czy nie podejść do niego i po prostu nie powiedzieć prawdy, ale kartka

papieru schowana w jej kieszeni, nakazywała jej posłuszeństwo. Poza tym Weronika sama nie wiedziała już, co było prawdą, a co kłamstwem.

Jak przez szybę dotarł do niej szum zamieszania za jej plecami i nagły szept tłumaczki w stronę jej mamy. "To on" odbiło się echem w jej uszach i Weronika odwróciła się. Miała wrażenie, że świat nagle zmniejszył obroty i wszystko wokół przeszło do innego wymiaru czasowego. Jej własne serce zwolniło i zdawało się bić raz na milion sekund, tylko po to, by utrzymać ją przy życiu, zbyt wolno jednak, by krew mogła dotrzeć do wszystkich komórek jej ciała, nie czuła nóg, ani rąk, ani własnej twarzy, jej oczy ogarnęła fala mgły i zawężyła jej pole widzenia do jednej tylko osoby.

Dzieliło ich może dwadzieścia metrów, które skracały się z każdym jego krokiem. Prowadziła go grupa umundurowanych policjantów, którym towarzyszył prawnik. Jego ręce były skute z tyłu. Miał na sobie czarną koszulę i czarne spodnie. Nie patrzył na nią, wzrok miał wbity w ziemię i szedł równym zdecydowanym krokiem, bardziej jak ktoś, kto idzie podpisać ważną umowę, niż jak ktoś, kto ma stanąć przed sądem. Dystans między nimi zmniejszał się i Weronika jak zahipnotyzowana, nie odrywając wzroku od jego sylwetki, stała bez poczucia czasu i miejsca. Tuż przed wejściem do sali, podniósł wzrok i ich spojrzenia spotkały się. Otworzyła usta, pragnęła coś powiedzieć, dać mu jakiś znak, ale odwrócił wzrok, jak gdyby chciał jej dać do zrozumienia, by tego nie robiła. Kiedy zniknął za drzwiami, jej świat zawirował i wrócił na swoje miejsce. Ale serce zdawało się pójść za nim. Weronika nie widziała go od ostatniego wieczoru prawie dwa miesiące temu. Chwile, które zapamiętała z tamtej nocy nawiedzały ją, kiedy próbowała zrozumieć, co się wydarzyło. Odruchowo włożyła dłoń do kieszeni i jej palce odnalazły złożoną kartkę papieru, jedyny ślad, jaki pozostał po ich wspólnych tygodniach. Zacisnęła na niej palce, żeby dodać sobie otuchy. *Zaufaj mi ten ostatni raz. Nic im nie mów.*

Sala rozpraw wydawała jej się mniejsza niż się spodziewała.

Jej ściany, podłoga i powierzchnia sędziowskich stołów wyłożone były jednolitym jasnym drewnem i Weronika była zaskoczona, że sala sprawiała tak przytulne wrażenie. Siedziała obok mamy w jednej z pierwszych ławek przed balustradą oddzielającą je od trzech stolików, które stały luźno przed obliczem sędziów. Na biurku adwokata odzianego w czarną togę w uporządkowanych rzędach leżały teczki z dokumentacją. Za sędziowskim długim stołem siedziało czworo ludzi odzianych w czarne suknie, których twarze nie zdradzały nawet cienia emocji. Po prawicy sędziowskiej odziana również w czarną togę siedziała znana już Weronice prokurator. Weronika czuła ścisk w żołądku i ból u nasady czaszki, jak gdyby mięśnie jej szyi nie mogły utrzymać dłużej ciężaru głowy. Dłonie trzymała zwinięte na kolanach. Jej oczy wbite były w postać siedzącą samotnie przy środkowym stoliku, przodem do czterech czarnych obliczy sprawiedliwości. Nie mogła widzieć jego twarzy, ale za każdym razem gdy nachylał się w stronę mikrofonu, by odpowiedzieć na zadane pytanie, Weronika widziała napinające się ramiona i fragment profilu. Jego schrypły, dziwnie brzmiący echem mikrofonu głos unosił wszystkie włosy na jej ciele i musiała walczyć o głębszy oddech. Kim naprawdę był ten mężczyzna, który według prokuratury pod pseudonimem „Ger” zarządzał zorganizowaną grupą przestępczą i odpowiadał za handel kobietami, porwania, pobicia, gwałty, handel narkotykami, wymuszenia na dużą skalę? Niespełna godzinę temu Weronika usłyszała listę oskarżeń i dowodów z ust prokuratora, długą listę nazwisk, miejsc, cyfr, dat i co przerażało ją jeszcze bardziej dowiedziała się, że Luke przyznaje się do wszystkiego, co potwierdzał właśnie zeznając pod baczny spojrzeniem sędziów. Beznamiętnym nieco zmęczonym głosem potwierdzał wszystko, co zostało mu odczytane.

– Przyznał się pan również do uprowadzenia, gwałtu i przetrzymywania obecnej na sali Weroniki Wilczyńskiej. – Prokurator kontynuowała przesłuchanie i Weronika słysząc swoje imię poczuła falę gorąca zalewającą jej twarz. Utkwiła wzrok w plecach Luke'a, który przez chwilę zdawał się kurczyć w napięciu,

ale zaraz potem nachylił się w stronę mikrofonu. Słyszała równomierny głos Anny, która tłumaczyła przebieg rozprawy specjalnie dla niej i jej mamy.

– Tak.

Weronika przetworzyła usta. Poczowała na sobie zaniepokojony wzrok mamy i zacisnęła wargi w wąską linię.

– Czy to prawda, że zanim podał pan prokuraturze informacje potwierdzające pańskie zeznania, postawił pan jeden warunek? – Prokurator zawiesiła głos na sekundę, poprawiła okulary po czym kontynuowała. – I zażądał, by nie powoływać na świadka poszkodowanej Weroniki Wilczyńskiej?

– To prawda. Przynajmniej tyle mogłem zrobić. – Jego głos zdawał się nagle cichszy.

– Czyżby? A czy nie dlatego, żeby nie mogła opowiedzieć nam szczegółowo o porwaniu, gwałtach, molestowaniu i przetrzymywaniu? – Głos prokurator stał się nagle przeszywająco ostry i Weronika uniosła się lekko na swoim siedzeniu, kręcąc głową i próbując zachować spokój. Czowała dłoń mamy na swojej i próbowała ją z siebie strzepnąć, jakby ją rozpraszała. Luke obrócił twarz lekko w stronę okna i Weronika mogła zobaczyć część jego profilu i mocno zaciśniętą szczękę, zmrużone w wąskie kreski oczy i to spojrzenie, które znała już doskonale.

– Po co ma przechodzić przez to jeszcze raz, skoro ja mogę to wszystko opowiedzieć ze szczegółami? – Odpowiedź przyszła dopiero po chwili i prokurator zdjęła okulary i przyjrzała się Luke'owi.

– Skąd u człowieka z taką przeszłością kryminalną nagle tyle empatii i taka dbałość o dobre samopoczucie ofiar?

Adwokat Luke'a uniósł się z miejsca w proteście, który sędzia podtrzymał i prokurator pokiwała cierpko głową.

– Czy to prawda, że pani Wilczyńska podróżowała pod zmienionym nazwiskiem, używając nielegalnych podrobionych dokumentów?

– Tak.

– Dlaczego?

- Dlatego, że ją zmusiłem.
- Więc puścił pan ją wolno, wręczył dokumenty i ona posłuchała?
- Tak.
- Czy to prawda, że w mieście, do którego oboje się udaliście pani Wilczyńska mieszkała sama, pracowała i prowadziła normalne życie?
- Nie wiem, czy można to nazwać normalnym życiem.
- Proszę odpowiedzieć.
- Tak, to prawda. – Głos Luke'a wydawał się nagle zmęczony i poirytowany.
- Jak to możliwe w takim razie, że poszkodowana nie uciekła lub nie próbowała uciec?
- Zagroziłem, że skrzywdzę bliskie jej osoby. Wiedziała, że nie żartuję. To wystarczyło.

Weronika czuła szum w głowie i drżenie mięśni, próbowała się podnieść, ale ciepłe i drżące ramię mamy obejmowało ją mocno. Słyszała, że mama płacze cicho. Zaczęła gorączkowo rozglądać się wokół siebie, ktoś musiał przecież zauważyć, że Luke kłamie. Palce jej dłoni schowanej w kieszeni zakietu ścisnęły skrawek papieru, do którego uciekały jej przerażone myśli. *“Zaufaj mi ten ostatni raz”*. Jej oczy napotkały uważny wzrok Inneke siedzącej po drugiej stronie sali i przez chwilę dwie kobiety mierzyły się spojrzeniami.

Adwokat Luke'a był wysokim mężczyzną prawdopodobnie około pięćdziesiątki. Miał pociągłą twarz, siwiejące włosy i ukryte w nudnej twarzy bystre, żywe oczy, które z zainteresowaniem obserwowały salę.

Kiedy mówił, odnosiło się wrażenie, że nie ma żadnej wątpliwości co do słuszności swoich słów.

– Wysoki Sądzie – zaczął – proszę pozwolić, iż zacznę od przypomnienia, że mój klient sam zaoferował policji informacje, nad którymi wydział kryminalny pracował od dawna. Przez ostatnie tygodnie współpracował z policją na bieżąco, odpowiadając na wszystkie pytania i dostarczając niezbędnych

dowodów. Przyznał się do wszystkich zarzutów i zaoszczędził wymiarowi prawa sporo pracy. Jak również wykonał pracę prokuratury, chroniąc dobro ofiary i oszczędzając jej bolesnych zeznań. Nie nam oceniać zachowanie poszkodowanej, która walczyła o życie swoje i bliskich, ale pragnąc zakończyć ten temat, choćby ze względu na dobro poszkodowanej, wzywam na świadka panią psycholog Inneke Willems.

Inneke siedziała po lewej stronie sali skąd mogła mniej więcej obserwować oskarżonego i skąd dobrze widziała Weronikę. Starła się robić to po kryjomu, ale w ciągu przesłuchania Luke'a Stanforda nie spuszczała oczu z Weroniki, której twarz była pełna przerażenia i napięcia. Parokrotnie jej usta otworzyły się lekko, jak gdyby próbowała lub chciała coś powiedzieć, ale wydawała się być jak ktoś kompletnie sparaliżowany, kto jedynie oczyma próbuje komunikować emocje. I Inneke z tej odległości nie potrafiła dokładnie ich odczytać. Widziała jednak, że dziewczyna wbija wzrok w plecy oskarżonego, jak gdyby na jego czarnej koszuli ukryta była sekretna wiadomość. Słuchała uważnie spokojnych i wyważonych odpowiedzi udzielanych przez Stanforda, pogodzonego z przebiegiem sprawy. Ale gdy prokurator wspomniała imię Weroniki jego twarz wydawała się tężeć pod naporem napięcia. Wyglądał jak człowiek, który uparcie nie chce o czymś rozmawiać. Obserwowała tych dwoje, niewidoczną dla innych grę ich emocji i zastanawiała się, czy naprawdę rozszyfrowała łączącą ich relację.

– Od ponad piętnastu lat pracuje pani z ofiarami przemocy jako psycholog kliniczny i terapeuta. Czy może nam pani powiedzieć, co to jest syndrom sztokholmski i kiedy mamy z nim do czynienia?

– Syndrom sztokholmski to, pokrótce, stan psychiczny rozwijający się u ofiary przemocy i polegający na emocjonalnym uzależnieniu od oprawcy. To swego rodzaju nieświadomy mechanizm obronny, forma instynktu przetrwania, który paradoksalnie ułatwia ofierze przeżycie w ekstremalnych warunkach. Identyfikacja z oprawcą i wiara w jego dobre intencje

sprawiają, że przestaje on wydawać się zagrożeniem. Syndrom ten występuje jednak bardzo rzadko, badania mówią, że rozwija się jedynie u niespełna 7% wszystkich ofiar porwań i przetrzymywań. [2]

– Jakie warunki muszą zatem zaistnieć, by można było mówić o występowaniu tego syndromu?

– Zwykle syndrom ten rozwija się jako efekt traumy po strasznym doświadczeniu. Ofiara ma poczucie realnego zagrożenia. Musi być również odizolowana od kontaktu z innymi ludźmi i być dosłownie pozbawiona wolności i władzy nad sobą samą, zdana na oprawcę, którego drobne gesty uprzejmości jak podanie wody czy pożywienia wywołują u niej poczucie wdzięczności. W ten sposób nawiązuje się emocjonalna relacja między ofiarą a oprawcą.

– Czy ofiara, u której występuje ten syndrom może przejawiać uzależnienie emocjonalne od oprawcy, nawet jeśli fizycznie nie jest już od niego zależna?

– Oczywiście jest to możliwe, szczególnie jeśli oprawca nadal ma nad ofiarą władzę emocjonalną uzyskaną poprzez choćby groźby i przekonanie ofiary, że oprawca je spełni.

– Czy uważa pani, że u poszkodowanej Weroniki Wilczyńskiej rozwinął się w trakcie jej przetrzymywania ten właśnie syndrom?

Inneke skierowała swoje spojrzenie w stronę Weroniki. W jej bladej twarzy dwoje dużych oczu spoglądało na nią i Inneke zastanawiała się, o czym dziewczyna teraz myśli.

– Rozmawiałam z Weroniką trzykrotnie i myślę, że w jej przypadku mamy do czynienia z syndromem sztokholmskim. W stanie w jakim znajduje się poszkodowana nie można mówić o braniu przez nią jakiegokolwiek odpowiedzialności za własne czyny. Jestem przekonana, że działała pod wpływem silnych emocji związanych z traumatycznymi przeżyciami.

Adwokat podziękował jej za wypowiedź i Inneke poczuła na sobie zimne spojrzenie dwojga zielonych oczu. Luke Stanford patrzył na nią uważnie, jego oczy zmrużone i chłodne, ale choć

próbował to ukryć, Inneke wyraźnie widziała ukryte w nich pytanie.

Luke starał się nie słuchać. Miał wrażenie, że cała rozprawa toczy się obok niego. Zarzuty, które odczytywano, dowody, wszystko to znał już na pamięć i miał poczucie, że siedzi przy swoim stole zupełnie bezsensownie marnując cenny czas wymiaru sprawiedliwości. Składanie zeznań przed sądem męczyło go, a powtarzanie wszystkiego od nowa – irytowało.

Dopiero, gdy padło imię Weroniki, poczuł się nagle ożywiony. Obiecali mu, że jej nie ruszą. Widać to, że nie będzie zeznawać, nie oznacza, że nie będą rozgrzebywać wszystkiego w jej obecności. Nie wiedział, co Weronika tu robiła, nie powinno jej tu w ogóle być. Luke kulił się w sobie. Pragnął się obejrzeć i spojrzeć na nią, choć wiedział, że nie powinien. Wyglądała jak duch, gdy zobaczył ją pod drzwiami sali rozpraw, różowe drżące wargi i nienaturalnie duże oczy w bladej, niemalże przezroczystej twarzy otulonej kasztanowymi falami.

Kiedy na miejsce świadka wezwano psychologa, Luke wyostrzył słuch. Było w tej kobiecie coś niepokojącego. Z każdym jej słowem Luke czuł narastające napięcie i kłujący ból. Słyszał, co mówiła i wiedział, że mogła mieć rację. Powinien chcieć, by miała rację, tak byłoby prościej, tak byłoby lepiej dla Weroniki. Ale myśli, że w ostateczności wszystko było iluzją, była bolesna. Nie zachwiała jednak jego postanowieniem. To, co robił, robił nie ze względu na to, co czuła ona, lecz ze względu na to, co czuł on sam.

XXII

Stała w sądowej łazience. Wokół niej zwyczajny ruch w damskiej toalecie odbity na powierzchni lustra zdawał się przypominać przepływające szybko mury. Nieruchoma, z dłońmi zaciśniętymi na chłodnej krawędzi blatu i oczyma utkwionymi w swoim odbiciu, patrzyła na dziewczynę, którą zdawało się niegdyś znała. Czy można pomylić miłość ze strategią przetrwania? Czy można być tak ślepy, przerażony, zagubiony, by podążać posłusznie za tym, co nas niszczy w przekonaniu, że to nas ocali? Czy cienka nić przyciągania między nimi, którą czuła wyraźnie i którą brała za pokreconą ścieżkę przeznaczenia, była po prostu wcieleniem jej instynktu przetrwania, próbującego podsunąć jej tę wersję rzeczywistości, która minimalizowała straty emocjonalne i dawała jej szansę przeżyć bez załamania? Jak inaczej wytłumaczyć wszystko, co się zdarzyło? Jak można posłusznie, mimowolnie oddać się w ramiona kogoś takiego? Czy pustka, która jak susza rozprzestrzeniła się w jej wnętrzu, była znakiem, że to wszystko stanowiło iluzję zbudowaną przez jej chory umysł?

Weronika poczuła w swoim wnętrzu bolesne ukłucie, przypominające do złudzenia ból i przywołała przed oczy postać Luke'a, jego lekki uśmiech, silne dłonie, zielony żar w roziskrzonych oczach. Czy wszystko było kłamstwem? Dlaczego pociągnął ją za sobą, by w końcu odepchnąć i pozostawić samą? Czuła drżenie własnego ciała, w tle słyszała kroki, rozmowy, szum wody, trzask drzwi. Patrzyła w swoje szare wycieńczone oczy i widziała jego, zielone, uważne, czujne, chłodne. Na jej spękane suszą serce powoli spadały pierwsze krople odżywczego bólu, krople zwiastujące burzę.

Musiała go zobaczyć. W samym rdzeniu jej duszy to pragnienie, przymus, potrzeba bulgotały jak gorąca lava i Weronika czuła, że każda kolejna minuta przybliża ją do niespodziewanego potężnego wybuchu wulkanu. Stała na sądowym korytarzu z mamą, tłumaczką Anną i Inneke Willems.

– Chcę go zobaczyć – powiedziała nagle, nie zważając na rozmowę, którą nadal prowadzono. Wszystkie trzy pary oczu wpatrywały się w nią teraz. Mama patrzyła na nią z takim przerażeniem, jak gdyby Weronika nie prosiła o rozmowę, lecz co najmniej o ślub ze swoim oprawcą. Psycholog ściągnęła brwi z konsternacją i w jej oczach Weronika wyczytała, że próbuje zrozumieć dlaczego. Tłumaczka miała wciąż otwarte w pół słowa usta i wydawała się niezupełnie rozumieć, co Weronika ma na myśli. – Chcę z nim porozmawiać – powtórzyła tym razem dobitnym przekonującym głosem.

Chwilę panowała pełna zdumienia cisza, w której Weronika, nie wiedząc na kogo ma patrzeć, spuściła wzrok.

Pierwsza odezwała się jej mama. tak cicho, że Weronika musiała wyteńczyć słuch.

– Ale.. dlaczego? Po co miałybyś to robić? – zapytała.

Weronika usłyszała szept tłumaczki w stronę psycholog. Inneke odpowiedziała jej również ściszym głosem i Anna odezwała się przeproszającym tonem.

– Inneke mówi, że może to nie jest zły pomysł, że konfrontacja z oprawcą często pomaga uleczyć traumę i przełamać poczucie bezsilności. Zważywszy, że Weronika nie musi zeznawać przed sądem, może mieć poczucie, że nie ma wpływu na przebieg sprawy, która przecież jej dotyczy.

Inneke uśmiechnęła się lekko w stronę mamy Weroniki próbując tym gestem dodać jej otuchy. Weronika spojrzała na mamę. Wydawała jej się drobna, słaba i pokonana. Machała głową, jakby sama do siebie, a jej oczy pełne były wstrzymywanych łez. Podniosła dłoń do góry w geście, który mógł oznaczać, że potrzebuje przerwy i odeszła w stronę okna.

Weronika zdecydowanie spojrzała w twarz Inneke i przechodząc na angielski zapytała:

– Czy może to pani dla mnie załatwić? Jedną rozmowę na osobności.

– Nie mogę dać ci gwarancji, ale spróbuję. – Inneke wpatrywała się uważnie w dziewczynę, zastanawiając się po raz

kolejny, czy jej diagnoza była trafna. Miała niewyjaśnione poczucie, że za tym wszystkim stoi coś więcej, choć nie potrafiła określić co. Miała jednak nadzieję, że dzięki temu spotkaniu wszystko wypłynie na wierzch.

Inneke zadzwoniła do niej zaraz po rozmowie z adwokatem Luke'a Stanforda. Jego klient zdecydowanie odmawiał jakichkolwiek kontaktów z Weroniką i Inneke zastanawiała się, jaka będzie reakcja kobiety na tę wiadomość.

– Czy może mi pani podać numer telefonu do adwokata? – poprosiła, gdy Inneke przekazała jej informacje. Jej głos zdradzał desperację i nie była pewna, czy dziewczyna walczy ze łzami, czy tylko jej się tak wydawało. Podała jej numer telefonu i Weronika pożegnała się szybko.

Adwokat nie potrafił wymówić poprawnie jej nazwiska. Jego głos brzmiał uprzejmie i zdawał się od razu wiedzieć kim jest i po co dzwoni.

– Przykro mi, ale mój klient nie wyraził zgody na rozmowę. Czy jest coś, co mógłbym dla pani zrobić? – Jego angielski, choć nienaganny gramatycznie, miał śmieszny miękki akcent. W jego pytaniu wyczuła niemalże autentyczną troskę, co jedynie bardziej ją zirytowało i zdeterminowało do użycia cięższej amunicji w negocjacjach.

– Tak. Mógłby pan porozmawiać ze swoim klientem jeszcze raz i powiedzieć mu, że jeśli nie zgodzi się na rozmowę ze mną, pójdę na policję i powiem im prawdę. Proszę mu to przekazać. Będę czekać na wiadomość dwa dni.

Rozłączyła się nie dając mu szans na reakcję. Dwa dni wydawały się jej realną opcją, ale okazało się, że nie musiała czekać tak długo. Następnego dnia rano zadzwonił jej telefon i ustalili datę spotkania w budynku biura policji, gdzie Luke był przetrzymywany do zakończenia rozprawy i wydania wyroku.

Wprowadzono ją do małego pokoju bez okna. Na środku stał niewielki, kwadratowy stół i dwa krzesła. Na podłodze leżało szare linoleum, a ściany były jasnożółte, jakby to mogło zrekompensować brak słonecznego światła. Usiadła na jednym z

krzesel i czekała. Nie posiadała przy sobie torebki, którą zostawiła przeszukującej ją policjantce. Miała w oczach przeproszające spojrzenie, jakby czuła się niezręcznie przeszukując kogoś, kto jeszcze nie popełnił wykroczenia. Była młoda i pewnie jeszcze niewiele stanowiło dla niej rutynę. Weronika wpatrywała się w jasnożółte ściany i zadawała sobie w kółko to samo pytanie. Co będzie, jeśli on naprawdę jest winny wszystkich tych zarzutów? Jeśli to wszystko zrobił? Czy to zmieni jej uczucia do niego? Czy zmienia to fakt, że uratował jej życie? Czy to, że uratował jej życie, rozgrzesza go z wszystkich innych zarzucanych mu czynów?

Wprowadziło go dwóch policjantów. Jego ręce przykuto do krzesła za jego plecami. Jeden z policjantów wyjaśnił jej, że to konieczne, jeśli chce porozmawiać na osobności. Wskazał palcem na kamerę zamontowaną w rogu pokoju nad drzwiami i powiedział, że rozmowa będzie monitorowana, ale nie podsłuchiwana, że ma dziesięć minut i że jeśli zechce wyjść ma zastukać w drzwi, będą stali zaraz za nimi.

Weronika skinęła głową próbując skupić wzrok i uwagę na przemawiającym do niej mężczyźnie. Dopiero kiedy obaj wyszli, odwróciła głowę i spojrzała na Luke'a. Twarz miał spiętą i chłodną. I choć nie patrzył na nią, wyczuwała, że dzieli ich dużo większa odległość niż długość blatu stolika, po którego przeciwległych krańcach siedzieli. Zmarszczka między jego brwiami wydawała się głębsza niż kiedykolwiek, niemalże jak kanion dzielący jego twarz na połowę. Spodziewała się, że będzie ubrany w więzienny kombinezon i zaskoczył ją fakt, że miał na sobie zwykłe, jasne spodnie jeansowe i granatowy podkoszulek.

Weronika czuła suchość w ustach i dziwny szum w głowie, jak gdyby krążąca w żyłach krew zagłuszała jej myśli.

– Nie rozumiem... Nie rozumiem, co się dzieje... – wykrztusiła wreszcie, niemalże nie rozpoznając własnego zduszonego głosu.

– Nic nie musisz rozumieć – powiedział cicho schrypłym, pełnym napięcia głosem, nadal patrząc na coś zawieszzonego w

przestrzeni za nią.

– Muszę. Dlaczego nie mogę zeznawać? Dlaczego nie mogę im powiedzieć, że uratowałeś mi życie? Dlaczego nie powiesz im prawdy o nas? – Słyszała swój rozgorączkowany głos, chciała wyciągnąć do niego rękę, zrobić coś, by przywołać jego spojrzenie, ale czuła się bezsilna i sparaliżowana jego chłodem.

Luke pokręcił delikatnie głową i zwiesił ją, jak gdyby mu ciążyła. Weronika widziała napięte mięśnie jego szczęki.

– Nie wierzę, że zrobiłeś te wszystkie rzeczy. Nie mogę w to uwierzyć – Weronika czuła napływające łzy. – Nie zasługujesz na to.

Luke liczył minuty. Chciał, by ta rozmowa dobiegła końca, zanim nie będzie mógł się powstrzymać i podniesie głowę, by na nią spojrzeć. Zanim powie o jedno słowo za dużo. Czuł wszystkie swoje napięte do bólu mięśnie, które nigdy dotąd nie brały udziału w tak bolesnym starciu, z samym sobą.

Weronika podniosła głowę, nie kryjąc łez, które powoli ciepłym strumieniem płynęły po jej policzkach.

– Luke... – wyszeptała błagalnie, wpatrując się w jego zimną nieobecną twarz.

Kiedy wypowiedziała jego imię, poczuł przeszywający ból jak cięcie tęym ostrzem przez wszystkie warstwy tego czym był, jakby cięcie szło poprzez jego przeszłość, terażniejszość, przyszłość, jego ciało i umysł, aż do wnętrza jego duszy, z której wydobył się dziki zwierzęcy skowyt, bezgłośny lecz odczuwalny. Na sekundę przymknął oczy, żeby ukryć cierpienie. Dla niej chciał być czymś więcej, zasługiwać na więcej. Czy nie pragnął bardziej niż czegokolwiek, by ona w niego wierzyła, by mu ufała, by wypowiadała jego imię? Mógłby powiedzieć jej prawdę, pokazać, że jest jej wart, że na nią zasługuje, mógłby. Luke poczuł zalewającą go falę goryczy i wiedział, co musi zrobić. Powoli zbierał w sobie odwagę i resztki sił nadwerężonych powstrzymywaniem się przed powiedzeniem jej, co czuje. Nie dla siebie, lecz dla niej. Musi jej zwrócić życie, wolność, dać jej szansę na szczęście i na przyszłość bez oglądania się wstecz, bez

oglądania się na niego, bez wątpliwości i dylematów. Ponad wszystko Luke walczył z przeciwstawnymi emocjami, poczuciem rozczarowania i ulgi. Dla siebie chciał wierzyć, że to, co ich łączyło było czymś więcej niż jakimś cholernym syndromem, do którego doprowadził on sam, dla niej chciał wierzyć, że to, co było między nimi, było jedynie strategią przetrwania, czymś, co można zaleczyć jak bolący ząb. Był jednak pewien swoich uczuć i słuszności tego, co musiał zrobić. Musiał wreszcie powiedzieć jej prawdę, której nie śmiał wyznać do tej pory i która teraz stała się narzędziem w jego ręku, narzędziem obrony jej samej przed nim.

Wziął głęboki oddech, podniósł głowę i spojrzał na nią. Miała na sobie ciemnozieloną, prostą bluzkę i beżowe spodnie. Jej bladą twarz otaczały kasztanowe włosy upięte luźno na karku i przerzucone przez jedno ramię, po którym spływały jak rzeka aż poza linię jej biustu. Cienie pod jej oczami i blade wargi zdradzały wycieńczenie i uderzył go fakt, że coś w sposobie jej zachowania, w jej spojrzeniu przypominało mu nagle pierwsze dni po porwaniu. I Luke nagle wiedział, co to było. Strach. Walczył ze sobą samym o głębszy oddech i czuł się, jak gdyby potężny wir wciągał go pod powierzchnię wspomnień. Nie mógł pozwolić sobie na chwilę słabości. Nie teraz. Musiał znaleźć w sobie siłę, by postawić ten ostatni krok.

Luke zrobił to, co uważał, że zrobić musiał, tak jak Luke Stanford zwykł robić zawsze.

Pochylając się ku niej, pociągnął mocno rękoma, aż metalowa obręcz kajdanek wbiła się w jego nadgarstki i powoli, wyważonym tonem, ukrywając drżenie głosu powiedział, patrząc jej w oczy.

– Nic nie rozumiesz. Nic o mnie nie wiesz. Na nic nie zasługuję. Byłem wtedy w tym aucie.

Weronika patrzyła w jego zielone oczy, nagle tak gniewne, zdecydowane, jakby zapadła w nim jakaś decyzja. Otworzyła usta, by zapytać, ale znaczenie jego słów dotarło do niej zanim głos zdążył wydostać się z jej ust. Patrzyła na niego w bezruchu.

– Byłem kierowcą. Siedziałem z przodu, kiedy oni zajmowali

się tobą na tylnym siedzeniu.

Przerwał i czekał chwilę, mając nadzieję, że to wystarczyło, by wreszcie zdecydowała się wyjść. Przez parę sekund patrzyli sobie w oczy w milczeniu. Luke czuł, że jest blisko krawędzi i nie wiedział jak długo tak jeszcze wytrzyma. Pociągnął ręce do siebie tak, by metalowa obręcz ponownie wbiła mu się boleśnie w nadgarstki. Pragnął bólu fizycznego, by zagłuszyć zalewającą go rozpacz, która najpierw sączyła się powoli, jak woda wdzierająca się przez pęknięcie w tamie, ale czuł, że pęknięcie robi się głębsze, rozpacz napiera jak ciśnienie wody.

Weronika prawie niezauważalnie pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć, czy nie chciała uwierzyć? Nagle stanęła twarzą przed zimną, niemą, nieporuszoną niczym ścianą rzeczywistości. Nie miała pojęcia, jak mogła sobie wyobrazić, że ten mężczyzna ją kocha, że ona kocha jego, że wydarzenia przeszłości nie staną między nimi, że można coś takiego zapomnieć i żyć udając, że się nie zdarzyło. Patrzyła z niedowierzaniem w jego zielone oczy, nagle tak obce i puste, i nie potrafiła określić, czy nie wierzy jemu, czy nie wierzy sobie. To wszystko nie miało sensu. Nic już nie było pewne. Poza jednym. On jej tutaj nie chce. I kolejna ciepła łza spłynęła po jej policzku.

Luke zacisnął zęby. Jej blade do tej pory wargi nagle nabrały koloru drżąc od powstrzymanego szlochu, jej policzki zbladły jeszcze bardziej, a w jej dużych przerażonych oczach wezbrały łzy i nie mógł znieść tego widoku. Czuł nabrzmiewającą rozpacz tak namacalnie, że mógłby zacisnąć na niej własną dłoń. W oczach Weroniki widział wahanie i wiedział, że musiał zrobić coś szybko.

– Miałaś na sobie czerwoną letnią sukienkę. Szłaś, bóg wie czemu, sama ulicą. Drzwi samochodu otworzyły się, kiedy dopiero co je minęłaś i wysoki ciemnowłosy mężczyzna wciągnął cię do auta. Nie zdążyłaś nawet krzyknąć. On pierwszy cię zgwałcił. Drugi musiał trzymać twoje ręce, bo wierzgałaś okropnie. Kiedy się zmieniali, próbowałaś się wyczołgać i uderzył cię parę razy pięścią w twarz. Siedziałem z przodu, na miejscu kierowcy, widziałem wszystko w lusterku. – Luke mówił szybko, twardo,

nieustępliwie. Jego słowa płynęły z ust w panice, lecz jego serce powtarzało co innego. Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj.

Weronika słuchała potoku słów czując rosnące przerażenie i w odruchu paniki, próbując odepchnąć od siebie jego słowa, zimne oczy, jego nagle widoczny gniew i ból, zerwała się z krzesła, które z hukiem upadło za nią i ruszyła w stronę drzwi prawie nie oddychając. Umilkł, gdy chwyciła za klamkę. Słyszała jego szybki ciężki oddech. Nacisnęła na nią i zamarła na ułamek sekundy.

– Wybaczam ci – wyszeptała nie oglądając się na niego i zastukała parokrotnie drżącą ręką w drzwi. Biegła przez korytarz ocierając łzy z piekących policzków.

Minęła mamę siedzącą z Inneke na krzesłach ustawionych wzdłuż korytarza i choć kątem oka widziała, że obie uniosły się, gdy ją zobaczyły, nie chciała się zatrzymywać, ale mama wyciągnęła do niej rękę i podniesionym głosem pełnym lęku i niepokoju zawołała jej imię, próbując ją zatrzymać. Weronika poczuła obezwładniającą falę gniewu i zaciskając pięści obróciła w ich stronę twarz.

– Daj mi spokój, mamo – warknęła – tylko ci się wydaje, że rozumiesz! Nic z tego nie rozumiesz! Nic, kurwa, nie rozumiesz! Więc przestań próbować pomóc! Nie mogę przez ciebie oddychać! – wrzasnęła prosto w zszokowaną twarz mamy.

Wbiegła do łazienki i tam dała upust swoim łzom opierając trzęsące się dłonie na zimnej umywalce. Nie wiedziała, jak długo tak stała zanosząc się szlochem. Jej świat sklejony misternie i ostrożnie z drobnych kawałków, rozpadał się po raz kolejny i Weronika traciła grunt pod nogami, jak gdyby do tej pory spacerowała po cienkim lodzie. Tonęła w lodowatych oczach Luke'a. Włożyła dłoń do kieszeni spodni i odnalazła starannie złożony wytarty kawałek papieru. Przez chwilę trzymała go w palcach, po czym rozłożywszy, próbowała przez zalane łzami oczy odczytać wypisane słowa, które znała na pamięć. Kolejna fala niepowstrzymanywanego niczym szlochu wyrwała się z jej piersi. Zmięła kartkę w dłoni i wyrzuciła do stojącego pod umywalką śmietnika.

Do łazienki weszła Inneke. Przez chwilę stała oparta o ścianę obok lustra i uważnie przyglądała się Weronice.

– Może już najwyższy czas, żebyś zaczęła mówić?- odezwała się wyważonym spokojnym głosem, który nie zdradzał nawet śladu emocji, choć jej spojrzenie zdawało się pełne być współczucia.

Weronika spojrzała w lustro na zapłakaną bladą dziewczynę, której duże oczy zdawały się tkwić w dwóch wielkich plamach cienia. Poczowała nagłą złość na kobietę w lustrze i na tę drugą, której obecności najmniej teraz potrzebowała i bardziej do siebie niż do niej powiedziała.

– On mnie nie kocha.

Gdy Inneke opuściła łazienkę, zostawiając ją samą ze swoją rozpaczą, Weronika upadła na kolana na zimną podłogę i otworzyła wieczko śmietnika, w panice szukając drżącymi dłońmi zmiętej kartki papieru. Wyjęła ją i rozprostowała na kolanach. Łzy płynęły po jej policzkach niczym niepowstrzymywane. Ból wreszcie wreszcie nawadniał jej spragnione go serce. Szloch rozrywał jej wnętrze. Sztorm uczuć unosił ją w swoim szaleństwie.

Drzwi zatrzasnęły się za nią i Luke wziął głęboki oddech, ale zamiast niego z jego ust wyrwał się szloch i tama pękła nagle, jakby rwana furia. Luke płakał i czuł jak napięcie spływa z niego wraz z kolejnymi falami rozpacz. Jego ramiona drżały, szarpane urywanym oddechem. Słyszał policjantów, którzy weszli do pomieszczenia i stali za nim, ale nie dbał o to, co myśleli lub mówili. Szloch wyrывał mu się z ust, był jak jakaś potężna obezwładniająca siła, która zagarnęła go jak nurt rzeki, i niosła w nieznane mu miejsca we własnej duszy. I Luke nie wiedział już nad czym płakał, i czy były to łzy ulgi, bólu czy miłości. Wiedział jednak, że w wieku trzydziestu trzech lat odkrył bolesną prawdę o życiu. Czasem trzeba zadać ból tym, których kochamy, by ochronić ich przed jeszcze gorszym bólem. Podobnie jak ze źle zrosniętą kością, trzeba ją ponownie złamać, by zrosła się prawidłowo.

Kiedy Weronika oświadczyła mamie, że na ogłoszenie

wyroku pójdzie sama, ta nie protestowała. Od paru dni wisiała między nimi krępująca cisza. Czuła, że matka oczekuje, iż po ostatniej rozprawie obie wrócą do Polski i nie wyprowadzała jej z błędu. Nie zamierzała wracać do domu.

Założyła granatowy żakiet i błękitny szal, nie zawracała sobie głowy upinaniem włosów ani nawet ich rozczesywaniem, spływały kasztanowymi falami, po jej plecach, ramionach, wokół jej twarzy. Mama siedziała na łóżku ich pokoju, który wynajmowały na te parę tygodni i który Anna tłumaczka pomogła im znaleźć i wynająć.

– Nie będziesz czesać włosów... to w końcu sąd... – zaczęła, ale Weronika przerwała jej ostro, może nieco za ostro.

– Nie, mam, wolę, gdy moje włosy są rozpuszczone.

Nie miała złudzeń, że to wszystko dobrze się skończy. Wiedziała, że Luke zostanie skazany i zdawała sobie sprawę, że po ich ostatniej rozmowie, nie powinna nawet pokazać się na sali rozpraw. Odczuwała jednak wewnętrzny przymus, któremu nie potrafiła się oprzeć. Nieważne, co zrobił, nieważne, co powiedział, nic która ich do siebie przyciągnęła zdawała się być silniejsza i ocalała od szarpnięć, którym poddały ją ostatnie miesiące. Nie miało już dla niej znaczenia, czym była ta nic, świadomie i dobrowolnie zdecydowała się iść jej śladem, nawet jeśli nie wiedziała dlaczego.

Luke nie spodziewał się zobaczyć jej na ogłoszeniu wyroku. Pragnął ujrzeć ją jeszcze raz i choć powtarzał sobie, że musi myśleć racjonalnie i nie dać się złapać w pułapkę własnych emocji, pragnął jej widoku. Z drugiej strony wiedział, że jeśli nie przyjdzie, to będzie dobry znak, że uwierzyła, że zniknie na zawsze z jego życia i zacznie od nowa swoje.

Kiedy więc zobaczył ją pod salą rozpraw, automatycznie zwolnił krok i szorstko nakazał sobie nie patrzeć w jej stronę, ale jego oczy spragnione jej widoku odruchowo biegły ku niej. Nie miał wątpliwości, że to zauważyła. Śledziła uważnie jego każdy krok wzdłuż sądowego korytarza. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy i kiedy podnosił głowę jego oczy napotykały jej. Zauważył,

że tym razem była sama, stała na uboczu, oparta o parapet okna. Jej włosy w nieładzie opadały falami na ramiona, ale tak podobały mu się najbardziej. Przypominały mu chwile, gdy je gładził rozrzucone po poduszce. Nie potrafił jednoznacznie odczytać emocji z jej twarzy, ale jej oczy zdawały się nie być już tak przerażone i choć spodziewał się ujrzeć w nich nienawiść, zobaczył jedynie zdecydowany spokój, jak gdyby pogodziła się z całą sytuacją.

Weronika usiadła na końcu sali, skąd mogła wpatrywać się w sylwetkę Luke'a, siedzącego przy środkowym stole dla oskarżonego. Ich oczy spotkały się na sądowym korytarzu i Weronice zdawało się, że prowadzą rozmowę niezależną od swoich właścicieli. Widziała zaskoczenie w jego twarzy. Nie spodziewał się jej. Nie był przygotowany na to, że przyjdzie. I może dlatego nie zdążył założyć swojej maski z lodowatego dystansu. Coś w jego spojrzeniu rozpało w Weronice iskrę nadziei, choć nie potrafiła powiedzieć na co miałyby mieć nadzieję.

Wyrok był przygważdżający i Weronika nie mogła złapać oddechu. Dźwięk sędziowskiego młotka odbijał się echem w jej głowie. Ludzie wokół niej zaczęli podnosić się ze swoich miejsc i kierować w stronę wyjścia. Wstała rozglądając się za sylwetką Luke'a, którego strażnicy prowadzili w stronę bocznego wyjścia. Nie obejrzał się i Weronikę ogarnął nagle paraliżujący strach, który jak ołowiany ciężar spadł na jej klatkę piersiową, pozbawiając oddechu. Czy miała go już nigdy nie zobaczyć? Czy tak właśnie miało się to zakończyć? Miała pozostać tutaj bez odpowiedzi na kłębiące się w jej głowie pytania? Bez odpowiedzi na to najważniejsze pytanie? Uniosła się ze swojego miejsca.

– Luke! – Jej pełen desperacji, strachu i tęsknoty krzyk wypełnił salę i sprawił, że strażnicy i paru ostatnich widzów spektaklu, którzy nie zdążyli jeszcze wyjść, spojrzano na nią pełnymi zdumienia oczyma.

Zamarł. Obrócił głowę w stronę jej głosu. Ich spojrzenia splotły się po raz kolejny, przywarły do siebie jak magnesy,

przyciągając ich ku sobie. Dłoń strażnika pchała go ku drzwiom i w ostatniej chwili uśmiechnął się blado i prawie niezauważalnie pokręcił głową, po czym zniknął za drzwiami.

Luke został wyprowadzony z sali. Mocna dłoń strażnika wskazywała mu drogę korytarzem, którego nie widział poprzez mgłę zasłaniającą jego oczy. Jego nogi zdawały się nieść go niezależnie od jego woli. Zrobił to.

Nagle pomyślał o swojej zmarłej matce. Co by zrobiła? Czy byłaby dumna? Czy zamknęłaby go w swoich ciepłych chudych ramionach z tym smutnym uśmiechem na twarzy? Czy popatrzyłaby na niego tak, jak zwykła to robić, jak gdyby wierzyła, że nie jest w stanie do niczego karygodnego? Jej spojrzenie przeciw tym wszystkim oczom wokół niego, w których widział wypisany wyrok skazujący. Czy poczułby się lepiej? Czy zaakceptowałaby jego wybór? Czy zrozumiałaby? Czy próbowałaby go ratować? Może wszyscy pragniemy być po prostu uratowani, od naszych własnych wyborów i decyzji?

Luke nie chciał już być uratowany. Był wycieńczony i jedyne czego pragnął to zamknąć oczy i zasnąć. Idąc sądowym korytarzem oświetlonym sztucznym światłem lamp czuł, że odchodzi od wszystkiego, na co kiedykolwiek w życiu miał szansę. Wiedząc jednocześnie, że życie to transakcja i że dokonał prostej wymiany swoich szans na szansę Weroniki.

Nie pamiętała jak wyszła z sali. Wydawało się jej, że czas zawęził się do jednej chwili, a wszystko inne pozostaje za mgłą. Wciąż widziała przed oczyma jego twarz, była jak odbicie w szybie, przez którą Weronika patrzyła na świat. Stała na korytarzu, samotna i zagubiona, nogi zdawały się odmawiać jej posłuszeństwa. Czuła dziwne odrętwienie, w głowie szum. Osunęła się na jedno z krzeseł stojących w rzędzie pod ścianą i próbowała zaczerpnąć kilka głębokich wdechów. Co teraz? Co ma zrobić ze sobą, ze swoim życiem? Czy pokochała potwora, człowieka odpowiedzialnego za długą listę nielegalnych czynów, człowieka odpowiedzialnego za tyle zniszczonych, zmarnowanych żyć? Jak to świadczyło o niej samej, skoro pokochała kogoś

zdołnego do takich rzeczy? I czy on kochał ją, choćby przez moment? Czy łudziła się, że w jego oczach i łagodnym spojrzeniu zobaczyła dziś miłość, czy widziała tylko to, co widzieć chciała? Jaką wiadomość zakodował w swoim smutnym uśmiechu i jak ma ją odszyfrować? Co chciał jej powiedzieć przez swoje niewypowiedziane “nie”, gdy pokręcił głową? Nie, nie rób scen? Nie, nie kocham cię? Nie, nie kochaj mnie, nie jestem tego wart? Nie, nie płacz? Weronika siedziała na korytarzu kręcąc głową, sama do siebie powtarzając: nie, nie, nie, nie umiem bez ciebie żyć. To było jej własne “nie” – mantra powtarzana w bezsenne noce, mantra powtarzana o poranku, jej pierwsza myśl, gdy otwierała oczy i ostatnia nim zapadła w niespokojny sen, nie przynoszący wytchnienia. W szaleńczej gonitwie myśli, wspomnienie jego uśmiechu pozostało żywe i trwałe, jakby odcisnęło się na zawsze na powierzchni jej źrenic.

W dziwnym stanie emocjonalnego ogłuszenia pozwoliła sobie zanurzyć się w potok własnych fantazji. Czy gdyby wtedy nie szła tą ulicą, los splótłby ich drogi mimo wszystko? Czy w świetle zwykłego dnia, wśród ulicznego tłumu, pośród morza głów i strumienia dźwięków, odnalazłby jej spojrzenie i zarzucił na nie zieloną sieć swych oczu? Czy poszłaby posłusznie za nim, poddana sile jego przyciągania, gdyby życie nie zatrzasnęło jej w ciemnej klatce jego apartamentu? Jeśli wszystko w życiu działa się nie bez przyczyny, po co spotkał ich ten sztorm, który ich zniszczył, rzucił na kolana, zgiał pod ciężarem ciosów?

Dopiero po paru dłuższych chwilach wróciła jej świadomość miejsca i czasu i wtedy zdała sobie sprawę, że nie jest sama na opustoszałym korytarzu. Po drugiej stronie oparty o ścianę stał starszy mężczyzna, był szczupły i nieogolony. Miał na sobie szarą marynarkę i czarne spodnie. Ręce trzymał w kieszeniach i zdawał się nie widzieć nic poza skrawkiem podłogi, w który uparcie wbijał wzrok. Weronika spojrzała na niego przelotnie, po czym podniosła się, by ruszyć korytarzem. To wtedy dotarło do niej jak uderzenie pioruna, że mężczyzna ma znajomy profil. Odwróciła się i zmierzyła go spojrzeniem. Mogła się mylić, ale musiała się

upewnić i powoli podeszła w jego stronę mężczyzny, który nagle zdał sobie sprawę z jej obecności. Gdy stanęła przed nim, obrzucił ją zboląłym zmęczonym spojrzeniem dwojga zielonych oczu i Weronika poczuła drżenie, które jak fala ruchów tektonicznych przeszło przez jej ciało.

– Ik ben zijn vader. – Głos mężczyzny łamał się przy tym wyznaniu i Weronika zrozumiała, że on wie, kim ona jest. Coś w jego pozie pełne było ukorzenia, jakby był gotowy przyjąć na siebie winę za losy swojego syna, gotowy spojrzeć w oczy jego ofiary i przyjąć na siebie jej ciosy i ból.

Stała chwilę twarzą w twarz z mężczyzną walcząc o każdy oddech i studiując uważnie jego przejmująco zielone oczy. Musiała powiedzieć sobie myślach to zdanie parokrotnie, w każdym z trzech języków, by je poczuć zanim podaruje je ojcu człowieka, którego kocha.

– Pana syn uratował mi życie – odezwała się w końcu po angielsku, po czym nie czekając na jego reakcję odwróciła się i ruszyła korytarzem.

Uratował jej życie. Reszta nie miała znaczenia. Dla niej reszta nie miała znaczenia. Wreszcie to zrozumiała.

Luke często wracał myślami do tego momentu, gdy pierwszy raz zobaczył Weronikę. Był późny wieczór, gdy zadzwonił telefon. Tego samego dnia wrócił z Londynu i zamiast jechać do apartamentu, żeby się rozpakować, prosto z lotniska musiał z polecenia Gera odebrać Raifa i Stefana w Utrechcie i odwieźć w ustalone miejsce. Obaj byli naćpani i pijani, gdy wsiedli do jego auta zaparkowanego pod klubem, w którym spędzali wieczór. Pamiętał dokładnie, jak na zwolnionym filmie, że gdy wjechali w tę ulicę, zwróciła jego uwagę czerwoną zwiewną sukienką. Stała na chodniku z gościem, którego dredy zebrane w kucyk z tyłu głowy utkwily mu w pamięci. Trzymał jej rękę i przyciągnął ją delikatnie w swoim kierunku, ale ona kręciła głową z uśmiechem, by w końcu wyswobodzić swoją dłoń. Zanim odwróciła się i odeszła, przesłała mu pocałunek zdmuchnięty z koniuszków palców i Luke pamiętał, że pomyślał z pogardą o gościu z dredami.

On nie dałby tak łatwo odejść ładnej dziewczynie. Mijał ją autem, gdy szła tą ulicą, jej falujące włosy opadały na plecy, sukienkę unosił podmuch wiatru. Spojrzał na nią w lusterku, zobaczył jej drobną twarz i duże oczy.

Kiedy Raif kazał mu się zatrzymać, Luke zjechał na pobocze i zaparkował przy chodniku. Myślał, że kretyn będzie rzygał i uświni mu auto, więc ucieszył się, gdy ten otworzył drzwi i zdążył wysiąść bez robienia bagna. Pamiętał dokładnie ten moment, gdy zobaczył ponownie jej drobną sylwetkę wyłaniającą się zza samochodu stojącego za nimi i cień, który na nią spadł. Siedział z rękoma zaciśniętymi na kierownicy i zatrzaśniętą boleśnie szczęką. Słyszał jak walczyła, próbując odeprzeć atak, czuł jej stopy w panice kopiące tył jego siedzenia. Czuł się nagle wściekły i bezsilny zarazem. Pamiętał dźwięki, zapachy i uczucie mdłości. Spojrzał w lusterko dopiero, gdy z nią skończyli. Czerwień jej zwiewnej letniej sukienki, poszarpanej i zniszczonej, mieszała się ze strużkami krwi płynącymi z jej ciała, poszarpanego i zniszczonego jak jej strój.

Popchnęli ją w kąt siedzenia i kazali mu jechać. Luke kłął pod nosem. Zadzwonili do Gera, który dostał ataku wściekłości i kazał im wybić sobie z głowy, że mogą przywieźć swój burdel i przechowywać go tam, gdzie on zarabia pieniądze. Raif podał telefon Luke'owi i wkurwiony głos jego szefa jednoznacznie i tonem nieznośnym sprzeciwu kazał mu zająć się tym burdelem, zanim tych dwóch debili narobi mu jeszcze większych problemów. Nim dojechali do Rotterdamu, Raif zaczął panikować i powtarzać, że muszą się jej pozbyć. Gdy zaczęła się budzić, wyjął z kieszeni kurtki jakieś gówno w strzykawce i wstrzyknął jej, opadła beładnie. Zatrzymali się na jednym z ciemnych, opustoszałych parkingów przy autostradzie. Luke wyjął swoją walizkę z tyłu auta i opróżnił ją wrzucając wszystko luźno do bagażnika. Rzucił Raifowi jeden ze swoich podkoszulków i kazał mu zdjąć z dziewczyny brudną i porwaną sukienkę, którą Raif podpalił zapalniczką i wrzucił do metalowego kosza na śmieci, skąd buchnął ogień. Nie chciał jej dotykać. Przyglądał się jej cienkim

nadgarstką, tak szczupłą, że mógł je oba zamknąć w jednej dłoni, widział jej małe stopy, z których jedna pozbawiona była czarnej balerinki, miała dłonie w niemal dziecięcym rozmiarze, były to jednak kobiece dłonie o smukłych palcach i delikatnym wnętrzu. Była tak drobna, że zmieściła się do jego walizki.

Raif zdjął z jej stopy balerinkę i wrzucił do płomienia buchającego z kosza na śmieci. Z tylnego siedzenia auta chwycił jej torebkę, wyjął jej paszport i telefon, resztę wrzucił do ognia.

Mógł pozwolić im ją zabrać lub pozwolić im się jej pozbyć. Mógł dyskutować z Gerem i próbować powiedzieć nie.

Ale leżąc w swojej celi na twardym materacu, Luke wyobrażał sobie, że w jakimś alternatywnym świecie mijają ją znów autem w tej ciemnej ulicy. I kiedy Raif każe mu się zatrzymać, Luke odpowiada, żeby się odpiardolił i zatrudnił sobie szofera, jeśli chce przystanki na żądanie. Jadą dalej, mijając dziewczynę, której czerwoną sukienkę unosi wiatr. Luke widzi ją jeszcze w lusterku, jak idzie sama ulicą, a potem znika mu z oczu, by nigdy więcej nie pojawić się w jego życiu. I ich oczy nigdy się nie spotykają, ich losy nigdy nie splatają, ich życia nigdy nie upadają zrujnowane, z wielkim hukiem i w tumanach kurzu.

– Stanford! – Z zamyślenia wyrwał go głos strażnika.

Podniósł się z posłania i podszedł do drzwi, przez małe okienko strażnik podał mu dwie koperty, na które Luke długo patrzył w milczeniu, stojąc na środku celi. W dłoni trzymał list od ojca, a pod nim drugi, na którym równymi literami wypisane było nazwisko nadawcy: Weronika Wilczyńska. Zacisnął palce na kopercie.

Wiedział już, że najczulsze miejsce w nim samym, było tym, z którego czerpał siłę, by żyć.

eh.

[1] Historia oparta na autentycznych legendach Shuswap;
źródło www.landoftheshuswap.com

[2] Tomasz Chochoł, Syndrom sztokholmski i zaborcza
miłość; źródło: www.kryminalistyka.fr.pl

